

WYBORNA KLASYKA
KRYMINAŁU

Patrick QUENTIN

Portret
mordercy

C&T



W tej galerii morderców – małych i dużych – Patrick Quentin zaskakuje oryginalnymi pomysłami na stworzenie intrygi.

Każda z tych dwunastu opowieści to mały brylant w kunsztownej kolii.

Wydaje się, że dziecku trudno zostać mordercą. Ale kiedy tylko tak może osiągnąć swe cele, ucieka się do szantażu i mordu – jak w historii tytułowej tego zbioru, „Marzeniach chłopca” i „Świadku oskarżenia”.

Dużo łatwiej jest mordercom żon. Ich wymyślne śmiertelne pułapki w „Aż na księżyc”, „To cię zabije” i „Panie, Ty na mnie patrzysz” zadziwiają pomysłowością. Jednak skutki tych desperackich planów są tutaj jeszcze bardziej zaskakujące. Na morderców trafiają też samotne panny, spragnione miłości, jak panna Lucy i Connie o gołębim sercu.

I wreszcie historie osób zdanych na łaskę innych, potrafiących jednak walczyć o swoje – jak udęczona przez męża bratanicy pani Snow czy zależna od mściwych kuzynek pani Appleby...

ZNAKOMITE NA LEKTURĘ PRZED SNEM – BO NIBY KRÓTKIE, ALE JAKIE WYBORNE.



ISBN 978-83-7470-060-1



9 788374 700801

23,80 zł

C&T

Patrick
QUENTIN

Portret
mordercy

Przekład:

ALEKSANDRA WOLNICKA

C&T

TORUŃ

Tytuł oryginału:

THE ORDEAL OF MRS. SNOW AND OTHER STORIES

Copyright © 1961 by Patrick Quentin

Copyright © for the Polish edition by „C&T” Toruń 2007

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Wolnicka

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS”

Toruń, tel. (56) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-080-1

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2007.

Wydanie I.

Ark. wyd. 16; ark. druk. 17,5.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o.

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

UDRĘKA PANI SNOW

Słyszac w holu głos swojej bratanicy, a zaraz potem śmiech Bruce'a Mendhama, pani Adelaide Snow szybko wzięła do ręki książkę i udawała pogrążoną w lekturze. Nie chciała, aby Lorna pomyślała, że ciotka na nią czeka, że jest wścibska albo niespokojna z powodu jej rozwijającego się w zastraszającym tempie romansu. Do salonu weszło dwoje młodych ludzi.

— Nie śpisz jeszcze, ciociu Addy?
— Czy to już tak późno, skarbie?
— Późno! Wcześniej! Skąd mogę wiedzieć? Nie wiem nawet, jaki mamy rok! — Lorna podbiegła do niej i zarzuciła jej ramiona na szyję. — Och, najdroższa ciociu Addy, Bruce właśnie poprosił mnie o rękę.

Stojący z tyłu Bruce Mendham posłał starszej pani najbardziej przymilny ze swoich uśmiechów. — Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, pani Snow.

Pani Snow już od pewnego czasu przygotowywała się na tę chwilę i miała aż nadto powodów, aby nie być zadowoloną z takiego obrotu spraw. Nie minął nawet miesiąc od dnia, kiedy poznały Bruce'a w czasie powrotnej podróży z Europy na pokładzie statku *Ile de France*. Praktycznie nic o nim nie wiedziały — ani skąd pochodził, ani z czego żył. Nie miał pracy ani pieniędzy. Jako osoba wywodząca się z zamożnej, konserwatywnej rodziny, pani Snow zamierzała zwrócić na to uwagę swojej bratanicy, lecz teraz wyraz twarzy Lorny całkiem ją rozbroił.

Nigdy jeszcze nie widziała szczęścia w tak intensywnej, czystej postaci. Promieniująca z dziewczyny radość usunęła na dalszy plan chłodne, zdroworoządkowe zastrzeżenia. Uniesienie, pomyślała pani Snow zadziwiona. Jak rzadko przychodzi i jakże jest piękne!

Fakt, że wciąż dręczyło ją dziwne i niepokojące przeczucie, absolutnie nic nie znaczył. Pani Snow była rozsądną kobietą, aż nazbyt świadomą swoich słabości. Zdawała sobie sprawę, że samotność po śmierci męża spowodowała, iż jej miłość do bratanicy stała się nazbyt zaborcza. Z pewnością czułaby podobną niechęć i wrogość w stosunku do każdego mężczyzny, który chciałby jej odebrać Lornę. Zresztą ze zwykłego, ludzkiego punktu widzenia, cóż można było zarzucić Bruce'owi? Był przystojny, serdeczny i bardzo dobrze wychowany. Tylko ohydny demon zazdrości mógł sprawić, że wydawał jej się trochę nazbyt serdeczny, nazbyt przystojny i nazbyt... wiarygodny.

Ciesząc się triumfem odniesionym nad własną słabością, pani Snow uśmiechnęła się do bratanicy. — Kochanie, tak się cieszę.

— Och, ciociu Addy, wiedziałam, że się ucieszysz. Bruce bardzo się denerwował, bo nie ma pieniędzy, pracy, niczego. Ale powiedziałam mu, że cię nie zna i nie wie, jakim jesteś aniołem. Och, najdroższa ciociu Addy, tak bardzo cię kocham.

Oto i cała moja nagroda za wyzbycie się egoizmu, pomyślała cierpko pani Snow.

— Oczywiście postaram się jak najszybciej znaleźć pracę, pani Snow — zapewnił Bruce.

— Nawet mam już pewien pomysł — wtrąciła Lorna. — Ciągłe powtarzasz, ciociu, że przydałby ci się ktoś do pomocy w zarządzaniu finansami. A Bruce jest taki mądry! Świetnie liczy, jest taki staranny i w ogóle! Pomyśl tylko! Gdybyś go zatrudniła, nie musiałabym się stąd wyprowadzać. Moglibyśmy nadal mieszkać tu razem, we trójkę. Ty, ja i Bruce...

Chce mnie przekupić, pomyślała pani Snow. Mimo to wbrew sobie poczuła, że ogarnia ją fala wielkiego zadowolenia.

— Bruce miałby dla mnie pracować? To rzeczywiście znakomity pomysł. Pomyślmy o tym.

Jednak pani Snow wiedziała, że nie ma już o czym myśleć. Wszystko zostało postanowione. Klamka zapadła. Ich przyszłość była jasno określona.

Gdzieś w głębi jej świadomości cichutki głosik szeptał: „Czy jesteś pewna, że nie zdradzasz w ten sposób samej siebie — a przy tym i Lorny?”

Ale ów szept był tak cichy, że pani Snow ledwo go słyszała.

Półtora roku później pani Snow zginął pierścionek z szafirem. Była pewna, że zostawiła go w salonie, gdzie siedzieli z Lorną i Bruceem po obiedzie. Ale nigdzie nie można go było znaleźć.

Właściwie nic strasznego się nie stało: pierścionek był ubezpieczony i nie przedstawiał sobą większej wartości sentymentalnej. Jednak pani Snow nie znosiła tajemnic. Następnego dnia po śniadaniu kazała służbie przewrócić salon do góry nogami. Na próżno. Ani Lorna, ani Bruce nie potrafili wytłumaczyć tego tajemniczego zaginięcia. Później wpadła Sylvia Emmett i zabrała Lornę na Long Island, więc zaprzestano poszukiwań.

Bruce, który następnego dnia miał dołączyć do Lorny i Emmettów, aby spędzić z nimi weekend Święta Pracy, został w domu, żeby trochę popracować. On i pani Snow zjedli razem lunch. Bruce przez cały czas mówił tylko o pierścionku.

— Nie rozumiem, co mogło się z nim stać. To jakiś absurd. Przecież nie mógł tak po prostu rozplynać się w powietrzu.

Nagle, całkiem bez ostrzeżenia, w głowie pani Snow zaświtała pewna myśl. Czy w całej tej sprawie Bruce nie zachowuje się czasem *nazbyt niewinnie*?

Przeraziło ją, z jaką łatwością ta jedna myśl skruszyła fasadę pozorów, którą, ze względu na Lornę, z takim wysiłkiem wzniosła. Od dnia ślubu i powrotu państwa młodych z podróży poślubnej pani Snow trwała w postanowieniu, aby polubić męża swojej bratanicy i obdarzyć go pełnym zaufaniem. Kiedy wydawał jej się nieszczerzy, zarozumiały, czy wręcz przebiegły, wmawiała sobie, że to tylko jej uprzedzenia. Z czasem nawet uwierzyła, że widzi go takim, jakim widziała go Lorna.

Teraz jednak, gdy pomyślała o pierścionku, zrozumiała, jak bardzo samą siebie oszukiwała. Nigdy nie polubiła Bruce'a, nigdy mu nie zaufała. Kielkujące w niej podejrzenie było tego dowodem. Nie mogło być inaczej, skoro przekazał mu uprzednio pełną kontrolę nad swoimi interesami, właśnie z całym spokojem uznała go za zdolnego do tak ohydneho postępku, jakim była kradzież jej pierścionka.

Pani Snow zakręciło się w głowie i zanim zdążyła zapanować nad swoją słabością, przyszła jej do głowy kolejna niepokojąca myśl. Jej bankier, Hilary Prynne, który był najbliższym przyjacielem jej zmarłego męża, już kilka razy w tym roku żartobliwie zarzucił jej

rozzutność. Ponieważ domowe wydatki nie wydawały jej się wcale wyższe niż zazwyczaj, potraktowała uwagi Hilary'ego jak dobrotliwe docinki. Ale jeśli... Jeśli Bruce okradał ją także z oszczędności, jakie zgromadziła na swoim koncie bankowym?

Pani Snow była wściekła na siebie za to, że podejrzewa męża swojej bratanicy. Czuła się brudna, zupełnie jakby w jakiś przewrotny sposób dążyła do tego, aby zniszczyć szczęście Lorny. Miała jednak wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by wiedzieć, iż każde podejrzenie, jakkolwiek niesprawiedliwe, powinno zostać potwierdzone, nim się je odrzuci.

Dlatego zaraz po lunchu poszła na górę do gabinetu i zadzwoniła do banku. Szczęśliwie Hilary aż do piątku był w Baltimore, mogła więc poprosić o przesłanie wyciągu z konta i ostatnio realizowanych czeków, nie narażając się na niewygodne pytania. Zastępca kierownika banku obiecał jej, że już nazajutrz z samego rana otrzyma pocztą żądane dokumenty.

Pani Snow odłożyła słuchawkę telefonu i przez chwilę wpatrywała się w nią posępnym wzrokiem, jakby widziała w niej zapowiedź zbliżającej się nieuchronnie katastrofy — dla nich wszystkich.

Obym nie miała racji, pomyślała. Obym tylko nie miała racji.

Następnego ranka zasiadła przy wiekowym biurku w gabinecie zmarłego męża. Włożyła na nos okulary do czytania i spojrzała niespokojnie na brązową kopertę z banku, którą zabrała ukradkiem ze sterty porannej poczty, zanim Bruce zszedł na dół na śniadanie.

Teraz nie było już odwrotu.

Wzięła do ręki nóż z kości słoniowej do cięcia papieru i w tym samym momencie usłyszała pukanie do drzwi. Drgnęła. Na szczęście był to tylko Joe, jej pomocnik i „złota rączka”.

— Skończyłem w piwnicy, pani Snow. Czy mogę już iść?

— Jak najbardziej, Joe.

— Aha, proszę pani, żona wciąż suszy mi głowę, żebym wziął się za cyklinowanie podłóg u nas w domu. Mamy długi weekend, więc pomyślałem sobie, że może mógłbym pożyczyć szlifierkę?

— Oczywiście — odparła pani Snow. — Weź ją od razu.

— Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia w mieście. Wstąpię po nią wieczorem. — Joe zawahał się, z dłonią na klamce. — Jest pani

pewna, że da sobie przez ten czas radę? Maggie jest chora, więc do pomocy zostanie pani tylko Arlene...

— Ależ Joe, w ogóle się tym nie kłopotcz. Lada moment Bruce wyjeżdża na Long Island, a ja nie spodziewam się żadnych gości. Kiedy Arlene przyjdzie przed południem, zastanie mnie tu całkiem samą.

— Mimo wszystko to długi weekend. Może na wszelki wypadek zajrzę do pani w niedzielę?

— Nie przesadzaj, Joe. Wracaj do domu i zacznij świętować.

— Dobrze, pani Snow. Dziękuję.

Drzwi zamknęły się za Joem. Pani Snow otworzyła kopertę i wyjęła z niej wyciąg z wraz z plikiem zrealizowanych czeków. Nie miała pojęcia, czego właściwie szuka, lecz jak większość bogatych kobiet orientowała się we własnych finansach lepiej, niż można się było spodziewać. Zaczęła przeglądać чеки. Bergdorf, Hammacher Schlemmer, Cartier — zgadza się, u Cartiera kupiła bransoletkę dla Lorny na prezent z okazji pierwszej rocznicy ślubu. Następnie natknęła się na czek zlecający wypłatę siedmiuset pięćdziesięciu dolarów. Przyjrzała mu się, marszcząc brwi i odłożyła na bok. Zanim doszła do końca, znalazła jeszcze dwa podobne чеки na okaziciela: jeden na pięćset, drugi na tysiąc pięćset dolarów.

Ułożyła je obok siebie na biurku i przyjrzała im się dokładnie. Ich numery się zgadzały, a podpisy wyglądały na skreślone jej ręką. Musiały być przez nią podpisane, w przeciwnym razie bank nie zrealizowałby wypłaty. Mimo to była całkowicie pewna, że żadnego z nich nie podpisywała.

A więc miałam rację — pomyślała, mając wrażenie, że jakaś lodowata dłoń zaciska się na jej sercu. Mój instynkt od początku mnie nie mylił. Stchórzyłam, bojąc się stracić Lornę i w rezultacie zrobiłam jej *coś takiego!* Pozwoliłam jej związać się z oszustem, z tym żalonym łowcą posagów!

W przyпыwie wściekłości chwyciła czerwony ołówek i wielkimi literami napisała słowo *FALSZERSTWO* w poprzek jednego z czeków.

Dręczyły ją wyrzuty sumienia na myśl o krzywdzie, jaka spotkała Lornę, a jednocześnie rósł w niej gniew na Bruce'a i jego głupotę. To prawda, że do jego obowiązków należało zajmowanie się napływającymi

z banku, zrealizowanymi czekami. Z pewnością myślał, że zdąży zniszczyć sfalszowane czeki, zanim trafią w jej ręce. Ale jak mógł przypuszczać, że prędzej czy później nie zauważy braku 2 750 dolarów na swoim koncie. Czyżby miał ją za idiotkę?

Pani Snow schowała wszystkie trzy czeki do brązowej koperty i wstała, biorąc ją do ręki. Zawsze była bardzo zdecydowaną osobą. Skoro już to zaczęła, doprowadzi całą sprawę do końca. Zdawała sobie sprawę, jakie cierpienie sprawi tym Lornie; na samą myśl poczuła się tak, jakby sztylet przeszył jej serce. Na szczęście Lorna nie była ani głupia, ani tchórzliwa. Gdy już pozna prawdę, będzie umiała stać jej czoła. Zachmurzona wyszła na korytarz, mijając drzwi wielkiego ściennego sejfu, w którym przechowywała wszystkie dokumenty, a jej zmarły mąż swoje żeglarskie trofea.

— Bruce! — zawołała, przechylając się przez barierkę przy schodach. — Bruce, pozwól no tu na górę!

Jej świeżo upieczony bratanek wolnym krokiem wszedł do gabinetu, uśmiechając się szeroko. Pani Snow mogła się wreszcie przyznać do tego, że uśmieszek Bruce'a zawsze ją irytował. Był arogancki i wyrażał bezgraniczne zadowolenie z siebie, podobnie jak jego gęste, czarne włosy, mały wąsik i zgrabne ciało wyborczego jeźdźca.

— Dzień dobry, ciociu Addy.

Pani Snow zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. — Obawiam się, że ten dzień nie będzie dla ciebie dobry. Wygląda na to, że cię przyłapałam.

— Przyłapałaś mnie, ciociu Addy? A cóż takiego przeszkrobałem?

— Lorna dostaje ode mnie hojne kieszonkowe. Jeśli potrzebowałeś więcej pieniędzy, w każdej chwili mogłeś przyjść do mnie i poprosić. Dlaczego więc sfalszowałeś te czeki, na miłość boską?

Pani Snow była zaskoczona, widząc całkowitą zmianę wyrazu twarzy Bruce'a. Jego pewność siebie zniknęła w oka mgnieniu. Czyżby był aż tak zarozumiały, żeby nie brać pod uwagę możliwości przyłapania?

— Czeki? — wyjąkał.

— Nie próbuj nawet zaprzeczać. — Pani Snow potrząsnęła trzymaną w dłoni brązową kopertą. — Mam tutaj trzy czeki. Ponad wszelką wątpliwość zostały sfalszowane. Ich numery się zgadzają. Jesteś jedyną osobą, która ma dostęp do mojej książeczki czekowej

i tylko ty mogłeś znać właściwe numery. Nie mam pojęcia, ile czeków zdążyłeś dotąd sfałszować, ale to wkrótce wyjdzie na jaw. Zresztą w tej chwili to i tak nie ma znaczenia. Podobnie jak kradzież pierścionka z szafirem.

Ze wstydem zdała sobie sprawę z ogarniającego ją uczucia osobistej satysfakcji, które walczyło w niej o lepsze ze zdenerwowaniem.

— Nie zamierzam ci mówić, co o tobie myślę, Bruce. Szkoda moich słów. Nie zamierzam też dawać ci jeszcze jednej szansy. Wezwałam cię tutaj, ponieważ uznałam, że masz prawo wiedzieć, co postanowiłam zrobić. Za chwilę zadzwonię do Lorny. Im szybciej się o tym dowie, tym lepiej. Później zadzwonię do moich prawników i polecę im, żeby zaczęli przygotowywać papiery rozwodowe. Na koniec oddam cię w ręce policji albo i nie — wszystko zależy od tego, jak się zachowasz.

— Ależ ciociu Addy... — Uśmiech Bruce'a Mendhama miał być jednocześnie pełen skruchy i czarujący, ale upodobił go tylko do szczerzącej zęby dyni w święto Halloween. — Wysłuchaj mnie, proszę. Zaraz to wytłumaczę. Wpadłem w tarapaty. Zwróciłbym ci wszystko co do grosza. Przysięgam. Dostałem cynk, żeby postawić na konia w Belmont. Siedem do jednego. To był pewniak. Tak mi powiedzieli. Zadzwoniłem do znajomego bukmachera i postawiłem pięć tysięcy na wygraną. Koń przyszedł dopiero trzeci... Ja wiem, takie rzeczy się zdarzają. Co miałem robić?

Wyciągnął do niej obie ręce. Skóra jego twarzy była zielonkawa i zroszona potem. Pani Snow miała nieprzyjemne wrażenie, że Bruce lada chwila padnie przed nią na kolana.

— Ciociu Addy, z bukmacherami nie ma żartów. Są bezwzględni. Jak im się narazisz, mogą kazać cię zabić. Tamten facet domagał się swoich pieniędzy. Oddałem mu wszystko, co miałem, ale to nie wystarczyło. On żądał reszty. Lorna ma tylko tyle pieniędzy, ile dostaje od ciebie. Wiedziałem, że nie ma sensu jej prosić, tak jak wiedziałem, że ty mnie nie zrozumiesz. Musiałem coś zrobić. Byłem zdesperowany. Najpierw wypisałem jeden czek, żeby go udobruchać, a potem...

Ciociu Addy, wszystko ci zwrócę. Będę pracował za darmo. Jakos zdobędę te pieniądze. Błagam, błagam, nie mów o niczym Lornie. Nie zawiadamiaj policji. Chyba postradałem zmysły. Teraz to wiem.

Już nigdy nawet nie spojrzę na program wyścigów. Przysięgam. Ciociu Addy, daj mi jeszcze jedną szansę...

Słuchając tego niespójnego potoku słów, pani Snow czuła rosnące obrzydzenie i pogardę. Błagający o litość przestępca jest gorszy niż przestępca bezwstydnym, pomyślała. Biedna Lorna! Rozboliała ją głowa. Zdjęła okulary do czytania i zapaliła papierosa.

— Bruce, proszę cię, przestań. Widzisz chyba, że to dziecinne tłumaczenie nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Odłożyła kopertę na biurko, sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer.

— Centrala? Poproszę z domem państwa Emmettów w East Hampton. Nie znam numeru, ale z pewnością znajdzie go pani w informacji.

Odwróciła się plecami do Bruce'a. Jej chwila triumfu nad nim minęła. Teraz mogła myśleć wyłącznie o czekających ich wszystkich nieprzyjemnościach, a widok płaszczącego się przed nią mężczyzny był dla niej nie do zniesienia. Zastanawiała się, w jaki sposób najlepiej przekazać Lornie złą wiadomość.

W swoim skupieniu nie zauważyła, że Bruce ukradkiem chwycił brązową kopertę i zabrał ją z biurka.

— Halo, Sylvia? Mówi Adelaide Snow. Czy zastałam Lornę?

— Dzień dobry, pani Snow. — Głos Sylvii Emmett był jak zwykle ożywiony i pełen energii. — Może jednak zmieni pani zdanie i przyjedzie do nas razem z Bruce'em. Tak chcielibyśmy znów panią zobaczyć. Niestety, Lorna i Larry z samego rana wybrali się pożeglować. Ale wrócą na lunch. Czy mam ją poprosić, żeby do pani oddzwoniła?

— Tak. Tak, bardzo proszę. Aha, Sylvio — poproś, żeby zrobiła to, jak tylko wróci. To bardzo pilne.

— Mam nadzieję, że nic się nie stało?

— Po prostu przekaż jej, że chciałabym, aby jak najszybciej wróciła do domu.

Pani Snow odłożyła słuchawkę, odwróciła się i spojrzała na Bruce'a. Wszystko wskazywało na to, że zdołał jednak nad sobą zapanować. Nie był już przestraszony. Wyglądał nieprzyjemnie, a nawet groźnie.

— Ciociu Addy, lepiej dobrze to przemyśl. Ostrzegam cię.

— *Ty ostrzegasz mnie? Cóż za niesłychany tupet!* — Panią Snow ogarnęło wzburzenie. — Lorna akurat żegluje. Będę musiała zadzwonić do prawników bez jej wiedzy.

Ponownie sięgnęła po telefon i w tej samej chwili przypomniała sobie, że kancelaria Sampsona i Gibbonsa zmieniła niedawno adres. Nowy znajdował się na kopercie, jaką otrzymała kilka dni wcześniej. Na pewno schowała ją do sejfu.

Zgasiła papierosa w stojącej na biurku popielniczce, podeszła do ciężkich, stalowych drzwi i wykręciła dobrze znany szyfr. Drzwi sejfu otworzyły się na oścież. Weszła do środka i zapaliła światło. Teczka z listami leżała w głębi niewielkiego pomieszczenia, tuż przy przewodzie grzewczym, naprzeciwko regału, na którym pyszniły się błyszczące puchary, zdobyte przez jej zmarłego męża w zawodach żeglarskich.

Sięgając po teczkę, usłyszała za sobą delikatne skrzypnięcie podłogi. Odwróciła się i zobaczyła zatraskujące się tuż przed jej nosem drzwi sejfu. Poirytowana i zaniepokojona wydała cichy okrzyk. Sprężyna w zamku popsowała się przed tygodniem. Joe i Bruce mieli ją naprawić. To głupie, że wciąż korzysta z tego sejfu. Nie ma po temu żadnego powodu.

Podeszła do zamkniętych drzwi i zastukała w nie niecierpliwie.

— Bruce — zawołała. — Bruce, wypuść mnie! Wypuść mnie stąd!...

Bruce Mendham stał w gabinecie przy biurku. Słyszał bicie własnego serca. Nie spodziewał się, że staruszka tak szybko połapie się we wszystkim. Całkowicie go zaskoczyła swoim odkryciem. Gdy ukradkiem wsuwał do kieszeni brązową kopertę ze sfalszowanymi czekami, nie miał jeszcze żadnego planu. Wydawało mu się po prostu, że ukrywając je, zdobędzie jakąś przewagę. A potem ona weszła do sejfu. Zrozumiał, że nadarza mu się szansa ocalenia własnej skóry i skorzystał z niej, prawie się nad tym nie zastanawiając.

W chwili gdy zatraskiwał za nią ciężkie drzwi, zrozumiał, że miał rację, słuchając swojego instynktu. Joe wiedział, że zaraz po śniadaniu Bruce zamierzał wyjechać i dołączyć do Lorny. Wiedział także o popsutym mechanizmie w drzwiach prowadzących do sejfu. *Pozostawiona sama sobie, pani Snow weszła po coś do sejfu. Drzwi zatrzasnęły się za nią i...*

Bruce Mendham, który przez całe życie zapewniał sobie spokojny byt, posługując się swoim urokiem osobistym, nie był obdarzony zbyt bogatą wyobraźnią. W jego oczach pani Snow była tylko nudną starą kobietą, która nagle okazała się niebezpieczna i której nieomal udało się zniszczyć jego bezpieczną egzystencję. Myślał więc o niej zamkniętej w sejfie tak chłodno i obojętnie, jakby chodziło o jednego z jej syjamskich kotów.

Do początku nowego tygodnia pozostały cztery dni, łącznie ze Świętem Pracy! Niemożliwe, żeby przeżyła tak długo w małym, szczelnie zamkniętym pomieszczeniu. Miał w ręku pechowe czeki. Kiedy zabraknie pani Snow, nikt nie będzie mógł zeznawać przeciwko niemu. A Lorna odziedziczy cały majątek.

Jak mógł kiedykolwiek zwątpić w swoje szczęście?

— Bruce! — dobiegł go stłumiony głos pani Snow, niewyraźny jak przy kiepskim połączeniu telefonicznym. — Bruce, wypuść mnie.

Poczuł podniecenie i zadowolenie z własnej pomysłowości. Joe wziął wolne na cały długi weekend. Pokojówka Maggie zachorowała i została w domu. Kucharka, która przychodziła codziennie, lecz dzisiaj akurat zasnęła, miała zjawić się w południe. Tego jednak łatwo można było uniknąć. Podobnie jak pytań Lorny. Wytlumaczenie jej, dlaczego pani Snow chciała z nią tak pilnie rozmawiać, to była betka. Nigdy dotąd nie miał kłopotów z przekonaniem Lorny do czegokolwiek.

Bruce Mendham wyjął z kieszeni brązową kopertę, a następnie wysypał jej zawartość na biurko. Zmarszczył gniewnie brwi, widząc słowo *FALSZERSTWO* wypisane w poprzek jednego z nich.

— Bruce, Bruce, wypuść mnie, mówię do ciebie...

Bruce schował czeki z powrotem do koperty i ponownie wsunął ją do kieszeni. Spokojnie i z nieskrywaną pewnością siebie rozejrzał się po gabinecie, po czym zszedł wolno do salonu. Dwa syjamskie koty pani Snow przycupnęły na parapecie okna, z którego roztaczała się panorama East River. Bruce wydobył swój kieszonkowy notes z numerami telefonów. Zawsze był bardzo skrupulatny. Wszystkie telefony potrzebne do wykonywania zawodowych obowiązków miał wpisane do notesu. Odszukał numer kucharki i zadzwonił.

— Halo, Arlene?

— Przy telefonie.

— Arlene, mówi pan Bruce. Dzwonię w imieniu pani Snow. Przed chwilą zdecydowała się jednak wyjechać na weekend. To znaczy, że aż do wtorku masz wolne.

— Naprawdę? — W głębokim, południowo brzmiącym głosie Arlene zabrzmiała radość. — Ojej, to świetnie, panie Bruce. Będę mogła odpocząć. — Zawahała się. — Jest pan pewien, że nie będę potrzebna? Może trzeba nakarmić koty?

— Nie, Arlene, o wszystko się zatroszczyliśmy. Do zobaczenia we wtorek. Udanego weekendu.

— I wzajemnie, panie Bruce.

Bruce upuścił słuchawkę na widełki i jeszcze raz wszedł na piętro. Minął gabinet i znalazł się w swojej małżeńskiej sypialni. Lorna spakowała jego rzeczy jeszcze wczoraj, zanim wyjechała razem z Sylwią Emmett. Podniósł z łóżka neseser i wsunął do niego brązową kopertę, tuż obok pliku listów z porannej poczty, które miał zawieźć Lornie. W tym samym momencie przypomniał sobie o pierścionku z szafirem należącym do pani Snow. Kiedy dwa dni wcześniej zabierał go z salonu, zamierzał oddać go w zastaw i zdobyte w ten sposób pieniądze postawić na konie. Teraz już nie musiał tego robić, ale pierścionek mógł mu się jeszcze przydać. Wyjął go więc z kieszeni spodni i wrzucił do neseseru. Usłyszał lekki brzęk, kiedy pierścionek uderzył o rewolwer, który kupił przed tygodniem — na wypadek, gdyby nie zdołał zebrać na czas pieniędzy i musiał się bronić przed wierzycielami.

Zatrzasnął neseser i zerknął na zegarek. Kwadrans po dziesiątej. Miał mnóstwo czasu, żeby dojechać do East Hampton, zanim Lorna skończy żeglować. Popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Wrażenie było jak zwykle satysfakcjonujące. Gdzieś w głębi jego podświadomości czaiło się uczucie paniki, ale nie dopuścił jej do głosu. Prawie już zapomniał, że zaledwie kilka minut wcześniej pocił się z przerażenia na myśl o więzieniu i swoim przyszłym ubóstwie.

Nieszczęścia się zdarzają. Takie jest życie. Żeby utrzymać się na powierzchni, trzeba kierować się rozumem.

Wolnym krokiem wyszedł z domu prosto w promienie słońca świecącego nad Sutton Place i udał się do garażu. Zanim odjechał, rzucił parkingowemu dolara.

- Udanego weekendu, panie Mendham.
- Udanego weekendu, Nicky.

Wypuść mnie, Bruce.

Pani Snow po raz kolejny zastukała w gładkie, pozbawione uchwyty drzwi sejfu. Lęk przed zamknięciem w ciasnym pomieszczeniu, który prześladował ją przez całe życie, oplatał jej serce niczym potworny pyton. Do lęku tego dołączyły się inne, bardziej racjonalne obawy. Bruce znał szyfr do zamka. Stał tuż za zamkniętymi drzwiami. Dlaczego więc...?

Zmuszała się, żeby o tym nie myśleć, zanim nie zapanuje nad ogarniającą ją paniką. Klaustrofobia była jej słabością, ale każdą słabość można pokonać siłą woli. *Uspokój się*, powtarzała sobie. *Uspokój się*.

Tuż obok niej żeglarskie trofea połyskiwały na półce w świetle wiszącej pod sufitem żarówki. Kiedy żył Gordon, co roku przez kilka miesięcy żeglowali w różnych miejscach świata. Niejednokrotnie bywała w niebezpieczeństwie i zawsze wychodziła z niego cała.

Wspomnienie oceanu, ogromnej, skrzęcej się w słońcu masy wody, ciągnącej się aż po horyzont, pomogło jej oszukać lęk. Poczula się jak dawniej silna, gotowa spojrzeć prawdzie w oczy. Bruce *nie zamierzał jej* stąd wypuścić. Był tak samo głupi, jak nieuczciwy. Widząc zamykające się za nią drzwi sejfu, musiał stracić głowę. Groziła mu przecież, że odda go w ręce policji, wykorzystał więc feralny zbieg okoliczności, żeby zyskać na czasie i opracować jakiś plan ucieczki. Na pewno tak właśnie było. Musiało tak być. Ależ z niej idiotka, żeby wejść do tego sejfu!

Ale było jeszcze coś. *Ostrzegam cię*. Przypomniała sobie złowrogi wyraz twarzy Bruce'a, kiedy to mówił. Czy to możliwe, że rozmyślnie zatrasnął za nią drzwi? Czy to możliwe...?

Znowu ogarnęła ją panika. Z trudem udało jej się nad tym zapanować. Cokolwiek chodziło Bruce'owi po głowie, nie było powodu aż tak się przejmować. Prawda, że dom był duży, a sejf znajdował się w samym jego centrum. Nie mogła mieć nadziei, że jej krzyki zaalarmują sąsiadów. Ale Gordon sam zaprojektował ten sejf z myślą o swojej kolekcji oceanicznych rzeźb, która po jego śmierci trafiła do Metropolitan Museum. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, było całkiem spore, zupełnie jak nieduży pokój. Musiało mieć co

najmniej dwa i pół na dwa metry.

Poza tym z pewnością jej niewola nie potrwa długo. O dwunastej miała przyjść Arlene. Pani Snow spojrzała na swój mały, platynowy zegarek. Bez okularów do czytania nie mogła określić położenia wskazówek. Oto, do czego doprowadziła ją próżność i niechęć do noszenia okularów na stałe! Tak czy owak, musiało już być dobrze po dziesiątej. Pozostało jej mniej niż dwie godziny oczekiwania.

Przecież Arlene *musi* zjawić się w południe. Nie mieściło jej się w głowie, że Bruce mógłby jej w tym przeszkodzić, na przykład zatelefonować do niej i ją odwołać... Podejrzanie przyszło tak nagle, że pani Snow zadrżała na samą myśl. Jednocześnie przypomniała sobie o niedopałku papierosa, pozostawionym w popielniczce na zarzuconym papierami biurku. Oczyma wyobraźni zobaczyła płomienie pełzające po leżących bezładnie dokumentach, tuż za drzwiami sejfu. Przywołała resztki odwagi, żeby nie zacząć krzyczeć i walić pięściami w gładki metal.

Zmusiła się, żeby popatrzeć na regał z trofeami. Przed pięciu laty, dzień po pogrzebie Gordona, przeniosła je tutaj, bo wspomnienia, jakie w niej wzbudzały, były zbyt bolesne. Od tamtej pory w ogóle o nich nie myślała, teraz jednak wydały jej się bliskie niczym starzy, dobrzy znajomi. Wzięła do ręki jeden z pucharów. Od razu go rozpoznała. Gordon wygrał go w Marblehead w 1939 roku.

Zacisnęła palce na delikatnej nóżce, czując chłodną gładkość srebra. Będzie sobie spokojnie stała przy drzwiach i myślała o Marblehead.

Arlene na pewno przyjdzie. To nie uległo wątpliwości.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała na głos. — Wszystko będzie dobrze.

Arlene Davidson pozwoliła słuchawce opaść na widelki i z rozkoszą wtuliła się w miękkie poduszki wsparte o wezglowie łóżka. A więc pani Snow jednak postanowiła wyjechać na weekend. Co za ulga! Cztery pełne dni odpoczynku. Najwyższa pora. Od ostatniego Sylwestra nie miała prawdziwych wakacji.

Leniwie zastanawiała się, dokąd wybrała się pani Snow. Od kiedy zmarł pan Snow, nie składała już tak często wizyt. Najpewniej

zdecydowała się w końcu towarzyszyć młodemu na Long Island. A jednak było to nieco zaskakujące. Przez dziewięć lat Arlene zdążyła dobrze poznać panią Snow. Nie przepadała ona za młodym panem Bruce, chociaż starała się z tym nie zdradzać. Poza tym taki wyjazd nie był w jej stylu — zazwyczaj starała się raczej schodzić młodym z drogi i nie narzucała bratanicy swojego towarzystwa. Tak, to rzeczywiście dziwne...

Przez cienką ściankę działową Arlene słyszała szuranie żelazka. Jej siostra Rose prasowała sukienkę. Na zewnątrz, na Sto Czternastej Ulicy, jakieś dzieciaki grały w piłkę, robiąc przy tym sporo hałasu. Arlene z przyjemnością pomyślała, że podczas gdy inni już wstali, ona wciąż się wyleguje. Cóż za wspaniałe uczucie. Przewróciła się na bok i z czułością popatrzyła na telefon. Jak to dobrze, że kazała sobie zainstalować własny aparat, kiedy zamieszkała z Rose i jej mężem. Warto było, choćby ze względu na chwile takie jak ta — wystarczyło wyciągnąć rękę, odebrać wiadomość, po czym na powrót pogрузić się w drzemce.

No dobrze, pomyślała leniwie Arlene, co by tu zrobić, skoro ma już wolne? Szkoda, że wcześniej pokłóciła się z Leroyem. Leroy był miłym chłopcem, chociaż tak często ją denerwował. Przyjemnie byłoby wybrać się z nim do Jersey. Ale to już przepadło. Na pewno nie zadzwoni do niego pierwsza, żeby się pogodzić.

Mogłaby oczywiście pojechać na Brooklyn z Rose i Williem. Jednak wyjazd nie zapowiadał się ciekawie. Musiałaby siedzieć w towarzystwie innych kur domowych, gawędzić i popijać herbatę. Może lepiej wyskoczyć do miasta na zakupy. Przypomniała sobie tamtą ładną bluzkę u Saksa. Uzbierała już prawie całą sumę i...

Nagle pomyślała: „Przecież dziś jest piątek! Dzień wypłaty!” Jak mogła o tym zapomnieć, kiedy zadzwonił Bruce. Dziwne, że i pani Snow o tym zapomniała. Zawsze sumiennie rozliczała się z nią za każdy przepracowany tydzień.

Arlene usiadła wyprostowana na łóżku. A niech to licha. Jeżeli ma kupić sobie tamtą bluzkę, musi zająć do pani Snow i odebrać pieniądze, zanim pani Snow wyjedzie na weekend. Tak przyjemnie jej się leżało, że przez chwilę zastanawiała się, czy warto w ogóle zadawać sobie trud i wychodzić z domu. Jednak zdrowy rozsądek zwyciężył. Czekają ją cztery wolne dni, a nic nie wskazywało na to, że Leroy nagle się zjawi, by uregulować jej rachunki. Będzie bardzo

potrzebowała tych pieniędzy, żeby jakoś dotrzeć do wtorku.

Popatrzyła na telefon. Może powinna zadzwonić do pani Snow i przypomnieć jej o wypłacie? Nie, szkoda pieniędzy na połączenie. Mogła polegać na pani Snow. Skoro Bruce nie chciał, żeby przysłała nakarmić koty, musiało to oznaczać, że Joe zostaje na gospodarstwie. Nawet jeśli pani Snow już wyjechała, z pewnością zostawiła pieniądze Joemu.

Arlene niechętnie wygrzebała się z pościeli, wsunęła stopy w ozdobione piórkami klapki i narzuciła na siebie satynową podomkę. Przeszła korytarzem do łazienki, wróciła, po czym ubrała się w najlepszy czarny kostium, by móc od razu iść na zakupy do Saksa.

Jej szwagier siedział przy oknie w salonie i opierając nogi na stoliku, czytał gazetę. — Rany, aleś się wystroiła. Chcesz tak iść do roboty?

— Mam wolne. Dzwonił bratanek pani Snow. Wyjeżdżają na weekend. Idę tylko po wypłatę, potem wybieram się do miasta kupić bluzkę.

— Ty i te twoje bluzki! A co zrobisz z tymi wszystkimi bluzkami, które masz poupychane w szafie?... No, na kuchence jest kawa.

— Nie mam czasu. Pożegnaj ode mnie Rose.

Arlene pomachała Williemu i wyszła na ulicę. Najszybciej będzie pojechać metrem. Ruszyła z gracją, torując sobie drogę pomiędzy rozbrykanymi dzieciakami. Była piękna, słoneczna pogoda, w sam raz na plażę. Może jak już odbierze pieniądze, zadzwoni do Rosalie i razem pojedą...

Wysoki mężczyzna w szykownym gabardynowym garniturze i brązowym kapeluszu z szerokim rondem zbliżał się ku niej wolnym krokiem. Arlene przyjrzała mu się i zastygła w pozie pełnej chłodnej wyniosłości.

Na jej widok młody człowiek uśmiechnął się rozradowany. — Arlene, skarbie, właśnie szedłem się z tobą zobaczyć.

— Przykro mi, Leroy. Spieszę się. Jadę do miasta.

— Pracujesz w ten weekend?

— Nie. Tak się składa, że nie. Ale...

— To świetnie. Po prostu świetnie. Za rogiem stoi mój wóz. Wracaj do domu, weź, co trzeba i jedziemy nad Atlantyck.

— Ale, Leroy... Nie mogę. Muszę jechać do miasta i odebrać moją wypłatę.

— A na co ci wypłata? To, co mam, wystarczy aż nadto dla nas dwojga. — Leroy pogładził pieścotliwie jej ramiona. — Arlene, skarbie, chyba nie gniewasz się już za tamten wieczór, co? Facet ma prawo od czasu do czasu dać sobie w szyję. Kochanie...

Arlene poczuła, jak ogarnia ją ciepła fala szczęścia. — Leroy, przeostań. Nie zachowuj się w ten sposób — nie przy ludziach.

— Kochanie, szaleję za tobą. Nikt mnie tak nie kręci jak ty i nigdy nie będzie. Arlene, cukiereczku, chyba nie będziesz się dąsać...

— No cóż...

— Grzeczna dziewczynka. — Leroy poklepał ją żartobliwie. — Biegnij po rzeczy. Ja przyprowadzę samochód.

— Mimo wszystko powinnam pojechać do miasta po pieniądze. Ja... — Nagle Arlene uśmiechnęła się promiennie i wytargowała Leroy a za ucho. — Ach, ty! Kiedyś przez ciebie osiwieję. No, już dobrze. Muszę się spakować, ale to nie potrwa dłużej niż kilka minut. Jak pojedziesz, zatrąb.

Pani Snow stała przy drzwiach sejfu, nastawiając uszu w nadziei, że dosłyszyci jakiś hałas dochodzący z domu. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, ale musiało już być po dwunastej. Arlene zawsze była punktualna. Wchodziła tylnymi drzwiami. Zazwyczaj od razu zaczynała zmywać po śniadaniu, a potem przychodziła do gabinetu, żeby wspólnie z nią ustalić, co podać na obiad. Gabinet znajdował się na drugim piętrze, za daleko, żeby pani Snow usłyszała zgrzyt klucza Arlene w zamku. Lecz jeżeli tylko Bruce nie zamknął drzwi do gabinetu, musiałyby o właściwej porze usłyszeć szcęk mytych w kuchni naczyń.

Drżąc na całym ciele, przyłgnęła do metalowych drzwi. Usłyszała syrenę statku przepływającego po East River, a kiedy ów dźwięk przebrzmiał, okazało się, że w domu panuje grobowa cisza.

Bolały ją nogi. Potrzebowała całej siły woli, żeby stać tak przez cały czas, cicho i spokojnie, przy drzwiach sejfu, i jakimś cudem potrafiła ją w sobie odnaleźć. Nie czyniła daremnych prób wydostania się z pułapki, o której wiedziała, że jest szczelnie zamknięta.

Odpędzała od siebie wszelkie myśli o Mendhamie. Nie pozwalała, aby czarny lęk przed zamknięciem w czterech ciasnych ścianach, który nie przestawał cziąć się w zakamarkach jej umysłu, wypłynął na powierzchnię. Nieustannie trzymała swoją wyobraźnię na wodzy.

Puchar z zawodów żeglarskich bardzo jej pomógł. Ściskając go w dłoni, mogła szczegółowo odtwarzać w myślach tamten weekend w Marblehead, przypominając sobie twarze ludzi, którzy siedzieli obok niej podczas obiadu, nazwisko owej niezwykle interesującej damy z Chile i oczywiście czas spędzony sam na sam z Gordonem.

Teraz jednak, gdy godzina jej uwolnienia była coraz bliższa, nie mogła już dłużej karmić się kojącymi, lecz nierzeczywistymi wspomnieniami. Bezlitośnie nieruchome drzwi, na które patrzyła dotąd nic niewidzącym wzrokiem, nagle ponownie stały się tym, czym były: zamkniętymi naглуcho drzwiami. Nad jej głową wisiała naga żarówka; po jednej stronie miała regał z pucharami, a po drugiej półki pełne teczek i dokumentów. Za nią, na tylnej ścianie, znajdowała się kasa pancerna na biżuterię, przylegająca do ściany jej sypialni.

Powietrze pachniało stęchlizną. Po raz pierwszy dotarło do niej, że w sejfie nie ma żadnej wentylacji. I powietrza... Kolana ugięły się pod nią, jakby były z waty. *Arlene! Arlene, musisz przyjść!*

Ta jedna chwila słabości wystarczyła, żeby runął cały jej system obronny. Pani Snow poczuła, że panika ogarnia ją niczym obłok gęstej, niewidocznej mgły. Gdyby tylko wiedziała, która jest godzina! Gdyby tylko miała ze sobą swoje okulary!

Zrobiła krok do tyłu, tak aby znaleźć się dokładnie pod świecącą żarówką. Uniosła przegub z zegarkiem i przysunęła go jak najbliżej twarzy, po czym zamruwała oczyma. Na sekundę obraz nabrał ostrości, na tyle, aby mogła dostrzec położenie wskazówek.

Były trzy kwadransy po dwunastej!

Cichy okrzyk wyrwał się z jej ust, zanim zdołała go powstrzymać. Dźwięk jej własnego głosu odbił się echem od ścian ciasnego pomieszczenia, potęgując jeszcze przerażenie. Przez całe dziewięć lat Arlene nigdy się aż tak nie spóźniła. To mogło oznaczać tylko jedno — że w ogóle nie przyjdzie! Bruce jednak do niej zadzwonił i dał jej wolne. A to znaczyło... To znaczyło...

Spójrz prawdzie w oczy, Adelaide Snow. Spójrz prawdzie w oczy. Bruce umyślnie zamknął cię w sejfie. Strasznie się co do niego pomyliłaś!

Jest bardziej zepsuty niż głupi. Zamknął cię tutaj, żebyś umarła, żebyś nie mogła wyjawic jego wstrętnych, małostkowych oszustw, żeby się ciebie pozbyć.

Pani Snow osunęła się bezwładnie na regał z trofeami. Ostatkiem sił przytrzymała się półki, aby nie upaść. Przez chwilę otaczały ją jedynie ciemność i strach. Z każdą godziną będzie miała coraz mniej powietrza; potem przyjdzie pragnienie. Oczyma wyobraźni zobaczyła samą siebie, być może po wielu dniach uwięzienia, jak krzycząc, wali w gładką powierzchnię drzwi zdartymi do krwi pięściami.

Jej dłoń musnęła jeden z pucharów i to ją ocaliło. Zupełnie jakby jakaś cudowna, uzdrawiająca moc spłynęła na nią i przeniknęła jej ciało, jakby to Gordon obdarzył ją swoją siłą.

Musisz być dzielna. Jeżeli nie będziesz dzielna, wszystko stracone.

Zacisnęła zęby, dławiąc w ustach swojego śmiertelnego wroga, panikę.

Przecież była jeszcze Lorna. Sylvia miała jej przekazać, żeby zadzwoniła do niej zaraz, jak tylko skończy żeglować, i żeby natychmiast wracała do domu. Lorna wiedziała, że ciotka nie należy do histeryczek. Na pewno poważnie potraktuje jej telefon. Zadzwoń. A kiedy nikt nie będzie odbierał, na pewno tu przyjedzie.

Tak. Po raz pierwszy pani Snow poprosiła ją o coś tak kategorycznie. Lorna wróci do domu. Chyba że... Chyba że Bruce jedzie właśnie do East Hampton z jakąś zmyśloną, lecz wiarygodną historyjką w zanadrzu...

Pani Snow szybko odpędziła od siebie tę wizję. Nie mogła teraz myśleć w ten sposób. Musiała chwycić się czegoś, co mogło jej dać nadzieję. Lorna przyjedzie. A jeśli nie, to czy Joe nie zapowiadał, że wstąpi wieczorem po szlifierkę? Oczywiście, tak właśnie mówił. Miała zatem Lornę i miała Joego. Nie było się czym przejmować.

Powoli, jakby celowo opóźniając moment powrotu do rzeczywistości, pani Snow rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu, które stało się jej więzieniem. Na nagiej, cementowej podłodze było akurat tyle miejsca, żeby mogła się na niej położyć i swobodnie wyprostować. Mogła tu spać, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mogła też siedzieć. Tak, powinna oszczędzać nogi.

Odwróciła się w stronę regału i po chwili namysłu zdjęła z półki

duży, ozdobny srebrny puchar. Razem z Gordonem zdobyli go w Nassau.

Usiadła na podłodze, opierając się plecami o metalowy przewód grzewczy i położyła sobie puchar na kolanach. 1935 rok! Jakże wspa- niałą, rześką zimę przeżyli wtedy na Karaibach. Dokładnie pamiętała każdy dzień zawodów.

Miała wrażenie, że czuje delikatne podmuchy wiatru we włosach. Otaczało ją błękitne morze. Kawalek od portu palmy nachylały się nad połyskującą srebrem plażą.

Gordon patrzył na nią przez ramię z uśmiechem, a jego twarz była ogorzała od słońca. Tak, a w jego włosach błyszczały drobiny soli morskiej...

Podczas gdy Larry Emmett kręcił się po pokładzie przycumowanej właśnie żaglówki klasy „Star”, Lorna Mendham wspięła się na wąski, tonący w słońcu pomost i z rozkoszą położyła się na nim na plecach. Poranna żegluga była po prostu wspaniała. Mewy, unoszące się bezszelestnie ponad jej głową na tle błękitnego nieba, były prześliczne. Wkrótce dołączy do niej Bruce. To będzie najwspanialsze ze wszystkiego. Lorna skrzyżowała nogi w niebieskich džinsach i założywszy jedną na drugą poruszyła nagimi palcami stóp. Była niewiarygodnie szczęśliwa.

Nie było w tym nic nowego. Od półtora roku żyła w stanie nieustającej euforii. Nadal nie mogła uwierzyć, że miłość potrafi czynić takie cuda. W przeszłości zawsze się czymś martwiła. Nigdy nie była pewna swojego wyglądu, ani tego, czy robi właściwe wrażenie, a nawet, czy w ogóle istnieje. Dopóki w jej życiu nie pojawił się Bruce.

Może nie jestem zwyczajnie szczęśliwa, pomyślała. Może jestem nieprzyzwoicie szczęśliwa... Prawdę mówiąc, nie wszystko było tak idealne, jak jej się wydawało. Ciocia Addy, chociaż starała się tego nie okazywać, była jednak zazdrosna o Bruce'a i drażliwa na jego punkcie, zaś Bruce, chociaż w swojej wielkoduszności nigdy by się do tego nie przyznał, nie potrafił się z nią dogadać. Oczywiście, to nie była jego wina. Niedobrze się stało, że zamieszkali w domu cioci, uzależniając się od niej finansowo. Ciocia Addy bywała apodyktyczna. Uwielbiała wszystko organizować. Gdyby Lorna była bardziej przedsiębiorcza, wyprowadziliby się już kilka miesięcy temu. Lecz Lorna

była zbyt szczęśliwa, żeby zdobywać się na przedsiębiorczość. Biedna ciocia Addy! Od kiedy zmarł wujek Gordon, nie miała nikogo bliskiego poza Lorną. Dlaczego nie miałyby jeszcze przynajmniej przez jakiś czas jej uszczęśliwiać? Jej szczęścia wystarczy aż nadto dla nich wszystkich.

Jednak ciocia Addy powinna być bardziej zdyscyplinowana. Bruce miał słuszość. Ciocia musiała wreszcie pojąć, że posiadanie majątku nie oznacza, iż może nimi nieustannie dyrygować.

Lorna przekreśliła się na brzuch. Deski pomostu były szorstkie i rozgrzane. Czuła rozkoszny zapach wody morskiej, wodorostów i smoły.

Och, Bruce, westchnęła. Jej umysł, ciało i dusza były przepelnione myślami o mężu.

Sylvia Emmett, w białym swetrze i czarnych, luźnych spodniach szła szybko w jej stronę po pomoście. Lorna była zbyt rozleniwiona, żeby wstać. Pomachała jej tylko. Wkrótce łydki Sylvii znalazły się na linii jej wzroku.

— Cześć — odezwała się Lorna.

— Lorna, dzwoniła twoja ciotka. Masz do niej zaraz oddzwonić. Powiedziała, że to strasznie ważne. Chce, żebyś natychmiast wróciła do domu.

Lornie wydało się, że pomost zachybotał się pod nią niebezpiecznie. Zerwała się na nogi. — Co się stało? Chyba nie chodzi o Bruce'a?

— Nic mi nie powiedziała.

— Czy Bruce już przyjechał?

— Jeszcze nie.

Lorna puściła się biegiem przez pomost. Teraz już wiedziała, że ten otaczający ją bezmiar szczęścia był jedynie zapowiedzią katastrofy. Bruce! Na pewno przydarzyło mu się coś okropnego! Dlaczego, dlaczego zdecydowała się nie czekać na niego i wyjechała wcześniej z Sycylią, skuszona perspektywą porannego żeglowania? Po raz pierwszy od dnia ich ślubu spędziła noc z dala od niego. Jak mogła do tego dopuścić? To była wyłącznie jej wina.

Dotarła do końca pomostu i pobiegła przez ogród w stronę domu. Gdy ciężko dysząc, zbliżała się do podjazdu, zobaczyła zielony kabriolet Bruce'a, zatrzymujący się właśnie przed głównym wejściem.

Jej serce podskoczyło z radości. Dopadła samochodu akurat w chwili, gdy Bruce z niego wysiadał, i rzuciła mu się na szyję. Mąż uniósł ją do góry, całując jej policzki, jej usta.

— Witaj, kotku. Co za powitanie!

— Bruce, nic ci nie jest?

— Oczywiście, że nic mi nie jest.

— Dzwoniła ciocia Addy. Powiedziała, że to coś strasznie ważnego. Kazała mi natychmiast wracać do domu. Byłam pewna, że spotkało cię coś okropnego.

— Ach, o to ci chodzi!

Bruce opuścił ją w dół i postawił na ziemi. Na wargach igrał mu uśmiech. Coś niesamowitego jest w tym jego uśmiechu, pomyślała Lorna. Wyraża czystą radość. Kiedy Bruce się uśmiecha, trudno jest sobie wyobrazić, że gdzieś na świecie są ludzie samotni i nieszczęśliwi.

— W takim razie, czego chciała ciocia Addy, Bruce?

— Wpadła na jeden z tych swoich genialnych pomysłów.

— Pomysłów?

— Kiedy dziś rano przeglądaliśmy pocztę, znowu wróciła do tej historii z pierścieniem. Doszła do wniosku, że został skradziony. Podejrzewała, że inne jej klejnoty również mogły zostać skradzione. Weszła więc do sejfu, przeszukała szkatułkę z klejnotami i wpadła w histerię. Okazało się, że jej szmaragdy zniknęły.

Bruce sięgnął na tylne siedzenie samochodu i wydobył neseser.

— Możesz to sobie wyobrazić. Wypadła stamtąd, krzycząc wniebogłosy: „Zostaliśmy okradzeni. Złodzieje!” Chciała wzywać policję. Zamierzała też zadzwonić do ciebie i sprowadzić cię do domu jako świadka. Na szczęście udało mi się ją przekonać, żeby zadzwoniła do ciebie, zanim zawiadomi policję. Dzięki Bogu, bo...

Bruce wybuchnął śmiechem, który był tak zaraźliwy, iż Lorna stwierdziła, że śmieje się razem z nim. — Bo co, Bruce?

— Na pewno już się domyśliłaś zakończenia. Znaleźliśmy te szmaragdy w szufladzie jej toaletki w sypialni. Miała je na sobie tamtego wieczoru, kiedy byliśmy z wizytą u Silsonów. Ale to jeszcze nie wszystko. Ten jej pierścionek z szafirem...

— On także się znalazł?

— Jasne. Wpadł w szczelinę pod oparciem szezlonga.

Teraz już oboje śmiali się do rozpuku.

— Ależ to śmieszne — jęknęła w końcu Lorna. — Naprawdę śmieszne. Przecież ja sama przeszukałam ten szezlong. Godzinami szperałam we wszystkich szczelinach, a on przez cały czas tam był!

— Ta twoja ciocia Addy to dziwaczka. Prawdziwa dziwaczka. Pewnie się starzeje. Pamięć coraz częściej ją zawodzi.

— Biedna, kochana ciocia Addy. — Lorna odsunęła się od męża. — Tak czy owak powinnam do niej zadzwonić.

— Na pewno zdążyła już zapomnieć o całej sprawie. — Bruce spoważniał. — Posłuchaj, kotku, zadzwoń do niej, jeśli chcesz. Znasz mnie — nie lubię narzucać ci swojego zdania. Ale... Myślisz, że to rozsądne? Chodzi mi o to, że pozwalasz jej, by cię niepokoiła za każdym razem, gdy przyjdzie jej na to ochota. Pomyśl — tylko dlatego, że coś jej się ubzdurało, nie wahała się do ciebie zadzwonić i śmiertelnie cię wystraszyć, pozwalając ci myśleć, że coś mi się stało...

Lorna przypomniała sobie tamtą okropną chwilę na pomoście. To ciocia Addy była temu winna. — Masz rację, Bruce. Prędzej czy później musi się nauczyć, że jestem dorosła i mam własne życie. Jeśli będzie chciała ze mną porozmawiać, niech sama zadzwoni.

— Tak trzymać, kotku. — Bruce objął żonę w pasie. — Gdzie są Larry i Sylvia?

— Na pomoście.

— Dołączmy do nich. Po tych wszystkich emocjach chętnie napiłbym się martini.

Pani Snow siedziała w kucki na podłodze przy przewodzie grzewczym. W ręce trzymała jeden z pucharów z zawodów żeglarskich. Mniej więcej co sekundę uderzała nim rytmicznie w metalową obudowę przewodu.

Wydawało jej się, że siedzi już tutaj od wielu dni, chociaż w rzeczywistości upłynęło zaledwie sześć godzin. Pięć minut wcześniej ponownie stanęła w kręgu światła żarówki i mrugając oczyma, sprawdziła położenie wskazówek na swoim zegarku. Była piąta po południu.

Lorna nie przyjedzie. Powinna się z tym pogodzić.

Kilka razy rozlegał się dzwonek telefonu. Jego napastliwy dźwięk był trudniejszy do zniesienia niż cisza. Lecz nawet jeśli jeden z tych

telefonów był od Lorny, najwyraźniej nie miała zamiaru wrócić do domu. Podróż samochodem od Emmettów trwała w najlepszym razie dwie i pół godziny. Jeśli Lorna wróciła w południe z żaglówki, Sylvia na pewno od razu przekazała jej wiadomość. Gdyby Lorna zamierzała przyjechać, zrobiłaby to natychmiast.

Niestety, potwierdziły się jej najgorsze przypuszczenia. Bruce za-telefonował do Arlene i dał jej wolne. Następnie pospieszył do East Hampton i zdołał przekonać Lornę, że telefon pani Snow to tylko fałszywy alarm.

Teraz cała jej nadzieja była w Joe Polanskim. Joe zapowiedział, że wstąpi wieczorem po szlifierkę. Pani Snow знаła jego zwyczaje. O szóstej jadał kolację. Potem prawdopodobnie pomoże żonie zmywać naczynia, następnie przyjedzie do niej. Powinien zjawić się dopiero przed ósmą, ale wołała nie ryzykować. Dlatego od godziny czwartej regularnie uderzała pucharem w przewód grzewczy.

To była jej szansa. Trzy lata temu, kiedy poleciła zainstalować w całym domu nowy system centralnego ogrzewania, kazała robotnikom poprowadzić nieestetyczny przewód przez sejf. Wiódł on do piwnicy, gdzie leżała schowana szlifierka. Nawet jeśli Joe nie wejdzie do domu, żeby jej poszukać, na pewno usłyszy stukanie w piwnicy.

Siedząc tak i stukając w metalowy przewód, pani Snow przez do- brych kilka minut próbowała przyzwyczaić się do myśli, że popełnia- ne z zimną krwią przestępstwa nie są tylko czymś, o czym się czyta w gazetach i wie, że mają miejsce, ale nie mogą nas osobiście dotyczyć. Zawsze dotąd uważała się za światową kobietę, która wszędzie była i zobaczyła wszystko, co było godne zobaczenia. Teraz zdała sobie sprawę, w jak dużym stopniu miłość, a później majątek Gordona, sprawiły, iż pozostała naiwna jak dziecko.

Od prawie roku Bruce mieszkał z nią pod jednym dachem. I cho- ciaz ze względu na Lornę starała się przymykać oczy na różne spra- wy, to jednak przejrzała jego butę, zachłanność i fałszywy urok. Na koniec zdemaskowała go jako złodzieja. Lecz nawet gdy rzucała mu w twarz oskarżenie, nie przyszło jej do głowy, że mógłby zgrzeszyć czymś więcej, jak tylko głupotą i nieuczciwością. Był dla niej śmier- telnym zagrożeniem, a ona niczego nie zauważyła.

Nawet w tej chwili nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ktoś, kogo znała, mąż jej rodzonej bratanicy, mógł być — taki! Zdolny do zam- knięcia kobiety w sejfie i pozostawienia jej tam, aby umarła!

Ta koszmarna prawda była dla niej gorsza od dręczącej klaustrofobii, gorsza niż przerażająca świadomość, że wokół jej ciasnej celi tętni codziennym życiem Manhattan, a ludzie zajmują się swoimi sprawami, niczego nieświadomi i całkowicie obojętni na jej los.

Na szczęście dzięki Joemu panika w końcu ją opuściła. Bruce uważał, że jest tak niesłuchanie sprytny, ale nie wiedział nic o Joem i szlifierce. Joe był jej asem w rękawie. Na samą myśl o nim czuła dreszcz typowego hazardzisty. Grywała w pokera i teraz musiała wygrać. Wrócił jej zwykły, niczym niezmacony optymizm.

To jasne, że musiała wygrać.

Zastukała gwałtownie srebrnym pucharem w przewód. Dziwne. Spodziewała się, że pragnienie wyprzedzi głód, ale tak się nie stało. Wcale nie chciało jej się pić, lecz od pewnego już czasu czuła w żołądku narastające ssanie. To dlatego, że nie zjadła śniadania. Tak bardzo zależało jej na tym, żeby znaleźć się w gabinecie i przejrzeć wyciąg z konta, nim Bruce zejdzie na dół i ją na tym przyłapie.

Gdzieś z daleka, z głębi domu, dobiegło ją słabiutkie zawrodo. Jej koty! Całkiem dziś o nich zapomniała. Biedne Chiang i Mei-Ling! Były przyzwyczajone o piątej dostawać obiad. Jeśli Arlene spóźniła się choć o kilka minut, zawodziły jak potępione dusze. Musiały być teraz w kuchni i szukały jedzenia.

Pani Snow poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Jak tylko zjawi się Joe, koty popędzą do piwnicy, miaucząc, ostro domagając się obiadu. Joe znał ich zwyczaje równie dobrze jak ona sama. Nawet bez hałasów dochodzących z przewodu grzewczego zorientuje się, że coś jest nie w porządku i natychmiast zacznie szukać przyczyny.

Stukanie w przewód grzewczy, koty... Musi jej się udać. Musi.

Bo Joe z pewnością przyjdzie. Nawet przez chwilę w to nie wątpiła. Dobrze знаła panią Polansky. Od lat trzymała Joego pod pantoflem. Jeśli życzyła sobie w ten weekend mieć wycyklinowane podłogi, to tak musiało być.

Nie był to jedyny powód. Joe przyjdzie tutaj choćby po to, żeby na chwilę wyrwać się z domu. Pani Snow wiedziała, jak bardzo Joe ją lubił. Troszczył się o nią, prawie jakby była jego rodzoną siostrą. Ona i ten dom byli jego całym życiem, a niewielka pakamera w piwnicy jedynym azylem, gdzie mógł się schronić przed nieustannie gderającą żoną.

Niezwykły, niemal kosmiczny spokój spłynął na panią Snow. Teraz, gdy nie musiała się już niczego obawiać, zrozumiała, że to okropne doświadczenie było nie tylko karą za błąd w ocenie, jakiego się dopuściła, lecz także ukrytym błogosławieństwem. Lorna była tak bardzo zakochana w mężu, że niewykluczone, iż wybaczyłaby mu nawet sfalszowanie czeków. Jednak nawet ona nie mogłaby nigdy wybaczyć mężczyźnie, który próbował zamordować jej rodzoną ciotkę.

Oto kolejny przykład, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pomyślała pani Snow. Wkrótce Bruce znajdzie się w więzieniu, a Lorna, wyleczona ze swojej obsesji, w końcu się od niego uwolni. Znowu będą wiodły razem życie szczęśliwe i wolne od kłopotów, jakie dzieliły przed jej ślubem...

Nie, nie wolno jej być tak samolubną. Lorna ma prawo do własnego życia. Na pewno spotka jakiegoś uczciwego młodego człowieka, który szczerze ją pokocha i okaże się godny zostać jej mężem.

Głód na powrót zaczął jej doskwierać. Pani Snow energicznie zastukała pucharem w przewód grzewczy.

Z parteru dobiegało ją słabe, lecz nieprzerwane miauczenie kotów.

Joe Polansky wyszedł z kuchni i przysiadł ostrożnie na jednym z nowych foteli żony, pokrytych jaskrawoniebieską tapicerką. Po kolacji poczuł się senny. Najchętniej zdrzemnąłby się na chwilę, lecz oczywiście nie mógł tego zrobić. Musiał wybrać się na przedmieścia, do domu pani Snow i pożyczyć szlifierkę do podłóg.

Zresztą w domu i tak by nie wypoczął. Już dawniej nie było mu łatwo. *Co znowu kombinujesz, Joe? Joe, ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie palił tu tej swojej fajki?* Teraz jednak owe czasy wydawały mu się rajem utraconym. Joe poczuł nagłą złość na siostrę Minny z Jersey za to, że miesiąc wcześniej umarła, zostawiając jego żonie dwa tysiące dolarów w spadku. Od tamtej pory nie zaznał ani chwili spokoju. Ten wymyślny nowy komplet wypoczynkowy do salonu z jakimiś koronkami przy oparciach! I to całe gadanie! Wieczne gadanie o zasłonach, roślinach doniczkowych i Bóg wie o czym jeszcze. A do tego ta podłoga!

Joe omiółł spojrzeniem wyszczerbione, nierówne deski pod swoimi stopami. Żadne cyklinowanie nie sprawi, że zaczną wyglądać lepiej niż to, czym w rzeczywistości były: tanimi, starymi, zniszczonymi i nadającymi się już tylko do wyrzucenia deskami podłogowymi. Ale niechby spróbował wytłumaczyć to Minnie!

— Jesteś gotowy, Joe?

Minna wpadła do salonu jak burza. Po ostatniej trwałej miała na głowie istny hełm z ciasno skręconych, siwych loczków. Nawet jej twarz wyglądała jakoś inaczej po wizycie w salonie kosmetycznym. Skóra była tak napięta, jakby miała pęknąć przy pierwszej próbie uśmiechu. W dłoni trzymała banknot pięciodolarowy.

— Masz. Nie mam drobnych. Będziesz musiał wziąć pięć dolarów, ale pamiętaj — taksówka tylko z powrotem, jak już zabierzesz szlifierkę. W tamtą stronę jak zwykle pojedziesz metrem.

Joe wziął banknot i posłusznie podniósł się z fotela. Już całe wieki temu — Joe nie mógł sobie przypomnieć, kiedy dokładnie się to stało — zrezygnował ze stawiania oporu żonie. Może wtedy, gdy bezskutecznie starali się o dziecko, a lekarz powiedział, że to jego wina. A może chodziło o to, że Minna zawsze była taka tęga, a on taki drobny. Joe sam nie wiedział, jak to się właściwie stało. Ale stało się, a ponieważ na samą myśl o utracie męskości palił go wstyd, był zbyt dumny, żeby walczyć o swoje.

— Nie pozwól tylko pani Snow namówić się na jakąś dodatkową robotę dziś wieczorem. Wiesz, jaka ona jest. Masz wrócić do domu i położyć się spać, żebyś jutro z samego rana mógł się wziąć za podłogę.

Pani Polansky wyszła za mężem aż na klatkę schodową. Jej masywna sylwetka górowała nad poręczą, gdy schodził w dół.

— Weź też tę małą szlifierkę do polerowania stołów. Tylko się nie guzdraj i zaraz wracaj do domu. Słyszysz, Joe?

Czy ją słyszał? Słyszało ją pewnie pół dzielnicy!

Na ulicy było przyjemnie. Zapowiadał się ciepły wieczór. Z chwilą wyjścia z mieszkania Joe zawsze odzyskiwał dobre samopoczucie. Teraz pomyślał z czułością o rezydencji pani Snow. Arlene pewnie kończy właśnie zmywać po obiedzie. Zaraz sobie pójdzie. To nie w porządku, żeby pani Snow siedziała nocą samiuteńka w takim wielkim domu. Dobrze, że ją odwiedzi. Przy okazji upewni się, czy

wszystko jest w porządku.

Skręcił w Szóstą Aleję i zaczął przeciskać się przez tłum sunący do stacji metra. Przed oczyma wciąż miał obraz pani Snow. Czasami poważnie zastanawiał się, co by się z nim stało, gdyby nie ona i przyjazny, zaciszny kącik w jej piwnicy. Przypomniało mu się, jak rozmawiał z nią tego ranka w jej gabinecie. Wracaj do domu i zacznij świętować, powiedziała. Świętowanie! Tak jakby Minna była do tego zdolna! Minna, która odbierała mu całą wypłatę z wyjątkiem paru dolarów na metro i nie pozwalała mu przynieść do domu choćby butelki piwa.

Minął jasne, oświetlone neonami wejście do baru. Idący przed nim marynarz z dziewczyną skręcili gwałtownie i zniknęli za wahadłowymi drzwiami. A niech to, przecież to weekend Święta Pracy. Wszyscy dobrze się bawią. Joe zawahał się przed wejściem do lokalu, czując niespodziewany odruch buntu. Musiało minąć pół roku, od kiedy ostatni raz był w barze. Jego palce namacały w kieszeni pięciodolarowy banknot. Chyba Minna nie rozliczy go z taksówki co do ostatniego centa.

Jakiś nieduży człowieczek w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym, trochę podobny do Joego, minął go i wszedł do baru. Joe Polansky poszedł za nim.

Była to całkiem zwyczajna knajpa, przytulna i gwarna. Klienci obsiedli bar, ryczała szafa grająca. Gdzieś w głębi na ekranie telewizora jakiś facet śpiewał i tańczył. Joe podszedł do baru i zamówił piwo.

Przypadek zrządził, że usiadł akurat obok tego niedużego człowieczka, który wszedł przed nim do lokalu, a teraz zamawiał właśnie szklaneczkę whisky. Mężczyźni popatrzyli na siebie. Nieduży człowieczek rozpromienił się i skinął na barmana. — Jack, stawiam temu panu piwo.

— Ależ to nie uchodzi — wzbraniał się Joe.

— Co to znaczy: nie uchodzi? Stawiam to piwo i następne, i jeszcze następne. Mam co świętować. A samemu kiepsko się świętuje. — Nieduży człowieczek przysunął się bliżej i objął Joego ramieniem. — Wiesz co, staruszkule? Właśnie zostałem dziadkiem. Mam pierwszego wnuka. Urodził się kilka godzin temu. Waży trzy sześćset. Chłop na schwał! I co ty na to, bracie? Nazywam się Danny Carson.

Zazwyczaj w towarzystwie nieznanym Joe bywał nieśmiały, ale magiczne słowa pani Snow: „zaczynij świętować” sprawiły, że odkrył w sobie awanturniczą żyłkę. To właśnie było świętowanie: niezobowiązujące, przyjacielskie spotkanie, cały ten hałas, gwar rozmów, cierpki smak piwa. I tak łatwo rozmawiało się z Dannym! Joe nie musiał się zastanawiać, co powinien powiedzieć, bo Danny'emu usta po prostu się nie zamykały. Opowiadał o swojej córce, jaka to z niej wspaniała dziewczyna i za jakiego wspaniałego chłopaka wyszła za mąż, i jak to pielęgniarki w szpitalu mówiły, że nie widziały jeszcze takiego udanego niemowlaka.

Joe skończył pierwsze piwo i przyjął następne. Był w wyśmienitym humorze. Co za świetny facet z tego Danny'ego! I jakie ma świetne życie u boku swoich dzieciaków, a teraz jeszcze i wnuka...

Nagle Joe przypomniał sobie o Minnie. Zerknął na zegar. A niech to, zamarudził tu już pół godziny. Znowu poczuł na ramieniu dłoń Danny'ego.

— Do diabła — powiedział. — Muszę lecieć. Żona wysłała mnie po szlifierkę do podłóg. Jak nawalę, to mi się dopiero dostanie!

— Dostanie ci się! — prychnął lekceważąco Danny. — Hej — zawołał, zwracając się do pozostałych klientów. — Słyszeliście? Ten gość tak się boi własnej żony, że w te pędy leci po szlifierkę do podłóg.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi, z wyjątkiem stojącego przy nich barmana, który uśmiechnął się znacząco. Joe poczuł, że rumieni się ze wstydu i tłumionego gniewu. No jasne, wszyscy się z niego śmieją. Dlaczego mieliby tego nie robić? Przecież ci, którzy tu przychodzą, to prawdziwi faceci. Na pewno nie pozwalają się trzymać pod pantoflem. I wolno im świętować tak długo, jak tylko zechcą.

Świętowanie! To jedno słowo w połączeniu z dwoma wychylonymi kuflami wystarczyło, żeby podrażnić jego dumę. Ta Minna i jej „Tylko się nie guzdraj i zaraz wracaj do domu”! Za kogo ona go uważa? Za mysz pod miotłą?

Do diabła ze szlifierką! Pojedzie po nią, kiedy będzie gotowy.

Odwrócił się w stronę Danny'ego i poklepał go śmiało po plecach. Całe jego ciało promieniało szczęściem. Był wolny!

— Pij, dziadku. Ja stawiam następną kolejkę.

*

Minęła dwunasta — północ. Pani Snow stała pod zapaloną żarówką i przyciskała dłoń do ust, żeby nie zacząć krzyczeć.

Godzina po godzinie, jej nadzieja na przyście Joego słabła coraz bardziej, a strach coraz mocniej ścisnął ją za gardło. Ogarniał ją stopniowo, zagłuszając głód, a nawet dręczące pragnienie, które już od pewnego czasu nie dawało jej spokoju. Teraz zaś ośwładnął ją całkowicie. Nigdy nie przypuszczała, że można się aż tak bać. Lęk niczym ohydny robak zagnieździł się w jej wnętrzu: wił się wokół serca, pełzał po kręgosłupie, wysysał i podgryzał mózg.

Joe nie przyjdzie, żeby ją uwolnić. Wcale nie zabawił dłużej w domu, nie uciekło mu metro, nie zdecydował się iść do niej pieszo. Po prostu nie przyszedł.

W przerażonym umyśle pani Snow pojawił się obraz Bruce'a jako diabolicznej, podstępnej postaci zdolnej do wszelkich knowań. W jakiś sposób Bruce dowiedział się o planowanej wizycie Joego i omotał go, odwodząc od tego zamiaru, tak jak wcześniej omotał Arlene i Lornę. Teraz nie było już dla niej żadnej nadziei.

Żadnej nadziei. Żadnej nadziei. Te dwa słowa rozbrzmiewały w jej głowie do wtóru z oszalałym biciem serca. Miała wrażenie, że sufit nad jej głową zaczyna się z wolna obniżać. Ściany przybliżały się złowieszczo, zacieśniając się coraz bardziej wokół niej. Błyszczące trofea żeglarskie, te same, których widok wcześniej dodawał jej otuchy, teraz zdawały się być koszmarnymi darami, złożonymi w ofierze zmarłemu i wraz z jego ciałem zamurowanymi w grobowcu. To był jej grobowiec. Została pogrzebana żywcem.

Czekała ją śmierć.

Panika, która ją ogarnęła, była niczym wysokie, potężne fale na wzburzonym morzu. Fale! W swojej rozpaczce pani Snow uchwyciła się tego obrazu. To było takie niesprawiedliwe; otaczała ją woda, zimna, przejrzysta woda morska przetaczała się ponad jej głową. Znajdowała się w żagłowie, uwięziona w samym centrum szalejącego sztormu. Wiał silny, północno-wschodni wiatr. Lecz nawet w takiej kruchej łupinie, jaką była jej łódź, mogła walczyć z burzą. Trzeba zebrać siły, przywołać resztki odwagi i walczyć...

Pani Snow podjęła nieludzki wprost wysiłek, aby zmierzyć się ze swoim lękiem. Z determinacją zwarła się z nim w nierównej walce

i z wolna go pokonała. Najpierw zniknął czający się w jej gardle krzyk, potem opadło napięcie. Na koniec, mokra od potu, stała przez dłuższy czas w ciszy, ciężko oddychając. Znowu była sobą.

Była to już jednak całkiem inna pani Snow, wyzuta z fałszywych nadziei. Teraz jej siłą była rezygnacja.

Jeśli mam umrzeć, powiedziała sobie w myślach, to umrę. Nie ma niczego dziwnego ani straszego w tym, że sześćdziesięcioletnia kobieta rozstaje się z życiem.

Pogodzona z perspektywą własnej śmierci, pani Snow ze zdumieniem odkryła, że w całkiem nowy sposób jeszcze raz odżywa w niej nadzieja. Jeszcze wszystko może się wydarzyć. Na przykład, z całkiem niezależnego od niej powodu, Lorna może wcześniej wrócić do domu. Poza tym był jeszcze stary, dobry Hilary Prynne. Będąc najlepszym przyjacielem Gordona, Hilary zwyczajowo zjawiał się w każdą sobotę u Adelaide Snow, żeby zabrać ją na lunch do Plaza. Myśl o Hilarym przemknęła jej już tego dnia przez głowę, lecz była tak pewna wizyty Joego, że nie poświęciła jej większej uwagi. Ale Hilary na pewno jutro przyjdzie. Zadzwoni do drzwi. Ponieważ ich sobotnie lunche stały się już niemal rytuałem, z pewnością zacznie podejrzewać, że wydarzyło się coś złego.

Tak, wciąż jeszcze mogła zostać uratowana. Najważniejsze, żeby oszczędzała siły. Powinna spróbować się zdrzemnąć.

Zadarła do góry głowę i popatrzyła na jarzącą się pod sufitem żarówkę. Jak długo jeszcze wytrzyma? Nie wiedziała. Ciężko jej będzie leżeć w tym dusznym, ciasnym pomieszczeniu w całkowitych ciemnościach, ale będzie jeszcze gorzej, jeśli żarówka się przepali. Sięgnęła ręką do kontaktu. Ciemność spowiła ją niczym wilgotny brezent.

Pani Snow opadła na kolana, a następnie wyciągnęła się na cementowej podłodze. Próbowwała wmówić sobie, że znajduje się w kajucie na łodzi Gordona. Było to jedyne zamknięte i ciasne pomieszczenie, w którym się dobrze czuła.

Leżała w kajucie; łódź kołysała się delikatnie na falach, a obok niej... Tak, to Gordon leżał obok, na sąsiedniej koi.

Trudno było jej do końca ulec tej iluzji. Znowu męczyło ją pragnienie. Na razie mogła je jeszcze znieść — prawdę mówiąc, nie było gorsze od bólu zęba. Jednocześnie niebezpiecznie odżywała w niej złudna nadzieja. Jakiś głos gdzieś w głowie przekonywał ją, że Bruce

w żaden sposób nie mógł wiedzieć o Joem i szlifierce. A to by znaczyło, że Joe nie zjawił się tego wieczoru z jakiejś całkiem prozaicznej przyczyny. Może zaproszono go na jakieś przyjęcie. Cokolwiek się wydarzyło, już pani Polansky dopilnuje tego, żeby jej podłogi zostały w ten weekend wyszlifowane.

Tak, Joe na pewno przyjdzie następnego dnia, wczesnym raniem. Wyciągnęła rękę i w ciemności odnalazła puchar, który wcześniej upuściła. Powinna mieć go przy sobie. Powinna być w każdej chwili gotowa, żeby znowu zacząć stukać w przewód grzewczy. Joe z pewnością ją usłyszy.

Kilka minut po trzeciej Joe Polansky stał przy schodach prowadzących na stację metra i patrzył na Danny'ego, który zataczając się, z wolna schodził w dół.

— Do widzenia, Danny. Do jutra, Danny. Cześć, stary przyjacielu.

Nigdy w całym swoim życiu Joe nie czuł się tak szczęśliwy. On i Danny odwiedzili chyba wszystkie bary w okolicy, zanim stwierdzili, że mają już dosyć. Potem Danny zaprosił go na następny dzień do Jersey, na całodniowe przyjęcie z okazji narodzin wnuka. Joe znalazł przyjaciela. Prawdziwego przyjaciela. Miał dokąd pójść i wiedział, że zostanie tam serdecznie przyjęty. Cały świat jawił mu się teraz w optymistycznych barwach, jako cudowne, przyjazne miejsce.

Stojąc tak i chwiejąc się rozkosznie, Joe Polansky pomyślał nagle o pani Snow. Minna i szlifierka do podłóg dawno już wyparowały mu z głowy, jednak przez cały wieczór co pewien czas nachodziły go myśli o pani Snow. Została całkiem sama w tym wielkim domu. To nie było w porządku. A co, jeśli zaskoczą ją włamywacze? Mogliby się nieźle obłowić, tyle było tam wszędzie kosztowności. Myśl o pani Snow sprawiła, że ogarnęło go przyjemne ciepło. *Ona* nigdy nim nie pomiatała. Nigdy nie rozkazywała mu: zrób to, zrób tamto. Zamiast tego mówiła: *Wracaj do domu, Joe, i zacznij świętować.*

Czułość wobec pani Snow i niepokój o nią zlały się w jedno. Joe nie miał wątpliwości, co powinien teraz zrobić. Pani Snow potrzebowała w swoim domu mężczyzny, który by ją obronił. I to był właśnie on — Joe. To on był mężczyzną pani Snow. Również myśl o zacisznej pakamerze w piwnicy była bardzo kusząca. On sam w czterech

ścianach, bez Minny, wiecznie narzekającej i robiącej mu wyrzuty. Jej obecność była dla niego męcząca.

Joe ruszył w dół po schodach prowadzących na stację metra. Zatrzymał się przy bramce z kasownikiem. Poszperał w jednej kieszeni, potem w drugiej. Następnie niezdarnie powtórzył obie te czynności. W końcu dotarło do niego, co się stało. Jak mógł się spodziewać, że zostało mu coś jeszcze z tych nędznych pięciu dolarów, które dostał od Minny? Przecież świętował, a to kosztuje. Nie miał nawet jednego centa.

Mówi się trudno. Biedna pani Snow będzie musiała spędzić tę noc samotnie. Cóż, nie można nic na to poradzić. Trzeba wracać do domu – i do Minny.

Kiedy wdrapywał się z powrotem po schodach, poczuł, że ogarnia go nieoczekiwane podniecenie. Może to i lepiej, że wróci do domu. Najwyższy czas, by Minna usłyszała od niego parę słów prawdy. Naprawdę, najwyższy czas.

Włożenie klucza do zamka okazało się nad podziw trudne. Joe wciąż jeszcze usiłował trafić nim we właściwe miejsce, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie. Na progu stała Minna w koszuli nocnej, wielka, biuściasta i purpurowa na twarzy.

— Joe Polansky. Pijany! Coś podobnego! Pijany! A gdzie moja szlifierka?

Joe minął ją z godnością, przepychając się w ciasnym przejściu i wszedł do przedpokoju.

Minna odwróciła się na pięcie i chwyciła go za kark. — Ach, ty! Powinieneś się wstydzić! Gdzie są moje pieniądze? Co zrobiłeś z moimi pięcioma dolarami?

— Wydałem.

— Wydałeś pieniądze mojej biednej, zmarłej siostry na wódkę? Joe Polansky, słuchaj, co do ciebie mówię...

Joe odwrócił się powoli i stanął twarzą w twarz ze swoją żoną. Czuł się jak bohater westernu, wesoły nicpoń z lekko uniesionymi brwiami i zawadiackim uśmiechem.

— To ty mnie posłuchaj, Minno Polansky. Jeśli chcesz tę szlifierkę, to sobie ją przywieź, zrozumiano? Ja idę spać. To właśnie zrobię. A jutro, jak już się wyśpię, wstanę i pojedę do Jersey na przyjęcie, do domu mojego przyjaciela. Dobrego, starego Danny'ego. Podłoga! Ja

miałbym cyklinować podłogę! Za kogo ty się masz, za panią Rockefeller?

Nowa niebieska sofa wyglądała zachęcająco. Joe zamierzał powiedzieć Minnie jeszcze wiele rzeczy — o wiele więcej, niż dotąd powiedział. Ale zgubił wątek. Podszedł zatem do kanapy i opadł na nią z westchnieniem ulgi, podciągając kolana pod brodę.

— Joe, moja kanapa! Joe, masz brudne buty!

Minna nachyliła się nad nim, szarpiąc go za ramiona, potrząsając nim. Joe zebrał się w sobie i odepchnął ją z całej siły, aż potoczyła się ciężko przez cały pokój.

— Krowa — mruknął, uśmiechając się błogo. — Głupia, stara, tłusta krowa.

Pani Snow obudziła się w egipskich ciemnościach. Serce biło jej jak oszalałe. Strach nie opuszczał jej nawet we śnie, czyniąc go męczącym, a teraz zaatakował z nienacką, chwytając ją za gardło, zanim pani Snow zdołała przywołać swoją odwagę. Zerwała się na równe nogi. Była tak wyczerpana, że niewiele brakowało, a byłaby upadła, udało jej się jednak utrzymać równowagę. Drżąc na całym ciele, szukała wokół siebie po omacku, aż wreszcie znalazła kontakt.

Światło zalało ciasne pomieszczenie, całkowicie ją oślepiając. Pomogło jej jednak nieco zapanować nad rosnącą paniką. Pani Snow zamrugowała i po raz kolejny powtórzyła jakże wyczerpującą procedurę patrzenia na zegarek. Poszło jej trudniej niż wczoraj, ale w końcu udało jej się dostrzec ułożenie wskazówek. Była za piętnaście szósta rano. Zaczaj się nowy dzień.

Joe może nadejść w każdej chwili. Powinna znowu zacząć uderzać w przewód.

Pochyliła się, żeby podnieść z podłogi puchar, i ponownie się zachwiała. Poczowała mdłości i zawroty głowy.

Nagle dotarło do niej, że to z powodu powietrza. Było gęste, cuchnące i pozostawiało w ustach ohydny, słodkawy posmak. Aby napęlnić płuca, za każdym razem musiała brać głęboki wdech i za każdym razem miała wrażenie, że się dusi. W najczarniejszych myślach nie przypuszczała, że tak szybko zacznie brakować jej powietrza. To był jej nowy wróg, znacznie groźniejszy niż głód czy pragnienie.

Stojąc tak, oparta plecami o półki z trofeami żeglarskimi, pani Snow niemal całkowicie poddała się ogarniającej ją panice.

— Gordon! — Wydyszała ciężko imię męża. — Gordon! Gordon, pomóż mi!

Jej własny głos, zachrypnięty niczym głos osoby obłąkanej, był jej kolejnym wrogiem. Może już straciła rozum? Wiedziała przecież, że Gordon nie żyje. Wiedziała...

Opadła na kolana, chwyciła puchar i podczołgała się do przewodu grzewczego. Z trudem łapiąc ustami stęchłe powietrze, przycisnęła ucho do aluminium. Czyżby usłyszała jakiś dźwięk? Zesztywniała w oczekiwaniu. Czyżby to był...? Dźwięk powtórzył się, a ona go rozpoznała. To tylko koty. Jej koty były na dole w piwnicy i zawodziły.

Pani Snow załkała. Nie mogła dłużej nad sobą panować. Łkanie wstrząsało całym jej ciałem. Jak automat, nie przestając płakać, uderzyła pucharem w metalowy przewód. Powietrza, myślała. Powietrza. Potrzebuję powietrza.

Wyobraziła sobie to powietrze, niecałe dwa centymetry od niej, po drugiej stronie metalowej ściany przewodu grzewczego; cudowne powiewy czystego, chłodnego powietrza z piwnicy. Przewód grzewczy! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Gdyby tylko udało jej się przebić jego ścianę...

Przypomniała sobie o metalowym nożu do rozcinania papieru, który trzymała zawsze przy teczkach z dokumentami. Wstała. Łkania przeszły w cichutkie pojękiwanie, z którego nawet nie zdawała sobie sprawy. Podeszła do półki z dokumentami, przerzuciła porozrzucane papiery i znalazła nóż. Wypróbowała ostrze. Było mocne, a jakże. Ponownie osunęła się na kolana przy przewodzie grzewczym. Wkłęśły metalowy szyb był zbudowany z kilku fragmentów; zaokrąglony przy podłodze, biegł następnie prostą kolumną ku sufitowi. Pani Snow na chybił trafił wybrała miejsce na jego gładkiej powierzchni i z całej siły wbiła w nie nóż.

Nóż pękł na pół. Górna część złamanego ostrza spadła z brzękiem na cementową posadzkę tuż przy jej kolanach.

Pani Snow wpatrywała się w nią, siedząc w kucki; jej wargi drżały. Rozpacz zdawała się nadawać jej widzeniu niezwykłą ostrość. Widziała ułamane ostrze; widziała każde maleńkie wgłębienie i każdą ciemniejszą plamkę na cementowej posadzce. I po raz pierwszy

spojrzała na przewód grzewczy jak na przedmiot. Jego wklęsła dolna część i prosta górna były ze sobą połączone; w miejscu złączenia była szpara, opasana wąskim paskiem aluminium. Jego koniec był zagięty do tyłu.

Pani Snow wsunęła złamane ostrze noża pod ten zagięty kawałek metalu i podważyła go. Okazało się, że bez trudu może zdjąć całą obręcz. A to jeszcze nie wszystko. Górna część przewodu była teraz obluzowana. Pani Snow chwyciła ją gorączkowo i zaczęła szarpać to w jedną, to w drugą stronę. W końcu górny fragment przewodu ze zgrzytem przesunął się w bok, odsłaniając wnętrze szybu. Oczom pani Snow ukazał się otwór podobny do wielkich, czarnych, rozwartych ust.

Ten sukces na chwilę ją oszołomił. Szybko jednak nachyliła się nad otworem, łapczywie łykając wielkie hausty powietrza. To było cudowne; była jak w ekstazie, zupełnie jakby piła szampana.

Czuła, że całe jej ciało oczyszcza się i odżywa, niczym w powiewie morskiej bryzy.

— Joe! — zawołała, przytykając usta do otworu.

Usłyszała, jak jej głos opada, odbijając się echem, w dół szybu.

— Joe! Joe!

Zachichotała, po czym zaniósła się śmiechem — histerycznym, głośnym śmiechem pijanego. Trzymała się kurczowo przewodu, i śmiała się, i płakała.

A za każdym razem, gdy się śmiała, czuła w płucach świeże, chłodne, ożywcze powietrze.

Lorna Mendham zapaliła pierwszego tego dnia papierosa, nieuważnie przysłuchując się trajkotaniu Sylvii, dochodzącemu z przeciwnej strony zastawionego do śniadania, białego stołu z kutego żelaza, stojącego na tarasie. Larry był już na pomoście i majstrował przy łódce. Bruce jeszcze nie zszedł na dół. Ubieranie się zawsze zajmowało mu sporo czasu.

Pierwszy raz od dnia ślubu szczęście Lorny nie było pełne. Sylvia była jej najbliższą i najstarszą przyjaciółką. Ona i Larry dopiero co wrócili z dwuletniego pobytu w Rzymie, gdzie Larry piastował stanowisko w ambasadzie. Nie byli obecni na jej ślubie; przed tym weekendem prawie w ogóle nie widywali Bruce'a.

A mimo to go nie polubili.

Oczywiście, żadne z nich by się do tego nie przyznało. Byli na to zbyt dobrze wychowani. Jednak już poprzedniego wieczoru Lorna zaczęła coś podejrzewać, a teraz była już pewna. Jej przyjaciele byli zbyt oficjalni, zbyt mocno starali się zachować pozory uprzejmości.

Niech ich szlag trafi, pomyślała Lorna. Byli dokładnie tacy sami jak ciocia Addy. Uważali się za strasznie wyemancypowanych, ale wszyscy troje, co do jednego, tkwili po uszy w nudnej rutynie towarzyskich układów. Co za różnica, że Bruce nie studiował w odpowiedniej szkole albo że zdarzało mu się trochę popisywać — prawdopodobnie dlatego, iż w towarzystwie ludzi pokroju Emmettów czuł się skrępowany? Oczywiście to, że poprzedniego wieczoru tak długo rozводził się na temat tych wszystkich swoich sławnych przyjaciół z Riwiery, nie było z jego strony zbyt mądre. Ale czy Sylvia i Larry nie widzieli, że to tylko pozory? Czyżby nie byli na tyle bystrzy, aby wyczuć, że Bruce jest nie tylko przystojny, ale także dobry, czuły i... i uczciwy? Ale nie — tylko dlatego, że nie był „jednym z nich”, z miejsca nabrali wobec niego podejrzeń.

Sylvia paplała coś o antykach, które przywiozła z Włoch. Nagle Lorna zawstydzila się swojego przygnębienia i irytacji. To głupie, że aż tak się tym przejmuje. Emmettowie przekonają się w końcu do Bruce'a. To nieuniknione. Wszyscy się w końcu do niego przekonawali. Lorna zmusiła się, żeby z zainteresowaniem słuchać paplaniny Sylvii.

— Skarbie, to, co się stało z tym boskim weneckim biureczkiem, to prawdziwa katastrofa. Kiedy je kupowaliśmy w Mediolanie, było w doskonałym stanie. A teraz front jednej z szuflad jest pęknięty. Wszystko przez tych koszmarnych przewoźników! A w dzisiejszych czasach tak trudno o dobrego stolarza. Szukaliśmy dosłownie wszędzie.

— Ciocia Addy zatrudnia znakomitego rzemieślnika.

— Ależ to wspaniale! — Sylvia nachyliła się nad stołem. — Jak się nazywa?

— Obawiam się, że nie pamiętam.

— Więc bądź tak dobra i zadzwoń od razu do pani Snow. Będę go błagać na kolanach, żeby przyjechał już w przyszłym tygodniu.

— Dobrze.

Ku własnemu zdziwieniu Lorna odkryła, iż cieszy ją ta niespodziewana okazja zatelefonowania do cioci Addy. Miała oto uzasadnioną wymówkę, żeby to zrobić. Oczywiście zgadzała się z Bruce, że cioci Addy przydałoby się nieco dyscypliny, ale choć starsza pani bywała czasem trudna we współżyciu, nie wypadało traktować jej jak niegrzecznego dziecka.

Podniosła się więc i ruszyła przez taras akurat w momencie, gdy Bruce stanął w otwartych drzwiach balkonowych. Wyglądał bardzo dobrze w białych, luźnych spodniach, z czerwoną chustką zawiązaną nad rozpiętym kołnierzem jedwabnej koszuli. Widząc go, Lorna jak zwykle poczuła to podniecające dławienie w gardle. Jednocześnie, całkiem nieoczekiwanie, przed oczyma stanął jej Larry Emmett, krzątający się przy łodzi w brudnych, znoszonych dżinsach i T-shircie. Przez krótką chwilę widziała Bruce'a takim, jakim widziała go Sylvia. To ją przeraziło i podbiegła do niego.

On zaś chwycił ją w ramiona i pocałował. — Dzień dobry po raz drugi, kochanie. Dokąd się tak spieszysz?

— Zadzwonię do cioci Addy. Sylvia poprosiła o adres stolarza, który naprawiał jej meble.

Ramiona Bruce'a zacisnęły się wokół niej tak gwałtownie, że niemal krzyknęła. Potem Bruce bardzo cicho powiedział: — W takim razie mam nadzieję, że znasz numer pani Lindsay?

— Pani Lindsay?

Jego uścisk nieco się rozluźnił. Jedną dłonią zaczął pieścić jej szyję. — Chyba tak się nazywa? Ta dawna przyjaciółka cioci Addy. Ta, która mieszkała w Kopenhadze czy gdzieś tam...

— A co pani Lindsay ma z tym wspólnego?

Bruce odsunął ją od siebie, uśmiechając się szeroko. — Ależ z ciebie panna zapominalska.

— Bruce, o czym ty mówisz?

— Nic ci nie powiedziałem? Jestem pewien, że mówiłem. Pani Lindsay zadzwoniła wczoraj akurat w trakcie poszukiwania szmaragdów. Okazało się, że wróciła do kraju i wynajęła dom w Connecticut. Zaprosiła ciocię Addy do siebie na weekend. Miała tam pojechać południowym pociągiem.

Lorna popatrzyła na męża zbity z tropu. Nie wiedziała, że pani Lindsay zamierzała wrócić do Stanów. Poza tym była pewna, że

poprzedniego wieczoru Bruce nic na ten temat nie wspominał. Widocznie w tym zamieszaniu spowodowanym pseudowłamaniem zapomniał jej powiedzieć.

— A gdzie dokładnie zamieszkała w Connecticut, Bruce?

— O rany, ciocia Addy mi mówiła. Chyba w Litchfield? A może w Redding?

— Nieważne, Lorno. — Za jej plecami rozległ się głos Sylvii. — Ten człowiek i tak nie mógłby nic zrobić wcześniej niż we wtorek.

— Jak sobie życzysz — odparła Lorna.

A jednak wszystko to było jakieś dziwne. Pani Lindsay z pewnością napisałaby do cioci Addy, aby ją zawiadomić o swoim powrocie, ciocia zaś musiałaby coś o tym wspomnieć. Zachowanie Bruce'a też przez chwilę wydawało jej się dziwne. Czy to możliwe, żeby wymyślił całą tę historię tylko dlatego, że nie chciał, aby tak łatwo ulegała zachciankom cioci Addy, a wolał otwarcie się do tego nie przyznawać w obecności Sylvii?

Ta jakże nielojalna myśl bardzo ją wzburzyła. Powróciła irytacja wywołana zachowaniem Emmettów. To wszystko wina Sylvii. Gdyby nie ona, nie przyszłoby jej do głowy nic równie niedorzecznego. To oczywiste, że ciocia Addy pojechała do pani Lindsay.

— Lepiej pospiesz się ze śniadaniem, Bruce — powiedziała Sylvia. — Larry już wieki całe czeka na nas przy łodzi.

Po kilku godzinach siedzenia w kucki przy otworze w przewodzie grzewczym, pani Snow poczuła, że znów opuszczają ją radość i nadzieja, które początkowo odczuwała. W regularnych odstępach nawoływała Joego, wykrzykując jego imię w głąb pustego szybu; przyzywała nawet swoje koty, wołając je po imieniu, i w odpowiedzi słyszała ich żalosne zawodzenie, odbijające się echem z piwnicy. Napisała też kilka liścików. *Joe, Bruce zamknął mnie w sejfie*. Wiedziała, że w piwnicy jest wywietrznik. Gdyby któryś z liścików wypadł na zewnątrz przez kratkę wywietrznika, Joe mógłby zwrócić uwagę na kawałek papieru, leżący w tak dziwnym miejscu. Czowała się beztroska, prawie niepoważna.

Jednak stopniowo nastrój ten ponownie zaczął ulegać zmianie. Powietrze już jej nie wystarczało. Mijała godzina za godziną, a Joe nie przychodził. Regały pełne trofeów żeglarskich znowu zdawały się

przybliżyć! zacieśniać wokół niej swój złowrogi krąg. Pragnienie stało się nie do zniesienia; drętwiał jej język, pękały usta, męczyły mdłości. Jej głos nawołujący Joego brzmiał teraz jak słaby, bolesny skrzek. Przestała więc wołać i zamiast tego znowu zaczęła stukać pucharem w metalowy przewód. Potrzebowała tych resztek siły, które jej pozostały, żeby walczyć z ogarniającą ją rozpaczą.

Bo chociaż nie przestawała stukać, straciła nadzieję na to, że Joe w końcu się zjawi. Dobrze wiedziała, że złudna nadzieja jest jej największym wrogiem. Teraz myślała już tylko o Hilarym Prynne. Hilary na pewno przyjdzie. Będzie tu dokładnie o dwunastej trzydzieści. Jeśli chodziło o ich rytualne sobotnie lunchy, nigdy nie zdarzyło mu się przyjść o minutę wcześniej ani o minutę później. O dwunastej trzydzieści z pewnością usłyszy dzwonek do drzwi.

Kilka minut wcześniej podciągnęła się na sam środek pomieszczenia, tak by znaleźć się dokładnie pod świecącą żarówką i z trudem udało jej się odczytać godzinę.

Był kwadrans po dwunastej.

Teraz musi więc być prawie dwunasta trzydzieści. Od zajmowania niewygodnej pozycji przy przewodzie grzewczym bolały ją kolana, lecz prawie nie zwracała już na to uwagi. Przyłgnęła kurczowo do otworu w przewodzie, czekając — czekając na swoją ostatnią szansę.

I nagle go usłyszała — ten dźwięk dzwonka przy frontowych drzwiach, odbijający się echem w piwnicy. Rzuciła się do ciemniejszego w przewodzie otworu i nierozważnie zużywając ostatnie rezerwy sił, jakie jej pozostały, zaczęła głośno krzyknąć:

— Pomocy! Pomocy! Hilary, na pomoc!

Przez chwilę zdawało jej się, że ten głos ma siłę grzmotu, że rezonuje w pustym szybie, powracając do niej potężnym echem. Na zewnątrz, na ulicy, Hilary ją słyszał. Musiał ją słyszeć.

Dzwonek przy frontowych drzwiach zabrzmiał ponownie.

— Pomocy! Pomocy! Och, na pomoc!

Jej własny głos ją ogłuszał. To było niewiarygodne, ale zdawał się rozlegać także wtedy, gdy jej usta były zamknięte.

Dopiero wtedy zrozumiała. To nie siebie słyszała. To koty odpowiadały jej z piwnicy swoim miauczeniem. Jej własny głos nie był głośniejszy od szeptu.

I całkowicie ginął w tym przejmującym, złowróżbnym zawodzeniu kotów.

Hilary Prynne stał przed drzwiami domu pani Snow. Jak zawsze ubrał się z wielką starannością. W ręce trzymał nieduże pudełeczko z kwiaciarni zawierające pojedynczą białą orchideę. Adelaide uwielbiała kwiaty.

Ostre słońce oświetlało jego różową, pełną godności, lecz dobrotliwą twarz. Tego dnia był w wyjątkowo dobrym nastroju; nic dziwnego — perspektywa spotkania z Adelaide zawsze działała na niego niczym ożywczy eliksir. Jak zwykle pójdą na lunch do Plaza, a później być może Adelaide zgodzi się, aby zabrał ją na przejażdżkę powozem po parku. Będą mogli być razem aż do godziny piątej, ponieważ pociąg do Hartford, dokąd był zaproszony na weekend, odjeżdżał dopiero o szóstej, a on nadał już walizkę na stacji Grand Central.

Gdy tak naciskał przycisk dzwonnka, naszła go nagle śmiała myśl. Może już pora, aby poprosić Adelaide o rękę? Biedny stary Gordon przeniósł się na tamten świat dobrych pięć lat temu. Hilary rozkoszował się myślą, że mógłby mieć Adelaide już zawsze przy sobie. Oczywiście, po tylu latach trudno mu będzie porzucić wszystkie starokawalerskie nawyki. Ale z drugiej strony, cóż za rekompensata: Adelaide była cudowną towarzyszką, miała chłodny, przenikliwy umysł i umiała podejmować decyzje...

Hilary Prynne powrócił na ziemię. Co też się dzisiaj dzieje z Maggie? Zazwyczaj tak szybko otwierała drzwi.

Ponownie nacisnął dzwonek i w tej samej chwili usłyszał dziwny dźwięk dochodzący z wnętrza domu. Natychmiast ogarnął go niepokój. Zupełnie, jakby ktoś w środku płakał.

Przysunął się bliżej i przyłożył ucho do drzwi. Znowu usłyszał ten dźwięk. Ach, to tylko koty Wargi Hilary'ego ściągnęły się w wyrazie lekkiego obrzydzenia. Nie znosił kotów. Jeśli tylko Adelaide zgodzi się za niego wyjść, pozbędzie się ich z domu, ma się rozumieć tak taktownie, jak tylko się da.

Po raz trzeci nacisnął dzwonek. Wtedy sobie przypomniał. Adelaide wspominała mu ostatnio przez telefon, że Maggie jest chora. Najwyraźniej dała też wolne kucharce i została sama w domu. Prawdopodobnie była teraz na gorze i szykowała się do wyjścia.

Jeszcze raz zadzwonił do drzwi. Teraz rozpaczliwe miauczenie kotów dochodziło już z całkiem bliska. Widocznie podbiegły do drzwi. W długiej, martwej ciszy, jaka nagle nastąpiła, niepokój Hilary'ego wzmógł się zdecydowanie. A jeśli Adelaide została w domu sama i stało się coś złego?! Mogła przewrócić się w wannie albo... Albo...

Z pewnością była w domu. Gdyby miała wyjechać na weekend, zadzwoniłaby, żeby go uprzedzić. Ich sobotnie spotkania były dla niej równie ważne jak dla niego.

Nacisnął palcem przycisk dzwonka i nie odrywał go przez dłuższy czas. Słyszał jego przenikliwe brzęczenie, przeplatające się z kocim zawodzeniem. Obejrzał się przez ramię. Po przeciwnej stronie ulicy zauważył przechadzającego się chodnikiem policjanta.

Hilary zszedł szybko po schodach i pospieszył w jego stronę. Adelaide musiało przytrafić się coś złego. To było jedyne wytłumaczenie. Trzeba będzie wyważyć drzwi, sprowadzić lekarza, wezwać...

Zawołał głośno: — Panie posterunkowy!

Policjant odwrócił się. W tej samej chwili Hilary zrozumiał, co tak naprawdę zaszło. Poprzedniego wieczoru bardzo późno przyleciał z Baltimore. Po powrocie był zbyt zmęczony, żeby przejrzeć plik wiadomości telefonicznych, zapisanych pod jego nieobecność. A dzisiaj rano tak bardzo spieszył się na spotkanie z Adelaide, że nawet na nie nie spojrział.

To jasne. Adelaide musiała niespodziewanie wyjechać i zostawiła mu wiadomość, a on jej nie odebrał. To wszystko. Praca bankiera wymagała godności. Lata przestrzegania zasad towarzyskiej etykiety sprawiły, że Hilary Prynne panicznie bał się gwałtownych scen. Teraz zdał sobie sprawę, w jak potwornie krępującej sytuacji by się znalazł, gdyby rzeczywiście wyważył drzwi do domu Adelaide, wywołał skandal, wzywając policję i... Na samą myśl poczuł, jak na przemian oblewa go zimny i gorący pot.

— Słucham pana? — Policjant stał tuż przed nim.

Różowa twarz Hilary'ego jeszcze bardziej poróżowiła. — Przepraszam, że pana niepokoję, panie posterunkowy, ale może wie pan, która jest teraz godzina?

Szkoda, że rozminęli się z Adelaide. Ale zobaczą się w przyszłym tygodniu. Dzisiaj zaś pojedzie wcześniej do Hartford i w ten sposób będzie miał jeszcze sporo czasu do obiadu.

Orkiestra jachtklubu przygrywała „Goodnight, Sweetheart”. Lorna kołysała się na parkiecie w ramionach Bruce'a. Tak powinno wyglądać idealne zakończenie kolejnego idealnego dnia. Bruce tańczył z nią przez cały wieczór. Nigdy dotąd nie okazywał jej tyle miłości i czułości. Łącząca ich magia była silniejsza niż kiedykolwiek. A jednak wątpliwości, które obudziły się w niej podczas śniadania, nadal jej nie opuszczały. Lorna nienawidziła siebie za to, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że Bruce specjalnie stara się być bardziej czuły, bardziej kochający niż zwykle, jak gdyby...

Nagle wszystko zaczęło się koncentrować wokół cioci Addy. Kiedy po całym dniu żeglowania wrócili do pokoju, Lorna, całkiem od niechcenia, ponownie podjęła temat pani Lindsay i... Czy to wyobraźnia płatała jej figle? Czy też rzeczywiście wyczuła — jak by to określić — pewną sztuczność, sztuczność w uspokajającym tonie jego głosu i nagłą „szczerą” troskę w jego spojrzeniu? Przed kolacją wypila więcej koktajli niż zwykle, żeby o tym zapomnieć. Ale nie udało się.

Oczywiście, to wszystko było absurdalnie nieistotne. A jednak ją przerażało. Dla Lorny miłość w małżeństwie oznaczała całkowite zaufanie.

Muzyka umilkła. Usta Bruce'a musnęły jej policzek. — Chodź, mała. Wypijemy strzemiennego.

Klubowy bar był zatłoczony. Bruce zostawił Lornę na obrzeżu tłumu złożonego z roześmianych, rozgadanych grup i przepychając się pomiędzy nimi, poszedł zamówić coś do picia. Lorna patrzyła w ślad za nim. Bezwiednie odnotowała, że jej mąż staje obok człowieka, którego nigdy wcześniej nie widziała, zwałistego mężczyzny o czerwonej twarzy i włosach koloru marchewki. Mężczyzna ów odwrócił się do Bruce'a i rozpromienił na jego widok.

— A niech mnie, Bruce, stary przyjacielu! A więc jednak nie skończyłeś na dnie East River w cementowych butach, pomimo wszystko! — Mężczyzna roześmiał się tubalnie. — Chłopie, ależ się wtedy cieszyłem, że nie jestem na twoim miejscu! A niewiele brakowało. Niewiele brakowało, żebym postawił ostatniego centa na tę nędzną chabetę. Pięć tysięcy dolców w plecy! Gdzie u diabła udało ci się zdobyć taką sumkę? — Jego śmiech, podsycany alkoholem, ponownie zabrzmiał przy barze. — No jasne, całkiem zapomniałem. Przecież

wznieśli się w niezły posag. Brawo, stary! Nie ma to jak bogata żonka, kiedy człowiek kręci w takim biznesie.

Lorna słyszała każde słowo tak wyraźnie, jakby mężczyzna wykrzykiwał je prosto do jej ucha. Jednocześnie dostrzegła, że twarz Bruce'a, zaskoczonego tak znienacka, poszarzała i ściągnęła się w wyrazie przerażenia. Przerażenie — tylko tak można było to opisać. Szybko odwrócił się plecami do rudego mężczyzny, unosząc kieliszki wysoko do góry, ponad poszturchującymi go ramionami. Zanim sama zdążyła odwrócić wzrok, ich oczy się spotkały. Zrozumiał, że wszystko słyszała.

Podszedł i podał jej drinka. Na jego ustach drżał słaby uśmiech. — Lorna...

Urwał gwałtownie, widząc zbliżających się w ich stronę Sylwię i Larry'ego.

— Dopijajcie, dzieciaki. Pora wracać do domu.

W drodze powrotnej Lorna siedziała na przednim siedzeniu obok Larry'ego. Była wdzięczna za otaczającą ich ciemność i pełne spokoju milczenie Larry'ego. W żołądku czuła przerażający ucisk.

Co takiego zrobił jej mąż?

Przegrał pięć tysięcy dolarów na wyścigach i w jakiś sposób zdołał uzbierać pieniądze na spłatę długu. Teraz o tym wiedziała. Już sam ten fakt był dla niej olbrzymim szokiem. Wcześniej nie domyślała się nawet, że Bruce gra na wyścigach. Ale to jeszcze nie wszystko. Było jeszcze zmieszanie, z jakim mówił o cioci Addy. Nie mógł przecież wiedzieć, że spotkają w klubie tego człowieka, więc to nie on był przyczyną zaniepokojenia Bruce'a. Co w takim razie...

Pierścionek z szafirem! — pomyślała Lorna. Bruce powiedział jej, że ciocia Addy znalazła go pod oparciem szeszlona. A przecież Lorna osobiście przeszukała cały mebel i niczego nie znalazła. Jeszcze wczoraj śmiała się z własnego gapiostwa. Ale... A jeśli pierścionka rzeczywiście tam nie było? Jeśli Bruce ją okłamał?

A do tego dochodziły jeszcze szmaragdy! To przecież nie do pomyślenia, żeby Bruce ukradł pierścionek z szafirem i szmaragdy cioci Addy, żeby spłacić swój dług z wyścigów! Czy to dlatego ciocia Addy chciała z nią tak pilnie rozmawiać?

No jasne, całkiem zapomniałem. Przecież wznieśli się w niezły posag. Cyniczny ton tych słów ranił ją do żywego. Jej nowe, wspaniałe

życie waliło się w gruzy, niszczone przez jej własne podejrzenia. Bruce nigdy naprawdę jej nie kochał. Ożenił się z nią tylko dla pieniędzy cioci Addy. Bruce, który potrafił skłamać o wyścigach, okradł...

Nie, to niemożliwe. Modliła się w myślach: proszę, spraw, żebym się myliła. Spraw, żebym żałowała, że kiedykolwiek pomyślałam w ten sposób o swoim mężu.

Jakimś cudem udało jej się przetrwać wieczornego drinka w towarzystwie Sylvii i Larry'ego. Dopiero wtedy ona i Bruce nareszcie zostali sami.

— Lorna. Lorna, skarbie. Wiem, co mogłaś sobie pomyśleć.

Chwylił ją za rękę. Wyrwała mu ją.

— Lorna, kochanie, posłuchaj. Faktycznie postawiłem pięć tysięcy na konia. Dostałem cynk, że to pewniak. Stawka siedem do jednego. Nie mógł przegrać. Tak mi powiedzieli. Kochanie, błagam, musisz zrozumieć, dlaczego to zrobiłem. Myślisz, że jest mi łatwo, takiemu biedakowi, być twoim mężem? Nie widzisz, jak doskwiera mi życie na łasce cioci Addy, bycie czymś utrzymankiem? Najdroższa... — Ujął ją za łokcie. — Kochanie, chcę być dla ciebie prawdziwym mężem. A przede wszystkim, bardziej niż czegokolwiek, pragnę móc sam siebie utrzymywać. Gdybym wygrał, zyskałbym trzydzieści pięć tysięcy. Wystarczyłoby na początek.

Odwrócił ją twarzą do siebie. W jego oczach malowały się żalność i zawstydzenie, jak u małego chłopca. Lorna nie mogła dłużej panować nad swoimi uczuciami, udawać, że nie czuje ogarniającej ją fali współczucia i czułości. Mimo to odparła oskarżycielskim tonem: — Skąd zdobyłeś te pięć tysięcy, żeby zapłacić bukmacherowi?

Bruce wzruszył ramionami. — Pożyczyłem. Na lichwiarski procent, oczywiście. Ale, skarbie, tylko to jedno mogłem zrobić. Ci bukmacherzy to twardzi goście. Żądają spłaty długu. Ja... Nie mogłem z tym pójść do cioci Addy. Wiesz, jak by zareagowała. Och, skarbie, wszystko popsulem. Wiem o tym. Wiem, że masz mnie za ostatniego drania... — Odsunął się od niej i usiadł na brzegu łóżka. — Chciałem ci o wszystkim powiedzieć. Tylko wciąż to odkładałem. Bałem się. Przez cały weekend biłem się z myślami, mam nerwy w strzępach. Może... Może dobrze się stało, że wpadłem dziś na Boba Struthera? Przynajmniej wszystko wyszło na jaw. A teraz... — Popatrzył w dół na swoje dłonie. — Chcesz się ze mną rozwieść?

Przez cały weekend białem się z myślami, mam nerwy w strzępach. Lorna była rozdarta pomiędzy racjonalnym rozumowaniem a gorącym pragnieniem ratowania największego szczęścia, jakie ją w życiu spotkało. *Przez cały weekend białem się z myślami, mam nerwy w strzępach.* Dlaczego miałyby mu nie wierzyć? Czyż utrata pięciu tysięcy dolarów nie była wystarczająco szaleńczym postępkim, żeby z tego powodu mieć nerwy w strzępach? Czy już samo to nie było wystarczającym wytłumaczeniem dziwnego zachowania Bruce'a i jego zmieszania, które tak bardzo ją zaniepokoiły? Pierścionek z szafirem rzeczywiście mógł utknąć głęboko pod oparciem szezlonga, a wytłumaczenie owego nagłego telefonu cioci Addy mogło być jak najbardziej zgodne z prawdą.

— Skarbie. — Podniósł głowę i popatrzył na nią; na widok malującego się w jego oczach cierpieniach Lornie zebrało się na płacz. — Wszystko popsulem, prawda? Nic się już nie da uratować. Ależ ze mnie głupiec! Przeklęty głupiec!

Nagle nie było już nic, tylko przemożne pragnienie, aby być razem z nim, rozpaczliwa potrzeba ratowania tego, co było już prawie utracone.

— Och, Bruce! — Lorna osunęła się na kolana przy łóżku. — Przychodziły mi do głowy takie okropne rzeczy! Kiedy usłyszałam, co mówił tamten człowiek, zaczęłam martwić się o pieniądze i pomyślałam... pomyślałam, że może zabrałeś cioci Addy jej pierścionek z szafirem i szmaragdy.

— Wielkie nieba! — Bruce roześmiał się głośno, z ulgą. — Stary wyga Mendham, międzynarodowy złodziej klejnotów!

— A potem, kiedy zaszło to nieporozumienie z panią Lindsay, a ty nie chciałeś, żebym zadzwoniła do cioci Addy...

— Kochanie! Moja biedna, słodka dziewczynka! Wiem, że głupio wyszło to z panią Lindsay. Ale byłem na wpół przytomny. Ja...

Bruce obrócił się w jej stronę i objął ją mocno. Lorna oparła się o niego, łkając, wyczerpana podejrzeniami, które na szczęście wreszcie się rozwiały, i oszołomiona miłością, która na nowo wypełniła całe jej ciało.

— Och, Bruce, nie martw się — jakoś zdołamy uzbierać pieniądze i splacimy tych lichwiarzy.

— Oczywiście, najdroższa. — Bruce głaskał jej włosy. — Prawdę mówiąc, nawet już coś obmyśliłem. Larry ma forsy jak lodu.

— O, nie. Nie mogłabym prosić Larry'ego o pożyczkę. Znajdziemy jakiś inny sposób.

— Dzielna dziewczynka. — Bruce delikatnie położył ją na łóżku. Potem zdjął jej buty i pocałował w czoło. — Nic się nie martw, kochanie. Zapomnijmy o wszystkim. Jutro będziemy się z tego śmiali.

Lorna leżała na łóżku, pochlipując z cicha, rozkoszując się uczuciem ulgi, jakie ją ogarnęło. Usłyszała, że Bruce się rozbiera i idzie do łazienki. Ależ była głupia! Idiotka! To było takie do niego podobne: posunąć się do szaleństwa, byle tylko wypełnić dzielącą ich przepaść majątkową, która — dobrze to wiedziała — tak bardzo go drażniła. A zresztą, kto powiedział, że Bruce jest stateczny i odpowiedzialny? Przecież od początku wiedziała, iż jest równie lekkomyślny i skłonny do psot jak dziecko. To właśnie najbardziej w nim kochała — tak bardzo się różnił od zrównoważonej cioci Addy. Jak w ogóle mogła go podejrzewać...?

Naszła ją ochota na papierosa. Sięgnęła na nocny stolik, ale żadnego nie znalazła. Neseser Bruce'a leżał na fotelu przy łóżku. Wiedziała, że zawsze trzyma w nim paczkę papierosów. Wyciągnęła rękę i dotknęła zamka.

Głos Bruce'a rozległ się tak znenacka, że aż podskoczyła.

— Lorna, czego ci potrzeba?

Odwróciła się i zobaczyła jego sylwetkę w drzwiach łazienki. Z przerażeniem pomyślała o tym, jak bez niego wyglądałoby jej życie.

— Tylko ciebie, skarbie, i papierosa.

W jednej chwili był tuż przy niej. Wyjął papierosa z kieszeni szlafroka, zapalił i wsunął jej do ust.

— Najdroższa, już nigdy nie postąpię w ten sposób. Przysięgam. I do końca życia nie zapomnę, jaka byłaś dla mnie dobra.

Po tym, jak dzwonek u drzwi wejściowych zamilkł i stało się jasne, że Hilary sobie poszedł, pani Snow poczuła się tak, jakby już umarła. Panika ją opuściła. Być może, żeby się bać, trzeba żywić choć cień nadziei. Lecz teraz nie było już żadnej nadziei, żadnego lęku, tylko pragnienie, niczym śmiertelna choroba, coś, co trzeba znosić minuta po minucie, a co nigdy nie ustąpi.

Noc ciągnęła się bez końca. Czy to zresztą nadal była noc? Wiele godzin temu podczołgała się na środek pomieszczenia i spróbowała odczytać godzinę na zegarku. Ale kręciło jej się w głowie, a wzrok nie mógł skupić się na wskazówkach. Zresztą nie miało to już żadnego znaczenia. W grobie czas nie ma znaczenia.

Od tamtej pory kilka razy zdarzyło jej się zapomnieć, gdzie się właściwie znajduje. Jarząca się pod sufitem żarówka zdawała jej się być lampą świecącą w kajucie na łodzi Gordona. Miała wrażenie, że kołysze się do wtóru fal. Gordon też tam był, siedział razem z nią na koi, obejmując ją ramieniem. Kochany Gordon! Jak to miło, że dotrzymuje jej towarzystwa, chociaż nie żyje! Kochany Gordon...

A potem Gordon gdzieś zniknął, a ją ogarnął lekki niepokój. Do-
kład właściwie płyną? Dlaczego dotąd nie zawinęli do portu?

— Gordon. — Jej splekane wargi głośno wypowiedziały jego imię, choć wcale nie była tego świadoma.

Zwinęła się w kłębek na cementowej posadzce, czule obejmując ramionami otwarty przewód grzewczy.

— Tak mnie boli głowa, Gordonie, tak mnie boli głowa. Czy mo-
żesz przynieść mi aspirynę?

Zaczęła płakać. Łzy spływały wolno po jej policzkach, pomiędzy potarganymi pasmami włosów.

Jesteś całkiem sama. Zagubiona na otwartym morzu.

Lorna Mendham stała w kącie olbrzymiego salonu Simmonsów z kieliszkiem martini w dłoni. Otaczał ją gwar; trwało przyjęcie koktajlowe, poprzedzające niedzielny lunch. Sylvia i Larry odmówili uczestniczenia w nim, wybierając całodzienną żeglowanie. Bruce spotkał wcześniej kilku swoich zamożnych znajomych z południa Francji i teraz zabawiał ich na tarasie.

Lorna cieszyła się z tej chwilowej samotności. Zbyt była zdenerwowana, żeby wdawać się w towarzyskie pogawędki. Po jakże wzruszającej scenie z poprzedniego wieczoru miała nadzieję, że między nią a Bruce'em znowu wszystko będzie się idealnie układać. Ale tak się nie stało.

Kiedy się w nim zakochała, wydawało się jej, że na zawsze pożegnała tę część swojej osobowości, która nieustannie kazała jej się bać i wątpić w siebie. Teraz jednak wiedziała, że nie da się przed tym

uciec. Cały ranek zadawała sobie pytanie: *Jak mogę być pewna, że Bruce mówi prawdę? Przecież ukrył przede nią tę szaloną historię z obstawianiem na wyścigach. Jeżeli był w stanie to zrobić... No jasne, całkiem zapomniałem. Przecież wżeniłeś się w niezły posag. Jaka szkoda, że ciocia Addy wyjechała do pani Lindsay! Gdyby tylko Lorna mogła do niej zadzwonić!*

Ponuro pociągnęła łyk martini, nie przestając bić się z myślami. Musi przestać się tak zachowywać; w przeciwnym razie jej małżeństwo będzie skazane na porażkę. Rozejrzała się wokół siebie w poszukiwaniu kogoś, z kim mogłaby pogawędzić. Zauważyła siedzącą samotnie starą panią McCarthy. Była ona znajomą cioci Addy i straszliwą nudziarą, której towarzystwa Lorna zwykle unikała jak ognia. Dzisiaj jednak wyjątkowo odpowiadało ono jej nastrojowi.

Zrobiła kilka kroków i podeszła do fotela. — Dzień dobry, pani McCarthy.

— Witaj, moje dziecko. Prześlicznie wyglądasz. A jak się miewa twoja ciotka?

— Och, znakomicie. Spędza weekend z panią Lindsay.

— Z panią Warrenową Lindsay?

— Właśnie.

— Ależ, moje dziecko, musiałś się pomylić. — Oczy pani McCarthy były okrągłe jak dwa talerze. — Biedna Dora Lindsay umarła w ubiegłym tygodniu. Wiesz, że była moją szwagierką. Mój mąż poleciał do Kopenhagi na pogrzeb.

Przez chwilę Lorna obawiała się, że zemdleje. Rozpaczliwie usiłowała zachować uprzejmy wyraz twarzy.

— Och, tak mi przykro. Oczywiście, musiałam się pomylić. Zawsze myliłam panią Lindsay z tą... tą drugą przyjaciółką cioci Addy.

Słyszała samą siebie, szczebioczącą jakieś banały. Lecz przerożenie już nią owładnęło. A więc miała rację. Wczorajszy wieczór, pokora Bruce'a, jego zwierzenia, jego wstyd, jego przeprosiny, wszystko to były kłamstwa! Również jej wczorajsze podejrzenia okazały się słuszne; podejrzenia, które ogarnęły ją na tarasie, kiedy Bruce tak nagle zacisnął wokół niej swoje ramiona. Na poczekaniu wymyślił tę historijkę z panią Lindsay. Po co? Żeby nie zadzwoniła do cioci Addy? Dlaczego? Co takiego mógł jej zrobić?

Potoczyła wokół szalonym wzrokiem. Bruce'a nie było w salonie.

— Proszę mi wybaczyć, pani McCarthy. Właśnie... coś sobie przypomniałam. Muszę do kogoś zatelefonować...

Prędko wybiegła do holu, podniosła słuchawkę i podała telefonistce numer cioci Addy. Drżąc na całym ciele, z trudem przytrzymywała słuchawkę przy uchu. Przez cały czas dręczyła ją też okropna świadomość, że lada moment Bruce może stanąć za jej plecami, Bruce, który nagle stał się obcym człowiekiem, strasznym i przerażającym.

Po drugiej stronie linii słyszała sygnał dzwoniącego telefonu. Ktoś przecież musiał być w domu. Choćby Arlene. Powinna tam być przez całą niedzielę. Odległy telefon dzwonił i dzwonił.

— Przykro mi, proszę pani. Nikt nie odbiera. Czy mam...?

Lorna odłożyła słuchawkę. Gorączkowo przerzucała kartki kieszonkowego notesu. Zapisywała sobie numer Arlene, była tego pewna. O tak, znalazła go w spisie telefonów. Jeszcze raz podniosła słuchawkę.

Nieznany męski głos powiedział: — Halo?

— Czy zastałam Arlene? Mówi Lorna Mendham, bratanica pani Snow.

— Przykro mi, proszę pani, Arlene wyjechała do Atlantic City.

— Ale przecież miała być dzisiaj u mojej ciotki.

— Nie, proszę pani. Pan Mendham zadzwonił i powiedział, że pani Snow wyjeżdża na weekend. Arlene dostała wolne aż do wtorku.

Strach mroził Lornie krew w żyłach. — A czy... Czy pan Mendham powiedział, dokąd wybiera się pani Snow?

— Nie, proszę pani. Tylko to, że Arlene ma do wtorku wolne.

— Ale... Ale... — Lorna usłyszała za plecami czyjeś kroki. — Trudno — powiedziała do słuchawki. — Przepraszam, że pana niepokoiłam. Ja... myślałam, że pan coś wie.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się. Na progu drzwi prowadzących do salonu stał Bruce. Uśmiechnął się do niej czule.

— Tutaj jesteś, najdroższa. Wszędzie cię szukałem.

Ku jej zdziwieniu wściekłość na Bruce'a i na siebie samą za to, że była tak naiwna, zwyciężyła w niej strach. Zdołała nawet odpowiedzieć mu uśmiechem, jak gdyby nigdy nic.

— To ty, Bruce. Właśnie dzwoniłam do Emmettów — skłamała. — Jest tu jakiś człowiek, któremu bardzo zależy na tym, żeby spotkać

się z Larrym w interesach przed swoim powrotem do Nowego Jorku. Pomyślałam, że może służba wie, kiedy wrócą z rejsu.

Poczuła jego dłoń na swoim ramieniu. Z trudem powstrzymała się, żeby nie zacząć krzyczeć. Zadzwoił do Arlene i dał jej wolne na cały weekend. Wymyślił bajeczkę o pani Lindsay, żeby nie zadzwoniła do domu. Dlaczego? Dlaczego? Gdzie była ciocia Addy? Co on jej zrobił?

— Kochanie. — Bruce pociągnął ją za sobą do salonu; w jego głosie słychać było radosne podniecenie. — Co za wspaniały zbieg okoliczności. Właśnie spotkałem Baintonów z Saint Tropez. Są obrzydliwe bogaci i strasznie chcą ciebie poznać.

Napięte do granic wytrzymałości nerwy sprawiły, że Lorna zaczęła myśleć z niezwykłą jasnością. Musiała jak najszybciej wrócić do domu, do cioci Addy. Najlepiej natychmiast. Nie mogła jednak wzbudzić jego podejrzeń. Mogła tego dokonać tylko w jeden sposób. Teraz...

Mijali rozgadane grupki gości sączących koktajle. Lorna oparła się mocniej na ramieniu męża, przekonująco westchnęła i osunęła się bezwładnie na podłogę.

W rzeczywistości była tak bliska omdlenia, że udawanie go nie było wcale takie trudne. Gwar rozmów zmienił się nagle w pełne przejęcia okrzyki. Poczuła, że ktoś — Bruce — obejmuje ją ramieniem i usiłuje podnieść.

— Wody! Przynieście wody!

Chwilę później, czując krawędź szklanki przyciśniętą do ust, otworzyła oczy i mrugając, bezradnie spojrzała prosto w zatroskaną twarz swojego męża. — Co się...? Och, tak mi przykro.

— Lorna, najdroższa.

— To na pewno ten upał. Za długo byłam wczoraj na słońcu. Bruce, najlepiej będzie, jeśli odwieziesz mnie do Sylwii.

— Oczywiście, kochanie. Oczywiście.

Bruce wziął ją na ręce i zaniósł do samochodu, przechodząc pomiędzy zaniepokojonymi gośćmi. Przez całą drogę powrotną do domu Emmettów, wsparta bezwładnie na ramieniu Bruce'a, Lorna zastanawiała się, co powinna teraz zrobić.

Koszmarem było mieć tyle podejrzeń, a niczego na pewno nie wiedzieć. Oczywiście chodziło mu o pieniądze. Musiał je skądś zdobyć.

Pierścionek z szafirem? Szmaragdy? Ale dlaczego porzucił ciocię Addy samą w domu? Dlaczego tak bardzo się starał, żeby nikt do niej nie dzwonił?

Kiedy dotarli na miejsce, Bruce wyniósł ją delikatnie z samochodu i zaniósł po schodach na górę, do ich sypialni. Wszystko, co do tej pory zrobił, wszystko, co powiedział, nabrało nagle ogromnego znaczenia. Musi sobie przypomnieć. Musi...

Położył ją na łóżku. W tym samym momencie Lorna zauważyła jego nesesper, leżący na fotelu przy oknie. Poprzedniego wieczoru sięgnęła po niego, chcąc poszukać w środku papierosów, a wtedy Bruce wynurzył się nagle z łazienki i niemalże krzyknął na nią: „Czego ci potrzeba?” Już wtedy ton jego głosu wydał jej się dziwny. Nesesper! Może było tam coś ważnego?

— Lorna, skarbie. — Bruce przysiadł na krawędzi łóżka. — Lepiej się czujesz?

Oczywiście, nesesper! Serce biło jej w piersiach jak młotem. Jeżeli w środku było coś cennego, Bruce na pewno go zamknął. Ale kluczyk od jej szkatułki na biżuterię pasował do zamka w nesesperze. Wiedziała o tym, bo gdy kiedyś zgubiła kluczyk od szkatułki, udało jej się ją otworzyć właśnie przy pomocy kluczyka, którym Bruce zamykał swój nesesper.

— Bruce, proszę, bądź tak dobry i przynieś mi z dołu odrobinę brandy.

— Już się robi.

Gdy tylko wyszedł z pokoju, Lorna wyskoczyła z łóżka, podbiegła do szkatułki na biżuterię, wyjęła kluczyk i pospiesznie podeszła do leżącego na fotelu nesesperu. Włożyła kluczyk do zamka i przekręciła go. Zapadka odskoczyła. Lorna chaotycznie przeglądała zawartość nesesperu. Była tam paczka papierosów i plik listów. To musiała być piątkowa poczta; poprosiła Bruce'a, żeby ją ze sobą zabrał, a potem zapomniała się o nią upomnieć. Na dnie nesesperu coś błysnęło. Przyjrzała się uważnie. Pistolet! Obok niego leżało coś jeszcze, coś małego i bardzo błyszczącego. Sięgnęła po to.

Trzymała w ręce pierścionek z szafirem, należący do cioci Addy.

Patrzyła na niego, szcękając zębami. Nie potrafiła nad tym zapanować. Jeszcze raz przyjrzała się zawartości nesesperu. Kiedy wyjmowała pierścionek, wysunęła się brązowa, biurowa koperta — koperta

z banku. Była otwarta. Lorna chwyciła ją. Koperta nie była zaadresowana do żadnego z nich. Widniało na niej nazwisko cioci Addy Wsunęła dłoń do środka i wyjęła z niej trzy czeki. Wyplata siedmiuset pięćdziesięciu dolarów, zatwierdzona podpisem Adelaide Snow. Kolejny czek na pięćset dolarów. I jeszcze jeden na tysiąc pięćset.

Na ostatnim czeku dostrzegła wypisane w poprzek czerwonym ołówkiem jedno słowo: FAŁSZERSTWO. Rozpoznała pismo ciotki.

Teraz wszystko było jasne. Całkowicie jasne. Bruce skłamał, mówiąc, że pożyczył pieniądze na procent. Sfałszował czeki cioci Addy, żeby spłacić swoje hazardowe długi. A ciocia Addy musiała go na tym przyłapać. To dlatego zadzwoniła do Lorny, prosząc, by jak najszybciej wróciła do domu. Ciocia Addy złapała go na gorącym uczynku i zagroziła, że ujawni jego oszustwa. Ale... Ale... Czeki były teraz w posiadaniu Bruce'a. Musiał odebrać je cioci Addy siłą.

Czy to oznaczało, że... że ją zabił? Nie, nie, to niemożliwe. Był zbyt sprytny, żeby pozostawić ciało... Przypomniało jej się zdanie, które wypowiedział Bruce o cioci Addy: *Weszła więc do sejfu...* Sejf! W ubiegłym tygodniu popsuł się mechanizm w drzwiach; teraz zatrzaśkiwały się automatycznie. A jeśli Bruce zamknął ją w sejfie?! Jeśli to dlatego zwolnił Arlene i tak skutecznie odwoził Lornę od pomysłu zatelefonowania do domu? Nie, nie. To także było niemożliwe. Bruce nie mógłby...

Usłyszała kroki na schodach. .

Szybko zatrzasnęła neseser, przekręciła kluczyk w zamku i rzuciła go na fotel. Pierścionek z szafirem wsunęła do kieszeni żakietu, a czeki wepchnęła z powrotem do koperty, którą następnie wsunęła pod poduszkę.

Zdążyła jeszcze się położyć, gdy do sypialni wszedł Bruce z dwiema szklaneczkami brandy: — Proszę, najdroższa. A drugi dla tatusia.

Wzięła szklankę w drżące dłonie i szybko wypila jej zawartość. W głowie jej huczało od natłoku myśli. Jaka szkoda, że Sylvii i Larry'ego nie ma w domu! Mogłaby wezwać policję. Nie, nie. Nie ośmieliłaby się ich wezwać, dopóki nie dowiedziałyby się czegoś więcej, dopóki nie byłaby całkiem pewna. Musiała skontaktować się z ciocią Addy. To było jedyne rozwiązanie. Musiała wrócić do domu.

— Bruce, okropnie się czuję.
— Moje biedactwo. Nie martw się. Zaraz ci przejdzie.
— Nie, Bruce. Myślę, że powinniśmy wracać do domu.
— Do domu? — Bruce już się nie uśmiechał. — Ależ to niemożliwe, kochanie.

— Dlaczego?

— Z powodu Baintonów. Przyłynęli tutaj swoim jachtem. O piątej wypływają w tygodniowy rejs aż na przylądek i chcą, żebyśmy im towarzyszyli. To naprawdę wspaniała okazja. Baintonowie siedzą na pieniądzech, a ty na pewno ich oczarujesz. Jak już się z nimi na dobre zaprzyjaźnimy, pożyczą nam te pięć tysięcy dolców bez drgnienia powieki.

Lorna poczuła, że znalazła się w pułapce. Patrząc w pozbawione wyrazu oczy swojego męża musiała z całej siły zaciskać pięści, żeby nie zacząć krzyczeć: *Jak możesz tak kłamać. Przecież masz już pieniądze. Ukradłeś je cioci Addy. Co jej zrobiłeś?*

Jednak przyznanie, że wie o wszystkim, byłoby z jej strony szaleństwem. Jeżeli Bruce był zdolny skrzywdzić ciocię Addy, mógłby również... Przed oczyma stanął jej ukryty w neseserze pistolet.

— Nie mogę — jęknęła. — Naprawdę nie mogę popłynąć. Ja...

— Nonsens. Skarbie, oczywiście, że możesz i popłyniesz. Dalsze zwodzenie tych lichwiarzy byłoby jak podpisanie wyroku śmierci. To nasza szansa — nasza jedyna szansa. Wczoraj wieczorem mi przebaczyłaś. Więc teraz musisz mi pomóc.

Położył się obok niej. Jego dłoń gładziła jej czoło. — No, kochanie. Odpocznij przez kilka godzin. Zobaczysz, że potem poczujesz się jak nowo narodzona i będziemy mogli wyruszyć. Jeśli Sylvia i Larry do tej pory nie wrócą, zostawimy im wiadomość. Mamy ze sobą aż nadto ubrań. Zresztą Baintonowie nie zwracają aż takiej uwagi na strój.

Lorna leżała, słuchając niespokojnego bicia swojego serca. Czy Bruce wiedział, że go podejrzewała? Czy dlatego wymyślił ten rejs, żeby ją zatrzymać? A może był to kolejny pretekst, żeby jak najdłużej utrzymać ją z dala od domu i cioci Addy? Ciocia Addy! Zamknięta w sejfie? Nie, nie, nie. Ogarnęła ją nagła i paraliżująca niemoc.

Bruce pocałował ją w policzek.

— Chyba nie chcemy, żeby służba nam przeszkadzała, prawda?

Wstał i zamknął drzwi na klucz, a następnie znowu wyciągnął się przy niej na łóżku.

— Tak jest znacznie lepiej! A teraz, kochanie, pora spać. — Znowu poczuła na czole dotyk jego palców, odrażający niczym dotyk pająka. — Odpręż się, skarbie. Tatusz jest przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

Żarówka pod sufitem wypaliła się i w sejfie zapadła ciemność. Ale pani Snow była jedynie częściowo świadoma tego faktu. Od czasu do czasu, kiedy jej umysł był na tyle przytomny, aby ogarnąć koszmarną rzeczywistość, zdawało jej się, że ciemność dusi ją jak przyciśnięty do twarzy czarny ręcznik; wtedy zdawała sobie sprawę z tego, że jest w pułapce i że umiera. Jednak przez większość czasu przebywała w nierealnym świecie fantazji i wspomnień z przeszłości. Gordon był przy niej niemal bez przerwy. To on przynosił jej pocieszenie. Ale i w tym świecie czaiły się kosmary, niewypowiedziane kosmary. Czasami miała wrażenie, że całe jej ciało krzyczy z przerażenia.

Lecz chociaż tkwiła w samym środku tego kosmaru, chociaż jej język był niczym potworny grzyb, opuchnięty i nie pozwalający swobodnie oddychać, a ostre noże zagłębiały się w jej mózg, pani Snow nawet na chwilę nie zapomniwała o najważniejszej rzeczy. W każdej minucie każdej ciągnącej się niemiłosiernie godziny pamiętała, że toczy walkę na śmierć i życie i że nie wolno jej się poddać.

Już dawno przestała obejmować ramionami otwarty metalowy przewód. Teraz leżała rozciągnięta na cementowej posadzce. Nie miała żadnej innej broni poza swoją determinacją i niezłomnym uporem.

Gdzieś przed nią majaczył cel. Nie wiedziała już, co nim było, ale nadal przed nią był. Jeżeli tylko nie przestanie walczyć, jakimś cudem uda jej się go osiągnąć.

Lorna leżała w łóżku, udając pogrążoną we śnie. Mąż obejmował ją ramieniem. Nie śmiała otworzyć oczu, ale wiedziała, że Bruce nie śpi.

Czy coś podejrzewał? A jeśli tak, to co? To pytanie dręczyło ją przez ostatnie koszarne minuty. Przez cały weekend Bruce ją „urabiał”. Teraz to zrozumiała. Nawet jeśli niczego jeszcze nie podejrzewał,

i tak nie pozwoli, żeby oddaliła się sama do telefonu. Nie spuści jej z oka, dopóki nie znajdą się oboje na jachcie Baintonów, całkowicie odcięci od świata. Chcąc zawiadomić policję, musiałyby rzucić mu w twarz swoje oskarżenia, przyznać, że znalazła sfalszowane czeki, które dokładnie w tej chwili leżały ukryte w brązowej kopercie pod jej poduszką. Jeżeli... Jeżeli zrobił cioci Addy to, o co go podejrzewała, co w takim razie, doprowadzony do ostateczności, mógłby zrobić jej?

W rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazła, Lorna nie miała innego wyjścia, jak tylko zaakceptować fakt, że jej małżeństwo jest skończone, a miłość zastąpiły strach i obrzydzenie. Na lzy przyjdzie czas później. Teraz najważniejsza była ciocia Addy. Jeżeli wszystko inne zawiedzie, będzie musiała zaryzykować i skontaktować się z policją. Na razie musiała jednak znaleźć jakiś inny sposób, żeby wrócić do domu, nie wzbudzając podejrzeń Bruce'a...

Jej mąż wydał z siebie senny pomruk i udając, że się budzi, przysunął się bliżej i pocałował płatek jej ucha. Była to jedna z jego ulubionych miłosnych sztuczek. Lorna z trudem powstrzymała się, żeby się od niego nie odsunąć, a jednocześnie zaświtała w niej słaba nadzieja. Gdyby Bruce choć przez chwilę podejrzewał, że jego żona zna prawdę, nie próbowałby wkupić się w jej łaski. A więc nadal ją „urabiał”. Może więc to jej żalotne, ślepe zauroczenie okaże się dla niej wybawieniem. Była dla Bruce'a łatwą zdobyczą; uważał ją za zbyt głupią, aby mogła stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Ten plan mógł się powieść. Oczywiście mógł także na wiele sposobów przynieść katastrofę, ale mógł się powieść. Wszystko będzie zależało od tego, czy okaże się dobrą aktorką, czy będzie potrafiła zagrać kochającą, ufną, niewinną i głupiutką żonę. Bo inaczej...

Bruce ponownie pocałował płatek jej ucha. Lorna westchnęła z zadowoleniem i odwracając się twarzą do niego, objęła go za szyję i przycisnęła usta do jego warg. — Najdroższy...

- Lorna, skarbie.
- Długo spałam?
- Nie tak długo.
- To niesamowite. Wspaniale się czuję.
- Dzielna dziewczynka.

— Tak, zupełnie nic mi nie jest. A ten pomysł z rejssem jest absolutnie cudowny.

Obserwując go przez przymrużone powieki, zauważyła jego ukradkowy uśmiezek — ależ był z siebie zadowolony! — i pomyślała z niedowierzaniem, podniecona: *A więc jednak jest głupi! Mimo wszystko jest głupi!*

Pieszczotliwie potargał jej włosy. — Kochanie, to świetnie. Ciocia Addy i tak spodziewa się nas najwcześniej we wtorek. Wyślemy jej jutro telegram z jakiegoś portu.

— Och, nie miejmy wyrzutów sumienia z powodu cioci Addy. — Lorna zachichotała i pocałowała go w policzek. — Teraz jest coś o wiele ważniejszego niż ciocia Addy, kochanie.

— Co takiego?

— Jeszcze jedna szklaneczka brandy.

Łatwość, z jaką udało jej się go oszukać, była niemal żenująca. Bruce zeskoczył z łóżka, ziewnął teatralnie, przekręcił klucz w zamku i zniknął za drzwiami.

Lorna szybko podbiegła do neseseru i otworzyła go. Wrzuciła do środka pierścionek z szafirem. Bruce na pewno pamiętał, że go tam włożył; ukrywanie go byłoby zbyt ryzykowne. Potem podeszła do łóżka, wyciągnęła spod poduszki brązową kopertę, wyjęła z niej czek ze słowem *FALSZERSTWO*, a następnie wsunęła kopertę z pozostałymi dwoma czekami z powrotem do neseseru, pomiędzy plik zaadresowanych do siebie listów. Zamknęła neseser, ukryła opisany czek w swojej torebce i wskoczyła do łóżka.

Bruce wszedł do sypialni z dwiema szklaneczkami brandy. Usiadł na brzegu łóżka i podając jej szklaneczkę, wzniósł drugą do góry: — Za Mendhamów, skarbie.

— Za Mendhamów, Bruce.

Gdy minął pierwszy szok i gra się rozpoczęła, Lorna poczuła, że jej emocje stygną, a ona sama nabiera coraz większej pewności siebie. Wszystko zależało od tego, co dokładnie zrobił jej mąż po tym, jak już odebrał cioci Addy sfałszowane czeki. Lorna bardzo ryzykowała, stawiając wszystko na jedną kartę. Prawdopodobieństwo powodzenia wynosiło może dwadzieścia do jednego, a porażka równałaby się katastrofie. Wierzyła jednak, że musi jej się udać. Pragnęła tego każdą cząstką swojej duszy.

— Bruce, kochanie. Całkiem zapomniałam zapytać cię o moją korespondencję. Przywiozłeś ją?

— Jasne, skarbie.

— To może daj mi teraz te listy. Lepiej, żebym je przeczytała, zanim znajdziemy się na jachcie. Może jest tam coś ważnego.

Bruce Mendham podszedł do fotela, na którym leżał jego neseser. Cały promieniał z dumy i zadowolenia. Uczucia te towarzyszyły mu przez cały weekend, choć oczywiście nie wszystko poszło dokładnie tak, jak to sobie zaplanował. Niedobrze się stało, że w barze jachtklubu wpadł na Boba Struthera, jednak wzbudzenie w Lornie współczucia i uspienie wszelkich jej podejrzeń okazało się dziecinnie proste. Ta historia z panią Lindsay też nie wyszła mu najlepiej, ale tak bardzo zależało mu, by Lorna nie zatelefonowała do pani Snow, że uchwycił się pierwszego nazwiska, jakie mu przyszło do głowy. Ale to wszystko nie miało już znaczenia. Później wyjaśni Lornie swoją pomyłkę. Powie, że coś mu się pokręciło. Że to nie pani Lindsay, ale jakaś jej przyjaciółka zadzwoniła do ciotki Addy z wiadomością o swoim przyjeździe i zaprosiła ciotkę do Connecticut.

Kiedy zobaczył, że Lorna dzwoni do kogoś od Simmonsów, przez jedną okropną chwilę myślał, że zaczęła się czegoś domyślać. Na szczęście dzwoniła tylko do Emmettów.

Jak wszyscy próżni mężczyźni, Bruce miał w pogardzie inteligencję kobiet, które się w nim zakochiwały. Jednak największą pogardę wzbudzała w nim Lorna, która zdecydowała się wyjść za niego za mąż. Kiedy zaśląbła u Simmonsów, od razu chciała wracać do domu. Pomysł rejsu jachtem w ogóle jej się nie spodobał. Wystarczyło jednak okazać jej trochę czułości, a znowu jadła mu z ręki. Nie, żeby ta wyprawa z Baintonami miała decydujące znaczenie dla powodzenia jego planu. Starsza pani już od ponad czterdziestu ośmiu godzin była zamknięta w sejfie. Na pewno już dawno skończyło jej się powietrze. Prawdopodobnie mogliby nawet zaraz wrócić do domu i całkiem spokojnie dokonać makabrycznego odkrycia.

Jednak pomysł z rejssem wydał mu się tak genialny, że nie potrafił mu się oprzeć. Poza tym warto było mieć takich znajomych jak Baintonowie.

Wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył neseser. Instynktownie odszukał najpierw kopertę z banku i znalazł ją upchniętą pomiędzy

listami Lorny. Wyłowił ją z pliku korespondencji i odrzucił na bok, a potem zaniósł żonie pocztę do łóżka. — Proszę, skarbie.

— Dzięki, kochany.

Widząc, że Lorna od razu zajęła się przeglądaniem listów, wrócił do otwartego neseseru. Dopiero teraz, kiedy trzymał w dłoniach feralną kopertę, przyszło mu do głowy, że noszenie przy sobie sfalszowanych czeków jest dosyć nierozsądne. Postanowił zniszczyć je, jak tylko zostanie sam. Stał tyłem do łóżka. Już chciał wrzucić kopertę z powrotem pomiędzy papiery, ale coś go tknęło. Otworzył ją i zajrzał do środka. Zobaczył czeki. Zobaczył... I zeszywniał z przerażenia. Jednym ruchem wyciągnął czeki z koperty i obejrzał je uważnie. To niemożliwe... Musiała zająć jakaś pomyłka.

Ale nie. W kopercie były tylko dwa czeki. Trzeci — ten, na którym starucha nabazgrała *FALSZERSTWO*...

Starannie przeszukał neseser. Za jego plecami Lorna zaśmiała się, rozbawiona: — Kochanie, dostałam list od Rosemary Axel. Pamiętasz ją? To ta kobieta z *Ile de France*, podróżująca z pudłem.

Bruce'a ogarnęła panika. Trzeciego czeku nie było w neseserze. Czyżby jakimś cudem zaplątał się pomiędzy listy Lorny? Z trudem zachowując spokój, podszedł do łóżka, usiadł i udając zaniepokojenie, przejrzał stertę korespondencji. Czeku tam nie było.

Lorna uśmiechnęła się do niego znad czytanego listu i nachylając się, pocałowała go w czubek nosa.

— Rosemary przesyła ci pozdrowienia. Całkiem oszalała na twoim punkcie. Wiem, że strasznie mi zazdrości.

Myśli Bruce'a rozbiegły się w kilku kierunkach jednocześnie. Czy to możliwe, aby mimo wszystko Lorna jednak go podejrzewała? Czyżby w jakiś sposób udało jej się otworzyć neseser i wykraść czek? Uważnie przyjrzał się jej spokojnej twarzy, uśmiechającej się do niego z bliska. Nie, to absolutnie niemożliwe.

W takim razie... No, jasne! Teraz już sobie przypominał; strach chwycił go za gardło jak wygłodniały tygrys. Po tym, jak zamknął starszą panią w sejfie, wyjął z koperty czeki i oglądał je w gabinecie. Myślał — był tego prawie pewien — że później schował je wszystkie do koperty. Jednak wzburzenie i podniecenie zrobiły swoje. Musiał niechcący upuścić trzeci czek. Oczywiście. Pewnie leży teraz na podłodze w gabinecie, z napisem *FALSZERSTWO* niczym wycelowany

w niego oskarżycielski palec. Każdy, kto go znajdzie, natychmiast domyśli się prawdy.

Musi tam wrócić. I to zaraz. Nie ma czasu do stracenia. Tylko to mógł teraz zrobić. Będzie musiał coś wymyślić, żeby całkowicie zmienić swoje plany, nie wzbudzając podejrzeń Lorny. Tylko co?

Rozwiązanie przyszło od razu. Było tak proste, że z miejsca odzyskał dawną pewność siebie. Przez chwilę był naprawdę wytrącony z równowagi. To do niego całkiem niepodobne. Bruce Mendham nigdy nie tracił panowania nad sobą.

Pocałował Lornę w policzek. — Skarbie, zanim przebrniesz przez te papierzyska, zadzwonię do Baintonów i powiem, że z nimi płyniemy. Są jeszcze w hotelu.

Zbiegł na dół, zadzwonił do hotelu, w którym zatrzymali się Baintonowie, i zostawił im wiadomość, w której bardzo przeproszał i zawiadamiał, że wraz z żoną muszą niespodziewanie wracać do Nowego Jorku. Następnie wszedł na górę do sypialni, przywołując na twarz wyraz ponurego rozczarowania.

— Lorna, najdroższa, stary Bainton trochę namieszał. Jego żona, nic mu nie mówiąc, zaprosiła już kogoś na jacht. Obawiam się, że dla nas nie ma już miejsc.

— Och, Bruce, jaka szkoda.

— Ale mam inny pomysł, skarbie. Bainton powiedział mi, że Willie Stretz jest w Nowym Jorku. Pamiętasz go, to ten ważniak z Teksasu, handluje ropą. Mój dobry kumpel. Bez problemu pożycz mi te pięć tysięcy. Ale wiem od Baintona, że jutro Willie wylatuje do Dallas. Myślisz, że Emmettowie mieliby mi za złe, gdybym jeszcze dzisiaj wrócił do Nowego Jorku?

— Na pewno nie, kochanie. — Lorna obdarzyła go tym swoim uśmiechem wiernej żony. Wyrażał bezgraniczne uwielbienie, które zawsze tak bardzo go irytowało. — Wyjdziemy, nie zwlekając. Zaraz napiszę liścik do Sylvii.

— Nie ma potrzeby, żebyś ty ze mną wracała, złotko.

— Ale ja chcę z tobą pojechać. Powiedziałam, że już mi lepiej, bo wiedziałam, ile znaczył dla ciebie ten rejs. Ale teraz... Och, Bruce, zabierz mnie ze sobą. I tak nie potrafiłabym bez ciebie dobrze się tu bawić!

Bruce popatrzył na nią z zadowoleniem; ależ ona go kochała! A właściwie, dlaczego miałyby z nim nie pojechać? Nawet będzie lepiej, jeśli dokona „odkrycia”, mając Lornę za świadka.

— Zgoda, kochanie. Spakuj się. Chcę wyjechać tak szybko, jak to możliwe...

Gdy samochód mknął w kierunku Nowego Jorku, Lorna przeżywała męczarnie niepewności. Wyprowadziła Bruce'a w pole. Był przekonany, że zostawił trzeci czek w domu i pędził na złamanie karku, żeby go odzyskać. Jej plan się powiódł. Tylko dlaczego Bruce zbytnio nie protestował, kiedy oznajmiła, że chce z nim pojechać? Czyżby był aż tak pewny siebie? A może to znaczyło, że ciocia Addy już nie...? Odpędziła od siebie tę straszną myśl. A jednak to musiało być to. W przeciwnym razie nie ryzykowałby, zabierając ją ze sobą. Musiał być całkowicie pewien, że nic mu nie grozi, że ciocia Addy nie będzie mogła... Nie będzie mogła go oskarżyć...

Popołudniowy ruch na drodze wzmagął się z każdą chwilą. Bruce prowadził jak wariat. Lorna zmagiała się z ogarniającą ją rozpaczą. Na pewno wszystko było już stracone. Nie, nie — nie wolno jej tak myśleć. Musi wierzyć, że wciąż liczy się każda minuta, że każda sekunda, która przybliży ją do Nowego Jorku, może jeszcze uratować ciocię Addy.

Nagle z gwałtownym szarpnięciem ich samochód skręcił w prawo, a jednocześnie rozległ się głośny wystrzał, niczym z broni palnej. Przez chwilę autostrada wirowała wokół nich. Potem przy wtórze zgrzytu hamulców i pisku opon auto zatrzymało się.

— Złapaliśmy gumę.

Bruce wyskoczył z samochodu z przekleństwem na ustach. Lorna również wygramoliła się na zewnątrz, drżąc na całym ciele i w gorączkowym skupieniu obserwowała, jak jej mąż zmienia koło. Już nawet nie krył, jak spieszo mu wrócić do Nowego Jorku.

A więc ma mnie za śleparę — pomyślała, czując chłodne i dogłębne rozczarowanie. Aż tak nisko ceni moją inteligencję.

W końcu ruszyli, pędząc do Nowego Jorku ile mocy w silniku. Wszystko przelatywało im tylko za szybą. Wreszcie przejechali East River, by zaraz ugrząść w korkach na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. W końcu Bruce skręcił na podjazd przed ich domem w Sutton Place.

— Jesteśmy na miejscu. Nawet całkiem niezły czas.

Pomagając jej wysiąść, znowu uśmiechał się tym swoim pozbawionym wyrazu uśmiechem. Myślał, że wygrał! Nadal ją „urabiał”, całkowicie nieświadomy tego, że ma dowody jego winy, wystarczające, aby go zniszczyć.

Co za głupiec — pomyślała, z trudem panując nad rozdygotanymi nerwami. Co za głupiec!

Stała tuż za nim, gdy otwierał drzwi wejściowe swoim kluczem. Razem weszli do pustego holu. Natychmiast usłyszeli wściekle miauczenie i z salonu wypadły na nich dwa zagłodzone koty syjamskie. Jeden z nich skoczył prosto na Lornę. Atak był tak nagły, że zaskoczona straciła równowagę. Z ręki wypadła jej torebka. Upadła na podłogę, a jej zawartość rozsypała się dookoła.

Na sekundę zmartwiła z przerażenia, widząc czek z wypisanym na nim słowem *FALSZERSTWO*. Wpadł, napisem do góry, prosto pod nogi Bruce'a.

Instynktownie rzuciła się, żeby go podnieść, ale w tym samym momencie zrozumiała, że jest już za późno. Bruce chwycił jej nadgarstek i szarpnął, pociągając ją do góry, tak że znalazła się tuż przy nim. Twarz, którą widziała przed sobą, była poszarzała z wściekłości. Wszystko zrozumiał.

— Ty! — krzyknął. — Ty!

Tłumiona od wielu godzin panika wybuchła w niej nagle, przerażając się w histerię. Lorna krzyknęła: — Gdzie jest ciocia Addy? Co jej zrobiłeś?

Przyciągnął ją do siebie, wbijając palce w jej ramiona; następnie, najwyraźniej zmieniając zdanie, odepchnął ją z całej siły. Jego twarz zmieniła się nie do poznania. Była drżąca, spopieliała i pokryta potem. Szukał czegoś w kieszeni. Wyciągnął pęk kluczy i rzucił się otwierać neseser.

Pistolet. Oczywiście, pistolet. Lorna skoczyła na niego, wytrącając mu z rąk neseser. Chwycił go jednak i wymierzył jej cios pięścią. Zataczając się do tyłu, widziała, że wkłada kluczyk do zamka. Znowu się na niego rzuciła. Mgliście zdawała sobie sprawę z oszalałego miauczenia kotów, które tarzały się u jej stóp niczym uosobienie jej własnej histerii.

— Ciociu Addy! — zawołała. — Gdzie jest ciocia Addy?!

Chwyliła go za rękę i krzyczała, drapiąc i gryząc rękaw jego płaszcza. Jego ramiona zaciskały się wokół niej w miazdzącym uścisku, czuła gorący, urywany, cuchnący brandy oddech, gdy tak szamotali się, spleceni w koszmarnym tańcu.

Nagle, niespodziewanie, gdy już opuszczały ją siły, poczuła, że ciało Bruce'a wiotczeje i staje się dziwnie ciężkie. Chwiejąc się na nogach, osunął się na nią. Nie przestając krzyczeć, nadludzkiem wysiłkiem uwolniła się z jego uchwytu, a on zatoczył się i runął obok niej na podłogę.

Lorna dygotała, łkając z cicha. Łzy przerażenia całkiem ją oślepiły. Zamrugowała kilka razy i drgnęła. Przez chwilę nie wierzyła własnym oczom...

Tuż przed nią, nachylając się nad ciałem Bruce'a, z twarzą pobladłą i przestraszoną, stał mały Joe Polansky. Trzymał coś w ręce. Co to było? Mała szlifierka do podłóg...

— Joe!

— Właśnie przyszedłem po szlifierkę i usłyszałem...

Urwał. Nie patrzył na nią. Wpatrywał się w leżącego nieruchomo Bruce'a. Nagle, w gwałtownym przypiływie wściekłości, kopnął go w brzuch, po czym, przeskakując skulone ciało, rzucił się ku schodom i popędził na górę.

Lorna ruszyła za nim, nadal się zataczając.

— Joe!

Z góry dobiegł ją jego głos. Wściekłość i gniew zniekształcały słowa: — Zamknął ją. Znalazłem list w przewodzie grzewczym. Bruce zamknął panią Snow w sejfie...

Pani Snow była świadoma tego, że zapaliło się światło, a coś — czyjeś ramiona? — otoczyło ją i uniosło do góry. Wokół niej zrobił się jakiś ruch. Czy znowu była na łodzi? Czy to Gordon przyszedł po nią? Słyszała też dźwięki — głosy, ale przecież te same głosy już od dłuższego czasu wypełniały ciszę jej więzienia. Tylko że tak naprawdę to wcale nie były głosy; dobrze to wiedziała. To było miauczenie kotów.

Bardzo chciała coś powiedzieć, coś ważnego, co by wszystko zmieniło. Lecz zanim zdążyła otworzyć usta, olbrzymi czarny żagiel spłynął z masztu i spowił ją swymi fałdami.

Kiedy prawie dwadzieścia cztery godziny później otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą twarz Lorny. Jak cudownie było zobaczyć Lornę! Za nią, zaś stał jakiś mężczyzna. Czyżby to był stary doktor Garner?

— Ciociu Addy, kochana ciociu Addy, jak się czujesz? Policja już go zabrała.

Zabrała go. Zabrała Bruce'a. Pani Snow wszystko sobie przypomniała. Ale to już nie miało znaczenia. Jej koszmar się skończył.

— Lorna, moje dziecko! — Pani Snow czuła, że ogarnia ją niezwykły spokój. Jednak coś jeszcze ją niepokoilo. Co to było? Ależ tak, oczywiście. — Lorna, czy nakarmiliście koty?

— Tak, tak. Kotom nic się nie stało.

Pani Snow uniosła dłoń z kołdry i położyła ją na ramieniu bratanicy.

— Tak się o nie martwiłam — powiedziała.

MARZENIE CHŁOPCA

Panie, dej mi pół dolara, jezdem głodny. No, dej mi pół dolara...

Amerykański slang rodem z koszarowego rynsztoka, zaprawiony włoskim akcentem i pobrzmiewający w zachrypniętym chłopięcym głosie, rozlegał się uporczywie za plecami Johna Godolphina, gdy ten oddalał się od niewielkiej kaplicy, w której przez cały ranek badał bizantyjskie mozaiki. Przez rok spędzony w sterroryzowanym zamachami bombowymi Palermo, John Godolphin nauczył się ignorować natarczywych żebraków, których pełno było w niegdyś eleganckich, a obecnie zrujnowanych uliczkach. Jego wrażliwa dusza buntowała się przeciw wszechobecnej nędzy i szarości. Ale to nie jego wina, że ci Sycylijczycy są biedni. To skandal, że mieszkający tu Amerykanie musieli czuć nieustanną presję zaspokajania potrzeb tubylców.

— No, panie. Dej mi pół dolca. Jezdem taki głodny.

John poczuł dłoń, niepewnie ciągnącą go za rękaw. Odwrócił się gwałtownie, zirytowany. Tak poznał Sebastiana.

Chłopiec, który nie mógł mieć więcej niż czternaście lat, obserwował go nieruchomymi czarnymi oczyma, miękkimi jak oczy sarny. Krzepkie ciało o miodowobrazowej skórze było skąpo odziane w porwany wojskowy T-shirt i spłowiałe niebieskie szorty. Wyciągnięta dłoń o połamanych paznokciach była brudna i drżała w pełnym nadziei oczekiwaniu.

Gdy tylko John go zobaczył, natychmiast zapomniał o swoim porzytowaniu. Chłopiec był bowiem piękny — naprawdę piękny. Zaś John Godolphin wielbił Piękno — sądził, że w taki sam sposób, jak wielbili je dawni mistrzowie włoskiego renesansu. To właśnie uwielbienie Piękna sprawiło, że kupił willę w Palermo, mieście, gdzie mógł folgować swojej pasji malowania akwarel i rozwijać wątłe talenty w tej dziedzinie w uroczym sąsiedztwie zabytkowych pałaców, między

jedną a drugą herbatką u księżnej takiej lub innej, z dala od rażącego prostactwa jego ojczystej Ameryki. Teraz zaś widok Sebastiana obudził w nim konesera.

Anioł, pomyślał John Godolphin. Nie jego bezbarwne nordyckie wyobrażenie, lecz pełnokrwisty, śródziemnomorski anioł, który na długo przed epoką chrześcijaństwa mógł być faunem.

— Co łaska, Signore. Proszę, przez miłość najświętszej Panienci...

Jego słowa, wypowiedziane w śpiewnym włoskim języku, zatarły pierwsze, niekorzystne wrażenie wywołane ordynarnym amerykańskim slangiem. Pulchną, gładką jak u niemowlęcia twarz Johna Godolphina rozjaśnił uśmiech. Wręczył chłopcu stulirowy banknot. Zauważył też, że jedno z odkrytych kolan chłopca było zadrapane i krwawiło po upadku. Pod wpływem nagłego impulsu wyjął z kieszeni chustkę i wcisnął ją w brudną dłoń dziecka.

— Weź to także — opatrzysz sobie kolano.

Sebastiano rozpromienił się cały w pełnym zachwyty uśmiechu. Chwycił dłoń Johna i przycisnął ją do ust. — Signore być moim przyjacielem — przyjacielem na wieczność.

Od tamtego dnia Sebastiano stał się cieniem Johna, wnosząc odrobinę podniecenia i barwy w jego egoistyczne, starokawalerskie życie. Oddanie chłopca było naprawdę wzruszające. Zaciekle bronił Johna przed natręctwem innych ulicznych żebraków i już nigdy nie prosił go o pieniądze, chociaż John i tak zwykle wynagradzał jego usługi. Za każdym razem, gdy John opuszczał willę Godolphin w swoim eleganckim powozie, udając się z wizytą do starej księżnej lub do Palazzo Carduccio, mógł być pewny, że Sebastiano wychynie niespodziewanie z anonimowej nędzy slumsów, by popędzić obok powozu z uśmiechem anioła na ustach i wyciągniętą ręką, gotów w każdej chwili chwycić rzucony mu banknot lub niedopałek tureckiego papierosa, które John zamawiał na specjalne zlecenie.

Czasami towarzyszył mu jeszcze jeden chłopiec, poważny mały ulicznik w wieku dziewięciu albo dziesięciu lat, którego Sebastian przedstawił jako swojego „kumpla Mario”. Zdarzyło się raz, że Mario złapał w locie rzucony banknot, a wtedy Sebastiano przewrócił go na ziemię i odebrał mu zdobycz. John Godolphin odczuł niejasne zadowolenie na myśl, że Sebastiano potrafi walczyć o swoje.

Z czasem chłopiec stał się jego ulubionym podopiecznym, niemalże ulubionym psiakiem.

I jak pies nie odstępował swojego pana.

Pewnego popołudnia, po lunchu spożytym w Palazzo Carduccio, John przechadzał się po pałacowych ogrodach w poszukiwaniu tematu do kolejnego szkicu, który zamierzał podarować Teresie Carduccio. Nagle zauważył Rosę, jedną ze służących Contessy, zrywającą koper w ogródku warzywnym. Scena ta tworzyła tak uroczą kompozycję, że John zagadnął dziewczynę, mając nadzieję namówić ją, żeby dla niego pozowała. Jednak przyziemny umysł Rosy omyłkowo odczytał jego zainteresowanie. Lekceważąc doskonale maniery rodem z Nowej Anglii, dziewczyna podniosła się z bezwstydnym uśmiechem i podczas gdy on bezradnie ścisnął w rękach pudełko z farbami, objęła go i przycisnęła miękkie, młode usta do jego warg.

— Signore potrzebuje trochę kochania. Wszyscy Amerykanie są tacy sami. Dam ci to, czego chcesz.

John odepchnął ją od siebie, a jego twarz oblała się szkarłatnym rumieńcem wstydu. Ale dziewczyna tylko roześmiała się i znowu go objęła.

Dokładnie w tym momencie zjawił się Sebastiano, niczym wierny pies obronny. Wyrósł jak spod ziemi, przeskakując przez ogrodowy mur wraz z małym Mariem. Krzycząc wściekle, rzucił się na dziewczynę i przegnał ją aż do kuchni.

Od tamtej pory do czułości, jaką budził w Johnie Sebastiano, dołączyła wdzięczność. Po historii z Rosą przez kilka niespokojnych dni dochodził do siebie. Omijał z daleka Palazzo Carduccio i dopiero Contessa, nieświadoma tego, co zaszło w jej ogrodzie, namówiła go do powrotu obietnicą przyjęcia wydawanego dla ściśle wyselekcjonowanego grona osób.

To na tym przyjęciu John Godolphin usłyszał wstrząsającą nowinę o zamordowaniu Rosy.

Dziewczynę znaleziono zasztyletowaną w miejskim parku. Wiadomość wprowadziła w stan podniecenia wszystkich z wyjątkiem starej księżnej, która była kiedyś damą dworu królowej i zajmowały ją jedynie skandale wywoływane przez koronowane głowy.

— To na pewno zazdrosny kochanek — oznajmiła wyniośle. — Takie rzeczy są powszechne na Sycylii. To barbarzyńcy!

Lecz nawet ona nie kryła zainteresowania, gdy Teresa oznajmiła, że na miejscu zbrodni policja znalazła wytworną lnianą chustkę z inicjałami, splamioną krwią dziewczyny. Chustka ta bez wątpienia należała do dżentelmena, który nie mógł być „sycylijskim barbarzyńcą”.

Markiza Landini, powszechnie znana z ciętego języka, zaśmiała się ostro i zauważyła: — Niejeden wycierany nos zadrży dzisiaj ze strachu.

Wracając do domu nadmorską promenadą, wzdłuż której rozciągał się oszałamiający błękit wody, John Godolphin nie krył swojego wzburzenia. W świetle tego, co spotkało Rosę, naprawdę dobrze się złożyło, że nikt poza jego „przyjacielem na wieczność” nie był świadkiem sceny w ogrodzie warzywnym. Łatwo można by ją opacznie odczytać. A wtedy znalazłby się w naprawdę niezręcznej sytuacji.

Niemal tęsknie wyjrzał przez okno powozu w nadziei ujżenia Sebastiana w gromadce dzieci, bawiących się w jakąś hałaśliwą grę w ruinach luksusowego hotelu. Ale nigdzie nie dostrzegł chłopca.

Ogarnęło go przygnębienie. Już od pewnego czasu traktował Sebastiana jako rodzaj szczęśliwego amuletu. Teraz wydało mu się, że jego nieobecność zwiastuje jakieś nieszczęście.

W willi Godolphin czekał na niego podwieczorek, jak zwykle uroczyście podany w barokowym splendorze jego ukochanego salonu. John pogryzał od niechcienia jedno z wybornych sycylijskich ciastek upieczonych przez jego kucharkę, gdy pokojówka oznajmiła mu przybycie chłopca, który chciał się z nim zobaczyć.

— To jakiś brudas, Signore. Żebrek. Mówi, że nazywa się Sebastiano.

John był jednocześnie ucieszony i zdumiony. Niczym płochliwy bożek gajów oliwnych, Sebastiano nigdy dotąd nie ośmielił zbliżyć się do willi Godolphin. Z przyjemnością zabawi go przez chwilę i poczęstuje tym wyśmienitym *canneloni*. Poleciał pokojówce, żeby przyprowadziła chłopca i już po chwili w drzwiach stanął Sebastiano z kornie pochyloną głową.

John skinął na niego i podsuwając mu srebrną tacę, powiedział, aby wybrał sobie ciastko, na które tylko ma ochotę. Chłopiec wpatrywał się szeroko otwartymi oczyma w elegancko ułożone delicje. Wreszcie ostrożnie sięgnął po czekoladowe ciastko. Gdy już miał je w

dłoni, szybko odzyskał pewność siebie. Pochłoniął ciastko jednym kęsem i wyciągnął rękę po następne. Trzymając je między kciukiem a palcem wskazującym, zaczął przechadzać się po salonie, oglądając obrazy i gobeliny, delikatnie dotykając starannie dobrane przez Johna bibeloty. John obserwował go, zafascynowany naturalną gracją jego ruchów. Znalazłszy się w drugim końcu pokoju, chłopiec odwrócił się, usiadł naprzeciwko niego na ogromnej, krytej brokatem sofie i posłał mu jeden z tych niespodziewanych, omdlewających uśmiechów.

— Ładnie pan sobie mieszka, jak rany!

— Proszę cię, żebyś nie używał tej okropnej gwary — John zwrócił mu uwagę po włosku.

Nie przestając się uśmiechać, chłopiec odchylił się do tyłu, badając wygodę oparcia. Miętkość tapicerki musiała wydać mu się rozkoszna. Poderwał nogi do góry i wyciągnął się jak długi na sofie, opierając bosa, brudne stopy na poduszce pokrytej blad różowym jedwabiem. Zerknął z ukosa na Johna i powiedział melodyjnie po włosku: — Podobają mi się tu. Tam, gdzie mieszkam — bardzo biednie. Moi bracia, moje siostry, mój ojciec, moja matka, wszyscy w jednej małej, malutkiej izbie.

— To przykre — odparł John, nie mając ochoty zagłębiać się w tego rodzaju tematy. Niepokoił się o swoją jedwabną poduszkę.

— Tak — zamruczał Sebastiano, moszcząc się na sofie. — Podobają mi się tu. Ale ty pięknie! — Posłał Johnowi kolejny anielski uśmiech. — Nie chciałby mnie pan adoptować i zrobić ze mnie swojego synka?

Szalona myśl, która już raz zagościła w umyśle Johna, teraz znowu powróciła. Mieć takiego pięknego syna i kształtować go na podobieństwo rzeźbiarza? John odpędził ją od siebie, uśmiechając się ironicznie. Dobrze wiedział, że jego pedantyczna miłość do poduszek zawsze będzie silniejsza od jakiegokolwiek uczucia, które mogłyby w nim wzbudzić widok dwóch brudnych stóp.

Odparł więc rozbawionym tonem: — Tak, czyż nie byłoby miło?

— Codziennie wygodne łóżko — rozmarzył się Sebastiano. — Codziennie dużo jedzenia. Dużo spania. — Usiadł wyprostowany na sofie. — Mogę zacząć już od dziś? I nigdy stąd nie odchodzić?

— Nie żartuj, Sebastiano. Twoi rodzice nigdy by się na to nie zgodzili.

Długie rzęsy przesłoniły oczy chłopca w wyrazie bezgranicznego smutku. — Jak mógłbym teraz żartować, skoro biedna Rosa nie żyje? Biedna Rosa, która była *fidanzata** mojego brata Gino.

* (włos.) — narzeczona.

— Rosa? — Pulchne policzki Johna drgnęły nerwowo. — Co Rosa ma z tym wspólnego?

— Ach — westchnął Sebastiano. — Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Kiedy dorosnę, też taki będę. Mały Mario i ja widzieliśmy, jak kochał się pan z Rosą. Potem znudził się pan nią. Może chciała pieniędzy, groziła. — Wzruszył ramionami. — Kobiety to głupie krowy. Zaslugują na to, co je spotyka.

— Sebastiano! — krzyknął John.

Chłopiec wstał i pieszczotliwie położył swoją opaloną dłoń na ramieniu Johna. — Niech się pan nie boi. Jestem pańskim przyjacielem. Nikomu nie powiem. A mały Mario... Kogo obchodzi jego dziecięce gadanie? Co prawda policja znalazła przy niej pańską chustkę ze śliczną literą „G”. Ale skąd mają wiedzieć, że to „G” oznacza Signore Godolphina? Nie musi się pan niczego bać, mój przyjacielu.

John Godolphin odepchnął dłoń Sebastiana, czując, że ogarnia go panika. Choć trudno było w to uwierzyć, jego szczęśliwe, uporządkowane życie waliło się w gruzy. To *niemożliwe*, aby Sebastiano podrzucił подарowaną mu chustkę na miejscu zbrodni! Sebastiano *nie mógł* powiedzieć tego, co właśnie powiedział! Przecież Sebastiano był tylko dzieckiem, małym chłopcem o twarzy anioła, z którym John się zaprzyjaźnił.

Zerwał się z fotela. — Coś ty zrobił, Sebastiano? Powiedz mi! Powiedz mi, co wiesz! Kto zabił Rosę?

— Teraz to pan żartuje. To pan zgubił chustkę. To było głupie, ale nie trzeba się bać.

— Ależ to absurd, kompletne wariactwo. — John Godolphin, którego jedyny jak do tej pory konflikt z prawem ograniczał się do zapłacenia mandatu za złe parkowanie w Poughkeepsie, bezskutecznie próbował uświadomić sobie grozę sytuacji. — Policja nigdy ci nie uwierzy. Wynoś się z mojego domu! Natychmiast!

Sebastiano uśmiechnął się pogodnie. — Dlaczego policja miałaby mi nie uwierzyć? Nigdy nie byłem w żadnych tarapatkach, tak jak inni

chłopcy. Jestem tylko niewinnym dzieckiem. Pan próbował mi grozić, chciał nawet zapłacić, żebym milczał. Ale chociaż jestem biedny, myślałem tylko o biednej Rosie i o tym, że morderca powinien być ukarany. — Chłopiec podszedł do tacy, wziął obiema rękami kawałek ciasta i zaczął jeść. Wyglądał jak jedna z figurek zdobiących etruskie wazy. — Zawsze będziemy jeść takie dobre rzeczy? A ja będę miał łóżko? Duże, ogromne łóżko, takie, jakie widziałem w kinie, na którym można leżeć z wyprostowanymi nogami i gdzie nikt cię nie kopie?... — Po czym westchnął: — Ach, ależ mi się tu podoba.

Patrząc z perspektywy czasu na koszmar, który potem nastąpił, John Godolphin nie miał wątpliwości, że w tym momencie mógł jeszcze wydostać się z zastawionej na niego pułapki. Po tysiącokroć przeklinał samego siebie za swoje tchórzostwo. Przez czterdzieści pięć lat swojego życia tkwił niczym małą w skorupie, bezpieczny dzięki odziedziczonej fortunie, szlachectwu i staroświeckiemu przekonaniu, że nic złego nie może spotkać tych, którzy nikomu nie wyrządzili krzywdy.

Wtedy jeszcze mógł wyrzucić chłopaka z domu i odważnie zmierzyć się z problemem porzuconej obok ciała Rosy chustki. Nie chodziło nawet o to, że bał się aresztowania i podejrzenia o zamordowanie Rosy, choć drżał na samą myśl o konsekwencjach oskarżenia Sebastiana — rzuconego we łzach przez niewinne dziecko. Tchórzliwą duszę Johna Godolphina paraliżował lęk przed niedomówieniami. Bał się plotek, powtarzanych z rozbawieniem przy stole Teresy Carduccio, zgryźliwych, mogących zniszczyć go towarzysko uwag markizy oraz chłodnego, krytycznego spojrzenia starej księżnej.

W momencie kiedy najbardziej potrzebował odwagi, owa perspektywa skandalu okazała się ponad jego siły. W systemie murów obronnych Johna Godolphina nastąpił poważny wyłom, a obdarzone przenikliwością starca dziecko bezbłędnie wyczuło jego słabość.

Tej nocy Sebastiano spał w największym i najwygodniejszym łóżku w willi. Ta noc stała się początkiem końca Johna Godolphina.

Przez kilka kolejnych dni po swojej kapitulacji John usiłował wmawiać sobie, że skoro doszło już do katastrofy, mogło być o wiele gorzej. Pierwszego dnia, po późnym śniadaniu podanym mu do łóżka przez oburzoną służącą, Sebastiano zażądał pieniędzy na nowe ubranie. Kiedy mu je przyniesiono, spuścił nieco z tonu. Zdawał się być

zafascynowany własnym wyglądem i spędził kilka godzin przed lustrem w narcystycznym samouwielbieniu, przymierzając to tę, to tamtą koszulę, przechadzając się w niebieskim garniturze i z zachwytem wiążąc coraz to inny krawat. Zachowywał się nawet przyzwoicie i był uroczo pomocny wobec skonsternowanej i wrogo do niego nastawionej służby.

John miał wreszcie to, czego, jak czasami mu się wydawało, pragnął — adoptowanego syna, małego lorda Fauntleroya, na którego mógł w jesieni życia przelać wszystkie swoje uczucia; tyle że była to koszmarna parodia jego marzeń.

A któregoś ranka, gdy po nieudanej próbie naszkicowania pałacu królewskiego John wrócił do domu, zastał w salonie Sebastiana, wyciągniętego leniwie na sofie, zaś naprzeciwko niego przysiadł mały Mario. Sebastiano popijał sherry z karafki z weneckiego szkła i palił papierosa z monogramem, jednego z tych, które John kupował na specjalne zamówienie. Mały Mario musiał obejść się smakiem. Bose nogi dyndały mu nad podłogą, a on wpatrywał się tęsknie w karafkę sherry.

Widząc Johna, Sebastiano skinął na niego dłonią z papierosem. — Hej, panie, dej no Mariowi parę dolców. Głodny jest.

Znowu używał amerykańskiego slangu, chociaż wiedział, jak bardzo John tego nie lubił, a z oczu po raz pierwszy wycierała mu arogancja. John zrozumiał, że jego kapitulacja miała poważniejsze skutki, niż początkowo przypuszczał. Sebastiano oceniał swoją przewagę i badał jego słabość. Jeżeli i tym razem ujdzie mu płazem ta wystudiowana bezczelność, będzie wiedział, że odniósł pełne zwycięstwo. Jednak pomimo tak celnych spostrzeżeń John czuł paraliżującą bezradność. Jeżeli teraz zaprotestuje, Sebastiano upokorzy go przed tym małym ulicznikiem, tego by zaś nie zniósł.

Podał więc Mariowi tysiąclirowy banknot. Chłopiec wstał i nieśmiało, na palcach, podszedł do stołu. Wyciągając rękę, dotknął czubkiem palca karafki. Na jego twarzyczce malował się zachwyt. John domyślił się, że to nie wino tak go fascynowało, ale lśnienie światła załamującego się w szlachetnie ciętym kryształ.

— *Bello* — wyszeptał Mario, mając zapewne na myśli karafkę i być może cały ten cudowny świat bogactwa, w którym spotykało się takie niezwykle rzeczy.

Nagle Sebastiano obejrzał się za siebie i zobaczył, co się dzieje. Marszcząc gniewnie brwi, zamierzył się na chłopca.

— Ty zwierzaku, ty świniu, nie ruszaj tego. Odejdź mi stąd — odejdź i nigdy nie wracaj. Wynocha! To jest dom dżentelmena, nie dla takich świń jak ty.

Mały Mario czmychnął, a John zauważył plamy z wina na swoim stole w stylu *quattrocento* i to, że Sebastiano niedbale strąca na dywan popiół z papierosa.

Tej nocy Sebastiano pokazowo się upił. Leżąc w swojej sypialni, John słyszał, jak chłopak rozbija się po całym domu, głośno przeklinając, aż do wczesnych godzin rannych. Następnego dnia wstał dopiero w południe i zaraz wrzasnął z góry, żeby podano mu lunch. Kiedy służąca mu go zaniosiła, wyrzucił ją za drzwi, wykrzykując wulgaryzmy i ciskając tacę na podłogę. John znalazł jego brudne skarpetki na sofie w salonie. Potem Sebastiano opluł kucharkę i obraził stangreta. John znowu doskonale wiedział, do czego chłopak zmierzał, lecz i tym razem nie potrafił wyrwać się ze szponów strachu i ogłupiającej apatii.

Po trzech dniach starannie zaplanowanych scen Sebastianowi udało się pozbyć z domu wszystkich służących.

Kiedy zapłakana i oburzona kucharka jako ostatnia opuściła willę Godolphin, znowu był dla Johna czuły i słodki jak miód. Przycupnął u jego stóp w salonie, uśmiechając się szeroko.

— Nie martw się, panie. To tylko głupie, stare baby. Moja matka świetnie gotuje. Robi najlepsze spaghetti. O rany. — Położył miękką dłoń na kolanie Johna. — Będzie ci smakowało jej spaghetti.

Wzburzenie dodało Johnowi fałszywej odwagi. — Dosyć tego! — krzyknął. — Naumyślnie obraziłeś służących i przepędziłeś ich z mojego domu, żeby sprowadzić tu swoją przeklętą rodzinę. Dosyć tego, powiadam! Wynoś się stąd natychmiast albo wezwę policję.

— Myślisz, że teraz policja ci uwierzy? — zapytał Sebastiano. — Na początku może by i uwierzyli, ale nie teraz. Sprowadziłeś mnie tutaj i pozwoliłeś zamieszkać w swoim domu, kupiłeś mi piękne ubrania. Dlaczego to zrobiłeś? — Podrapał się leniwie po plecach. — Nie, moja matka na pewno ci się spodoba. Robi dobre spaghetti. Spodoba ci się też mój starszy brat Gino, *fidanzato* Rosy. Świetnie powozi. A co!

Rodzina Sebastiana sprowadziła się do willi jeszcze tego samego wieczoru: matka, ojciec, dorosły brat, ponętna siostra i troje małych dzieci, w tym jedno niemowlę. Jak zahipnotyzowany, John przyglądał się, jak Sebastiano z dumą oprowadza ich po całym domu. Jego matka, żalonna, myszowata istota, chciała rozlokować swoje potomstwo w pomieszczeniach dla służby, lecz Sebastiano nie chciał o tym słyszeć. Zapewnił swoich krewniaków, że nie będą tu nikomu usługiwać. Byli wszak gośćmi Signore Godolphina, którego łaskawość była równie wielka, jak łaskawość świętej Łucji.

John prędko się przekonał, że Sebastiano rządzi swoimi bliskimi równie twardą ręką, jak rządził willą Godolphin. Jego nieugięta wola sprawiła, że w wieku czternastu lat chłopak ten mógł zostać głową rodziny w tym najbardziej patriarchalnym ze społeczeństw. W przeblasku nagłego olśnienia John zrozumiał, że wszyscy, również on sam, zostali wciągnięci w śmiałe marzenia tego chłopca, stając się ich częścią. Żaden dorosły nie odważyłby się posunąć tak daleko w realizacji swych planów. Sebastiano osiągnął swój cel dzięki dziecięcej naiwności połączonej z wrodzoną skłonnością do zła — i to czyniło ów koszmar jeszcze straszniejszym.

John zasmakował tego kosmaru już podczas pierwszej kolacji, którą podano w jego urządzonej z przepychem jadalni. Rodzina czekała w niechętnym milczeniu, aż Sebastiano, zajmujący honorowe miejsce u szczytu stołu, rozdzieli pomiędzy nich tłuste spaghetti z glinianego naczynia. Rodzice chłopca, onieśmieleni i pełni respektu, tęskniący za zaciszem kuchni, w nieporadnych słowach nie przedstawiali Johnowi dziękować za tak wielką łaskę okazaną im niegodnym. W przeciwieństwie do nich brat Sebastiana, Gino, rosły, ciężkawy wyrostek, błyskawicznie przystosował się do nowej sytuacji, podobnie jak Emilia, jego urodziwa i nad wiek rozwinięta siostra.

Po kolacji Sebastiano przyniósł francuski koniak Johna i podczas gdy matka kładła młodsze dzieci spać na piętze, w salonie rozpoczęto hałaśliwe przyjęcie. Z radia wylewała się ogłuszająca muzyka, a Gino i Emilia miotali się po pokoju w jakimś szalonym tańcu. Sebastiano, z błyszczącymi oczyma, tańczył sam.

Jedna z jego młodszych siostr wraz z niemowlęciem została ulokowana w pokoju sąsiadującym z sypialnią Johna. Przez całą noc dziecko popłakiwało, a John, jak przystało na konwencjonalnego

moralistę, leżał bezsennie, zastanawiając się, jaki grzech musiał popełnić, aby ściągnąć na siebie to Nemezis.

Oczywiście, po części zawinił własnym tchórzostwem. Nigdy dotąd nie uważał, że odwaga bądź jej brak mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie w świecie, który nadal wydawał mu się logiczny i rządzony określonymi prawami. Być może jednak dodatkowo zawinił swoim brakiem serca. Nigdy nie zajmowały go sprawy ludzi biednych ani ofiar wojen, nigdy nie zastanawiał się, jakie zło może wyrosnąć z biedy i wojennej zawieruchy.

Z dołu dobiegł go głośny, spontaniczny wybuch śmiechu, w którym pobrzmiwała radość i bezmyślność, i złał się z zawodem niemowlęcia.

John Godolphin przypomniał sobie uśmiechniętą twarz Sebastiana. *Myślisz, że teraz policja ci uwierzy?*

— Piękno jest prawdą, prawda jest pięknem — wymamrotał do siebie i odwrócił się twarzą do ściany.

Nie będąc w stanie stawić czoła prawdzie, która rozpanoszyła się w willi Godolphin, w ciągu kolejnych dni John starał się spędzać jak najwięcej czasu z dala od domu. Arogancka buta Gina, jego nowego woźnicy, onieśmiała go, błąkał się więc po Palermo bez celu i na piechotę. Na włoskiej prowincji plotki szybko się rozchodzą, John nie śmiał zatem odwiedzić żadnego z przyjaciół z obawy przed ich komentarzami.

Pewnego ranka spotkał jednak przed Teatro Massimo markizę Landini. Wychyliła się z okna swojego powozu, a na jej chudej, arystokratycznej twarzy odmalowała się złośliwość.

— Doprawdy, panie Godolphin. Słyszałam, że ostatnimi czasy stał się pan pełnoetatową siostrą miłosierdzia. Podobno córka jest rzeczywiście wyjątkowo atrakcyjna, na swój prymitywny sposób. Bo rozumiem, że chodziło o córkę, prawda? Ale czy musiał pan od razu przysparzać pod swój dach całą jej rodzinę?

John poczuł, że krew napływa mu do twarzy, a gorący rumieniec oblewa jego policzki. Teresa Carduccio nie zaprosiła go też na swój czwartkowy lunch. Kiedy na Placu Katedralnym spotkał starą księżną, ta minęła go bez słowa w chmurze czarnych koronek.

Zraniony do żywego tym ostatnim afrontem, po powrocie tło domu zastał w salonie ryczące radio. Tym razem okazało się to ponad

jego siły, więc wymknął się prosto w wieczorny mrok i stał, krańcowo wyczerpany, pod wspaniałym barokowym portykiem, osłaniającym główne wejście do willi. W spowitym cieniami ogrodzie, niczym jakiś nocny ptak, zamajaczyła mu drobna figurka. Był to mały Mario. John poczuł dziwne zadowolenie na myśl, że oto widzi kogoś — nieważne, kogo — kto nie jest członkiem wszędobylskiej i absorbującej rodziny Sebastiana. Ruszył w stronę chłopca, lecz w tej samej chwili w drzwiach pojawił się Sebastiano.

Z gniewnymi okrzykami rzucił się na Maria. Chłopczyk czmychnął czym prędzej. Sebastiano ciskał za nim kamieniami, po czym odwrócił się do Johna, a jego twarz młodego boga wykrzywił wściekły grymas.

— Co za świnią! Nigdy nie wejdzie do *mojego* domu. Nie do *mojego* domu.

To jedno słowo sprawiło, że John postanowił uciec. To, co się wydarzyło, pozbawiło go wszelkich złudzeń. Wiedział, że skoro już przedtem nie miał odwagi się bronić, tym bardziej nie starczy mu odwagi, żeby bronić się teraz. Jednak mógł jeszcze zdobyć się na ucieczkę. Musiałby porzucić swoją ukochaną willę i wszystkie skarby, które całymi latami tak skrupulatnie gromadził. Ale przynajmniej wyzwoliłby się w ten sposób z mocy obłąkanych marzeń tego chłopca.

Następnego ranka udał się do miasta i kupił bilet na lot do Rzymu. Samolot startował o siódmej wieczorem. Kiedy nadszedł czas, opuszczając willę pod ostrzałem czujnych spojrzeń ciemnych, sycylijskich oczu, John nie śmiał zabrać ze sobą choćby najmniejszej walizki. Przeszedłszy część drogi na piechotę, zatrzymał dorożkę i kazał zawieźć się na lotnisko.

Stał już w kolejce, czekając na wejście na pokład samolotu, kiedy podszedł do niego policjant i poprosił uprzejmie, aby odszedł z nim na bok. Na spalonej słońcem trawie lotniska stał Sebastiano, słodki jak aniołek w swoim nowym, niebieskim garniturze i uśmiechał się do niego szeroko.

Policjant podał Johnowi złotą papierośnicę, w której ten rozpoznał swoją własność. — Czy to należy do pana?

John zająknął się: — Ależ... tak.

Policjant pogłaskał Sebastiana po głowie. — Ten chłopiec znalazł ją w pańskiej dorożce. Zasłużył na nagrodę...

Sebastiano popatrywał beznamiętnie to na Johna, to na policjanta. Z wyrazu jego twarzy John odczytał dokładnie to, co chłopak chciał mu przekazać: jeżeli wsiądzie do samolotu, Sebastiano zadenuncjuje go na policji jako zabójcę Rosy. Aresztują go zaraz po przylocie do Rzymu.

W drodze powrotnej do willi Godolphin żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Od tamtej chwili John miał pewność, że z jakiegoś powodu chłopak jeszcze z nim nie skończył i nie musiał długo czekać na wyjaśnienie tej zagadki. Po dwóch dniach Sebastiano przyprowadził ze sobą niedużego, służalczego człowieczka z wystrzępionymi mankietami, niosącego podniszczoną teczkę. Mężczyzna ów, oznajmił mu Sebastiano, był jego wujkiem Giulio, prawnikiem i bardzo mądrym człowiekiem. Przyniósł mu do podpisania ważny dokument. Kłaniając się i szurając nogami, człowieczek wydobył z teczki jakiś papier i podał go Johnowi.

Był to akt darowizny, przekazujący willę wraz z całym dobytkiem ojcu Sebastiana jako prawnemu opiekunowi chłopca, który po skończeniu dwudziestu jeden lat miał się stać jej pełnoprawnym właścicielem.

Przez minione kilka tygodni John Godolphin przeżył więcej niż przez całe swoje życie. I tak wiele się nauczył. Teraz zaś odkrył, że można czerpać perwersyjną przyjemność nawet z najgorszego cierpienia. Przychodzi taki moment, kiedy więzień zaczyna kochać pętające go kajdany, a ofiara sama chętnie podsuwa szyję pod nóż. Podpisał dokument i wujek Giulio odszedł. Resztę dnia John spędził, siedząc na tarasie, pogrążony w leniwym oszołomieniu. Wokół niego kłębiło się, hałasowało i wdawało w bójki liczne rodzeństwo Sebastiana, których imion nie pamiętał. On jednak czuł tylko dziwną lekkość, która zdawała się unosić go poza to znękanie ciało.

Tortura niepewności dobiegła końca. Zrozumiał, że nawet po najbardziej żalosalnej klęsce następuje spokój.

Następnego dnia spał do późna. Dlaczego nie miałby sobie na to pozwolić? Była już prawie jedenasta, gdy Emilia, z której twarzy zniknął zwykły, szeroki uśmiech, wpadła bez pukania do jego sypialni i oznajmiła, że ma natychmiast zejść na dół.

— Policja — powiedziała. — Coś się stało i jest tu policja.

John niespiesznie się ubierał. Starannie dobrał najbardziej elegancki krawat, a kiedy stanął przed lustrem, żeby przyczesać włosy, długo przyglądał się swojej okrągłej, nieciekawej twarzy, wyjątkowo nie czując do siebie niechęci. Lata bylejakości dobiegły końca. Narzeczony był kimś, choćby tylko zabawką w rękach chłopca.

Kiedy wkroczył do zaśmieconego salonu, zebrali się tam już cała rodzina. Zobaczył trzech policjantów. John zapamiętał tę mroczną scenę z dokładnością, jakiej zawsze brakowało mu, gdy jako artysta studiował malowniczy pejzaż albo uroczy budynek, zamierzając go później namalować.

Jak zawsze w pierwszym rzędzie jego uwagę przykuł Sebastiano. Klęczał skulony przed jednym z policjantów, w swoim wyjściowym, niebieskim ubraniu. Rękoma obejmował nogi mężczyzny, a rozpacz nie do poznania zmieniła jego piękną, tragiczną twarz.

— To, co zrobiłem, to grzech, grzech — zawodził po włosku. — Nie mogę spać z takim grzechem na sumieniu. On dał mi pieniądze. Sprowadził mnie tutaj, żebym z nim zamieszkał. Był dobry dla mojej rodziny. Byłem słaby, więc zgodziłem się kłamać. Ale już nie mogę — już dłużej nie potrafię. Poszedłem do spowiedzi, ale ksiądz nie chciał dać mi rozgrzeszenia, dopóki wszystkiego nie wyznam.

Odwrócił się i wciąż klęcząc, wskazał na Johna. Po jego śniadych policzkach spływały okrągłe, lśniące łzy.

— To jego chustka. To on zabił Rosę. Widziałem, jak to zrobił. Później mi groził. Dał mi pieniądze. Ale ja muszę powiedzieć prawdę. To on ją zamordował.

Jego przeznaczenie wypełniło się. Z zaskakującą jasnością widzenia John Godolphin dostrzegł sens tego, co się wydarzyło. Dziecinna wyobraźnia Sebastiana miała swoje granice. Chłopak prawdopodobnie nigdy nie słyszał o kontaktach bankowych. Nie zdawał więc sobie sprawy z tego, że mógł jeszcze przez wiele lat wykorzystywać Johna finansowo. Będąc dzieckiem slumsów, wymarzył sobie pałac i z niewiarygodną konsekwencją zrealizował to marzenie. Teraz miał dom. Willa prawnie należała do niego, a John, który tym samym przestał być użyteczny, miał być cynicznie rzucony na pożarcie policji i w ten sposób ostatecznie usunięty z jego życia.

John wpatrywał się w urodziwą, zapłakaną twarz chłopca. Nie było już nic do dodania. Człowiek brnie przez życie bez wyraźnego celu.

Aż pewnego dnia odkrywa, po co się urodził, i wtedy jego przeznaczenie się wypełnia.

Czekał, aby policjanci do niego podeszli. Co z nim zrobią? Mieli jego chustkę, która stanowiła wystarczający dowód.

Jednak nieoczekiwanie najstarszy rangą policjant zwrócił się do Gina. Ku wielkiemu zdumieniu Johna, dwaj młodszy policjanci rzucili się na brata Sebastiana i zakuli go w kajdanki.

Dopiero wtedy John Godolphin zauważył małego Maria. Drobny chłopczyk wystawił głowę zza kanapy i stając na palcach, starał się niczego nie przegapić z tak interesującej sceny.

Gino bezskutecznie usiłował się wyrwać. Dowodzący pozostałymi policjant wziął Maria na rękę, podniósł do góry i z całą powagą, jaką dawał mu jego urząd, spojrzął z góry na Gina.

— Gino Coletti, aresztujemy cię za zabójstwo twojej kochanki, Rosy Morini. To oto dziecko było świadkiem zbrodni. Widziało, jak twój brat Sebastiano porzuca przy zwłokach chustkę należącą do Signore Godolphina i opowiedziało nam o planach twojego brata, który chciał w ten sposób zrzucić winę na amerykańskiego Signore.

Mały Mario, bezpieczny w ramionach policjanta, patrzył poważnie na Sebastiana. Nagle uśmiechnął się. Nigdy dotąd John nie widział go uśmiechniętego. W jednej chwili jego mała, brudna twarzyczka upodobniła się do prześlicznego oblicza *Erosa Verrocchia*.

Sebastiano skoczył na niego z wściekłym warknięciem, ale policjant tylko uniósł chłopca wyżej, jakby zabierał udziec barani sprzed nosa głodnemu psu.

Sebastiano lkał rozpaczliwie, gdy zakuwano go w kajdanki. John Godolphin opadł bezsilnie na swoją obitą brokatem kanapę. Tak, to też miało sens. W zachłannych marzeniach Sebastiana zabrakło miejsca dla małego Maria. A on miał swoje własne plany...

Gdzieś z otchłani pamięci powróciła do niego prymitywna piosenka, której nie słyszał od dzieciństwa.

*Duże pchły mają na karku małe pchły, co je gryzą,
A te małe pchły mają jeszcze mniejsze pchły, co je gryzą...*

Jego zmęczone spojrzenie zatrzymało się na brudnej różowej poduszce. Trzeba będzie zmienić powłoczkę. Trzeba będzie też kupić nowe zasłony...

Białe róże skłaniały nisko swoje ciężkie główki w ostrym, październikowym słońcu. Było późne popołudnie. John Godolphin siedział na tarasie. Popsuty konik na biegunach i puszka po peklowanej wieprzowinie leżały na rozgrzanych płytkach terakoty — ostatnie pozostałości po młodszym rodzeństwie Sebastiana. Ale to nie miało znaczenia. Później odszuka swoich dawnych służących. Był pewien, że zdoła ich nakłonić do powrotu. Dawny porządek zostanie przywrócony.

Mały Mario zjawił się tak bezszelestnie, że John zauważył go dopiero, gdy chłopiec stał już na skraju tarasu. Miał na sobie amerykańską wojskową kurtkę, sięgającą prawie do ziemi i przez to podobną do koszuli nocnej. Mały uśmiechnął się nieśmiało. John odwzajemnił uśmiech.

— Zabrali Sebastiana do więzienia — odezwał się po włosku Mario.

— Wiem.

— Zabrali też Gina. Powieszą go. — Mario zrobił krok naprzód. Wpatrywał się w ukryte za plecami Johna wspaniałości salonu. — Powieszą go przeze mnie. Powiedziałem im, że to on zabił Rosę, a oni mi uwierzyli.

Wydawał się wręcz oniemiały ze zdumienia — to niesłychane, że policja mu uwierzyła.

— Dobry z ciebie chłopiec — odparł John. Sięgnął do kieszeni po portfel, wyjął z niego tysiąclirowy banknot i podał chłopcu. — To dla ciebie.

Mario zbliżył się i popatrzył na banknot ciemnymi, okrągłymi oczyma. Następnie obrócił wzrok na twarz Johna. — Nie. Ja nie chcę pieniędzy.

— Nie bądź głupi, chłopcze. Musisz je wziąć.

Malec zerknął na stojący obok tapicerowany fotel. Podszedł do niego, przystanął, wpatrując się w niego z zachwytem, po czym wolno zaczął się wdrapywać na siedzenie. Kiedy już się tam znalazł, z pomrukiem zadowolenia rozparł się wygodnie na niebieskich poduszkach.

— Pięknie tutaj. Tak tu pięknie. A tam, gdzie mieszkam — bardzo, bardzo biednie.

John poruszył się niespokojnie w fotelu.

Mały Mario zerwał dużą, rozkwitłą różę i przesunął kwiat po swoim miękkim, oliwkowym policzku. Popatrzył na Johna, po czym nieśmiało odwrócił wzrok.

— Policja uwierzyła mi, kiedy powiedziałem, że widziałem, jak Gino zabijał Rosę. Ale może skłamałem. Może widziałem wtedy pana. — Z kieszeni wojskowej kurtki wyjął niedopałek papierosa — jednego z oznaczonych monogramem papierosów Johna. — Może groził mi pan i przekupił, żebym nie powiedział im, że znalazłem przy jej ciele ten papieros. Może wszystko, co powiedziałem o Ginie i Sebastianie, było kłamstwem...

Nagle mały Mario wyszczerzył się do niego w uśmiechu. Brakowało mu jednego zęba. Widocznie od rana zdążył mu wypaść jeden z mleczaków. John poczuł, jak — niczym chmura sunąca ponad słoneczną łąką — ogarnia go znajome zmęczenie. Czy to było właśnie jego przeznaczeniem? Miał zatoczyć pełny krąg?

— Mógłbym spać w pokoju Sebastiana — rozległ się senny, śpiewny głos. — W pokoju z dużym, dużym łóżkiem. Moja matka też na pewno się panu spodoba. Jestem tego pewien, Signore. Robi naprawdę dobre spaghetti.

Mały Mario wymościł się rozkosznie w fotelu. Wypuścił z ręki różę. Spadła na rozgrzane płytki tarasu, tuż obok pustej puszki po wieszprzowie.

Marzenia chłopca są jak wiatr,

A myśli młodych są beztraskie.

Henry Longfellow, „Me utracone dzieciństwo”

PORTRET MORDERCY

To jest historia morderstwa. Morderstwa popełnionego tak subtelnie, tak gładko, że nawet ja, który poprzez swoje zachowanie przed i po samym akcie stałem się mimowolnym współwinnym zbrodni, nie zdawałem sobie wówczas sprawy z tego, że doszło do jakiegokolwiek przestępstwa.

Dopiero z upływem lat seria owych pozornie niewinnych zbiegów okoliczności zaczęła stopniowo układać się w mej głowie w pewną całość, tworząc jasny obraz tego, co właściwie wydarzyło się podczas mojego pobytu z Martinem Slaterem w Olinscourt.

Ostatnie lata pierwszej wojny światowej Martin i ja spędziliśmy razem w angielskiej szkole. W wieku czternastu lat Martin był dość nijakim chłopcem o jasnych, potarganych włosach i bystrych piwnych oczach, wydzielającym typową dla wszystkich uczniów woń gumy i kredy. Nie różniłby się zbytnio od reszty z nas, gdyby nie jego ojciec, Sir Olin Slater.

Sir Olin stanowił wystarczający powód, żeby, ku swemu utrapieniu, Martin zyskał powszechnie złą sławę. Podczas gdy inni szanujący się rodzice zawstydzali swoje pociechy jedynie sporadycznie, zjawiając się w szkole z okazji Dnia Sportu albo rozdania nagród, Sir Olin prześladował swojego syna niczym zły duch. Niemal co tydzień ów baronet-ewangelik przechadzał się po terenie szkoły, różowy i wielki jak hipopotam, obejmując Martina ciasno swoim grubym ramieniem. W drugiej ręce niósł dużą torbę czekoladek, którymi częstował wszystkich napotkanych po drodze chłopców, zaklinając ich z powagą, aby wiedli szlachetne i pobożne życie.

Publicznie zasypywany pieścotami, Martin wił się jak piskorz. Co gorsza, jego ojciec cierpiał na jakąś potworną chorobę gardła, która sprawiała, że każda wypowiedziana przez niego sylaba była kpiną

z angielskiego języka. Choroba ta (prawdopodobnie rak krtani) w ogóle nie istniała w świadomości Sir Olina. Był święcie przekonany, że nikt nawet nie zauważa jego zniekształconej wymowy. Ku naszej wielkiej ucieście i równie wielkiej rozpaczycy Martina, przynajmniej raz w semestrze szkoła prosiła go o wygłoszenie dla wszystkich uczniów nieoficjalnego referatu na tematy religijne — lub, jak sam mówił, pogadanki. Siedząc wówczas obok Martina w szkolnym audytorium i lojalnie tłumiąc w sobie niestosowny chichot, widziałem, jak bieleją kłykcie zaciśniętych pięści mojego kolegi, podczas gdy jego ojciec z podium zachęcał „długich chłopców”, aby rośli w siłę, zachowywali czystość moralną i ufali bożej łasce — a dokładnie, jak mówił, „hożej łasce”.

Nabożna troska okazywana przez Sir Olina jego własnemu „długiemu chłopcu” wyrażała się także w słowie pisanym. Każdego ranka podczas śniadania z podziwu godną regularnością przy talerzu Martina lądowała niebieska koperta z rodzinnym herbem Slaterów. Martin był milczącym chłopcem. Nigdy nawet słowem nie wspomniął, że ta przesadna wylewność Sir Olina jest dla niego torturą — nawet wtedy, gdy przy stole rozlegał się szyderczy śmiech i słyhać było głosy przedrzeźniające felerną wymowę Sir Olina: „Jeszcze jeden liszcz dla grzesznego syneszka”. Zauważyłem jednak, że otwierał owe listy tylko wówczas, gdy zbadawszy kopertę swoimi wrażliwymi palcami, wyczuł w środku banknoty.

Większość chłopców pogardzała Martinem z powodu nietaktownego zachowania jego ojca. Moja własna z nim znajomość mogłaby być również naznaczona lekceważeniem, gdyby nie hojnie wyładowane kosze z prowiantem, które Lady Slater przysyłała synowi z Olinscourt. Była to atrakcja nie do pogardzenia, szczególnie w czasach, gdy niemieckie łodzie podwodne coraz częściej zmuszały Anglików do zaciskania pasa. Jako wychudzony i wiecznie głodny chłopiec byłem więcej niż chętny do przyjaźni z Martinem Slaterem, zwłaszcza gdy obaj wymykaliśmy się po kryjomu, aby w samotności delektować się soczystymi ozorkami, galaretkami z kurczaka, jędrnymi, słodkimi brzoskwiniami i tortami czekoladowymi pokrytymi lukrem, na widok których ślinka sama napływała nam do ust.

Martin podzielał mój entuzjazm dla owych sekretnych uczt, lecz miał też inną pasję, której z kolei ja nie podzielałem. Był mianowicie

wynalazcą. Konstruował wymyślne mechaniczne urządzenia, zwykle ze starych budzików. Zawsze miał ich u siebie pięć czy sześć, każdy z mniej lub bardziej wybebeszonym mechanizmem. W tamtym okresie specjalizował się w alarmach na włamywaczy. Do dziś pamiętam, jak co noc kusił po kilku uliczników bułkami z kiełbasą i ciastem śliwkowym, aby zakradli się nocą do naszego pokoju; nadal mam w uszach bicie własnego serca, gdy czekaliśmy w ciemnościach, żeby na własne oczy sprawdzić działanie najnowszego wynalazku Martina, odstraszającego złodzieja.

Nasze fascynujące eksperymenty skończyły się raz na zawsze, gdy przyłapał nas na nich nieczuły kierownik internatu; skonfiskował on wówczas wszystkie budziki Martina i wymierzył mu sto uderzeń linką za zakłócanie ciszy nocnej.

Bez tych zakazanych przyjemności długie, ciemne, wojenne noce zdawały nam się jeszcze zimniejsze i bardziej ponure. Wtedy to Martin wpadł na nowy pomysł, jak pokonać okropny ziąb, który co wieczór opadał na szkołę niczym chmura morowego powietrza, a zarazem rozgrzać nasze wyziębione łóżka i niedożywione ciała. Wymyślił zapasy — a raczej zaadaptował i uprościł kanon sztuki zapaśniczej tak, aby pasował do istniejących warunków. Zasady zostały tak uproszczone, że prawie ich nie było. Zapaśnik mógł zdobywać przewagę na wszelkie sposoby i zadawać przeciwnikowi tyle bólu, ile tylko śmiał; odrzucając zbędne skrupuły i dążąc wytrwale do ostatecznego celu, jakim było wymuszenie na przeciwniku przyznania się do porażki poprzez wypowiedzenie słów: „Poddaję się, stary. Wygrałeś”.

Fakt, iż wyładowywaliśmy na sobie agresję, dając upust charakterystycznym dla wszystkich chłopców sadystycznym zapędom, nie wydawał nam się niczym szkodliwym. Walka rozgrzewała nas i hartowała, a być może także w subtelny sposób przyczyniała się do budowania między nami bliskich więzi i wzajemnego szacunku.

Ze względu na wiek i masę ciała Martin miał nade mną przewagę, lecz ja, na szczęście, byłem bardziej żyłasty i obdarzony, jak sądzę, większym sprytem. Z czasem poznałem tajniki strategii Martina i wypracowałem skuteczne metody obrony. Tak skuteczne, że niemal co noc z nim wygrywałem, przygważdzając go do ziemi z monotonną regularnością.

To był pierwszy i największy błąd, jaki popełniłem w moich kontaktach z Martinem Slaterem. Powiniennem był wiedzieć, że nierozsądnie jest nieustannie wygrywać w jakiegokolwiek grze. A już szczególnie nierozsądnie jest wygrywać wtedy, gdy gra się z potencjalnym mordercą, który, jak podejrzewam, już wówczas reagował wręcz patologiczną nienawiścią i wzmoczoną agresją na wszelkie próby podporządkowania go komukolwiek, tak psychicznego, jak i fizycznego.

Pewnego wieczoru doświadczyłem tej agresji na własnej skórze. Martin zaatakował mnie, bardziej podstępnie niż Hamlet Klaudiusza, gdy trzęsąc się z zimna, klęczałem przy łóżku, rytualnie klepiąc wieczorne modlitwy. Napaść ta była ze wszech miar nieprzepisowa. Nastąpiła przed końcem wyznaczonej godziny ochronnej i w czasie, gdy przełożona wciąż buszowała po korytarzach. Na dodatek, choć używanie jakichkolwiek przedmiotów i broni było surowo zakazane, Martin zaatakował, zarzucając mi na głowę mokry ręcznik. Okręcił go wokół mojej szyi, a następnie pociągnął w tył. Ręcznik był naprawdę mokry, tak mokry, że nie dało się przez niego oddychać.

Na skutek tego gwałtownego, odbierającego dech szarpnięcia, moje nogi znalazły się nagle pod łóżkiem, gdzie mogły tylko niemrawo kopać sprężyny materaca, całkowicie niezdatne jako dźwignia, przy pomocy której mógłbym zrzucić z siebie Martina. On zaś całym swoim ciężarem usiadł mi na twarzy, kolanami przygważdżając moje ramiona do podłogi. Byłem bezradnym jeńcem, któremu oddychanie uniemożliwiał mokry ręcznik i siedzący na nim czterdziestopięciokilowy wyrostek.

Rozpaczliwie charcząc, wykrzykiwałem formułę bezwarunkowej kapitulacji. Walilem rękoma o podłogę na znak, że się poddam. Mimo to Martin ani drgnął. Czulem, że za chwilę się uduszę. Ogarnęła mnie panika: wbijałem mu paznokcie w ciało, drapałem i gryzłem, lecz równie dobrze mógłbym to robić, będąc pogrzebanym pod kilkumetrową warstwą torfu. A potem wszystko zrobiło się czarne, jak się później okazało, łącznie z moją twarzą.

Łaskawym zrządzeniem losu uratowało mnie nadejście wszechobecnej przełożonej, która kilka sekund później wpadła do naszej sypialni, by zdmuchnąć świeczkę — nie wiedząc nawet, jak niewiele brakowało, żeby jeden z jej podopiecznych stał się pierwszą ofiarą Martina Slatera.

Następnego dnia rano Martin przeprosił mnie, dodając z dziwnym wyrazem twarzy: — Za bardzo się rozzuchwaliłeś, staruszk. Codziennie spuszczałeś mi lanie.

Żeby już ostatecznie mnie udobruchać, zaprosił mnie na wakacje do Olinscourt. Przez pewien czas rozważałem tę propozycję, na jednej szali kładąc cztery tygodnie świątobliwych nauk Sir Olina, a na drugiej perspektywę delektowania się rozkoszną zawartością koszyków z prowiantem u samego źródła ich pochodzenia. W końcu, jak można się było spodziewać, żołądek wygłodzonego uczniaka podjął za mnie decyzję. Pojechałem.

Ku naszej wielkiej radości zaraz po przyjeździe do Olinscourt okazało się, że Sir Olin objeżdża właśnie więzienia i zakłady poprawcze w zachodniej Anglii, niosąc zbłąkanym owieczkom dobrą nowinę. Gdyby nie niebieskie koperty, leżące co rano przy nakryciu Martina, mógłby dla nas w ogóle nie istnieć.

Lady Slater była nienarzucającą się gospodynią, za co z miejsca zaskarbiła sobie mój szacunek. Była to cicha i potulna istota, przemykająca po domu w butach na płaskim obcasie i szaroburych strojach, które kojarzyły mi się ze słowem „gabardyna”. Nie licząc wydawania poleceń służbie, dotyczących przygotowywania posiłków dla nas, „dorastających młodzieńców” i podlewania ich lekko religijnym sosem, Lady Slater dyskretnie usuwała się w cień swojego buduaru, gdzie spędzała w samotności długie godziny, zapewne rozmyślając.

Pozostawieni sami sobie, odkrywaliśmy uroki samodzielnego gospodarowania własnym czasem. Martin spędzał całe dni, pracując gorączkowo w swym bogato wyposażonym warsztacie, dając upust tłamszonej w szkole pasji tworzenia, która, jak dał mi z żalem do zrozumienia, miała dobiec końca z chwilą powrotu Sir Olina. Jeśli o mnie chodzi, to będąc urodzonym londyńczykiem, znajdowałem olbrzymią przyjemność w przemierzaniu rozległych gruntów Olinscourt w towarzystwie podążającego za mną cierpliwie posępnego teriera szkockiego o imieniu Roddy.

Stary, olbrzymi dom był dla mnie równie ekscytującym miejscem, zwłaszcza od momentu, gdy na drugi dzień po przyjeździe odkryłem na parterze istną komnatę tajemnic — duże, zamknięte na głucho pomieszczenie, które okazało się być gabinetem Sir Olina. Martin był równie zaintrygowany tym, że pokój ów, zwykle często używany, był

dla nas niedostępny. Przepytani na tę okoliczność służący przyznali, że niedawno dokonano tam bliżej nieokreślonych zmian, a gabinet ma pozostać zamknięty aż do powrotu Sir Olina.

Owiana romantyczną mgiełką tajemnica, którą wyjaśnić mógł tylko Sir Olin, sprawiła, że niemal niecierpliwie zaczęliśmy wyglądać przyjazdu baroneta. Pan domu przybył niespodziewanie kilka dni później i zjawił się w naszym pokoju, tłusty i wylewny, w czasie gdy jedliśmy kolację. Był to ulubiony posiłek Martina, który mój kolega zwykł przeciągać w nieskończoność, jednak tego wieczoru niedane nam było skończyć naszego soczystego łososia w majonezie. Chcąc najwyraźniej jak najprędzej wznowić duchową edukację swojego ukochanego chłopca, Sir Olin rozkazał odnieść nasze talerze do kuchni i sadzając nas przed sobą, rozpoczął tak zwany „kwadrans skupienia”, który miał się stać najgorszą codzienną torturą podczas naszego pobytu w Olinscourt.

Zaczęliśmy od lektury książki napisanej i wydanej własnym sump-tem przez Sir Olina, zatytułowanej „Pięciominutowe pogawędki z dorastającym chłopcem”. Kiedy ta będąca raczej monologiem pogawędka dobiegła końca, Sir Olin rozsiadł się wygodnie w fotelu. Składając dłonie na wydatnym brzuchu i uśmiechając się życzliwie, zachęcił nas, abyśmy wyznali mu swoje problemy, jak również popełnione ostatnio występki i dręczące nas pokusy. Wiliśmy się i kręcili, usiłując wymyślić jakiś stosowny występki lub pokusę. W końcu baronet zakończył tę mękę, odmawiając improwizowaną modlitwę, przerwana wreszcie, ku naszej niezmiętej uldze, przez dobiegające z dołu bicie kuchennego gongu. Wówczas, położywszy nam ręce na głowach w geście błogosławieństwa, Sir Olin pocałował nas obu — mnie w czoło, Martina zaś prosto w usta — po czym odesłał do łóżek.

Wtedy to, po raz pierwszy od mojego przyjazdu do Olinscourt, Martin zaatakował mnie z nagłą brutalnością, przewyższającą wielokrotnie wszystko to, czego dotąd doświadczyłem z jego strony. Wbił mi palce w tchawicę, zmuszając mnie, bezradnego, do niemal natychmiastowej i bezwarunkowej kapitulacji.

— Przysięgnij, że nie powiesz chłopakom w szkole o tym, że pocałował nas na dobranoc — zażądał ochryple.

— Przysięgam, stary — wyjąkałem.

— Ani o tych jego wieczornych pogadankach.

Uwolnił mnie dopiero, gdy złożyłem uroczystą przysięgę.

Następnego ranka stało się jasne, że wraz z przyjazdem Sir Olirla skończył się dla nas czas rozkosznej bez troski. Niemal natychmiast po powrocie pana domu Lady Slater opuściła Olinscourt, udając się w podróż z własną misją religijną, co tylko potwierdzało fakt, iż towarzystwo męża było jej równie niemiłe jak nam. W miejsce wygłaszanych przez nią przed każdym posiłkiem krótkich, lecz żarliwych modlitw, Sir Olin serwował nam i całej służbie dziesięciminutowe modły za wszystkich członków rodziny, podczas gdy my tonęliśmy w aromatycznych woniach i wzdychaliśmy do słonecznie żółtej jajecznicy, do połyskujących mahoniowo kiełbas i wędzonych śledzi, które kusząco skwierczały na bocznym stoliku.

Przynajmniej jednak baronet rozwiązał tajemnicę zamkniętego na głucho pokoju i na dodatek zrobił to w sposób niezwykle dramatyczny. Pierwszego dnia po powrocie do domu, zaraz po śniadaniu, wezwał nas do podłużnego gabinetu, którego ściany pokrywały regały z książkami, i oznajmił, chichocząc z zadowoleniem: — Martin, mój chłopcze, mam dla ciebie małą niespodziankę. Popatrzcie tylko na ten słodkowy legał.

Sir Olin wcisnął niewidzialny przycisk, a my patrzyliśmy, wstrzymując oddech, jak regał gładko i bezszelestnie przesuwają się do przodu, odsłaniając ukryte za nim ciężkie drzwi z matowej blachy. Na środku tych potężnych drzwi widniała błyszcząca mosiężna gałka z szyfrowym zamkiem.

— Och, ojcie, to sekretny sejf! — Twarz Martina rozbłysła entuzjazmem.

Sir Olin ponownie zachichotał i wyjął z kieszeni ciężki zegarek w złotej kopercie. Otworzył kopertę i zerknął do środka, jak gdyby sprawdzając szyfr, po czym zaczął przekręcać gałkę to w tę, to w drugą stronę. Wreszcie ciężkie metalowe drzwi otworzyły się z wolną, sunąc jak na naoliwionych kółkach i oczom naszym ukazał się nie zwyczajny sejf, lecz kwadratowe pomieszczenie przypominające skarbiec, z niewielkim biurkiem i ścianami, które pokrywały niezliczone szuflady różnej wielkości, przywołujące na myśl skrytki depozytowe w co nowocześniejszych bankach. Gestem zaprosił nas do środka, my zaś usłuchaliśmy, drżąc z podniecenia. Sir Olin pokazał

nam część zgromadzonych tam skarbów, wyjaśniając jednocześnie, że powodem, dla którego wycofał swoje płynne aktywa z londyńskiego banku, była chęć zabezpieczenia finansowej przyszłości swojego „ukochanego chłopca” przed niszczycielską działalnością niemieckich zeppelinów. Przekręcając gałkę, wyciągnął szufladę pełną połyskujących, złotych suwerenów. Pokazał nam także inne tajemnicze szuflady, których zawartość dotyczyła wszystkich materialnych i zbywalnych skarbów rodziny Slaterów, a które oznaczone były etykietkami „Hipoteki”, „Ubezpieczenia”, „Akcje”, „Obligacje” itd. Budziły skojarzenia z powieściami awanturniczymi Williama LeQueux i fantazjami H.G. Wellsa.

Na widok tak wyraźnego dowodu rodzicielskiej troski z ust Martina padło pytanie, którego się spodziewałem: — Ojcze, a czy ty zainstalowałeś tu alarm na włamywaczy?

— Nie, jakoś nie. — Sir Olin z przyjemnością pogłaskał włosy syna swoimi grubymi palcami. — A może sam byś coś skonstytuował w wolnym czasie, co, chłopcze?

Wkrótce jednak miałem się dowiedzieć, że w towarzystwie Sir Olina czas wolny był rzadkim luksusem. Baronet, będąc szlachcicem i zagorzałym miłośnikiem angielskiej wsi, chciał za wszelką cenę zaszczerpić podobny entuzjazm w swoim jedynym synu i spadkobiercy. Każdego ranka po śniadaniu Martin, któremu marzyło się zacisze jego warsztatu, zmuszony był towarzyszyć ojcu podczas obchodu posiadłości. Podążał za nim od stodół do stajni, przez pastwiska i pola uprawne, wysłuchując niekończących się monologów Sir Olina opowiadającego, jak to on, jedenasty baronet, z bożą pomocą przekazał kiedyś to wszystko w doskonałym stanie dwunastemu baronetowi, przyszłemu Sir Martinowi Slaterowi. Zwykle wędrowałem wtedy razem z nimi, trzymając się z tyłu wraz z jedynym wielbicielem Sir Olina, ponurym terierem Roddym i gapiąc się z zachwytem na gładkie boki krów, których mleko miało w kolejnym semestrze wzbogacić zawartość słynnych koszyków z prowiantem, na świnie, których kształt kojarzył mi się z przyszłymi pętami kielbas, na tłusty drób, który w mojej rozmarzonej wyobraźni przybierał postać soczystych nówek, udek i smakowitych, białych piersi.

Każdego dnia Sir Olin kończył zwiedzanie swoich włości dokładnie pięć minut przed godziną pierwszą, w związku z czym po

powrocie do domu ledwo zdążyliśmy umyć ręce przed obiadem. Po obiedzie baronet, chcąc najwyraźniej dzielić z Martinem zarówno chwile poważne, jak i radosne, zabierał nas na konną przejażdżkę lub aż do podwieczorku rzucał nam podkrecone piłki w siatkę do krykieta, daremnie usiłując wpoić nam właściwą technikę odbicia w grze, której obaj nie cierpieliśmy.

Po podwieczorku o wpół do piątej następował dla nas jedyny w ciągu dnia czas prawdziwego odpoczynku. Bo codziennie o piątej do drzwi rezydencji pukał, punktualny jak złoty zegarek Sir Olin, rządcą przybyły z Bridgewater i obaj panowie znikali w bibliotece aż do godziny siódmej, kiedy to rozbrzmiewał gong oznajmiający, iż należy ubrać się do kolacji i Sir Olin odkładał dokumenty oraz rejestry do swojego skarbcza, rządcą zaś oddalał się z szacunkiem.

Nie trzeba chyba dodawać, że każdego dnia Martin i ja błogosławiliśmy owego rządcę, wynosząc pod niebiosa jego nazwisko — Ramsbotham. Nie trzeba też dodawać, że jego przyjazd był dla nas zawsze sygnałem, iż możemy aż do kolacji oddawać się swoim ulubionym rozrywkom: ja moim włóczegom, Martin zaś pracy w warsztacie.

Sama kolacja, dawniej najprzyjemniejszy moment całego dnia, straciła dla nas cały swój urok. W przeciwieństwie do żony Sir Olin nie przywiązywał większej wagi do jedzenia. Chcąc jak najszybciej rozpocząć swój „kwadrans skupienia”, dawał nam zaledwie dwanaście minut na zaspokojenie naszego wilczego głodu. Jego obecność przy stole, ubranego w bordową marynarkę, oznaczała, że nasze talerze znikają ze stołu w błyskawicznym tempie. Traciłem w ten sposób wiele smakowitych kąsków i mogłem jedynie tęsknie patrzeć, jak służba wynosi je do kuchni. Martin cenił dobre jedzenie na równi ze mną, lecz będąc prawdziwym smakoszem, był niezdolny do łapczywości. Często więc musiał z pustym żołądkiem znosić „kwadrans skupienia” i wieczorne czułości ojca.

Po upływie kilku dni Sir Olin wymyślił dla Martina nową torturę. Baronet doszedł do wniosku, że syn jest już dość dorosły, aby nauczyć się zarządzania majątkiem, który pewnego dnia przejdzie w jego ręce. W związku z tym trzy razy w tygodniu między piątą a szóstą Martin musiał przesiadywać w bibliotece razem z ojcem i rządcą Ramsbothamem. W ten sposób na majsterkowanie w ukochanym

warsztacie pozostawały mu zaledwie dwie godziny we wtorki, czwartki i soboty. Oznaczało to także, iż przynajmniej trzy razy w tygodniu Martin miał jeszcze mniej czasu na zjedzenie kolacji.

Chyba właśnie w owym czasie po raz pierwszy zauważyłem zmianę w zachowaniu i wyglądzie mojego kolegi. Stał się jeszcze bardziej milczący, jego twarz była ciągle blada, a oczy podkrążone. Podejrzywałem, że było to związane z tym, iż chcąc nadrobić stracony czas, Martin wymykał się w środku nocy do warsztatu. Jak mówię, mogłem go tylko o to podejrzewać, ponieważ nigdy nie zwierzał mi się w tej kwestii. Lecz gdy dwa lub trzy razy zdarzyło mi się przebudzić po północy, widziałem, że jego łóżko było puste, a przez otwarte okno dostrzegałem migoczące w warsztacie światło.

Domyślałem się, że ostatnia faza przygotowań rozpoczęła się w sobotni wieczór, pod koniec trzeciego tygodnia mojego pobytu w Olin-scourt. Akurat rozległ się gong oznajmiający, że należy przebrać się do kolacji, ja zaś, mijając drzwi prowadzące do biblioteki, usłyszałem inny, cichszy dzwonek. Zdziwiłem się, ponieważ w domu tym rzadko kiedy dzwonił telefon, a jeśli już tak się działo, to zawsze było to coś bardzo ważnego. Doganiając mnie na schodach, Martin wyraził głośno moje niewypowiedziane nadzieje:

— Jak myślisz, stary, co to za wspaniała nowina? Może ojciec został gdzieś pilnie wezwany albo coś w tym rodzaju?

Później zaś, gdy pospiesznie brałem kąpiel, usłyszałem odgłos uruchamianego silnika, a wychylony przez okno Martin oznajmił podekscytowany: — To samochód starego Ramsbothama. Wydaje mi się, że obok niego siedzi ojciec. Do tej pory nie przyszedł jeszcze na górę, żeby się przebrać. Poczekaj tu, a ja zejdę na dół do biblioteki i zobaczę, co się dzieje.

Wrócił po kilku minutach z radosną wieścią, że jego ojca nie ma w domu — prawdopodobnie pojechał gdzieś z panem Ramsbothamem, co oznaczało, że mogliśmy do woli rozkoszować się kolacją. A była ona naprawdę wyborna: świeży pstrąg, a na deser maliny ze śmietanką. Podał nam ją nie kto inny, jak sam Pringle, główny kamerdyner. — Proszę o wybaczenie, paniczu Martinie — powiedział, odkaszlnąwszy przepraszająco — ale może wie panicz, czy Sir Olin będzie na kolacji?

— Wydaje mi się, że pojechał do Bridgewater z panem Ramsbothamem. — Martin miał pełne usta zielonego groszku. — Słyszałem, że proszono go o wygłoszenie pogadanki w tamtejszym zakładzie poprawczym dla chłopców w którąś sobotę. A właśnie dziś ktoś do niego dzwonił.

— Rozumiem, paniczu, jednak nic mi na ten temat nie powiedział. — Pringle wycofał się, sztywny i pełen dezaprobaty, my zaś uświadomiliśmy sobie z radością, że tego wieczoru ominie nas „kwadrans skupienia” i pocałunek na dobranoc.

Następnego dnia rano ominęły nas także codzienne modlitwy, jako że Sir Olina jeszcze nie było. Należało rozumieć, że bardzo zmęczony nawracaniem zbłąkanych owieczek z zakładu poprawczego został na noc w Bridgewater razem z panem Ramsbothamem. A ponieważ była niedziela, jego nieobecność nikogo nie zdziwiła.

Zaraz po śniadaniu Martin z pałającymi oczyma popędził do swojego warsztatu, ja zaś udałem się na przechadzkę. Wtedy to miało miejsce pewne zdarzenie, które wówczas wydało mi się całkiem bez znaczenia, lecz później, widziane z perspektywy czasu, nabrało zgoła innego wymiaru.

Zagwizdałem na Roddy'ego, który zazwyczaj nie mógł się doczekać naszego wspólnego spaceru. Lecz w odpowiedzi na moje wezwanie nie usłyszałem zwykłego truchtania psich łapek. Zagwizdałem jeszcze raz. W końcu zacząłem go szukać, wołając: — Hej, Roddy... Roddy, szczury czekają!

Zagadka rozwiązała się, gdy z gabinetu dobiegło mnie jego skomlenie. Widocznie Roddy znalazł już szczura, bo z dziwnym skowytym drapał środkowy regał.

Skłoniłem go, żeby za mną poszedł, lecz gdy po pewnym czasie obejrzałem się za siebie, pies gdzieś zniknął. Już to samo było niespotykane.

Inne pozornie nieistotne zdarzenie miało miejsce później tego ranka, kiedy wróciłem ze spaceru. Dzień był upalny, więc przed wyjściem z domu zdjąłem swoją szkolną marynarkę i powiesiłem ją na kołku w holu, tuż przy drzwiach wejściowych. Kiedy wróciłem, marynarka wciąż tam wisiała, tyle że niedbale. Gdy ją zdejmowałem, z kieszeni wysypały się listy. Wszystkie były od Sir Olina i zaadresowane do jego syna. Zrozumiałem, że Martin wrócił na lunch przede

mną i przez pomyłkę założył moją marynarkę. Pozbierałem więc listy — wszystkie, jak sądziłem — po czym wepchnąłem je z powrotem do kieszeni marynarki i natychmiast zapomniałem o całej sprawie. Podejrzewam, że nawet nie zadaliśmy sobie wtedy trudu, żeby wymienić się marynarkami.

Następnego ranka Martin zrobił coś niezwykłego. Wstał grubo przede mną i gdy zszedłem na dół, siedział już na swoim miejscu przy stole, a przed jego nakryciem leżała zaklejona koperta. Od razu rozpoznałem pismo jego ojca.

Podając nam kawę, Pringle odezwał się, jak zwykle odkaszłując przepraszająco: — Kiedy zabierałem dziś pocztę z głównego holu, pozwoliłem sobie zauważyć, że jeden z listów zaadresowany jest przez Sir Olinę do pana, paniczku Martinie. Byłem ciekaw, czy wspomniał może, kiedy wraca.

— Jedną chwilę, Pringle. — Martin nałożył sobie na talerz kopiastą porcję potrawy z ryżu, ryby i jaj. — Zaraz przeczytam i powiem ci...

Jak tylko Pringle wycofał się z godnością, Martin rozerwał kopertę i wyjął ze środka dwie kartki pokryte znajomymi gryzmołami. Przesunął szybko wzrokiem po pierwszej stronie, mamrocząc pod nosem: — Znowu te nudne kazania.

— Píše, kiedy zamierza wrócić? — zapytałem.

— Czekaj, coś tu jest na końcu. — Słyszając w korytarzu kroki Pringle'a, wcisnął mi jedną kartkę wraz z kopertą, mówiąc niecierpliwie: — Weź to i wrzuć do kominka, staruszk. Wolałbym umrzeć, niż pozwolić, żeby Pringle przeczytał te religijne bzdury.

Gdy pospiesznie ciskałem w ogień pierwszą stronę tych bzdur razem z kopertą, usłyszałem, jak Martin zwraca się do mnie z wystudiowaną obojętnością, najwyraźniej z uwagi na Pringle'a: — Masz, Pat, przeczytaj. Lepiej idzie ci odcyfrowywanie pisma mojego ojca.

Podał mi drugą część listu, a ja przeczytałem:

Tak więc, ukochany chłopcze, wrócę do was za trzy lub cztery dni. Tymczasem zaś modlę się, aby Opatrzność... i tak dalej, i tak dalej...

W liście nie było ani słowa na temat aktualnego miejsca pobytu baroneta.

Przekazaliśmy Pringle'owi w skrócie treść listu; wydawał się być usatysfakcjonowany tym, co usłyszał, choć czuł się chyba nieco

dotknięty faktem, iż pan nie poinformował go o swoim wyjeździe osobiście. Jeszcze bardziej dotknięty i o wiele mniej usatysfakcjonowany otrzymanymi wyjaśnieniami był pan Ramsbotham, gdy zjawił się u nas tamtego popołudnia o zwykłej porze. Okazało się, że nie odwoził Sir Olina do Bridgewater ani w żadne inne miejsce. Był też pewien, że baronet miał wygłosić pogadankę w zakładzie poprawczym dopiero w przyszłą sobotę. Musiał oczywiście przyjąć treść przedstawionego mu przez Martina listu, lecz wszystko to było bardzo niepokojące... i bardzo dziwne. Jeszcze bardziej niepokojące i dziwne było to, że — jak w końcu wyszło na jaw — nikt nie odwoził Sir Olina na stację.

Nie potrafię powiedzieć, kiedy dokładnie przedłużająca się nieobecność Sir Olina na dobre wystraszyła domowników; dość, że w pewnym momencie pan Ramsbotham zatelefonował do Lady Slater z prośbą, aby wróciła do domu. Muszę jednak przyznać, że zanim to nastąpiło, całkowicie usunąłem z myśli zaginionego baroneta, upajając się radością życia bez niego.

Komuś dorosłemu może się wydawać dziwne, szczególnie w świetle opisanych przeze mnie wydarzeń, że ani razu nie przyszło mi do głowy, aby martwić się o bezpieczeństwo Sir Olina. Na swoje usprawiedliwienie mogę jedynie powiedzieć, że umysł dziecka nie kieruje się logiką. Wydarzenia poprzedzające zniknięcie baroneta nie wydawały mi się wtedy złowrogie; dopiero patrząc na nie z perspektywy czasu i umieszczając każdy drobny incydent w szerszym kontekście, widzę rysujący się z bezwzględną nieuchronnością wzorzec.

Kolejna wiadomość, jaka do mnie dotarła, była nad wyraz podniecająca. Ponieważ zbliżał się dzień wypłaty dla służby i jak co miesiąc trzeba było uregulować domowe rachunki, postanowiono, nie czekając na powrót Sir Olina, otworzyć skarbiec, zawierający oprócz rozmaitych kosztowności i papierów wartościowych, także całe zasoby gotówki rodziny Slaterów. Jako że baronet był jedyną osobą znającą szyfr, zdecydowano w końcu sprowadzić z Londynu robotników, którzy zbudowali skarbiec, aby wysadzili skomplikowany zamek.

Polecono nam, abyśmy w momencie odpalania dynamitu trzymali się z dala od gabinetu, lecz nic nie mogło mnie powstrzymać od uczestniczenia w tej niezwykłej operacji. Nakłoniłem więc dziwnie niechętnego mojemu pomysłowi Martina, żeby mi towarzyszył, i obaj

ukryliśmy się za kanapą w zakurzonej gabinecie na chwilę przed tym, jak robotnicy weszli odpalić lont.

Do dziś dokładnie pamiętam pełne napięcia chwile oczekiwania za oparciem kanapy. Wciąż czuję w nozdrzach stęchlą woń brokatowego obicia; słyszę przyspieszony oddech Martina i widzę jego pobladłą, ściągniętą twarz, a w moich uszach rozbrzmiewają szeptu mężczyzn zabierających się do swej niebezpiecznej pracy.

W pewnym momencie, prędzej, niż się tego spodziewałem, nastąpił wybuch. Był tak potężny, że wstrząsnął całym gabinetem, a nawet, jak mi się wydawało, samymi fundamentami Olinscourt. Martin i ja podskoczyliśmy, zderzając się boleśnie głowami, ale w tamtej chwili nawet nie zwróciłem uwagi na ból. Patrzyłem, jak kłęb czarnego dymu wylewa się z wejścia do skarbcza. Jak przez mgłę usłyszeliśmy głos: — To powinno wystarczyć. Dalej, pomóżcie mi.

Zobaczyliśmy, że robotnicy zaczynają pchać ciężkie metalowe drzwi. Stojący za nimi Pringle niecierpliwie przebierał nogami. Widziałem go przez unoszący się dym. Znowu zauważyłem, że Martin oddycha ciężko, a jego nieprzeniknione, ciemne oczy wpatrują się w otwierane właśnie drzwi do skarbcza.

Nagle usłyszałem zdławiony okrzyk jednego z robotników, a po nim głośne szczekanie Roddy'ego, który jakimś cudem dostał się do środka. Ponad tym wszystkim rozległ głos Pringle'a: — Boże Wszechmogący, toż to Sir Olin!

Wtedy go zobaczyłem: potężne ciało, spoczywające bezwładnie na maleńkim biurku wewnątrz skarbcza. W dłoni baroneta dostrzegłem metalicznie połyskujący rewolwer, a nad jego prawą skronią fioletową plamę zaschniętej krwi. Ujrzałem, że robotnicy zbliżają się do niego niepewnie i unoszą go do góry, i ponownie usłyszałem głos pana Pringle'a, wołającego ostrzegawczo: — Nie ruszajcie niczego przed przyjazdem policji. On nie żyje. Zastrzelił się.

Przez chwilę wpatrywałem się w to bezwładne ciało z fascynacją dziecka, które po raz pierwszy stanęło oko w oko ze śmiercią. Moje nozdrza wypełniła nieokreślona woń. Prawdopodobnie był to zapach prochu, lecz w mej dziecięcej wyobraźni zapisał się on jako zapach śmierci. Poczulem nagłą, wszechogarniającą panikę. Odepchnąłem Martina i popędziłem na górę do łazienki na trzecim piętrze. A tam długo wymiotowałem.

Nie wiem, ile czasu spędziłem zamknięty w łazience. Nie pamiętam, o czym wtedy myślałem poza tym, że czułem przemożną potrzebę powrotu do rodzinnego domu. Jeśli byłoby to konieczne, poszedłbym nawet pieszo do bombardowanego przez zeppelinów Londynu, byle dalej od tej potwornej sceny, jaką ujrzałem w skarbcu. Musiało minąć kilka godzin, zanim doszedłem do siebie.

Usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu. Zakłopotany wyszedłem z łazienki i zobaczyłem stojącego na półpiętrze Pringle'a. Na mój widok powiedział: — Paniczku Pat, jest pan proszony do garderoby Lady Slater. Pan i panicz Martin.

Zastałem Martina kręcącego się pod drzwiami pokoju matki. Wyglądało na to, że i on wymiotował. Lady Slater siedziała pod oknem w swoim buduarze. Miejsce gabardynowego stroju w przygaszonych kolorach zajęła żałobna czerń, lecz na twarzy pani domu nie było śladów smutku ani łez. Nawet w tak strasznej chwili nie potrafiła być człowiekiem. Słowami pełnymi religijnego zadęcia oznajmiła nam to, co i tak już wiedzieliśmy — że Sir Olin odebrał sobie życie.

— To ta okropna choroba gardła... Nie mieliśmy pojęcia, że tak bardzo cierpiał... Wyjaśnia wszystko w pożegnalnym liście do mnie... Nie wolno nam go osądzać...

Następnie wręczyła Martinowi grubą kopertę. — Do ciebie także napisał list, mój synu.

Martin wziął od niej kopertę; zauważyłem, jak jego palce instynktownie badają ją na ewentualną obecność banknotów, tak jak to zwykł robić w szkole.

— Zostawił ci też tę paczkę. — Lady Slater podała Martinowi kwadratowy, starannie zapakowany przedmiot i dodała: — Opatrzył ją takim samym opisem, co list. Masz je sam otworzyć i zrobić z nimi, co uznasz za stosowne.

Po tym Lady Slater zabrała nas na dół do głównego salonu. Przy drzwiach stał wiejski posterunkowy, a mężczyzna o wojskowym sposobie bycia rozmawiał z kamerdynerem Pringlem i panem Ramsbothamem. Obok nich dostrześliśmy niepozorną, przygarbioną postać miejscowego lekarza.

Wyglądający na wojskowego dżentelmena o nastroszonych wąsach wypytywał Martina i mnie o dzień, w którym zniknął Sir Olin. Zdziwiająco spokojny Martin opowiedział to krótko. Tamtego dnia

obu nam wydawało się, że słyszeliśmy dzwoniący w bibliotece telefon. Ponadto Martin był przekonany, że widział Sir Olina odjeżdżającego samochodem z panem Ramsbothamem. Uznał, że ojciec wybrał się wygłosić pogadankę w zakładzie poprawczym. A w poniedziałek rano Martin znalazł przy swoim nakryciu list od Sir Olina, w którym ten zawiadamiał, że wróci dopiero za kilka dni.

Następnie zajęto się problemem owego listu, który tak skutecznie uśpił czujność wszystkich domowników. Wąsaty pan doszedł do wniosku, że musiał to być list, który Sir Olin napisał do syna jakiś czas wcześniej, a który przez przypadek trafił tego dnia do porannej poczty i wraz z innymi listami znalazł się na wycieracze przed drzwiami. W tym momencie przypomniałem sobie, jak spiesząc się na obiad dzień po zniknięciu Sir Olina, porwałem z kołka w holu marynarkę Martina. Przypomniałem sobie nieprzeczytane listy od Sir Olina, które wypadły wówczas z jej kieszeni, i z właściwym jedynie dzieciom poczuciem winy uznałem, że ponoszę winę za całą tę tragedię. Przerazenie sprawiło, że ledwo wydukałem swoją wstydliwą tajemnicę.

Martin, obserwujący mnie niewzruszonym wzrokiem, potwierdził moją opowieść i rumieniąc się z lekka, przyznał, że nie zawsze otwierał listy od ojca zaraz po ich otrzymaniu. Wojskowy skwitował to wyznanie lekkim uniesieniem brwi i na tym zakończyła się sprawa listu. „Mały przyjaciel Martina” przez nieuwagę wysypał listy Sir Olina z kieszeni marynarki swojego kolegi; nie zauważył, że jeden z nich został na podłodze w holu; następnego dnia rano kamerdyner znalazł go przy drzwiach i uznał, że przyszedł razem z poranną pocztą... Jednym słowem, fatalny zbieg okoliczności.

Następnie wojskowy zwrócił się do Lady Slater: — Jest jeszcze jedna zagadka, Lady Slater. Sir Olin wszedł do skarbcza w sobotę wieczorem i od tamtej pory nikt go nie widział. Należy założyć, że już z niego nie wyszedł. Rzeczywiście, nie mógłby otworzyć tych ciężkich drzwi od środka, nawet gdyby chciał...

Martin czujnie obserwował poruszające się wąsy mówiącego, a jego oczy błyszczały.

— A jednak, Lady Slater, obecny tu doktor Webb twierdzi, że w chwili znalezienia ciała pani mąż nie żył od niecałych dwudziestu czterech godzin. Dzisiaj mamy wtorek. To znaczy, że Sir Olin strzelił

sobie w głowę dopiero wczoraj. Innymi słowy musiał spędzić aż trzy dni uwięziony w skarbcu.

Mężczyzna odchrząknął. — Z listu adresowanego do pani bezspornie wynika, że pani mąż targnął się na swoje życie, ale ciekaw jestem, czy... hm... mogłaby mi pani wyjaśnić, dlaczego tak długo z tym zwlekał — dlaczego skazał się na tak długą męczarnię w skarbcu. Dlaczego czekał, aż niemal zabrakło mu tlenu, dlaczego...

— Musiał napisać listy. Uporządkować swoje sprawy. — Lady Slater zamrugła powiekami. Widać było, że stara się nie myśleć o tym, jak bardzo nieprzyjemna musiała być śmierć jej męża. — Chciał, żeby wszystko było załatwione jak należy. — Ostatnie słowa były już ledwie słyszalnym szeptem. — Takie sprawy wymagają czasu.

— Czasu. Tak. — Dżentelmen o wygładzie wojskowego niemal niezauważalnie wzruszył ramionami. — Ale chyba nie całych trzech dni, Lady Slater.

— Sądzę — odparła Lady Slater, przenosząc konwersację na całkiem nowy poziom — sądzę, że najprawdopodobniej Sir Olin spędził lwią część swoich ostatnich trzech dni na... na modlitwie.

Na to nie było już żadnej odpowiedzi.

Prawie natychmiast nas odprawiono. Martin wstąpił do garderoby matki, aby zabrać stamtąd list i paczkę pozostawione mu przez Sir Oliną. Następnie minął mnie i wyszedł z domu.

Teraz, gdy koszmar już się skończył, silnie odczuwałem potrzebę czyjegoś towarzystwa, lecz wszystko wskazywało na to, że Martin równie silnie potrzebuje samotności. Zachowując dyskretny dystans, wyszedłem za nim wprost w popołudniowe słońce. Skierował się zaraz do swojego warsztatu i zamknął się w środku, pozostawiając mnie na zewnątrz z twarzą żałośnie przyciśniętą do okiennej szyby.

Nie wydaje mi się, aby był świadomy mojej obecności, a ja wcale nie miałem zamiaru go szpiegować. Przeraziła samotność śmierci wciąż mi towarzyszyła i jakkolwiek kontakt z Martinem, choćby i odległy, był dla mnie pociechą. Zobaczyłem, że odkłada list na ławkę, a następnie z kamienną twarzą zaczyna rozpakowywać paczkę.

Jakże wielkie było moje zdumienie, gdy zobaczyłem, że w środku był tylko budzik, zwyczajny budzik podobny do tuzina innych, stojących na półce w warsztacie Martina, z tą wszakże różnicą, że była do

niego doczepiona jakaś drucziana konstrukcja. Jak przez mgłę pamiętam, że pomyślałem wtedy: „Jakie to dziwne, że ojciec zostawia synowi w spadku coś tak skromnego, jak zwykły budzik”.

Martin prawie na niego nie spojrział. Odstawił go po prostu na półkę razem z innymi. Potem rozpałił jeden ze swoich palników bunsenowskich, w które wyposażony był jego dobrze zaopatrzony warsztat. Wziął do ręki list napisany przez ojca, ostatni z wielu listów, jakie od niego otrzymał i których nigdy nie czytał. Nie zerknął nawet na kopertę. Po prostu włożył go szybko w płomień palnika i trzymał tak długo, że ogień musiał chyba osmalić mu palce.

Wtedy Sir Martin Slater, dwunasty baronet, starannie pozbierał spalone kawałki papieru i wyrzucił je do kosza na śmieci.

Pozostałem w Olinscourt aż do pogrzebu. Z samej ceremonii mam tylko niewyraźne, dziecinne wspomnienia. O wiele lepiej za to pamiętam pieczone mięsiwa, jakie podano podczas stypy. Wstyd się przyznać, ale opychałem się nimi bez opamiętania; nie wątpię, że Martin również.

Następnego dnia moi rodzice uznali, że powinienem pozostawić Slaterów samych z ich żałobą. Mój żal, spowodowany odjazdem, osłodził nieco orzechowy tort ze stypy, którego resztki ukryłem czule i starannie na samym dnie mego sakwojażu.

Nigdy więcej nie zobaczyłem Martina Slatera. Z jakiegoś powodu zabrano go ze szkoły, w której wspólnie marzliśmy i ćwiczyliśmy zapasy, i przeniesiono do Harrow. Przez pewien czas brakowało mi smakowitych przesyłek z Olinscourt, lecz wkrótce wojna dobiegła końca, a ja wyjechałem z rodziną do Ameryki i całkiem zapomniałem o tym szkolnym koledze.

Ostatnio jednak ogarnęła mnie nostalgia za minionymi czasami. Znowu stanęło mi przed oczyma dzieciństwo i Martin Slater. Z wolna odkrywając to jeden, to drugi zapomniany element układanki stwierdziłem, że jestem w stanie dokładnie odtworzyć cały mój pobyt w Olinscourt, od dawna zatarty w pamięci.

Oczywiście przez cały czas dysponowałem wszystkimi faktami, brakowało jedynie właściwej interpretacji. Teraz, dzięki bardziej przenikliwemu spojrzeniu i większemu dystansowi, widzę prawdziwy

sens tego, co w oczach dziecka było zaledwie serią niezwiązanych ze sobą wydarzeń.

Być może wyrządzą mojemu szkolnemu koledze straszną krzywdę. Być może w cyniczny sposób staram się wtłoczyć w wymyślony przez siebie schemat to, co nie było niczym więcej, jak tylko nagromadzeniem niefortunnych zbiegów okoliczności i całkiem fantastycznych przypadków. Śmiem jednak twierdzić, że jest inaczej. Dziś bowiem o wiele lepiej rozumiem charakter Martina Slatera niż wtedy, gdy obaj byliśmy dziećmi. Widzę chłopca, balansującego na cienkiej granicy oddzielającej dzieciństwo od dorosłości, z całej siły buntującego się przeciw jakiegokolwiek fizycznej lub psychicznej ingerencji w swoją prywatność; chłopca niezwykle dumnego i drobiazgowego, który był już na tyle dojrzały, aby wiedzieć, iż musi walczyć w obronie swej niezależności, lecz na tyle niedojrzały, by nie wiedzieć, że w zapasach, jakimi jest życie, pewne chwytły nie są dozwolone — na przykład te poniżej pasa.

Widzę chłopca stłamszonego przez szczerą, lecz przyprawiającą o mdłości wylewność ojca, który bombardował go wytrwale swoją pobożnością, czyniąc z niego w ten sposób pośmiewisko wśród szkolnych kolegów; ojca, który ze swymi „kwadransami skupienia”, kazaniem i pocałunkami w usta na dobranoc, zmienił domowe życie Martina w nieustanny atak na świętą twierdzę jego prywatności. Jestem pewien, że nienawiść, jaką Martin żywił do Sir Olina, była w nim głęboko zakorzeniona i wzrastała w miarę, jak chłopiec zbliżał się do dorosłości. Niewykluczone, że panował nad nią dopóty, dopóki ta niewypowiedziana wojna z ojcowską miłością toczyła się w ukryciu przed światem. Lecz mój przyjazd do Olinscourt wszystko zmienił. Reprezentowałem wszak sobą świat zewnętrzny i to w mojej obecności Sir Olin bezwstydnie obnażył syna ze wszystkich pozorów przyzwoitości. Sądzę, że jego wieczorne pocałunki w usta były dla Martina pocałunkami Judasza. Ojciec ostatecznie go wtedy zdradził.

Martin Slater był zaś zbyt młody, by wiedzieć, że zdradę można karać na wiele sposobów — a nie tylko śmiercią.

Myślę, iż szczegóły tej zbrodni mówią same za siebie. W czasie jednej ze swych nocnych eskapad, kiedy to wymykał się z naszej sypialni, Martin mógł z łatwością zakraść się do śpiącego ojca i odczytać szyfr otwierający drzwi skarbcza, ukryty w kopercie złotego

zegarka Sir Olina. Równie łatwo mógł wśliznąć się do skarbcza w noc poprzedzającą zbrodnię i umieścić w środku skonstruowane w swoim warsztacie zmyślne urządzenie, złożone ze starego budzika i płątaniny drutów, nastawiając alarm na godzinę, w której Sir Olin zwykle wchodził do skarbcza. Urządzenie to mogło automatycznie zatrzasnąć za nim ciężkie, stalowe drzwi, albo tylko odwrócić jego uwagę na tyle, żeby Martin sam mógł je zamknąć. Twórcza wyobraźnia Martina z pewnością mogła dostarczyć mu pomysłu na ten ostatni i najskuteczniejszy „alarm na włamywaczy”; gdyby zaś później odkryto go wraz z ciałem Sir Olina, rozmowa Martina z ojcem na temat konieczności zamontowania tegoż alarmu, której zresztą byłem świadkiem, mogła z powodzeniem posłużyć za wyjaśnienie obecności w skarbcu tego dziwnego wynalazku.

Reszta musiała być już bardzo prosta, zwłaszcza że posłużyłem mu jako niczego nieświadome, lecz bardzo użyteczne narzędzie: zmyślona historyjka o tym, jak to dostrzegł Sir Olin, odjeżdżającego samochodem pana Ramsbothama, sprytna sztuczka ze starym listem, prawdopodobnie otworzonym wcześniej nad parą w celu sprawdzenia jego treści i podrzuconym do porannej poczty, aby uspokoić Pringle'a co do tajemniczej nieobecności pana i upewnić się, że nikt nie zacznie szukać Sir Olina, aż będzie za późno.

Posłużenie się mną dla zatarcia śladów swojej zbrodni było ze strony Martina prawdziwie mistrzowskim posunięciem. To przecież ja, o niczym nie wiedząc, spaliłem pierwszą stronę feralnego listu wraz z kopertą; gdyby nie to, data i stempel pocztowy mogłyby dowiedzieć, że napisano go dużo wcześniej. I to ja, tak niezręcznie chwytając wiszącą w holu marynarkę, zostałem uznany winnym tego, iż ów list „przypadkiem” znalazł się w porannej poczcie.

Tak oto, w wieku czternastu lat Martin Slater wykazał się sprytem i wrodzonym talentem do zabijania. I jako morderca musi być uznany za mistrza w swoim fachu, jako że nigdy nie padł na niego choćby cień podejrzenia.

Był jednak ktoś, kto aż nadto dobrze wiedział o popełnionym przez Martina potwornym czynie. I to jest według mnie w tej historii najstraszniejsze. Staram się nie myśleć o tym, jak Sir Olin wpada jak zwykle do skarbcza z zamiarem odłożenia na miejsce ważnych dokumentów; jak słyszy ciche dzwonięcie, przypominające terkot

budzika; jak odwraca się na pięcie i widzi potężne stalowe drzwi, zamykające się za nim, odcinające go od świata w dźwiękoszczelnym więzieniu i dostrzega gdzieś, prawdopodobnie ponad drzwiami, przedziwną, amatorską konstrukcję złożoną z budzika i drutu.

Staram się nie wyobrażać sobie koszmaru kolejnych kilku dni — dni, kiedy to wpatrywał się w ów alarm zrobiony z budzika, rozpoznając w nim okrutne dzieło swojego syna; dni wypełnionych płonną nadzieją, że Martin jednak zlituje się nad nim i uwolni go z pomieszczenia, w którym z każdą chwilą zaczynało brakować tlenu; dni spędzonych na kontemplowaniu straszliwego zakończenia jego „idealnej” relacji z ukochanym chłopcem.

Jestem ciekaw, czy w czasie tych koszmarnych godzin Sir Olin Slater choć raz stracił swą ewangeliczną wiarę w to, iż człowiek jest z natury dobry. Prawdę mówiąc, raczej w to wątpię. Dowodem na to jest dla mnie heroizm jego śmierci. Albowiem Sir Olin, który w tak żaloszny sposób zniszczył życie swoje i swojego syna, w chwili śmierci okazał się prawdziwym bohaterem. Widzę go, wycieńzonego głodem i pragnieniem, ledwie mogącego oddychać, jak starannie, wręcz skrupulatnie owija papierem zdradziecki budzik, który, pozostawiony w skarbcu, mógłby wskazać na Martina jako na winnego. Widzę, jak pisze pobożny list pożegnalny do żony i drugi list, prawdopodobnie zawierający słowa przebaczenia, do syna, który jednak nigdy go nie przeczytał. Widzę, jak wyjmuje rewolwer z jednej z szuflad z mosiężnymi uchwyty, wypełniających całą ścianę skarbcia i jak walecznie odbiera sobie życie, chcąc w ten sposób ukryć przerażającą zbrodnię Martina.

Zaprawdę, można śmiało powiedzieć, że żadne dzieło życia Sir Olina nie mogło się równać z tym, którego dokonał, rozstając się z tym światem.

ZAGUBIONY CHŁOPIEC

Branson Foster szczególnie dobrze zapamiętał dzień, w którym umarł jego ojciec, ponieważ pozwolono mu wtedy spać w niedużej gotowalni, przylegającej do sypialni matki. W ten sposób dobiegły końca noce spędzane na położonym na trzecim piętrze strychu, gdzie chłopiec leżał samotnie, nie mogąc zmrużyć oka ze strachu przed otaczającymi go złowrogimi ciemnościami i buntując się w duchu przeciw niesprawiedliwości dorosłych, odsuwających go od matki, która go uwielbiała i rozpieszczała. To właśnie ojciec był głównym sprawcą jego wygnania; jednak owego pamiętnego dnia jego onieśmielająca postać z czarnym wąsem pachnącym płynem do płukania ust i jajkiem na miękko na dobre zniknęła z jego życia.

Śmierć ojca przyniosła Bransonowi ulgę i uwolniła od lęku, który dręczył go od dnia jego ósmych urodzin. Pomysł wysłania go do męskiej szkoły z internatem nie zostanie jednak zrealizowany. Matka Branny'ego upewniła go co do tego, z wielkim wzruszeniem całując syna na dobranoc i starannie otulając rozkosznie ciepłą, puchową kołdrą.

— Jesteś teraz głową rodziny, kochanie. Musisz zostać w domu i pomóc swojej biednej mamusi poprowadzić tę głupią szkołę.

Jest więcej niż pewne, że roztargnionej, żyjącej w nieco nierealnym świecie Constance Foster nie przyszło nawet do głowy, iż obdarzając swojego dziewięcioletniego syna bezgranicznym uwielbieniem może wyrządzić mu wielką krzywdę. W 1915 roku w prowincjonalnych angielskich kurortach nikt nie słyszał o matczynych fiksacjach, zaś nazwisko doktora Zygmunta Freuda nie było znane w szkole dla dziewcząt Oaklawn w Littleton-on-Sea. Po śmierci męża pani Foster uznała więc za całkowicie naturalne, aby matka i syn, złączeni wspólnym bólem, byli jak najbliżej siebie.

Po uroczystościach pogrzebowych, podczas których pastor chrapliwym głosem modlił się o spokój duszy „Czarnego Wąsa”, łóżeczko Branny'ego przeniesiono na stałe do niewielkiego pokoju sąsiadującego z sypialnią jego matki. Pani Foster uważała, że strychny, zwłaszcza w czasie wojny, nie są bezpiecznym miejscem. Od tamtej pory kładzenie się spać przestało być dla Branny'ego najbardziej znienawidzonym momentem dnia i stało się tym najbardziej wyczekiwanym. Mógł czytać w łóżku tak długo, jak tylko chciał, a gdy matka przychodziła na górę, przez lekko uchylone drzwi słyszał delikatne odgłosy jej wieczornej krzątania i upajał się cudownym poczuciem jej bliskości oraz związanym z tym poczuciem bezpieczeństwem. Gdy zaś matka cierpiała na migrenę — co zdarzało się dosyć często, jako że pani Foster uważała się za osobę niezwykle delikatnego zdrowia — Branny, gdy niepokój o nią stawał się dla niego zbyt nieznośny, wchodził na paluszkach do jej sypialni i upewniał się, że ta krucha, uwielbiana przez niego kobieta w łóżku rzeczywiście żyje i oddycha.

Niemal każdy dzień tego nowego życia przynosił mu mniejsze lub większe radości. Starsze dziewczęta serdecznie zaopiekowały się zagrożonym w żałobie jedynakiem swojej dyrektorki. Młodsze natomiast stanowiły wdzięczną i pełną szacunku publiczność, przed którą Branny z powodzeniem odgrywał rolę jedynego mężczyzny w domu pełnym kobiet. Widocznym przejawem jego nowego statusu był fakt, iż mógł odtąd korzystać z frontowych schodów, niedostępnych dla pokojówek, uczennic, ani nawet młodszych nauczycielek.

Ukoronowaniem każdego cudownego dnia był wieczór, kiedy to zamiast jeść niewyszukaną kolację w szkolnej jadalni, Branny zasiadał, sam na sam z matką, do lekkiego podwieczorku w dawnym gabinecie ojca. Często też skromne, wojenne racje żywnościowe były wówczas wzbogacane o gotowane jajko, puszkę sardynek lub podobne smakołyki.

Matka obserwowała go pożerającego posiłek z uśmiechem wyrażającym jednocześnie zachwyt i poczucie winy, szepcząc do siebie: — Wiem, że nie powinnam tak go rozpieszczać w czasie wojny, ale przecież dorastający chłopiec ma swoje potrzeby.

Szczęśliwie dla finansowych zasobów szkoły Oaklawn pani Foster nie okazywała podobnej słabości w stosunku do czterdziestu czy pięćdziesięciu dorastających dziewcząt powierzonych jej opiece.

Połowa letniego semestru upłynęła matce i synowi pod znakiem idyllicznego szczęścia. Pani Foster wyglądała piękniej niż zwykle, nawet w swoim czarnym, wdowim stroju, który dodawał tragizmu jej łagodnym, brązowym oczom i podkreślał eteryczną bladość doskonałej cery. Prezentowała światu wypracowaną maskę rezygnacji i smutku, lecz w głębi duszy musiała przyznać, że, podobnie jak syn, od lat nie była równie szczęśliwa. Ciężka dłoń męża, równie uprzykrzona jak jego wąsy, przestała wreszcie tłumić jej naturalną spontaniczność. Branny rozpieszczał ją tak samo, jak ona rozpieszczała jego. W towarzystwie syna mogła swobodnie oddawać się nastrojom niemal dziecięcego rozbawienia. Mogła też częściej folgować swojej skłonności do migren, którą pan Foster dotąd tak bezwzględnie ograniczał. Gdy obowiązki wynikające z jej stanowiska nazbyt ją irytowały, z rozkoszą zamykała się w zaciemnionej sypialni z lekkim bólem głowy, pozwalając Branny'emu okazywać sobie troskę i skrapiać się wodą kolońską.

Będąc jedyną dyrektorką szkoły Oaklawn, roztargniona pani Foster wprowadzała bałagan w rachunkach, pozwalała służbie i dostawcom wodzić się za nos i walnie przyczyniała się do rozluźnienia szkolnej dyscypliny.

Niestety, ów błogi czas niósł w sobie zapowiedź jakże przykrego końca, o czym biedny Branny nie wiedział. Świętej pamięci George Foster stworzył szkołę dla dziewcząt Oaklawn za pieniądze żony i uczynił ją współzarządzającą tej instytucji. Będąc jednak właścicielem dwóch trzecich udziałów i znając swoją Constance, przewidział, iż sytuacja, jaka właśnie miała miejsce, może kiedyś nastąpić. A ponieważ kochał tę szkołę i zbudował ją własnym wysiłkiem, dokonał w testamencie zapisu, mającego uchronić ją przed ostatecznym upadkiem.

Właśnie ów zapis był powodem najazdu ciotek. Zaczęło się od czegoś, co później, w czasach drugiej wojny światowej, nosiło nazwę infiltracji.

Jako pierwsza zjawiała się ciotka Nellie. Jej przyjazd nie zdawał się zwiastować niczego szczególnie groźnego, zwłaszcza że ciotka zawitała do Oaklawn pod koniec letniego semestru, ubrana w ciemne okulary, pamiątkę po wizycie u okulisty w pobliskim Bristolu. Wcześniej Branny widział ciotkę Nellie tylko raz. Kojarzyła mu się całkiem

przyjemnie z podwieczorkiem w ogrodzie, na który podano truskawki z bitą śmietaną, i ze srebrnym pensem, jakiego podarowała mu przed swoim wyjazdem do Indii. W odległej przeszłości, podczas podróży statkiem, jakiś adorator nazwał ją „wielce szykowną damą” i określenie to przyłgnęło do niej, choć dawno już nie miało nic wspólnego z rzeczywistością.

Pewnego dnia tuż przed lunchem Branny zastał ciotkę Nellie w salonie. Matka powiedziała do niego: — Wejdz, kochanie, i przywitaj się ze swoją śliczną ciocią.

Branny wpatrzył się w ciotkę Nelly poważnym wzrokiem. Chichocząc, odparła: — Jaka tam śliczna, Constance, w tych okropnych okularach! Zaczekaj, zdejmę je.

Mimo to Branny nadal nie mógł dostrzec w niej niczego ślicznego. Widział przed sobą potężną kobietę o puszystych, różowawych włosach, obwieszoną biżuterią, z jasnymi, nabiegłymi krwią oczyma i mocno zaczerwienioną skórą. Jako że całym sercem kochał drobną, ciemnowłosą istotę o wielkich oczach i policzkach barwy kości słoniowej, miał wszelkie powody, aby nie być zachwyconym. Kiedy więc ciotka zdjęła okulary, odezwał się ponuro: — Nawet bez nich nie jest wcale śliczna.

Ciotka Nelli znowu się roześmiała i odrzekła: — Ładnie to tak? Mały *pukka sahib* nie powinien mówić takich rzeczy.

Lecz będąc kobietą, nigdy mu tego nie wybaczyła.

Tym razem nie było srebrnego pensa na pożegnanie — bo do niego nie doszło.

Okazało się, że ciotka Nellie nie ma obecnie ani zajęcia, ani stałego miejsca zamieszkania. Wojna posłużyła jej za wymówkę, aby uciec z Indii, gdzie zostawiła cierpiącego na niestrawność męża pułkownika z jego curry i jego konkubinami. Porzucenie Indii nie oznaczało jednak porzucenia kolonialnego słownictwa. Od tej pory wszystko w szkole Oaklawn zamiast „świetne” było *pukka* albo nie *pukka*. Lunch nazywał się *tiffin*, jak indyjskie drugie śniadanie, a pani Foster została ochrzczona *memsahib*. Ciotka Nellie doprowadzała służbę do szalu, zwracając się do nich per *ayah* i stawiając kapryśne żądania w zniekształconym języku hindustani. Na dodatek, tłumacząc się wymogami skomplikowanej toalety, spędzała nieprzyzwoicie dużo czasu w łazience.

Mimo to początkowo Branny traktował jej pobyt w Oaklawn jak dobry żart. Jej gadatliwa obecność, zakłócająca jego dotychczas kameralne podwieczorki z matką, mogła być męcząca, rekompensowały ją wszakże nieoczekiwane atrakcje. Na przykład ogromną przyjemność sprawiało Branny'emu buszowanie po sypialni ciotki; młodsze dziewczęta wytrzeszczały oczy z niedowierzaniem, gdy opowiadał im, co tam odkrył. Pewnego razu, myśląc, że ciotka Nellie jest w łazience, ubrał się w jej satynowy peniuar, przyczepił nad czołem sztuczną różowawą grzywkę i tak przystrojony zbiegł na dół, wywołując w stadku drugoklasistek wybuch nieopanowanego śmiechu.

Przyszło mu jednak drogo zapłacić za tę krótką chwilę popularności. Ciotka Nellie czekała na niego przyczajona za drzwiami łazienki. Gdy tylko zakradł się na górę, wyskoczyła z ukrycia niczym łysy, rozwścieczony kondor i pochwyciła go w swe szpony. Odebrawszy mu swoją własność, potrząsała Brannym tak długo, aż zaczął szczerkać zębami, a następnie uderzyła go kilka razy w umalowaną twarz i tak mocno waliła jego głową o ścianę łazienki, że pani Foster, zaalarmowana krzykiem swojego najdroższego chłopca, przybiegła i bezradnie łkając, prosiła: — *Pas sa tête, Nellie, pas sa tête**.

* (franc.) — Tylko nie w głowę, Nellie, tylko nie w głowę.

Na tym nie skończyła się kara Branny'ego: przez cały tydzień ciotka Nellie uparcie odmawiała spożywania z nim posiłków przy jednym stole, musiał więc na siedem dni zrezygnować z podwieczorków z matką i ponownie przeżuwać grube kromki chleba bez jednej łyżeczki dżemu przy stole dla dzieci w szkolnej jadalni.

Udręka ta nie była jednak dla Branny'ego nieznośna, gdyż ciotka Nellie, pomimo przedłużającego się pobytu, była przecież gościem w ich domu i jako gość musiała w końcu kiedyś go opuścić. A wtedy on i jego matka znów będą sami i życie na powrót odzyska utracony blask.

Napisał więc do ciotki grzeczny liścik z przeprosinami, które zostały chłodno przyjęte, i po pewnym czasie ponownie dopuszczono go do udziału w podwieczorkach.

Drugiego wieczoru po swojej rehabilitacji Branny zaczął podejrzewać, że ciotka Nellie nie jest jednak ich gościem. Obie panie dyskutowały właśnie przy filiżance herbaty o *mademoiselle* od języka

francuskiego, wezwanej niespodziewanie telegramem do rodzinnego Paryża.

— Najwyższa pora, droga Constance — zauważyła ciotka Nellie — żebym wzięła się do pracy, *n'est-ce pas?*

I faktycznie, już następnego ranka podczas lekcji francuskiego to ciotka Nellie stała za katedrą, to ona zmuszała uczennice, by mówiły z akcentem bardziej francuskim niż akcent rodowitego Francuza, i to ona robiła z siebie widowisko, wyśpiewując głupawe francuskie pioseneczki, których nikt nie rozumiał.

Wtedy też ciotka Nellie zarzuciła język hindustani i od tamtej pory okraszała każde zdanie francuskim słowem lub zwrotem, ubarwiając je dodatkowo elegancką galijską gestykulacją.

Tak czy owak, wszystko wskazywało na to, że ciotka, ze swoimi lingwistycznymi akrobacjami — czy to angielsko-hinduskimi, czy też angielsko-francuskimi — zostanie u nich na dłużej.

W miarę jak semestr letni zbliżał się do końca, Branny tym częściej błagał matkę, aby zadała kłam temu straszliwemu podejrzeniu, ona jednak zbywała go, wspominając coś o akcjach szkoły, co było dla niego całkowicie niezrozumiałe.

Prawdziwy cios nastąpił mniej więcej w połowie letnich wakacji. Od kilku dni matka była pochłonięta korespondencją. Rozpoczęły się naloty zeppelinów na Londyn i rodzice pospiesznie przynosili dzieci ze wschodu kraju do bezpieczniejszych szkół na zachodzie. Trzeba było wydrukować nowe zapasy broszur informacyjnych.

Stojąc przy biurku matki i czekając, aż skończy pisać list, Branny od niechcenia podniósł jedną z owych broszur. Jego uwagę przykuła strona tytułowa. Pod nagłówkiem:

SZKOŁA DLA DZIEWCZĄT OAKLAWN

w miejscu, gdzie dawniej widniało nazwisko zarządzających szkołą pana George'a H. Fostera z małżonką, ujrzał teraz informację:

Kierownictwo szkoły: pani George'owa H. Foster
pani Johnowa Delaney
panna Hilda Foster

Panią Johnową Delaney była ciotka Nellie. W innych okolicznościach już sam ten fakt byłby wystarczająco okropny. Ale jeszcze gorsze było to, że panną Hildą Foster był nikt inny, jak ciotka Hilda,

słynna, niemal mityczna postać, na samo wspomnienie której Branny'ego ogarnęła panika.

I to właśnie ona miała przybyć do Oaklawn, żeby zarządzać szkołą wspólnie z ciotką Nellie i jego matką. To było nie do pomyślenia.

— Ależ, mamusiu — zawodził — ona nie może tu przyjechać. To jest *twoja* szkoła. Należała do ciebie i taty.

Pani Foster pocałowała syna nieco zasmucona i wyjaśniła, że jego ojciec tego właśnie sobie życzył.

— Zobaczysz, Branny — powiedziała na koniec — teraz, kiedy będą tu twoje ciotki, my oboje więcej czasu spędzimy razem. Będziemy wreszcie mogli chodzić na spacerki i urządzać pikniki.

Ale Branny wciąż czuł nieutulony żal, tkwiący jak kamień na samym dnie jego żołądka. Zamknąwszy się w łazience płakał tak długo, aż zwymiotował, targany gwałtownymi torsjami.

Ciotka Hilda zjawiała się z początkiem września, mniej więcej dwa tygodnie przed początkiem semestru zimowego. Była jeszcze bardziej przerażająca, niż Branny pamiętał.

Przed przyjazdem do Oaklawn ciotka Hilda pracowała jako panna do towarzystwa pewnej utytułowanej damy o trudnym charakterze. Z utęsknieniem wyczekiwała śmierci swojej chlebobawczyni, która zapisała jej w spadku niewielką roczną rentę. Tak zabezpieczona, ciotka przybyła do Oaklawn i z miejsca udowodniła, że nie ma gorszego tyрана od tego, kto wcześniej sam był tyranizowany.

Ciotka Hilda była dokładnym przeciwieństwem ciotki Nellie. W jej wyglądzie nie było niczego sztucznego, tak w dosłownym, jak i w przenośnym znaczeniu tego słowa. Niska i krępa, z siwiejącymi włosami surowo zaczesanymi do tyłu i bezceremonialnie wścibska, stąpała ciężko po korytarzach i cmokała z niezadowolaniem na widok zastanych niedostatków. Cmokała tak nad stanem księgowości, nad rachunkami dostawców i nad rozwiązłością służby. Kilka zaprzyjaźnionych z Brannym kucharek — akurat tych, które o niedozwolonych porach podrzucały mu po kryjomu resztki jedzenia — musiało we łzach odejść ze szkoły. Ciotka Hilda cmokała też z dezaprobatą nad panią Foster, zbywając słabe protesty szwagierki brutalnym: — Bzdury, Constance.

Kiedy skutek ciotycznego cmokania najważniejsze szkolne sprawy zostały doprowadzone do nudnego ładu, ciotka Hilda

przeniosła swoją uwagę na Branny'ego, który, jak stwierdziła, był skandalicznie zepsutym dzieckiem. Przede wszystkim więc ponownie wyгнаła go do budzącej lęk sypialni na strychu. Nie mając wystarczająco silnej woli ani argumentów, by sprzeciwić się szwagierce, pani Foster próbowała przynajmniej złagodzić synowi ów cios, dając mu do pokoju nocną lampkę. Jednak ciotka Hilda warknęła tylko: — Bzdury, Constance. Przestań wreszcie rozpieszczać tego dzieciaka. Poza tym to niepatriotyczne trwonić naftę w czasie wojny.

Jak się okazało, trwonienie innych rzeczy na Branny'ego było równie niepatriotyczne. Podwieczorki z matką niemal natychmiast dobiegły końca, a w diecie chłopca dokonano drastycznych cięć. Mięso, które uwielbiał, stało się zakazanym owocem. W miejsce jeszcze ciepłych kromek świeżego, wiejskiego chleba z masłem i dżemem Branny musiał zadowalać się odtąd grubymi, czerstwymi pajdami, własnoręcznie smarowanymi przez ciotkę Hildę cienką warstwą margaryny. Na śniadanie — nawet w święta, gdy nie trzeba było martwić się o wyżywienie innych uczniów — musiał znosić grudkowatą owsiankę pływającą w gorącym mleku, podczas gdy jego ciotki, obie cieszące się dobrym apetytem, raczyły się do woli szynką, kiełbaskami lub jajkami w koszulkach z bekonem.

Pewnego poranka widok Constance, ukradkowo podsuwającej Branny'emu kiełbaszkę z własnego talerza, do tego stopnia wyprowadził ciotkę Hildę z równowagi, że wypowiedziała w końcu straszliwe słowa, których chłopiec od dawna się obawiał:

— Widzę, że nic cię nie powstrzyma przed całkowitym zepsuciem tego dziecka, Constance. Nie pozostaje nam nic innego, jak posłać go do męskiej szkoły z internatem. Trzeba mu dyscypliny, jaką daje kontakt z chłopcami w jego wieku. Przy tobie wyrośnie na mięczaka.

Wypowiedź ta zapoczątkowała gwałtowną dyskusję, na koniec której Constance wybuchnęła płaczem, a Branny, doprowadzony do furii, nazwał swoje ciotki „dwoma tłustymi, starymi maciorami”.

Co ciekawe, to ciotka Nellie znalazła rozwiązanie, które w mniejszym lub większym stopniu zadowoliło obie zwaśnione strony. Kilka godzin później odwiedziła Constance w jej sypialni, dokąd ta schroniła się z Brannym i swoją migreną po porannej burzy i przemówiła do niej słodko, acz przekonująco. Oczywiście nikt nie chce pozbywać

Się z domu drogiego Bransona, lecz sama Constance musi przyznać, że fakt, iż jej syn jest jedynym chłopcem w szkole dla dziewcząt, nie wpływa na niego zbyt dobrze. Ona, ciotka Nellie, już od pewnego czasu koresponduje ze swoimi przyjaciółmi w Mysore i może się nieskromnie pochwalić, że udało jej się zrobić doskonały angielsko-hinduski interes dla szkoły. Zdarza się bowiem, iż rodzice nie chcą, aby ich dzieci były rozdzielane, zwłaszcza że trwa wojna, a Indie są daleko. Można by zatem pozyskać dla szkoły kilka dziewcząt pod warunkiem, że ich braciszki również zostaną do niej przyjęci. Przyjęcie do szkoły chłopców nie tylko rozwiązałoby problem Branny'ego, ale również przyniosłoby szwagierkom proporcjonalnie większe zyski.

Szczególnie ten ostatni argument przemówił do ciotki Hildy, która wyraziła swoją zgodę. Semestr zimowy ledwie się rozpoczął, a Branny dzielił już swój strych — zwany teraz pretensjonalnie dormitorium dla chłopców — z pierwszym przedstawicielem męskiej społeczności uczniowskiej.

Jeśli chodzi o częstotliwość kontaktów z matką, Branny mógłby równie dobrze zostać odesłany do szkoły z internatem. Odseparowano ich od siebie tak skutecznie, że musieli wykradać się na potajemne spotkania niczym para sekretnych kochanków. Jako że Branny sam nie mógł niczego przedsięwziąć, cała inicjatywa należała do pani Foster, która stała się mistrzynią w sztuce spiskowania. Wmówiła jednej z młodszych nauczycielek, że tamta jest „słabego zdrowia” i odtąd zastępowała ją w roli opiekunki podczas popołudniowych spacerów najmłodszych dzieci. Wymyślała najrozmaitsze dolegliwości, rzekomo trapiące ich jedyne jak dotąd ucznia płci męskiej, aby przed wieczornym zgaszeniem świateł móc wśliznąć się na chwilę do dormitorium i ukradkiem uścisnąć Branny'emu rękę na dobranoc.

Niestety, takie chwile szczęścia zdarzały się nad wyraz rzadko. Życie Branny'ego stało się bardziej ponure niż za najlepszych lat rządów „Wąsacza”. Z typową dla bardzo młodego umysłu zawziętością Branny przeanalizował przyczyny swojego nędznego położenia i całą winą za nie obarczył ciotkę Hildę.

Odtąd nienawidził jej z całego serca, tym mocniej, że nie miał z kim dzielić swojej nienawiści.

Chociaż decyzja o przyjmowaniu do Oaklawn chłopców nie przyniosła Branny'emu żadnych korzyści, obdarzyła go wszakże

przyjacielem i sprzymierzeńcem, który wywarł na niego przemożny wpływ. Był to nie kto inny, jak właśnie ów jedyny uczeń, w wieku Branny'ego, o nieszczęsnym nazwisku Marmaduke Cattermole. Jego ojciec był wice-wice czegoś tam w Indiach, syn zaś stanowił ucieleśnienie wyrafinowania i występku. Określenie „zepsuty urwis”, jakiego miała wobec niego w przyszłości użyć ciotka Hilda, nie było znowu tak dalekie od prawdy.

Początkowo Branny był nieco onieśmielony pojawieniem się nowego współlokatora o wyglądzie aniołka. Prawdę mówiąc, Marmolada, jak kazał się do siebie zwracać, onieśmielał wszystkich. Ciotka Hilda, widząc jego porcelanową cerę i mając w pamięci listę tytułów następujących po nazwisku jego ojca, przydzieliła chłopcu dodatkowo koc i szklanekę mleka każdego dnia w południe.

Właśnie to mleko, które w zamierzeniu ciotki Hildy miało być wraz z szczególnych względów, zaowocowało całkiem nieoczekiwanymi skutkami. Marmolada miał bowiem pewien kaprys: serdecznie nie cierpiał mleka. Kiedy okazało się, że chcąc nie chcąc, będzie musiał je pić, znienawidził ciotkę Hildę jako przyczynę tego nieszczęścia i wkrótce jego nienawiść przerosła to, co odczuwał Branny.

Można śmiało stwierdzić, że Marmolada miał na punkcie ciotki Hildy prawdziwą obsesję. Na każdym kroku knuł coś przeciwko niej, zaś będąc obdarzonym talentem do rysowania i składania prostych rymów wielokrotnie rozśmieszał Branny'ego do łez swoimi rysunkami i wierszykami. W bezpośrednich kontaktach z ciotką Hildą był słodki jak miód, lecz za jej plecami anioł zmieniał się w potwora. Wymyślał jej niezliczone przezwiska, z których do ogłoszenia drukiem nadają się tylko „karakan”, „wiedźma z piekła rodem” i „gorylica”.

Nic tak jak czyjaś nienawiść nie podsycy naszej nienawiści. Branny i Marmolada zagrzewali się wzajemnie, osiągając niemal stan chorobliwej gorączki, zaś ów nowy sojusz z rówieśnikiem skierowany przeciw Arcywrogowi sprawił, że Branny na pewien czas zapomniał o trawiącej go tęsknocie za matką.

Powoli i niezauważalnie Marmolada popychał bardziej bojaźliwego Branny'ego do działania. Zaczęli od przerażającej, sekretnej wyprawy do sypialni ciotki Hildy. Ich odkrycia były mniej egzotyczne niż te, których Branny dokonał w sypialni ciotki Nellie. Znaleźli kilka surowych czarnych sukien z fiszbinowymi usztywnieniami przy

kołnierzach, które Marmolada natychmiast usunął, ozdobioną herbem torebkę na chustkę do nosa, niewątpliwie prezent od utytułowanej damy, która znalazła w ciotce Hildzie pociechę w jesieni swego życia, kilka fascynujących, grubych pantalonów, nad którymi chłopcy zanieśli się szaleńczym chichotem, oraz kilka par robiących potworne wrażenie gorsetów.

Jedynym ukłonem w stronę kobiecej gracji była butelka wody kołofonii. Idąc za przykładem Marmolady, Branny obficie do niej napluł.

Najbardziej intrygującym przedmiotem był klucz, ukryty w małej szufladce. Po krótkim acz intensywnym śledztwie okazało się, że służy on do otwierania niedużej apteczki, stojącej na półce ponad łóżkiem ciotki. Jej zawartość również ich rozczarowała. Poza kilkoma domowymi lekami znajdowało się tam urządzenie do lewatywy, którego zastosowanie stanowiło tajemnicę nawet dla wyrafinowanego Marmolady, oraz buteleczka z etykietą, na której widniało słowo „brandy”.

Marmolada wskazał ją Branny'emu z zachwytem. — Patrz, stary. Założę się, że ten stary karakan co noc żłopie brandy. Pewnie leży potem pijana jak bela.

Sugestia ta, aczkolwiek fascynująca, nie miała jednak nic wspólnego z rzeczywistością. Ciotka Hilda była najbardziej trzeźwą ze śmiertelniczek, a buteleczkę brandy trzymała w zapasie jako lekarstwo na wypadek, gdyby potrzebował go ktoś, kto cieszył się mniej żelaznym zdrowiem.

Następnie Marmolada wskazał z podnieceniem inną buteleczkę, podobnej wielkości i podobnego kształtu. Tym razem na etykietce widniało ostrzeżenie: JODYNA — TRUCIZNA, pod spodem zaś narysowana była czerwona czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami.

— Hej, człowieku, wlejmy trochę tego do brandy — zaproponował śmiało. — Kiedy następnym razem stara wiedźma sobie chlapnie...

— O rany, nie. Trafisz do więzienia albo cię powieszą. — Głos Branny'ego był pełen respektu; śmiertelnie bał się wymiaru sprawiedliwości.

Marmolada prychnął pogardliwie. — Kto by się przejmował głupią policją? Gdyby ten stary karakan mieszkał w Indiach, bez trudu

byśmy ją załatwili. Jeden ze służących mojego ojca zepchnął swoją żonę z urwiska prosto do rzeki, gdzie pożarł ją krokodyl. Nikt niczego nie podejrzewał, dopóki ktoś nie zabił tego krokodyla i nie znalazł w środku jej bransoletki. A i tak ten służący nie miał z tego powodu żadnych kłopotów... — Anielską twarzyczkę Marmy'ego oszpecił małpi grymas: — Szkoda biednego krokodyla, że musiał zjeść taką wstrętną wiedźmę.

Ponieważ jednak w Oaklawn nie było żadnych urwisk ani krokodyli, niewiele mogło wynikać z tej ponurej anegdoty. Zadowolając się ostatnim splunięciem do butelki z wodą kolońską, chłopcy wymknęli się po cichu z sypialni.

Ich ofiara najwyraźniej niczego nie podejrzewała. Za każdym razem, gdy ciotka Hilda wyciągała chusteczkę, a do ich nozdrzy docierał delikatny zapach wody kolońskiej, dwaj spiskowcy wymieniali między sobą rozradowane uśmiechy.

Wkrótce jednak bujna wyobraźnia Marmolady, spragnionego wciąż nowych triumfów, podsunęła mu pomysł kolejnej psoty. Zaslaniając się naukowymi eksperymentami, zawarł dyskretną umowę z Ruby, najbardziej uległą spośród podkuchennych, w ramach której miała mu ona odtąd przekazywać każdą przyduszoną mysz, jaka złapała się w pułapkę w kuchni, w cenie pół pensa za sztukę. Nie minęło wiele czasu, a dysponowali już całkiem pokaźną myszą rodziną, którą trzymali w puszcze po herbatnikach i karmili okruszkami z kolacji.

Wreszcie dla spiskowców nadszedł upragniony moment. Jedyłą słabością, na jaką pozwalała sobie ciotka Hilda, była codzienna popołudniowa drzemka. Zwyczaj ten był tak ściśle przestrzegany, że stał się żelaznym punktem w jej rozkładzie dnia. Chłopcy opracowali więc szczegółowy plan działania: Branny miał stać na czatach u podnóża frontowych schodów, podczas gdy Marmolada miał zakraść się na górę tylnym wejściem z puszką po herbatnikach i umieścić myszy w łóżku ciotki Hildy.

Branny zajął swoje stanowisko i czekał, wstrzymując oddech. Słyszał brzęk filiżanek, gdy jego matka piła z ciotkami herbatę. Wszystko szło zgodnie z planem. W końcu Marmolada zbiegł po schodach, z jasną twarzą pokraśniałą z podniecenia: — Włożyłem je do pościeli, wszystkie cztery. Założę się, że stara...

— Chodu — szepnęła Branny, bo właśnie w tej samej chwili otworzyły się drzwi gabinetu i w progu stanęła ciotka Hilda. Chłopcy skryli się w mrocznym kącie, skąd sami nie będąc widzianymi, mogli bezpiecznie obserwować opięte czarnym materiałem, szerokie plecy ciotki, zdążającej ociężale na górę po okrywającym schody grubym chodniku, starannie przestępującej ponad podtrzymującymi go metalowymi prętami.

Czekali w ciemności, niemal nie śmiejąc oddychać.

Nareszcie go usłyszeli — słaby okrzyk, który był prawdopodobnie jedyną kobiecą reakcją, na jaką kiedykolwiek pozwoliła sobie ciotka Hilda. Rozległ się odgłos otwieranych drzwi i na szczycie schodów zobaczyli ciotkę, odzianą w szarą, wełnianą podomkę.

Chwilę potem ciotka Hilda całą swoją masę rzuciła się w dół po stopniach, rączka niczym łania, głośno przyzywając odsiecz:

— Dajcie kota, prędko! W moim łóżku jest mysz!

Natychmiast sprowadzono kota i zamknięto go w pokoju ciotki Hildy, gdzie podobno zostawił pod łóżkiem na wpół zjedzone mysie zwłoki.

Chociaż chłopcy uporczywie kręcili się w pobliżu, nigdy nie poznali losu pozostałych trzech myszy. To, czy zginęły przygniecione ciężarem ciotki Hildy, czy też uciekły, by dalej ją prześladować, na zawsze pozostało owiane mgłą tajemnicy.

Jednak powód mysiej obecności w łóżku szybko wyszedł na jaw; bystrej ciotce wystarczyło wziąć w krzyżowy ogień pytań podkuchenną Ruby. Branny i Marmy zapłacili zatem za swój grzech.

Resztę dnia spędzili zamknięci w swoim pokoju, po stokroć starannie kaligrafując chwalebna sentencję: „Nie czyn drugiemu, co tobie niemiłe”.

Mieli siedzieć tam o głodzie tak długo, aż ciotka będzie usatysfakcjonowana rezultatem ich pracy.

Sporo czasu zmarnowali, usiłując związać razem dwie stalówki w taki sposób, żeby móc pisać jednocześnie w dwóch liniijkach. Ostatecznie zarzucili ten pomysł i usiedli każdy do swojego zadania, które skończyli mniej więcej dwie godziny po obiedzie. Byli więc oczywiście głodni jak wilki, lecz zarazem zbyt dumni, aby ujawnić swoje cierpienie. Mieli jednak we wrogim obozie cichego sprzymierzeńca. W pewnej chwili zwrócił ich uwagę delikatny szelest pod drzwiami i

zobaczyli w szparze sześć cienkich kostek czekolady. Rzucili się na nie i pożarli zachłannie, nie zastanawiając się nad źródłem ich pochodzenia.

Miłość, jaką Branny żywił do matki, nie pozwoliła mu jej za to podziękować, równałoby się to bowiem z postawieniem Constance w niezręcznej sytuacji. Pod pewnymi względami był on prawdziwie taktownym i pełnym galanterii dżentelmenem.

Ponieważ dzień chylił się ku wieczorowi, a ich ciemiezca wciąż się nie zjawiał, Szatan wykorzystał tę sposobność, aby podsunąć znużonym więźniom nową pokusę. Ponieważ zużyli już cały zapas papieru, Marmolada zaczął ozdabiać wewnętrzne okładki należącego do Branny'ego wydania *Czarnego Królewicza* karykaturami ciotki Hildy, której obfite kształty przedstawiał w nader anatomicznych szczegółach. Gdy na schodach rozległy się wreszcie kroki ciotki, ostatnie strony niewinnej książeczki panny Sewell pokrywały malunki, na widok których autorka powieści z pewnością spłonęłaby krwistym rumieńcem. *Czarny Królewicz* został pospiesznie ukryty na półce za innymi książkami, a chłopcy o niej zapomnieli.

Mimo że Marmolada był jedynym uczniem płci męskiej, szkoła dla dziewcząt Oaklawn znakomicie prosperowała — był to niezaprzeczalny fakt, który obie ciotki skrzętnie wykorzystywały, przypisując go oczywiście własnym umiejętnościom, a pomijając uwarunkowania geograficzne i historyczne.

Branny, jak nigdy dotąd oderwany od matki, marzył o wakacjach, na które wraz z matką sekretnie zaplanowali wycieczkę do Weston-super-Mare.

Jednak wraz z nadejściem wakacji plany te legły w gruzach. „Hinduski interes” ciotki Nellie rozwijał się aż nadto dobrze; do tego stopnia, że u progu lata w szkole pozostało kilka przez nikogo niechcianych, bezdomnych dziewczynek, którymi trzeba się było opiekować.

Constance była zatem zmuszona zostać w domu, podobnie jak Branny, który nadal musiał jeść te same nudne posiłki co w ciągu roku szkolnego i któremu nie wolno było nawet korzystać z frontowych schodów.

Ogólnie jednak jego życie było dosyć znośne — przynajmniej do dnia, kiedy to ciotka Hilda, nikomu o niczym nie mówiąc, zaczęła

szykować fanty na kościelny festyn, z którego dochód miał być przeznaczony na Fundusz dla Belgijskich Uchodźców. W trakcie tych poszukiwań wpadły jej w ręce książki Branny'ego i już po chwili trzymała w dłoniach wydanie *Czarnego Królewicza*. I chociaż książka była w dwóch egzemplarzach, ciotka Hilda upatrzyła sobie akurat ten, który Marmolada, obecnie przebywający na wakacjach u ciotki w Chapstow, ozdobił jakże czytelnymi karykaturami.

Trafił on na plebanię wraz z innymi książkami, wypłowiałym abażurem, dwoma połamanymi parasolami, dwiema sfatygowanymi perkalowymi zasłonami i parą zbędnych podpórek do drewna kominkowego.

Następnego dnia Branny bawił się w ogrodzie, gdy nadeszła żona pastora. Nieomylny instynkt dziecka podpowiedział mu, że będzie miał kłopoty, zanim jeszcze dostrzegł okładkę *Czarnego Królewicza* przyciśniętą do falującego wzburzeniem łona.

Posłał gościowi najmiłszy i najśłodczy ze swoich uśmiechów, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Wtedy dopiero zobaczył feralną książkę w dłoni żony pastora i serce w nim zamarło.

Pani pastorowa została poproszona do salonu, gdzie przyjęła ją ciotka Hilda, która wkrótce posłała po ciotkę Nellie i matkę Branny'ego. Branny kręcił się w pobliżu, lecz pod względem akustycznym salon nie przedstawiał się imponująco — przynajmniej dla podsłuchujących pod drzwiami. Chłopiec nie dosłyszał ani słowa z tego, co tam mówiono, lecz później, gdy żona pastora już sobie poszła, a rozmowa przeniosła się do gabinetu, miał nieco więcej szczęścia.

— Ponosisz za to całą winę, Constance — mówiła ciotka Hilda. — Wychowałaś to dziecko, nie mając pojęcia, czym jest dyscyplina.

— Przydałoby mu się porządne lanie — zauważyła ciotka Nellie.

— To nie jego wina, nie wolno go wam tknąć. — W głosie matki Branny słyszał łzy i determinację jednocześnie.

Po chwili jego czujne uszy wychwyciły imię Marmolady.

— To ten zepsuty urwis... Będzie musiał odejść... Gdyby nie pani Jackson... Za żadne skarby... Skandal... Zrujnuje szkołę... Oczywiście Branny także musi wyjechać.

Branny nie mógł dłużej czekać. Otworzył gwałtownie drzwi i wszedł do środka.

Trzy kobiety siedziały wokół centralnie ustawionego stołu. Jego matka przyciskała do twarzy chusteczkę. Ciotka Hilda w nieprzejeźnanym geście skrzyżowała ramiona na swej szerokiej piersi. Ciotka Nellie bębniła w blat ustrojonymi w pierścionki palcami. Przed nimi leżał egzemplarz *Czarnego Królewicza*, otwarty na ostatniej stronie, ukazując wszystkim bezwstydnym rysunki.

Jednocześnie przerażony i zafascynowany, Branny nie mógł odebrać od nich oczu. Nagle pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu wybuchnął nieopanowanym, histerycznym śmiechem.

— Bransonie Fosterze — zagrział głos ciotki Hildy. Lecz to upięrsieniona dłoń ciotki Nellie wymierzyła mu ostry policzek.

— Natychmiast przestań!

Śmiech Branny'ego umilkł równie gwałtownie, jak się rozpoczął.

Przysunął się do matki, próbując zajrzeć jej w twarz, lecz cała była ukryta za chusteczką.

Ciotka Hilda zapytała gniewnie: — Bransonie, czy ty... hm... brałeś udział w tym...?

Branson wciąż wpatrywał się w matkę, nie zwracając uwagi na ciotkę Hildę.

— Odpowiadaj, ty podły dzieciaku — warknęła ciotka Nellie.

Lecz Branny milczał. Ciotki zaczęły mówić równocześnie. Branny odszukał dłoń matki i ścisnął ją. Jego dotyk musiał dodać jej odwagi, bo wreszcie przemówiła.

— Hilda, Nellie — wykrztusiła. — Zostawcie nas samych, dobrze?

— Jak sobie życzysz, Constance. W końcu to *twój* syn. — Ciotka Hilda podniosła się ciężko. — Ale jeśli uznasz, że nie jest bez winy — a jestem przekonana, że tak właśnie jest...

— Niewinny, dobre sobie — prychnęła ciotka Nellie. — Chłopak zasłużył na porządne lanie.

Ciotka Hilda podniosła z biurka linijkę i pchnęła ją po stole w stronę Constance. Potem ciotki wyszły.

Pozostawiony sam na sam z matką, Branny milczał przez chwilę. Jego wzrok ponownie przykuła leżąca na stole feralna książka. Nagle chwycił ją z wściekłością i cisnął w ogień. Widok płomieni liżących wyobrażenia ciotki Hildy sprawił mu dziwną przyjemność.

Ogromne, brązowe oczy matki wpatrywały się w niego pytająco.

— Och, Branny, czy ty... Och, tak bym chciała wiedzieć, co robić... Gdyby twój ojciec żył...

Spuszczając wzrok, Branny odparł: — Nie zrobiłem tego, ale... ale nie chcę, żeby *one* o tym wiedziały.

— Ależ, Branny...

— Przyjmę karę. — Wziął ze stołu linijkę i podał matce.

— Ależ, Branny... Skoro jesteś niewinny...

— Przyjmę karę — powtórzył z uporem.

— Och, Branny, już wiem, o co ci chodzi. Nie chcesz wydać Marmy'ego.

Constance jakby zastygła; ogromne, brązowe oczy napęłniły się łzami. Z nagłą determinacją Branny odebrał jej linijkę i chwytając ją prawą ręką, opuścił ze świstem na swą lewą dłoń, wymierzając mocne, bolesne uderzenia. Po każdym z nich wydawał z siebie bardzo wiarygodny skowyt bólu. Następnie zmienił rękę, wymierzając teraz uderzenia w prawą dłoń. Przy szóstym wybuchnął głośnym zawodem, które, biorąc pod uwagę brutalność kary, było prawie szczere.

Później wyszedł z pokoju, mijając za drzwiami podsłuchujące ciotki, które popatrzyły po sobie i pokiwały głowami z zadowoleniem. Niemal słyszał, jak mówią: „Nie wiedziałam, że biedna Constance potrafi się zdobyć na coś takiego”.

Wbiegł po schodach do swojej sypialni i spędził w niej prawie cały dzień.

Gdy nazajutrz spotkał się z matką sam na sam, usłyszał, że ciotka Hilda niewzruszenie obstaje przy pomysle wysłania go na przyszły semestr do męskiej szkoły z internatem. Marmy również miał odejść.

A kiedy pod wieczór szedł do nieprzytulnego pokoju na strychu, by samotnie spędzić noc, ciotka Hilda znowu zabroniła mu korzystać z frontowych schodów. Tamtej nocy przyśnił mu się krokodyl z opowieści Marmy'ego, ale w szeroko rozwartą paszczę gada nie spadała żona hinduskiego służącego, lecz ciotka Hilda. Obudził się dziwnie podekscytowany. Gdyby zabrakło ciotki Hildy, jego życie na powrót odzyskałoby swój blask. Przecież nieszczęśliwe wypadki ciągle się zdarzały, dlaczego nie miałyby się to przytrafić ciotce Hildzie?

Gdy raz zaświtał mu w głowie ów straszliwy pomysł, nie sposób było o nim zapomnieć. Branny hołubił go w sobie niczym najdroższy

sekret. Żonie służącego ojca Marmolady przydarzył się nieszczęśliwy wypadek, ale nikt nie obwiniał za to służącego. Marmy tak powiedział. Teraz dopiero okazało się, jak silny wpływ miał na Branny'ego jego mały współlokator. On sam, bojaźliwy i nieśmiały, nigdy nie ośmieliłby się snuć takich marzeń, gdyby tamten nie pokazał mu, że można walczyć nawet z najgroźniejszym przeciwnikiem.

Początkowo marzenia Branny'ego były ekscytujące, lecz niezbyt sprecyzowane. Przypomniawszy sobie o butelce jodyny, którą znaleźli w sypialni ciotki Hildy, z czerwoną czaszką i napisem TRUCIZNA na etykiecie, i zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby jej zawartość dostała się przypadkiem do ciotczynej brandy. Jodyna miała nieprzyjemny smak. Branny dobrze o tym wiedział, bo zlizawszy kiedyś kilka kropeł tego specyfiku zaaplikowanego na skaleczony palec. Było więc prawdopodobne, że ciotka wyczuje jodynę i nie wypije brandy. Nie, to nie był dobry sposób sprowokowania nieszczęśliwego wypadku.

Nieustannie i czule rozmyślał o niechcianej hinduskiej żonie, urwisku i krokodylu z opowiadania Marmy'ego. Żył w ciągłym podnieceniu, we dnie i w nocy mając przed oczyma obraz ciotki Hildy spadającej z dużej wysokości, w dole zaś czaił się potworny, lecz chętny do współpracy krokodyl, który rozwierał szeroko szczęki, czekając na swą ofiarę. W sekretnym świecie wyobraźni Branny'ego ciotka Hilda stopniowo zatracala cechy ludzkie, stając się symbolem Niesprawiedliwości. Gdyby coś jej się stało, nieszczęście to nie dotoczyłoby realnej istoty z krwi i kości.

Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej tęsknił za minionymi dniami, gdy był bezpieczny u boku najdroższej mu kobiety. Od tego rozmyślania zrobił się tak blady, że matka poważnie zaczęła się o niego niepokoić. Tłumaczyła jednak ową słabość lękiem przed wyjazdem do nowej szkoły, jako że załatwiono już wszystkie formalności z szacowną, choć niedrogą placówką w Kent, a datę wyjazdu ustalono na początek wiosennego semestru.

Sposobność przeniesienia utajonych pragnień Branny'ego ze świata marzeń w rzeczywistość nadarzyła się dzięki Niemcom, tym arcy mistrzom zabijania. Naloty zeppelinów rozpoczęły się na dobre i mówiono, że wróg nie zamierza skupiać się wyłącznie na Londynie, lecz planuje również zniszczyć miasta przemysłowe w Midlands,

a nawet pobliski Bristol. Potwierdzeniem tych pogłosek była uroczysta wizyta pastora, który pełniąc obowiązki honorowego konstabla, był odpowiedzialny za przestrzeganie zasad bezpieczeństwa przez mieszkańców Littleton.

W Anglii nie obowiązywał wtedy nakaz zaciemniania, jaki wprowadzono w późniejszym okresie wojny, a lampy ulicznych latarni nie zostały jeszcze pomalowane na siną barwę, która — choć stwarzała malowniczy efekt — nocą nadawała jednak miastom i wioskom ponury wygląd. Zagrożenie z powietrza, szczególnie na zachodzie kraju, było wówczas nieporównywalnie mniejsze niż w czasie drugiej wojny światowej. Niemniej jednak każde angielskie miasteczko zupełnie poważnie uważało się za główny cel niemieckich ataków, wybrany osobiście przez samego cesarza, zaś czarny materiał na zasłony stał się towarem deficytowym.

Jakkolwiek nieznaczne, zagrożenie jednak istniało, a pastor, człowiek pomysłowy i obowiązkowy, czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo swojej trzódki, szczególnie zaś najmłodszych owieczek powierzonych opiece dyrektorek szkoły dla dziewcząt Oaklawn.

Sporządził zatem drobiazgowy plan i zwołał panią Foster wraz z ciotkami na ważną naradę.

Zgodnie z postanowieniem miejscowych władz bicie w kościelne dzwony miało zwiastować zbliżanie się zeppelinów. Słyszac je, mieszkańcy byli zobowiązani wygasić wszystkie światła i poszukać bezpiecznego schronienia we własnej piwnicy. Pastor zdawał sobie jednak sprawę, że w domu zamieszkałym przez sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt osób — w większości bardzo młodych — alarm przeciwlotniczy może wywołać panikę i zamieszanie, te zaś z kolei mogą doprowadzić do jakiegoś nieszczęśliwego wypadku.

Zaproponował więc, aby panie dyrektorki podzieliły obowiązki między siebie lub wybrane przez siebie osoby i rozdzieliwszy stanowiska bojowe, raz czy dwa przećwiczyły za dnia całą procedurę. W ten sposób zarówno dziewczęta, jak i ich opiekunki przyswoją sobie zasady postępowania i gdy wybije feralna godzina, pospieszą do swojego piwnicznego schronu niczym dobrze wyszkoleni żołnierze, powodując jak najmniej zamieszania. Dodał także, iż dobrze byłoby nadać całej sprawie charakter zabawy i „dziewczęcych figlów”, aby niepotrzebnie nie onieśmielać i niepokoić dzieci.

— Jeżeli tylko mógłbym się na coś przydać — zakończył uprzejmie — możecie panie na mnie liczyć.

Była to jednak całkiem zbędna zachęta. Ciotka Hilda doskonale pojęła przydzielone jej zadanie, a jej znakomite zdolności przywódcze czyniły z niej osobę wręcz idealnie nadającą się do jego wykonania. Prawdę mówiąc, podjęła się go z prawdziwą przyjemnością.

Nazajutrz po obiedzie zwołała domowników, łącznie z nauczycielkami i służbą, i porozdzielała między nich konkretne obowiązki.

Bez powodzenia starała się nadać przedsięwzięciu charakter wakacyjnej rozrywki czy wręcz nagrody — zabawy wymyślonej przez nią specjalnie dla uciechy całej szkoły. Usiłując umniejszyć potencjalne zagrożenie, zdołała jedynie sprawić, że jej wykład brzmiał niczym mowa pogrzebowa Peryklesa.

Dziewczęta i nauczycielki uśmiechały się bez przekonania, opuszczając tłumnie jadalnię.

Ćwiczenia przeciwlotnicze okazały się jednak o wiele bardziej zabawne, niż się spodziewano. Ciotka Hilda wyznaczyła je na drugą godzinę popołudniowych zajęć i przeprowadziła z podziwu godną dbałością o detale. Uczennicom, opiekunkom, a nawet służbie poleceno udać się na górę do swoich sypialni, rozebrać i położyć do łóżek, tak jak robiły to zwykle w porze wieczornego spoczynku. Na dźwięk gwizdka miały rozpocząć się ćwiczenia.

Było to o wiele ciekawsze od popołudniowej lekcji algebry czy francuskiego.

Dziewczęta były zachwycone, zwłaszcza te najmłodsze. Chichotały jak szalone, gdy wraz z dźwiękiem gwizdka na korytarzu pojawiła się ciotka Nellie w wiśniowym peniuarze i w biały dzień oświetlając drogę świecą, zaczęła ponaglać je na w pół po angielsku, na w pół po francusku: — Bądźcie czujne, moje dzieci i *prenez garde**

* (franc.) — Uważajcie.

Z każdego pokoju dobiegało skrzypienie podłogi i rozlegały się chichoty, zwłaszcza z sypialni najstarszych uczennic, w której zjawiała się lubiąca dramatyzować panna Earle, ubrana w japońskie kimono i z głową w chmurze prawdziwych papilotów.

Branny również dobrze się bawił. Będąc jedynym posiadaczem la-tarki, otrzymał specjalne zadanie. Miał stać na szczycie tylnych

schodów, oświetlając w razie potrzeby drogę i przeganiając każdego, kto próbowałby skrócić w stronę frontowych schodów. Dowcipkował sobie, świecąc w oczy przemykającym w dół po schodach dziewczynkom i pokrzykując: — Uuu, uwaga na zeppelin! — albo ukradkiem podszczypując te, z którymi mógł sobie na to pozwolić.

Gdy ostatnia uczennica i najmłodsza z opiekunek została bezpiecznie sprowadzona na dół, Branny zamarł na swoim stanowisku i patrzył zafascynowany, jak ciotka Hilda wyłania się ze swojej sypialni w szaroburej podomce i starannie dopełnia obowiązku pogaszenia niezapalonych lamp gazowych w każdym korytarzu. Następnie, z zapaloną świecą w dłoni, uroczyście zeszła w dół frontowymi schodami, kierując się w stronę gazowego kinkietu w głównym holu. Poruszała się szybko i pewnie, ale na przedostatnim stopniu potknęła się i upuściła świecę.

Śpiesząc do piwnicy, gdzie miał dołączyć do pozostałych, Branny wiedział już, co wkrótce nastąpi.

Minutę później, gdy ciotka Hilda zeszła na dół, usłyszał, jak mówi do Ruby: — Obluzował się jeden z prętów na frontowych schodach. Zajmij się tym, bo jeszcze ktoś skręci sobie kark.

Serce Branny'ego zaczęło bić gwałtownie na dźwięk tych słów, które odnalazły go w najciemniejszym kącie piwnicy, gdzie siedział skulony, trzymając matkę za rękę.

„Obluzował się jeden z prętów na schodach... Ktoś skręci sobie kark...”

Istniała szansa, że podczas kolejnego alarmu nie będzie tak jasno. Stalowy pręt może się obluzować na najwyższym stopniu, zamiast na samym dole. A wtedy ktoś, kto będzie schodził szybko w dół po ciemku, może z łatwością spaść ze schodów — i skrócić kark...

Tamtego wieczoru, wyklepawszy jak zwykle podczas pacierza standardową formułkę: „Pobłogosław mamę i wszystkich naszych przyjaciół i uczyn mnie grzecznym chłopcem, amen”, Branny dodał jeszcze jedną prośbę: „I spraw, Panie Boże, żeby jak najszybciej przyleciały zeppelin”.

Przez kolejne dni, czekając na to, aby jego modlitwa została wysłuchana, Branny zachowywał się wzorowo. Był tak greczny i posłuszny, że wszyscy podejrzewali u niego jakąś zakaźną chorobę.

Był szczególnie uprzejmy wobec ciotki Hildy, przeprowadził bowiem drobiazgową inspekcję frontowych schodów. Okrywał je dywan, przykryty dodatkowo chodnikiem z grubej, lnianej tkaniny we wzory. Na miejscu przytrzymywały go stalowe pręty, po obu stronach umocowane w specjalnych obręczach. Odkrył, że wysuwając pręt na kilka centymetrów z obręczy po stronie bariereki i poluzowując przykrywający stopień chodnik, otrzymywało się powierzchnię równie śliską i niebezpieczną, jak tor saneczkowy. Tylko chwyciwszy prędko poręcz prawą ręką można było się uratować przed upadkiem. A podczas ćwiczeń ciotka Hilda trzymała w prawej ręce świecę. Po upadku chodnik jeszcze bardziej się poluzuje i nikt się nie domyśli, że ktoś celowo wysunął pręt z obręczy.

Branny postanowił obluzować pręty na dwóch stopniach — trzecim i czwartym od góry — po czym przećwiczył to kilka razy, nawet z zamkniętymi oczyma, jako że ostatecznie całe przedsięwzięcie miało się odbyć w ciemnościach.

Z dziecięcą nieustępliwością przygotowywał się do swojego zadania, ani razu nie zastanawiając się nad tym, co właściwie robi. Miał się wydarzyć nieszczęśliwy wypadek — koniec, kropka.

Najtrudniejsze było oczekiwanie, zwłaszcza w nocy, gdy leżał w łóżku, nie mogąc zmrużyć oka, z wytężonymi zmysłami i drżąc, nasłuchiwał, czy nie usłyszy aby bicia kościelnego dzwonu. To, że nalot zagroziłby też jemu albo jego matce, w ogóle nie przyszło mu do głowy. Branny nie obawiał się czegoś tak zwyczajnego.

Spał w najlepsze, gdy pewnej mroźnej nocy na początku grudnia o godzinie drugiej nad ranem rozległo się wreszcie upragnione bicie dzwonu. Trzęsąc się jak osika, wyskoczył z łóżka, wciągnął spodnie i sweter, chwycił latarkę i poszedł zająć swoje miejsce między frontowymi a tylnymi schodami.

Z sypialni dziewcząt dobiegały go chichoty, mniej radosne i żywiołowe teraz, gdy alarm był prawdziwy. Patrzył, jak opiekunki chodzą od pokoju do pokoju, trzymając w dłoniach zapalone świece. Następnie wśliznęła się do sypialni matki i odeskortała ją do skrzydła dla służby, skąd kuchennymi schodami miała sprowadzić pokojówki do odległego schronu w piwnicy.

Potem nadszedł czas działania, zanim korowód ruszy z miejsca. Prędko i tak cicho, jak tylko potrafił, wbiegł na górę po frontowych

schodach i obluzował pręty podtrzymujące chodnik na trzecim i czwartym stopniu.

Wkrótce potem dziewczęta i nauczycielki zaczęły gromadnie opuszczać swoje sypialnie. Większość uczennic wyglądała na wystraszone i oszołomione. Tym razem Branny nie przekomarzał się z nimi ani nie udawał nadlatującego zeppelinu, lecz jak przystało jedynemu mężczyźnie w domu, podtrzymywał je na duchu, wypowiadając słowa pełne otuchy i entuzjazmu.

— Te stare graty nie dolecą tak daleko. Zestrzelimy je nad Londynem. Same zobaczycie...

Następnie, gdy wszyscy już zeszli — łącznie z ciotką Nellie odzianą w wiśniową podomkę — Branny zbiegł na dół i ukrył się w najdalszym zakątku holu, skąd mógł obserwować frontowe schody.

Nie chciał być wcale świadkiem upadku ciotki Hildy. W jego spojrzeniu nie było ani śladu sadyzmu czy chępliwości. Z bezwzględną skrupulatnością chciał się po prostu upewnić, że nieszczęśliwy wypadek dojdzie do skutku.

Dzwon kościelny umilkł, a minuty zdawały ciągnąć się bez końca. Gdzieś niedaleko w ciemnościach odmierzał sekundy stary zegar, a jego tykanie rozbrzmiewało w ciszy niczym uderzenia w bęben.

Nagle gdzieś na piętrze otworzyły się drzwi i Branny rozpoznał ciężkie kroki ciotki Hildy, obchodzącej kolejne korytarze i gaszącej lampy gazowe. Gdy tak czekał, wstrzymawszy oddech, usłyszał inny dźwięk. Ktoś biegł; prędkie, lekkie kroki niosły kogoś w górę tylnymi schodami. Domyślił się, że to jedna z nauczycielek musiała o czymś zapomnieć. Dobiegł go głos ciotki Hildy, mówiącej: — Zapomniałaś płaszcza? To biegnij po niego, tylko szybko. W piwnicy jest bardzo zimno, więc mam nadzieję, że żadna z dziewcząt...

Lekkie, spieszne kroki oddaliły się i ucichły. Ktoś otworzył i zamknął drzwi. Na sekundę czy dwie zapadła cisza, przerywana jedynie rytmicznym tykaniem starego zegara i łomotem jego własnego serca.

Potem znowu rozległy się kroki i Branny wyczuł, wpatrując się w nieprzeniknione ciemności przed sobą, że ktoś zbliża się do szczytu frontowych schodów. To musiała być ciotka Hilda, choć tym razem nie miała przy sobie zapalanej świecy.

Zobaczył poruszający się niewyraźny kształt. Postać zatrzymała się na niewielkim podeście u szczytu schodów.

Potem ruszyła w dół. Branny obserwował ją z mieszanymi uczuciami przerażenia i fascynacji.

Nagle rozległ się metaliczny brzęk stalowych prętów. Krzyk... Potem stukot... Postać zachwiała się i runęła w dół po schodach, lądując na kamiennej posadzce głównego holu.

Cichy jęk... A potem cisza...

Przez chwilę Branny stał bez ruchu. Z jednej strony coś pchało go do przodu, z drugiej coś innego przytrzymywało go na miejscu. Uczucie triumfu walczyło w nim o lepsze z uczuciem strachu na myśl o tym, czego się dopuścił.

W przyćmionym świetle gazowej lampy zawieszanej przy frontowych drzwiach widział ciemną postać leżącą — całkiem nieruchomo — u podnóża schodów.

Nie czuł nic, z wyjątkiem pewności, że to ciotka Hilda — i że jest martwa.

Wtedy usłyszał coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Nad jego głową rozległy się ciężkie kroki i z podestu u szczytu schodów dobiegł okrzyk: — Dobry Boże, co się stało? Czy coś sobie zrobiłaś?

Ku swemu przerażeniu Branny natychmiast rozpoznał ten głos. To była *ciotka Hilda*! Zdał sobie sprawę, że oto jego największy wróg schodzi w dół po schodach ze świecą w dłoni, omijając niebezpieczny trzeci i czwarty stopień.

Ciotka Hilda schodziła po schodach. W takim razie to nie ona leżała tam w dole, niczym ciemna kałuża na kamiennej posadzce.

Ogłuszony wyrzutami sumienia i przerażeniem Branny ponownie usłyszał głos ciotki Hildy, wołający: — Constance, Constance, co ci jest?

Nie musiał nawet podchodzić bliżej. W zbliżającym się świetle ciotczynej świecy całkiem wyraźnie dostrzegł zarysy leżącego na posadzce ciała, zobaczył aureolę ciemnych włosów, okalającą najdroższą twarz, teraz śmiertelnie bladą.

— Mamo!

Okrzyk ten był w zasadzie jękiem bezbrzeżnej męki. Następnie Branny odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach.

*

Jest granica cierpienia, której ludzki umysł nie jest w stanie przekroczyć, nawet w dzieciństwie, gdy przecież cierpimy najdotkliwiej. Poza tą granicą kończy się królestwo zdrowych zmysłów, a zaczyna ciemność, za którą nie ma już żadnej myśli, żadnego uczucia.

Branny miał to szczęście, że niemal natychmiast osiągnął ów krytyczny punkt, popadłszy w stan zupełnego ośpienia. Instynktownie odczuwał ślepe pragnienie ukrycia się gdzieś bardzo daleko, rozplynięcia się w powietrzu, zapomnienia. Na strychu stał kredens, którego drzwiczki można było zamykać od środka. Jego wnętrze było brudne i zatęchłe, ale to mu nie przeszkadzało. Było ciemne i tak oddalone od głównego holu, jak to tylko możliwe.

Spędził tam wiele godzin skulony w ciemnościach, z miłosierną pustką w głowie. Jeżeli pojawiała się w niej jakakolwiek świadoma myśl, to taka, że zabił swoją matkę, lecz jeśli wystarczająco długo pozostanie w ukryciu, sam również umrze i w ten sposób wszystko się skończy.

Gdzieś w głębi domu rozlegały się głosy i kroki; dziewczęta wracały z piwnicy do swoich sypialni. Później ktoś wołał go po imieniu: — Branny... Branny...

Lecz on nawet nie drgnął. Już nigdy nie opuści swojej kryjówki... Nigdy... A kiedy go znajdą — o ile to w ogóle kiedykolwiek nastąpi — będzie martwy i będą mogli pochować go obok matki.

Siedział, nieruchomy jak skała, z suchymi oczyma. Nie wiedział, gdzie jest ani jak długo się ukrywa. Spał. Mgliście zdał sobie z tego sprawę dopiero, kiedy się przebudził. Na wpół świadomie zarejestrował słabe światło w szparze drzwi, po którym zorientował się, że jest już dzień. Potem światło zniknęło. Ani razu nie przyszło mu do głowy, że może być głodny. Nie czuł nawet bólu w swoim odrętwiałym ciele. Od czasu do czasu dobiegały go jakieś odgłosy, nieskończenie od niego odległe. Słyszał je, ale nie starał się ich interpretować. Znowu zasnął i znowu się przebudził, wciąż ogarnięty rozpaczą.

W którymś momencie, być może całe wieki później, usłyszał głos ciotki Nellie i zrozumiał, że jest całkiem blisko niego, właściwie już na strychu.

— Kredens, panno Snellgrove. Kiedy panna Foster przeszukiwała wczoraj strych, nie przyszło jej do głowy zajrzeć do środka. Niewykluczone, że...

Następnie rozległ się płaczliwy głos panny Snellgrove: — Och, pani Delaney, czy nie było żadnej wiadomości z posterunku policji?

— Ani słowa, ale to i tak nic nie da. Szukali go wszędzie, w całej okolicy. Jestem pewna, panno Snellgrove, że chłopak jest...

W tej samej chwili klamka na drzwiach kredensu poruszyła się gwałtownie.

— Widzi pani? Zamknięte. Branny... — Głos ciotki Nellie był łagodny, lecz dało się w nim wyczuć napięcie. — Branny, wiem, że tam jesteś. Bądź grzeczny i wyjdź stamtąd.

Teraz już obie ciągnęły za klamkę, lecz drzwi nie ustępowały.

— Musi tam być. Och, Branny, wyjdźże stamtąd...

W końcu poszły sobie. Wydało mu się, że minęło dużo czasu, zanim znowu ktoś się zjawił. Branny usłyszał kroki i męski głos. Rozpoznał go natychmiast jako należący do doktora, który czuwał przy ojcu podczas jego ostatniej choroby.

— Branny... — Tym razem mówiła ciotka Hilda. — Doktor Berry chciałby z tobą pogawędzić. Ma ci coś do powiedzenia. — Po czym dodała pospiesznie: — Pójdę sobie, żeby mógł pan z nim spokojnie porozmawiać.

Branny usłyszał oddalające się, ciężkie kroki, a po chwili głos doktora, mówiący:

— Branson, mój chłopcze, wyjdź proszę. Chcę pomówić z tobą o twojej matce.

Branny nie odpowiedział. Teraz przemawiali do niego cicho i spokojnie, ale jak tylko go stąd wyciągną, będą dla niego surowi. Może już domyślili się, co zrobił, i poślą go do więzienia.

Wtedy doktor Berry odezwał się ponownie: — Branson — rzekł cicho. — Chcę, byś stąd wyszedł i razem ze mną poszedł odwiedzić matkę. Pytała o ciebie. Bardzo cię potrzebuje, mój chłopcze.

Serce Branny'ego zamarło. Przez te wszystkie długie, spędzone w ciemnościach godziny ani razu nie pomyślał, że jego matka może jednak żyć.

Jego dłoń wolno zbliżyła się do klamki, jednak zaraz ją cofnął. Nie, to mogła być pułapka — chcą go wywabić na zewnątrz, a wtedy wszyscy rzucają się na niego.

— Branson, twoja matka czeka na ciebie w salonie. Chyba nie chcesz jej sprawić przykrości, prawda? Miała straszny wypadek...

Branny nie mógł tego dłużej znieść. Gwałtownie otworzył drzwi kredensu i stanął twarzą w twarz z doktorem Berrym. Przez chwilę lekarz wpatrywał się w niego zdumiony. Branny był brudny i cały pokryty kurzem. We włosach miał pełno pajęczyn, a na jego bladej twarzyczce malował się cały ból tego świata.

Doktor Berry poczuł dziwne wzruszenie i nie zważając na nic, przygarnął do siebie brudnego Bransona. Dobroć okazała mu przez obcą osobę okazała się ponad siły chłopca i tłumiony dotąd płacz wybuchł w nim z siłą tropikalnej ulewy.

Przez pewien czas doktor Berry milczał. Przytulił tylko jeszcze mocniej drżące dziecko i głaskał je po głowie, podczas gdy Branny wypłakiwał cały swój żal. Potem doktor wyjął z kieszeni chusteczkę, otarł Branny'emu łzy i powiedział wesoło:

— No, już, już, kawalerze. Musisz zachowywać się jak mężczyzna. Twoja matka potrzebuje teraz mężczyzny, który się nią zaopiekuje, a ty jesteś przecież jedynym mężczyzną w tym domu.

A odpowiadając na nieme pytanie chłopca, dodał: — Będzie żyła, Bransonie, ale być może już nigdy nie będzie chodzić. Dlatego potrzeba jej takiego mężczyzny jak ty, który mógłby się nią zająć.

Wziął Branny'ego za rękę i pociągnął za sobą, opuszczając strych.

— A teraz zejdź na dół i dobrze się wyszoruj, żebyśmy mogli cię do niej zaprowadzić. No, dalej, masz być czysty, uśmiechnięty i porządnie ubrany.

Ciotka Hilda i ciotka Nellie czekały na niego na dole. Ucałowały go, a ciotka Hilda powiedziała: — Biedny chłopczyk. — Po czym wręczyła mu najlepsze brązowe mydło Windsor. Ciotka Nellie przygotowała jego niedzielny garnitur i przy pomocy własnego grzebienia i szczotki usunęła mu z włosów kurz i pajęczyny.

Kiedy był już wymyty i przebrany, ciotka Hilda oznajmiła: — Twoja matka jest w salonie, mój drogi. Przeniosłyśmy na dół jej łóżko, a ty możesz zająć ten mały gabinet za ścianą. Dzięki temu będziesz mógł się nią opiekować. Będziecie też mogli jeść razem wszystkie posiłki.

— A później — wtrąciła ciotka Nellie, bez powodzenia starając się nadać swojemu głosowi radosne brzmienie — po kilku tygodniach, gdy twoja matka nabierze sił, będziesz musiał popychać jej wózek. Dlatego też nie pojedziesz do szkoły z internatem...

Następnie doktor Berry zaprowadził go do salonu, gdzie pod oknem umieszczono łóżko jego matki. Leżała w nim, krucha i piękna, z miękkimi włosami okalającymi jej twarz.

— Oto pani nowy pielęgniarz, pani Foster.

Branny podszedł do łóżka matki i ujął wysmukłą dłoń, którą do niego wyciągnęła. Długo patrzyli sobie w oczy, jak para zakochanych.

— Branny — westchnęła matka. — Och, Branny, najdroższy...

Doktor wyszedł i zostawił ich samych, trzymających się za ręce, ze splecionymi palcami. Za oknami prószył śnieg, a przez otwarte drzwi Branny widział swoje łóżeczko w niewielkim pokoju, który przygotowano mu na sypialnię. Miał tam nawet rozpalony kominek. Wkrótce nadeszła ciotka Hilda, niosąc tacę z dwiema filiżankami herbaty. Było tam też gotowane jajko dla Branny'ego i pieczywo na tosty.

— A teraz, pielęgniarzu Branson — powiedziała — zostawię was samych. Proszę zająć się swoją pacjentką.

Branny poczuł, że serce pęka mu ze szczęścia.

ŚWIADEK OSKARŻENIA

Nazywam się Beverly Braun. Mam jedenaście lat. Mamusia zawsze powtarza, bym mówiła, że mam osiem lat, bo przecież sama ma tylko dwadzieścia siedem. Od kiedy pamiętam, ma właśnie tyle lat. Kiedy pytam ją, czy w każde urodziny ludzie nie robią się starsi o jeden rok, mamusia się śmieje. Mówi: „Nie, Beverly, artyści nie robią się starsi. Kiedy dochodzą do trzydziestki, zaczynają odejmować sobie po jednym roku”. Policzyłam, że mamusia miała tę trzydziestkę trzy lata temu. W ogóle mi to nie przeszkadza, bo to fajnie mieć młodą i ładną mamusię. Mam przez to wielu wujciów, którzy dają mi prezenty.

Jednego wujcia ktoś postrzelił i on potem umarł.

Pan Pratt, który jest bardzo miłym policjantem, powiedział mi, że niedługo będę musiała porozmawiać z sędzią. Dlatego piszę to wszystko. Na wypadek, gdybym zapomniała, jak będę rozmawiać z tym sędzią.

Najlepiej zacznę od początku. Kiedy tatuś wyjechał, żeby być żołnierzem, byliśmy bardzo biedne, mamusia i ja, i mieszkaliśmy z Anną w malutkim mieszkaniu w Nowym Jorku. Anna jest taką trochę służącą, chociaż nie jest służącą, bo je z nami i jest Szwedką. Jest strasznie stara i bawiła tatusia, jak był dzieckiem w Szwecji. Anna brzydko pachnie. Kiedy tatuś wyjechał, powiedział: „Zajmiesz się nimi, Anno, dobrze?” Ona dużo wtedy płakała i powiedziała, że za nic nie zostawi swoich skarbów.

Więc Anna z nami mieszkała i ciągle krzyczała na mamusię, za wujciów i za to, że mnie psuje, i mówiła, że wiem za dużo jak na swój wiek. Ale to chyba dobrze, bo nigdy nie wie się za dużo.

Mamusia jest piosenkarką i ślicznie śpiewa. Kiedy śpiewa, wygląda jak anioł. Nie śpiewała, jak tatuś był w domu, ale jak wyjechał i byliśmy biedni, powiedziała do Anny: „Lepiej wezmę się do roboty

i trochę zarobię”. Na co Anna odpowiedziała: „Nie rób tego, weź moje pieniądze”.

Ale mamusia i tak zrobiła po swojemu.

A przynajmniej próbowała, i wujcio Frank też próbował. Wujcio Frank wie wszystko o miejscach, gdzie ludzie śpiewają. Jednak to nic nie dało i słyszałam, jak wujcio Frank mówi do mamy: „Skarbie, ty po prostu nie jesteś wystarczająco ckliwa”. Mamusia trochę płakała, a wujcio Frank powiedział, że pożyczy jej sto dolarów. Ale mamusia powiedziała, że weźmie od każdego, tylko nie od niego. Nic z tego nie rozumiem. Wujcio Frank jest przyjacielem tatusia i chciał się ożenić z mamusią, zanim wyszła za tatusia. Jest bardzo miły i nie taki surowy jak tatuś.

Kiedy zostałam sama z wujciem Frankiem, też zaczęłam płakać. Powiedziałam mu, że nie mam co jeść. Więc dał mi pięć dolarów i kazał nic nie mówić mamusi, tylko kupić jej kurczaka i trochę ciasteczek. A ja kupiłam małe pierścienie z zielonym oczkiem, bo sprzedawca powiedział, że to prawdziwy szmaragd. Chciałam go dać mamusi, ale był dla niej za mały. Więc nic jej nie powiedziałam, i Annie też nie. Schowałam go do swojej kryjówki razem z zielonym naszyjnikiem, który kiedyś tak jakby znalazłam, i złotą puderniczką, którą dała mi kiedyś koleżanka mamusi. A raczej myślę, że chciała mi ją dać. W torebce miała drugą taką samą. To pomyślałam, że dwóch nie będzie potrzebować.

I nadal byliśmy bardzo biedni. W tygodniu musiałam nosić do szkoły moją najlepszą sukienkę, no i wtedy już nie miałam najlepszej sukienki. Aż jednego dnia wujcio Frank przyjechał po mnie i mamusię i zabrał nas do kina. Rozpłakałam się i powiedziałam, że nie pójdę do kina w swojej starej brudnej sukience. Więc następnego dnia wujcio Frank przysłał mi dwie nowe sukienki. Mamusia najpierw na mnie nakrzyczała, ale potem roześmiała się i powiedziała: „Ty to masz sposoby, mała”. A Anna popatrzyła tylko krzywo i powiedziała: „Jaka matka, taka córka”.

Później mamusia dostała telegram, w którym było napisane, że tatuś zginął i chyba nie żyje. Była niedziela rano. Mamusia i ja leżałyśmy w łóżku, kiedy Anna przyniosła telegram. Płakała. A potem mamusia też zaczęła płakać, więc pomyślałam, że lepiej zrobię to samo. Ale nie mogłam za bardzo płakać, bo myślałam o tym, że skoro

tatusz nie żyje, mamusia może wyjść za wujcia Franka, a wtedy ja będę druhną na ślubie. Poza tym tatuś nie był dla mnie dobry, a raz to mnie nawet uderzył, bo pożyczyłam zegarek od jednej dziewczynki ze szkoły. Potem powiedziała, że nie chciałam jej go oddać. To głupie, bo ten zegarek i tak nie chodził. Ale tatuś i tak uderzył mnie szczotką, i to tą kolącą stroną. I powiedział, że jak jeszcze raz coś sobie pożyczę, to wyśle mnie na dziesięć lat do poprawczaka. Wtedy przyszła mamusia i powiedziała: „Jak jeszcze raz uderzysz Beverly, to cię zostawię”. A on powiedział: „Wynoś się stąd do diabła, bo też oberwiesz”. Ale nie mógł mamusi uderzyć, bo szczotka się złamała. A mamusia i tak go nie zostawiła, chociaż miałam nadzieję, że to zrobi.

By pocieszyć mamusię po tym telegramie, powiedziałam: „Nie martw się, mamusiu. Możesz teraz wyjść za wujcia Franka”. A ona na to, że to okropne, co mówię. Zresztą i tak przez rok nie mogłaby wyjść za męża. I że będziemy biedne, dopóki nie znajdzie jakiejś pracy.

A zaraz Anna dodała, że jestem okropnym bachorem bez serca, bo nie żałuję najlepszego ojca, jaki chodził po ziemi.

Byłyśmy wtedy naprawdę biedne. Ale i tak było wesoło, bo miałam dużo wujciów i chodziłam na przyjęcia i do kina. I nie musiałam co tydzień pisać listów do tatusia, bo nie było ich dokąd wysłać. Zamiast listów pisałam historyjki, które tak lubię pisać, i chowałam w mojej kryjówce. Wujciowie często przynosili mi cukierki i inne prezenty. A kiedy Anna miała wychodne, mamusia pozwalała mi bawić się do wieczora i kłaść się po jedenastej. Raz nawet napiłam się wina, które się nazywa szampan, ale nie bardzo mi smakowało, bo szczypało w nosie.

Szampana przyniósł wujcio Joe. To najstarszy wujcio, jakiego miałam. Był łysy i miał prawie białe wąsy. Nie bardzo go lubiłam. Ale mamusia powiedziała, że bym była grzeczna, bo wujcio Joe ma kilka teatrów i zapłaci jej dużo pieniędzy, żeby w jednym z nich śpiewała.

Jednej nocy, jak już byłam w łóżku, usłyszałam ich, jak głośno rozmawiali. Mówili o mnie. Więc podeszłam do drzwi i słuchałam. Usłyszałam, jak wujcio Joe mówi: „Będziesz musiała odesłać małą do szkoły”. A mamusia na to: „Beverly zostanie ze mną albo nie pojedzie do tej twojej głupiej Filadelfii”. Wtedy wujcio powiedział: „Skoro

uważasz, że to taka straszna robota, to po co ci jeszcze dzieciak do tego”. A mamusia odpowiedziała: „Nie daj Boże, żeby ona się dowiedziała, co to za robota. I Anna też”. A on na to: „Przecież chciałaś pracować, tak czy nie? A nie chcesz chyba zmarnować takiego ciała”. A potem powiedział, co mamusia będzie robić w tym jego teatrze, ale nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa i nie wiedziałam, co to znaczy. Powiedział: „To żaden wstyd, tylko sztuka”.

Nie mogę sobie przypomnieć tego słowa. Ale wtedy sprawdziłam je w słowniku. Znaczyło tańczyć na scenie. Więc już wiedziałam, że mamusia ma w tej Filadelfii tańczyć. Ale bardzo się tego wstydziła i nie chciała, żebym o tym wiedziała.

Zaraz potem pojechaliśmy do Filadelfii. Wujcio Joe załatwił nam mieszkanie w wielkim budynku przy placu, gdzie było dużo dzieci i marynarzy. Mieszkanie nie było bardzo duże, bo miało tylko dwie sypialnie. Ale było tam mnóstwo krzeseł i stołów, a kuchnia była biała i błyszcząca. Wujcio Joe też uważał, że mieszkanie jest za małe, bo powiedział: „Będzicie musiały mnie tu jakoś upchnąć, jak zajrzę czasem do Filadelfii”. Potem mamusia zaczęła często chorować i musiałam spać w pokoju Anny, żeby się nie zarazić. Nie lubiłam tego, bo Anna dziwnie pachnie. Poza tym ciągle mówiła o tatusiu i o tym, jaki był, jak był małym chłopcem.

Mamusia nie chciała nic powiedzieć o swojej nowej pracy, więc Anna i ja wymyśliłyśmy sekretny plan. Anna miała zapytać mamusię, w jakim teatrze pracuje. Potem miałyśmy kupić bilety i usiąść w pierwszym rzędzie i głośno klaskać, kiedy mamusia będzie występować. A potem chciałyśmy posłać jej kwiaty, żeby wszyscy myśleli, że jest najlepszą tancerką na świecie. Kiedy pierwszy raz wychodziła wieczorem do pracy, Anna powiedziała, że bardzo chciałaby posłuchać, jak mamusia śpiewa. Jadłyśmy wtedy truskawki. Mamusia odłożyła widelec i zrobiła się strasznie biała na twarzy. Musiała się chyba domyślić naszego planu, bo powiedziała: „Nie waż się nawet zbliżyć do tego teatru, Anno, a jeśli weźmiesz tam Beverly, do końca życia się do ciebie nie odezwę”. Wstała od stołu i nawet nie zjadła swoich truskawek. No i Anna powiedziała, że mogę je dokończyć.

Mamusia pracowała każdego wieczoru oprócz niedziel i czasami też popołudniami. Musiała być naprawdę dobrą tancerką, bo miałyśmy teraz o wiele więcej pieniędzy niż w Nowym Jorku. Codziennie

jadłam płatki śniadaniowe z prawdziwą śmietanką, a w domu wszędzie było pełno kwiatów. Mamusia musiała mieć dużo nowych przyjaciół, bo telefon nie przestawał dzwonić. Najczęściej to byli jacyś panowie i pytali o Trixie.

Na początku mówiłam, że nie ma tu żadnej Trixie, bo przecież mamusia ma na imię Dorothy. Później zapytałam Annę, a ona powiedziała, że to pewnie sceniczny pseudonim mamusi. Ale mamusia zabroniła nam rozmawiać z kimkolwiek przez telefon, chyba że z wujciem Joem albo wujciem Frankiem, jak zadzwoni, a dzwonił prawie codziennie.

Dostałam nowe buciki z takimi błyszczącymi sprzączkami, a mamusia podarowała mi na jedenaste urodziny naszyjnik z pereł, które mogłyby być prawdziwe, gdyby nie były takie różowe. I to właśnie w moje jedenaste urodziny spotkałyśmy na ulicy wujcia Joego.

Anna i ja poszłyśmy kupić kurczaka, specjalnie na obiad, i zobaczyłyśmy wujcia Joego, jak wychodził od jubilera. Uśmiechał się od ucha do ucha i zawołał Annę, i powiedział: „Popatrz, co właśnie kupiłem dla pewnej damy”. Wyciągnął z kieszeni pudełeczko i pokazał jej najpiękniejszą bransoletkę z diamentów i prawdziwych szmaragdów, jaką widziałam. Musiały być prawdziwe, bo na wystawie zobaczyłam drugą taką samą. Kosztowała 500 dolarów.

Wujcio Joe zobaczył, że gapię się na bransoletkę, i powiedział: „Nie podglądaj, mała damo”. A potem schował pudełeczko z powrotem do prawej kieszeni. Powiedział, że przyjdzie do nas na obiad i żeby Anna ugotowała ten swój pyszny gulasz, bo ma na niego ochotę. Ale Anna powiedziała, że gulaszu nie będzie, bo są moje urodziny i mogłam wybrać, co zjemy na obiad, i wybrałam kurczaka.

Byłam tak podniecona tym, że wujcio Joe kupił mi bransoletkę, że nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o tym, że wujcio Joe to najmilszy wujaszek na świecie. Bransoletka będzie pasowała do mojego pierścionka i nie będę musiała jej ukrywać, tak jak ukrywałam pierścioneł. Tego dnia założyłam swoją najlepszą sukienkę obszytą białym futerkiem. Anna przez prawie godzinę kręciła mi loki i malowała paznokcie na różowo. Potem był tort z jedenastoma świeczkami, który miał być niespodzianką, chociaż ja i tak o nim wiedziałam. Ale to mi nie przeszkadzało, bo i tak cały czas myślałam o bransoletce.

Wujcio Joe przyszedł dosyć późno i był jakiś dziwny, i bardzo głośno mówił. Pocałował mnie, a ja poczułam, że jakoś dziwnie pachnie. A potem powiedział: „Mam tu prezent urodzinowy dla grzecznej dziewczynki”. I dał mi taką wielką paczkę. Pomyślałam, że zapakował pudełeczko z bransoletką w kilka większych pudełek, żeby było śmieszniej.

Poszłam otworzyć prezent do drugiego pokoju, bo chciałam powoli wszystko rozpakować i cieszyć się, że pudełka są coraz mniejsze i mniejsze, i czekać na swoją niespodziankę. Ale w środku wcale nie było mniejszych pudełek. Było tylko jedno z okropną lalką w środku. Wielką tłustą lalką z ohydnyimi włosami ze sznurka i niebieskimi oczami, które nawet się nie zamykały, jak się ją położyło. I bez ubrania.

Przecież wujcio Joe musiał wiedzieć, że duże dziewczynki, które właśnie skończyły jedenaście lat, nie chcą dostawać głupich lalek. Popłakałam sobie cichutko. Nienawidziłam wujcia Joego, bo przecież właściwie obiecał mi tę bransoletkę dziś rano, kiedy rozmawiał z Anną przed sklepem jubilera.

A potem pomyślałam, że ta bransoletka jest tak jakby moja i że chcę ją jeszcze raz zobaczyć, i chyba nie ma w tym nic złego. Pamiętałam, że wujcio Joe schował ją do prawej kieszeni, więc obmyśliłam sobie plan. Poszłam do pokoju, gdzie mamusia i wujcio Joe pili i śmiali się, i wdrapałam mu się na kolana. Ucałowałam go i powiedziałam: „Dziękuję za lalkę”, która tak naprawdę była okropna. A on na to: „Podoba ci się laleczka, co?”.

Wtedy go objęłam i wsunęłam rękę do jego prawej kieszeni, gdzie była bransoletka. A on w ogóle nic nie zauważył.

Pobieglam do sypialni i otworzyłam pudełeczko całkiem sama, i zobaczyłam moją śliczną bransoletkę z prawdziwych szmaragdów. Włożyłam ją na rękę, a diamenty błyszczały jak gwiazdy. Wtedy mamusia zawołała mnie na obiad, więc schowałam bransoletkę w mojej kryjówce. Na obiad był kurczak i lody, i tort, ale ja nie chciałam jeść. Chciałam wrócić do sypialni i popatrzeć na moją bransoletkę.

Po obiedzie wujcio Joe powiedział, że biedna mamusia też powinna dostać prezent na urodziny. Mrugnął do mnie i kazał mamusi zamknąć oczy, bo to niespodzianka. Potem włożył rękę do kieszeni, a mamusia czekała z zamkniętymi oczami.

Ale w kieszeni, oczywiście, nic nie było.

Wujcio Joe zaczął okropnie przeklinać. Potem wybiegł do przedpokoju i sprawdził w kieszeniach płaszcz. Ale tam też nie było bransoletki. Anna i ja pomagałyśmy mu szukać jej w całym mieszkaniu. Potem wujcio Joe powiedział: „Cholera, musiała mi wypaść w taksówce, no i przepadło pięć setek”. Zadzwoił do taksówkarza, czy kogoś innego, ale niewiele się dowiedział. Nagle powiedział: „To niemożliwe, nie mogłem jej zgubić w taksówce, bo miałem ją w kieszeni, jak dzwoniłem do drzwi...”

Wtedy mamusia popatrzyła na mnie jakoś tak dziwnie. Wyprowadziła mnie do kuchni, żebyśmy były same, i zapytała: „Beverly, czy ukradłaś paczuszkę wujciowi Joemu?”, a ja powiedziałam: „Nie, nie ukradłam mu tej bransoletki”. Bo przecież jej nie ukradłam. Pożyczyłam tylko, żeby jeszcze raz na nią popatrzeć. Ale mamusia powiedziała tak jakoś smutno: „To skąd wiesz, że to była bransoletka, skoro jej nie wzięłaś. Lepiej biegnij i poszukaj jej zaraz, bo jak nie, to ci pomogę”.

Wystraszyłam się, bo jakby mamusia zaczęła szukać bransoletki, mogłaby znaleźć moją kryjówkę. Poszłam do swojej sypialni i wyjęłam z kryjówki bransoletkę. Była taka śliczna, ale włożyłam ją z powrotem do pudełka. Potem schowałam je pod spódnicą i wróciłam do salonu.

Chciałam wsunąć je pod kanapę, żeby wyglądało, że wypadło wujciowi z kieszeni. Ale on wszystko zauważył i podbiegł, i chwycił pudełeczko. A potem powiedział: „Ty mała złodziejko. Wiedziałem, że to ty je ukradłaś”. I uderzył mnie z całej siły w twarz. Wtedy mamusia rzuciła się na niego i powiedziała: „Nie waż się jej tknąć”. A wujcio Joe zaczął okropnie przeklinać. Później powiedział: „Beverly powinna pójść do więzienia albo do szkoły z internatem i przysięgam, że nie będę z tym czekał ani dnia dłużej”. Wtedy przyszła Anna i zobaczyła, że płaczę. Wzięła mnie na ręce i zaczęła przeklinać wujcia Joego, trochę po szwedzku, a trochę po angielsku, i powiedziała, że to wszystko zapłata za grzech.

Zabrała mnie do sypialni i przyniosła kawałek tortu, ale nie mogłam go zjeść, bo był cały w stearynie ze świeczek. I powiedziała: „Biedne dziecko, lubisz ładne rzeczy. W takim razie możesz sobie wziąć moją broszkę, bo to jedyna błyskotka, jaką mam”. I dała mi

swoją brzydką broszkę, którą przywiozła ze Szwecji. Był w niej onyks i Anna zaznaczyła, że to cenny kamień. Ale to nieprawda. Dodała też, że mogę z nią spać, jeśli jest mi smutno. Ale ja odpowiedziałam: „Nie, dziękuję, Anno, chyba będę chora, więc lepiej, żebyś się nie zaraziła”.

Później mamusia przysłała pocałować mnie na dobranoc. Musiała się chyba pogodzić z wujciem Joem, bo miała na ręce bransoletkę. Mamusia była śliczna jak anioł i powiedziała: „Moje biedne maleństwo, to twoje urodziny, a ty nic ładnego nie dostałaś”. A ja na to, że najlepszym prezentem będzie, jak pozwoli mi dziś ponosić swoją bransoletkę. Mamusia roześmiała się i zdjęła ją, i powiedziała: „Dobrze, ale tylko dzisiaj. A następnym razem nie bierz niczego, co do ciebie nie należy. Nigdy więcej tego nie rób”. A ja obiecałam.

Potem mamusia pocałowała mnie na dobranoc i jeszcze troszkę popłakała, a ja oddałam Annie jej starą broszkę. Anna pozwoliła mi palić światło prawie do północy i rozmawiałyśmy o tych wszystkich pięknych ubraniach i klejnotach, które będę miała, jak dorosnę. Anna powiedziała wtedy, że mamusia tatusia ze Szwecji, która była moją babcią, miała śliczną biżuterię i była bardzo ładna, i że ja jestem do niej podobna.

To było na tydzień przed tym, jak wujcio Joe został zastrzelony na śmierć. Ale najpierw wujcio Frank przyjechał do nas z wizytą do Filadelfii. Zamieszkał niedaleko w hotelu i przez dzień czy dwa świetnie się bawiliśmy, chociaż wujcio ciągle szeptał coś Annie na ucho i mieli przede mną jakąś tajemnicę.

Jednej nocy przyszedł do nas późno, kiedy mamusia była w pracy, i słyszałam jak mówi do Anny: „Dobry Boże, jest gorzej, niż myślałem. Widziałem ją. Musi z tym skończyć”. A kiedy mamusia wróciła, udałam, że idę do łazienki, ale tak naprawdę poszłam podsłuchiwać pod drzwiami. Usłyszałam, jak wujcio Frank mówi: „Zabiję tego Joe Pinkera. Powinien się wstydzić, przecież ma w Bronksie żonę i trójkę dzieciaków”. A mamusia na to: „Mam przynajmniej jakąś pracę. Joe mi ją załatwił, a ty nic nie potrafiłaś mi załatwić”. Wujcio Frank bardzo się zdenerwował i powiedział: „To ma być praca, rozbieranie się do rosołu przy obcych ludziach”. A mamusia powiedziała, że nie rozbiera się do rosołu i że przecież głównie śpiewa. Na to wujcio Frank powiedział: „To się będzie za tobą ciągnąć” czy coś takiego. Mamusia

musiała się chyba rozplakać, bo wujcio Frank powiedział zaraz: „Nie płacz, Dot, zawsze możesz za mnie wyjść, a ja będę cię kochał”. Ale mamusia odparła, że nie może za niego wyjść, bo nie wiadomo, czy tatuś tak naprawdę umarł. A wujcio Frank na to, że zaczeka.

Wtedy Anna przyłapała mnie na podsłuchiowaniu i kazała mi wracać do łóżka. Zapytałam ją, dlaczego mamusia rozbiera się przy obcych ludziach, a ona na to: „Cicho, dziecko, kładź się spać”.

Następnego dnia stało się coś bardzo dziwnego. To było tego dnia, kiedy wujcio Joe został zastrzelony na śmierć. Mamusia była na próbie czy coś takiego. Anna i ja jadłyśmy lunch w kuchni, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Anna poszła otworzyć i bardzo długo nie wracała. Kiedy poszłam jej poszukać, nigdzie jej nie było. Więc się trochę przestraszyłam, że to może był jakiś włamywacz. Wyrzesałam przez okno i na dole na rogu ulicy zobaczyłam Annę. Ale nie miała na sobie kapelusza ani płaszcz.

Rozmawiała z jakimś starym człowiekiem z całkiem białymi włosami, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Nagle zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała go, a on też ją pocałował. A kiedy wróciła na górę, śpiewała i była szczęśliwa jak nie wiem co.

Powiedziałam: „Anno, masz chyba ukochanego. Widziałam, jak się z nim całowałaś na rogu”. A ona na to: „Tak, mój dawny ukochany wrócił do swojej Anny”. Zapytałam więc, czy za niego wyjdzie i mnie zostawi. A ona odpowiedziała: „Nigdy, nigdy, kochanie” i uściśnęła mnie tak mocno, że aż mi chrupnęło w kościach.

A potem powiedziała, że jak będę grzeczna, to po południu zabierze mnie ze sobą do hotelu i będę mogła poznać jej ukochanego. Ale to ma być niespodzianka, więc mam nic nie mówić mamusi. No to obiecałam, że nic nie powiem.

Przed wyjściem długo i mocno szcztokowała mi włosy i nie pozwoliła założyć naszyjnika ze sztucznych różowych pereł, który dostałam od mamusi, ani żadnych innych błyskotek. Zmyła mi też czerwony lakier z paznokci i powiedziała, że jej przyjaciel jest trochę staroświecki i nie lubi, jak małe dziewczynki się malują.

A potem kazała mi uważać i nic nie mówić o tym, że jej przyjaciel wygląda staro albo dziwnie, bo on bardzo długo chorował.

Wyszliśmy na zatłoczoną ulicę i poszliśmy do małego hotelu, gdzie brzydko pachniało. Anna zaprowadziła mnie do pokoju, gdzie

też brzydko pachniało, a tam przy oknie siedział ten jej staruszek. Kiedy weszliśmy, zerwał się na nogi i podniósł mnie do góry, i powiedział: „Moja najdroższa, moja mała Beverly”. A potem pocałował mnie, chociaż wykręcałam się, jak mogłam.

Wreszcie postawił mnie na podłodze i zapytał: „Nie czujesz się, że widzisz swojego biednego tatusia?”. A ja roześmiałam się i powiedziałam: „Ty nie jesteś moim tatusiem. Mój tatuś był młody i przystojny i miał czarne włosy i dużo białych zębów”. Ale on powtarzał, że jest moim tatusiem, chociaż jego zęby były prawie czarne i wielu brakowało. A potem Anna dodała: „To twój tatuś, Japońce wzięli go do niewoli. W więzieniu byli dla niego bardzo okrutni i dlatego nie wygląda już tak młodo jak kiedyś”.

Byłam bardzo grzeczna i powiedziałam: „To zabawne, że tatuś wygląda starzej, a mamusia coraz młodziej”. Wtedy mężczyzna, który mówił, że jest moim tatusiem, zapytał: „Skarbie, nie chciałabyś wyjechać ze mną i z Anną?”. A ja odpowiedziałam: „Tak, jeśli mamusia też z nami pojedzie”.

Wtedy zaczął mnie wypytywać o mamusię i wujcia Joego. I zrobił się bardzo poważny. Anna mówiła do niego coś po szwedzku, ale nic z tego nie rozumiałam. A on był bardzo zagniewany i nie pocałował mnie, kiedy wychodziłyśmy. Powiedział tylko, że wieczorem po kolacji przyjdzie odwiedzić mamusię, ale żeby nic jej nie mówiła, bo to ma być niespodzianka. A potem powiedział jeszcze do Anny coś po szwedzku i się pożegnaliśmy.

Anna rozpląkała się, kiedy mówiłam, że nie podoba mi się ten nowy, stary tatuś. Pokręciła głową i powiedziała: „On ma mord w sercu i wcale go za to nie winię”. Zapytałam ją, co to znaczy, ale ona tylko znowu pokręciła głową i powiedziała: „Musimy coś wymyślić, żeby go powstrzymać”. I zamiast wracać prosto do domu, poszliśmy do hotelu wujcia Franka. Nie wiem, co Anna mu powiedziała, bo kazała mi poczekać na dole w holu. Zobaczył mnie tam jakiś miły starszy pan i zawołał: „Oj, moja mała, chyba jesteś jeszcze za młoda, żeby stać sama w hotelowym holu”. Uśmiechnęłam się do niego bardzo grzecznie, a on dał mi wafelek po lodzie.

Wszystko to było bardzo dziwne. Nie wiedziałam, czy mój tatuś, który podobno nie żył, naprawdę był tym starym tatusiem, który do nas wrócił. Nie wiedziałam też, co Anna miała na myśli, kiedy

powiedziała, że tatuś ma mord w sercu. Wiedziałam tylko, co to jest mord, bo widziałam to wiele razy w kinie. Najbardziej na świecie lubię filmy, gdzie się mordują.

Jednak tamtego wieczoru wszystko dobrze się układało. Anna ugotowała naprawdę pyszną kolację, a mamusia ślicznie wyglądała w swojej czarnej sukience i bransoletce na ręce. Wujcio Joe przyszedł na kolację i przyniósł szampana. Ale Anna nie chciała pić i mocno zaciskała usta, kiedy wujcio Joe chciał ją zmusić.

A potem po kolacji, kiedy mamusia poszła przebrać się przed wyjściem do teatru, ktoś zadzwonił do drzwi. Poszłyśmy z Anną otworzyć. To był wujcio Frank. Ciężko oddychał i powiedział: „Na litość boską, Anno, on ma broń. Nie mogłem mu jej odebrać, będzie tu za chwilę i wtedy rozpęta się piekło”. A wtedy Anna powiedziała: „I co my teraz zrobimy?”.

Zaraz też zauważyła mnie i zapytała: „Beverly, chyba nie chcesz, żeby twój tatuś znowu trafił do więzienia?”. A ja odpowiedziałam: „Chyba nie”.

Wtedy Anna szepnęła coś wujciowi Frankowi, a on wyjął z kieszeni pięć dolarów. Anna powiedziała, że je dostanę, jeśli zrobię coś dla niej i dla wujcia Franka.

Zapytałam, co mam zrobić, a ona na to: „Twój tatuś ma w kieszeni rewolwer. Wiesz, co to jest rewolwer?”. Odpowiedziałam z dumą: „Oczywiście, że wiem, co to jest rewolwer, i wiem, jak się z niego strzela, bo widziałam w kinie”. Wtedy Anna powiedziała, że jeśli wyciągnę tatusiowi z kieszeni rewolwer, tak jak wyciągnęłam bransoletkę wujciowi Joemu, wtedy dadzą mi te pięć dolarów. I że nikt mnie za to nie zbije ani nie ukarze.

Odpowiedziałam, że spróbuję.

Zaczekałam z wujciem Frankiem na korytarzu, dopóki tatuś nie wszedł po schodach. A kiedy tylko go zobaczyłam, wyciągnęłam do niego ręce i zawołałam: „Witaj, tatusiu”. Ale on mnie nie pocałował ani nawet się nie odezwał, tylko od razu zaczął rozmawiać z wujciem Frankiem. Przypomniałam sobie, jak przeszukiwałam kieszenie tatusia, kiedy byłam małą, żeby znaleźć prezent albo coś ładnego. Udałam, że znowu jestem małą dziewczynką, i zapytałam: „Tatusiu, masz coś dla mnie?”. A potem sięgnęłam do jego kieszeni i wymacałam rewolwer. Był dosyć mały i wcale nie ciężki. Tatuś chyba nie zauważył,

jak go wyjmowałam, bo cały czas mówił coś szybko wujciowi Frankowi.

Później tatuś odsunął mnie na bok i wszedł do mieszkania. Nawet nie zdjął kapelusza. A ja pobiegłam do kuchni i oddałam Annie rewolwer. Powiedziała: „Dzięki Bogu, udało się”. I tak się jakoś wzdrygnęła, a potem schowała go do szuflady kuchennego stołu. Kiedy zamykała szufladę, zobaczyłam, że ktoś stoi za drzwiami i ją obserwuje. Ale nie widziałam dokładnie, kto to był.

Potem Anna dała mi pięć dolarów i kazała iść do naszej sypialni, i nie wychodzić stamtąd, dopóki mnie nie zawołają.

Więc poszłam do sypialni. Ale zostawiłam uchylone drzwi, żeby coś słyszeć. Usłyszałam, że tatuś, tupiąc, wchodzi do salonu. Ktoś mówił coś głośno, a potem mamusia krzyknęła i zawołała: „George, myślałam, że nie żyjesz, przysięgam!”. Później usłyszałam jakiś hałas, a wujcio Frank powiedział: „Zostaw go mnie, George”. Potem jeszcze raz usłyszałam hałas, a mamusia znowu krzyknęła. Wtedy Anna wbiegła do salonu z kuchni i krzyknęła: „Zabiłeś go, George. Trzeba wezwać lekarza”.

Po chwili zobaczyłam wujcia Franka i Annę. Nieśli wujcia Joego do sypialni mamusi. Na twarzy miał krew i był cały jakiś bezwładny.

Później wrócili do salonu i zaczęli mówić wszyscy naraz. Zakradłam się na paluszkach do sypialni mamusi, żeby zerknąć na wujcia Joego, bo nigdy nie widziałam nikogo nieżywego. Nawet w kinie.

Ale on wcale nie był nieżywy. Usiadł, kiedy mnie zobaczył, i zaczął przeklinać. Powiedział: „To znowu ty, mała złodziejko. Wsadzę cię do paki razem z twoją matką i całą resztą”. A potem spróbował się podnieść i wyglądał naprawdę strasznie z tą krwią na twarzy. Więc uciekłam.

Powiedziałam już panu policjantowi Prattowi, że nie wiem, co się później stało. Słyszałam tylko okropny huk. Wujcio Frank przybiegł po mnie. Wziął mnie na ręce i oddał Annie, i powiedział: „Zabierz stąd dzieciaka, nim przyjadą gliny. George go zastrzelił”.

Potem wyjął z kieszeni jakieś klucze i dał je Annie, i powiedział: „Szybko zabierz ją do mojego hotelu. Będzie tam bezpieczna, a ja przyjadę, jak już będzie po wszystkim”.

No więc Anna i ja pojechałyśmy do hotelu wujcia Franka i Anna mnie tam zostawiła. Wujcio miał śliczny duży pokój i było tam

mnóstwo malutkich buteleczek, które pachniały prawie tak samo ładnie jak perfumy mamusi. Wąchałam je wszystkie po kolei i było bardzo fajnie.

A po jakimś czasie przyjechał wujcio Frank. Był sam i wyglądał na trochę zmartwionego. Powiedział: „Beverly, zdarzył się straszny wypadek, twój wujcio Joe został zastrzelony i nie żyje”. A ja powiedziałam: „Ojej”.

Potem powiedział, że jeden policjant chce ze mną porozmawiać. Mam bardzo uważać i mówić całą prawdę, bo policja myśli, że to tatuś zastrzelił wujcia Joego. Ale tatuś mówi, że tego nie zrobił.

Później wujcio Frank wyszedł i wrócił z panem Pratterem. To bardzo miły policjant i nawet młody, tak jak Dick Tracy. Był bardzo uprzejmy i uściśnął mi rękę, a potem powiedział: „Grzeczna z ciebie dziewczynka, postąpiłaś bardzo odważnie, zabierając tatusiowi rewolwer”. Musiał o tym wiedzieć od Anny albo wujcia Franka.

A potem zaczął mnie wypytywać o to, jak mi idzie w szkole i czy lubiłam wujcia Joego, i w którym pokoju sypiam. Opowiedziałam mu o tym, jak to mamusia często choruje i jak bardzo wujcio Joe i wujcio Frank kochali mamusię, i chcieli się z nią ożenić. Wtedy zobaczyłam że wujcio Frank ma niezadowoloną minę, więc szybko powiedziałam, że zawsze był o wiele lepszy od wujcia Joego i o wiele bardziej kochał mamusię. A pan Pratt powiedział: „Hm hm”.

Potem zwrócił się do wujcia Franka i powiedział: „Szkoda, że George Braun nie zastrzelił go w czasie kłótni, wtedy żadna ława przysięgłych na świecie nie mogłaby go skazać. Ale i tak pewnie nie dostanie więcej niż rok czy coś koło tego. Przecież jest bohaterem wojennym”.

Później pan Pratt zapytał mnie, czy ktoś jeszcze był w kuchni, kiedy Anna chowała rewolwer do szuflady. A ja powiedziałam, że ktoś stał za drzwiami, ale nie byłam pewna kto. A on na to: „Jeśli to był twój tatuś, to by przesądziło sprawę”. A ja powiedziałam, że spróbuję sobie przypomnieć, kto to był.

A on powiedział: „Świetnie, postaraj się jak najwięcej sobie przypomnieć, a jutro znowu porozmawiamy”. Dlatego właśnie spisuję to wszystko, żeby sobie przypomnieć.

Potem wujcio Frank i pan Pratt poszli sobie, a Anna położyła się spać razem ze mną. Ale ja wcale nie byłam śpiąca. Poprosiłam Annę,

żeby powiedziała mi wszystko o tym, co się stało i co policja zamierza teraz zrobić.

Anna powiedziała, że zabrali tatusia na posterunek, bo powiedział, że był w łazience, kiedy padły strzały, a oni mu nie uwierzyli. Wtedy tatuś przysiągł, że jest niewinny. Nie wiedział nawet, że ktoś zabrał mu rewolwer z kieszeni płaszcza i schował do kuchennej szuflady. Tak mówił.

Anna powiedziała jeszcze, że mamusia i wujcio Frank byli razem w salonie, kiedy rozległy się strzały. I to im dawało coś dziwnego, co brzmi jak Ali Baba i znaczy, że nie mogli zrobić nic złego.

Wtedy zapytałam: „A ty, gdzie wtedy byłaś, Anno?”. A ona zrobiła taką dziwną minę i powiedziała, że była przy telefonie i dzwoniła do lekarza, kiedy usłyszała strzały. Więc zapytałam, dlaczego policja nie myśli, że to ona strzelała. Przecież wiedziała, gdzie był rewolwer, i nie znosiła wujcia Joego, i chciała, żeby umarł.

A ona powiedziała, że może ją jeszcze oskarżą o to, że go zabiła. I że modli się, by cierpieć zamiast tatusia, który już wystarczająco dużo wycierpiał. Zresztą i tak jest już stara i chętnie pójdzie na krzesło elektryczne zamiast biednego George'a.

Wtedy powtórzyłam jej, co mówił pan Pratt. Że tatuś dostanie pewnie tylko rok więzienia, jeśli jest winny. I że rok to nie tak źle dla kogoś, kto i tak jest przyzwyczajony do więzienia. Ale Anna powiedziała, że to okrutne i że córka nie powinna tak mówić o swoim ojcu.

Na co ja powiedziałam: „To wcale nie jest okrutne, Anno. Bo gdybyś ty zastrzeliła wujcia Joego, dostałabyś krzesło elektryczne. I tak samo mamusia i wujcio Frank, gdyby to zrobili, prawda?”. A ona na to: „Chyba masz rację, ale tak czy owak twoja mamusia i wujcio Frank mają przecież Ali Babę”. Zaraz potem jednak posmutniała i powiedziała: „Ten Ali Baba nie na wiele im się przyda, bo policja już wie, że wujcio Frank kochał się w twojej mamusi”.

To ja powiedziałam, że chyba lepiej, jak tatuś posiedzi rok w więzieniu, niż gdyby ktoś inny miał iść na krzesło elektryczne. Ale Anna kazała mi iść spać.

Tylko że ja wcale nie mogłam zasnąć. Leżałam tak i leżałam, aż wreszcie zaczęłam myśleć o tym, że mamusia albo Anna, albo wujcio Frank mogą dostać krzesło elektryczne. I że to musi być okropne.

Potem pomyślałam, że gdyby tatuś zabił wujcia Joego i poszedł na jakiś czas do więzienia, mamusia mogłaby się z nim rozwieść i wyjść za wujcia Franka. I wtedy nie musiałaby już się rozbierać przy obcych, ani tańczyć na scenie. A ja mogłabym być druhną na ich ślubie. I może mamusia dałaby mi swoją bransoletkę, bo już by jej nie chciała nosić po śmierci wujcia Joego.

Pomyślałam, że bardzo się cieszę, że on nie żyje, bo przecież strasznie się bałam, że powie tatusiowi o tym, jak pożyczylam sobie bransoletkę. Wtedy tatuś na pewno by mnie zbił i wysłał do poprawczaka. Ale jeśli tatuś pójdzie na trochę do więzienia, nie będzie mógł mnie nigdzie wysłać, a wujcio Frank i mamusia nigdy mnie do tego nie zmuszą. Nigdy.

Więc wszystko sobie obmyśliłam i poszłam spać.

Następnego dnia pan Pratt przyszedł do mnie z jakimś starym panem, który był prawnikiem tatusia czy coś takiego. Pan Pratt zapytał mnie, czy pamiętam, kto stał za kuchennymi drzwiami, wtedy jak Anna chowała rewolwer do szuflady. A ja powiedziałam, że nie. Pamiętam tylko, że ten ktoś miał białe włosy, bo widziałam je, jak się odwrócił.

Wtedy pan Pratt popatrzył na prawnika i powiedział: „To załatwia sprawę, bo tylko George Braun ma tutaj siwe włosy”.

Potem prawnik zadał mi całe mnóstwo pytań. A ja powiedziałam, że zanim rewolwer wystrzelił, widziałam, jak wujcio Joe leżał na łóżku mamusi. Powiedziałam, że przeklinał i próbował wstać. Prawnik bardzo się ucieszył i powiedział do pana Pratta: „Namówię Brauna, żeby się przyznał do zabójstwa w samoobronie. Wtedy na pewno mu się upieczą”.

Później obaj bardzo ładnie mi podziękowali i powiedzieli, że grzeczna ze mnie dziewczynka. Kazali mi powtórzyć to wszystko sędziemu. Całą prawdę. Powiedzieli, żebym spróbowała jak najwięcej sobie przypomnieć. No więc wszystko sobie przypomniałam i spisałam, żeby opowiedzieć sędziemu.

Ale nie powiem mu nic o bransoletce i o tamtej głupiej lalce. Nie powiem, co zrobiłam, kiedy wujcio Joe zaczął tak strasznie przeklinać w sypialni mamusi i kiedy wystraszył mnie, mówiąc, że pośle mnie do paki.

Nie powiem, że poszłam wtedy do kuchni i wyjęłam z szuflady rewolwer, a potem wróciłam do pokoju mamusi przez łazienkę. Ani że uchylałam drzwi i przez malutką szparkę wycelowałam rewolwer w wujcia Joego, a potem nacisnęłam ten mały przyczek, tak jak to robią w kinie. Ani że upuściłam rewolwer na podłogę i biegiem wróciłam do swojego pokoju, jak tylko usłyszałam czyjeś kroki.

Niemądrze byłoby powiedzieć to sędziemu, bo przecież wszyscy myślą, że to tatuś strzelał. Tatuś dostanie tylko rok albo dwa więzienia. Ale gdyby wiedzieli, że to ja zastrzeliłam wujcia Joego, mogliby posłać mnie na krzesło elektryczne.

A tego bym nie chciała.

— — — *Zwykle dziecko,
Spokojnej oddech piersi,
W każdej jest chwili pełne życia.
Cóż ono wie o śmierci?*

William Wordsworth „Jest nas siedmioro”,
tłum. Z. Kubiak.

GOŁĘBIE SERCE

Connie Webber miała bzika na punkcie gołębi z placu. W restauracji pana Mazzoliego ciągle sobie na ten temat żartowano — z Connie i jej gołębi. Rosa i Shirley, dwie nowe kelnerki, które były od niej znacznie młodsze i które w innym, mniej rozrywkowym lokalu traktowałyby ją zapewne z większym szacunkiem, całymi dniami dworowały sobie z Connie.

— Rosa, myślisz, że możemy opowiedzieć Ripleyowi historyjkę o Connie i jej skrzydlatej paczce? Setka ptaków i jedna dziewczyna.

— Ej, Connie, kup sobie dwa wachlarze ze strusich piór i przebierz się za gołębicę!

Ich radosny, młodzieńczy śmiech rozbrzmiewał w zatłoczonej restauracji w Greenwich Village, zaś stali goście, którym nieobce były te żarty, uśmiechali się na widok Connie albo poklepywali ją po szerokich biodrach, gdy mijała ich ze stertą pustych talerzy po spaghetti piętrzącą się na tacy.

Czasami nawet sam pan Mazzoli wyłaniał się z otchłani kuchennych, z oliwkową twarzą lśniąca od potu i szelmowską miną wyzieraającą spod przekrzywionej kucharskiej czapki.

— Connie, *mia*, złapiesz ty dla mnie parę tych ptaszysk, a ja zrobię pyszne *piccione alla cacciatore*...

To zawsze wywoływało głośnie salwy śmiechu.

Lecz Connie nic sobie nie robiła z tych docinków. Ta postawna blondynka o szerokim uśmiechu i wielkim sercu najbardziej w życiu lubiła się dobrze pośmiać. Wiedziała, że wszyscy tu ją lubią, a zwłaszcza pan Mazzoli, który wiecznie odgrażał się, że się z nią ożeni, jak tylko restauracja stanie na nogi a on znajdzie wreszcie czas, żeby wyjść na chwilę z kuchni i zaprowadzić ją do miejskiego ratusza. Nie była nawet zaskoczona tym, że się z niej śmiali. To rzeczywiście było

śmieszne — żeby dorosła kobieta w wieku czterdziestu jeden lat miała taką słabość do gromady gołębi. Ale tak właśnie było.

Gdy tylko trafiła się okazja — na przykład po południu, kiedy skończyli już wydawać lunch, a goście jeszcze nie zaczęli z wolna ściągać na wczesny obiad — Connie wymykała się na obskurny, mały placzyk, siadała na ławce i patrzyła, jak gołębie wirują i błyszczą na tle jasnego nieba. W jednej chwili unosiła się w górę rażeni z nimi i machała skrzydłami, wykonując w powietrzu przyprawiające o zawrót głowy akrobacje. W końcu któryś z ptaków ją zauważył i wtedy całe stado dawało nurka w dół, opadając na okruchy, które zawsze przynosiła im z restauracji — sfruwały z trzepotem skrzydeł, kręcąc ciekawie połyskliwymi szyjkami. Plac tonął wtedy w istnej symfonii gruchania.

Na ich widok Connie śmiała się z zadowoleniem.

Każdy, kto bywał na placu, znał Connie. Nawet lokalni gliniarze — Fred Kitner, Frank O'Mulligan i sierżant Connors — wszyscy zatrzymywali się, żeby z nią pogawędzić, gdy mijali ją karmiącą gołębie. Connie z natury była życzliwa ludziom, a jej życzliwość była tak wielka, że obejmowała nie tylko gołębie, lecz także cały Manhattan.

Właśnie za sprawą gołębi Connie poznała Yo Yonsona. Yo Yonson naprawdę nazywał się zupełnie inaczej. Później dowiedziała się, że jego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Erling Jakiśtam i że był on norweskim marynarzem na przepustce. Ale gdy pierwszy raz go zobaczyła pewnego wiosennego popołudnia, człapiącego przez plac niczym wielki, płowowłosy niedźwiedź, pomyślała sobie: „Patrzcie no na tego wielkiego Szweda”. Przypomnił jej się zaraz stary wodewilowy kawałek *Jestem Yo Yonson, przybywam z Wisconsin* i tak przezwisko to utkwilo jej w pamięci.

Oczywiście zauważyłaby go nawet, gdyby nie chodziło o gołębie. Po pierwsze, był taki wielki. I taki obdarty. Spodnie miał cerowane przynajmniej z tuzin razy równym, marynarskim ścięciem, a jego kurtka wyglądała tak, jakby dawniej był to smoking. Pod jednym łokciem widać było dziurę. Poza tym był nieogolony, a jego duże policzki pokrywała szczecina tak gęsta, że muchom mogłaby wydać się puszcza.

Wszystko to jednak były rzeczy, na które Connie zwróciłaby uwagę u każdego. Tym, co naprawdę ją ujęło, był jego uśmiech. Nie był

on może zbyt mądry, ale pojawił się, gdy mężczyzna przystanął, żeby popatrzeć na gołębie, gruchające i dziobiące okruchy u jej stóp — nagły, nieśmiały i pełen nieskończonej czułości uśmiech.

Zatrzymał się tuż przed nią, wpatrując się w gołębie, jakby to były diamenty albo małe dzieci. Wyciągnął do nich dużą dłoń, ale zaraz ją opuścił.

— Proszę. — Uśmiechnęła się pod wpływem nagłego impulsu. — Chcesz spróbować?

Poszperała w torbie z brązowego papieru i podała mu skórkę ciemnego, włoskiego chleba. Wziął ją, tak jak dziecko bierze prezent. Następnie pochylił się i ostrożnie wyciągnął chleb w stronę gołębi. Jeden z ptaków przekrzywił główkę, dziobnął i chwycił chleb. Yo Yonson szybko cofnął dłoń, zaskoczony.

W tej samej chwili napotkał spojrzenie Connie i oboje wybuchnęli radosnym śmiechem.

Po tym spotkaniu Connie codziennie widywała Yo Yonsona na placu. Zjawiał się punktualnie o godzinie czwartej, już z własną papierową torbą. Nadal nosił to samo zniszczone ubranie, lecz teraz było ono czyste i schludnie utrzymane, jeśli nie liczyć dziury w prawym rękawie kurtki, tuż pod łokciem. Rytuał też był zawsze ten sam. Yo Yonson przystawał przy sąsiedniej ławce, posyłając jej nieśmiały, niepewny uśmiech, jakby gołębie były jej własnością, a on musiał prosić ją o pozwolenie, aby się z nimi spotkać. Connie odwzajemniała jego uśmiech. Wówczas siadał, rozdzierał swoją torbę z okruszkami i rozkładał ją szeroko jak tacę na swoich potężnych kolanach. Gdy z suchym szelestem piór zlatywały się gołębie, on zamierał nieruchomy niczym posąg, żeby ich nie spłoszyć. Po chwili ptaki obsiadały go całego: wyjadały okruchy z kolan, odpoczywały na potężnych ramionach. Czasami jakiś przysiadł na moment, kołysząc się lekko, na czubku jego jasnej głowy.

Naiwna radość, jaką wtedy promieniał, oczarowała Connie. To niezwykle, ale on kocha je chyba jeszcze bardziej niż ja, myślała. Czasami próbowała do niego zagadywać, tak tylko, z uprzejmości, ale nie był zbyt rozmowny, a to, co mówił, było dla niej zwykle niezrozumiałe, choć zawsze bardzo grzeczne.

W restauracji pana Mazzoligo prędko dowiedzieli się o Yo Yonsonie. Już drugiego dnia Shirley zauważyła go siedzącego na ławce

obok Connie i tego samego wieczoru cały lokal rozbrzmiewał nowymi żartami na temat gołębi.

— Gołębiarka znalazła sobie gołębiarza.

— Hej, Connie, daj sobie spokój z panem Mazzolim, wyjdź za swojego gołębiarza i załóżcie menażerię!

Nawet sierżant Connors i Fred Kitner, którzy wpadli na porcję spaghetti przed służbą, przyłączyli się do zabawy.

Connie po prostu się śmiała i odpowiadała żartami na żarty, ale w głębi ducha cieszyła się, że poznała Yo Yonsona. Nie dlatego, że był mężczyzną — nic z tych rzeczy. Connie podobali się bruneci, szybcy i weseli jak pan Mazzoli. Jednak aż promieniała na samą myśl o uczuciu, jakim Yo Yonson darzył gołębie. Może i był prosty — niezbyt bystry w myśleniu. Ale świat potrzebował dobroci. Nigdy nie ma jej za wiele, myślała Connie, i nie będzie nawet za milion lat. Dobroć zawsze jest potrzebna.

Była ciekawa, gdzie mieszka Yo Yonson. Miała nadzieję, że ma kogoś, kto jest dla niego dobry i kto dba o to, aby miał co jeść.

W co drugą sobotę Connie miała wolne. W pewną sobotę, niecały miesiąc po tym, jak poznała Yo Yonsona, wyszła z restauracji tuż przed piątą. Zamierzała wybrać się do miasta i może zobaczyć jakieś przedstawienie. Gdy tak szła spacerkiem przez plac, promienie popołudniowego słońca padały ukośnie na ławki i zaniedbane miejskie drzewa, sprawiając, że całość wyglądała jak z obrazka. Yo Yonson już tam był. Właśnie skończył karmić gołębie, które znowu wzbily się w górę, przecinając powietrze i kręcąc podniebne młynki. Widząc ją wstał, pospiesznie strzepując ze spodni okruchy. Uśmiechnął się jak zwykle, choć tym razem wydawał się być bardziej onieśmielony i podekscytowany, a jego wielka głowa podskakiwała w górę i w dół, jakby starał się szybko wymyślić właściwe powitanie.

Connie przystanęła i też się uśmiechnęła, chcąc go ośmielić.

Wreszcie zdołał wydobyć z siebie głęboki, gardłowy głos: — Proszę? Mój dom. Ty przyjsz? Proszę?

Obrócił się i wskazał jedną z nędznych kamienic z elewacją z piaskowca po drugiej stronie placu.

— Mój dom? Na chwilę — proszę?

Jego żarliwość była równie wzruszająca jak ów nieśmiały gest, jakim po raz pierwszy wyciągnął do gołębi dłoń z kawałkiem chleba.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca przerażeniu na myśl, że mogła go nie zrozumieć. Nikt, nawet maleńkie dziecko nie mogłoby się go bać — pomimo tak potężnej postury.

— Ależ bardzo chętnie cię odwiedzę... — Niewiele brakowało, a Connie dodałaby „Yo Yonsonie”. Na myśl o swojej głupocie stłumiła chichot.

Dom, w którym mieszkał Yo Yonson, był najbardziej zapuszczony w okolicy. Farba łuszczyła się z ram okiennych. Na brudnych schodach siedziała jakaś niechlujna kobieta; inna, o jaskraworudych włosach, wyglądała na ulicę przez okno na piętrze, beznamiętnie żując gumę. Na widok Yo Yonsona idącego razem z Connie wyszczerzyła zęby i wrzasnęła do mężczyzny: — Ej, debil, dasz jej ten stary łach, który próbowałeś mi wcisnąć? — Po czym wybuchnęła głośnym, wyzywającym śmiechem. Kobieta ze schodów przyjrzała im się z kwaśną miną, zachowując nieprzyjemne milczenie.

Connie aż się zatrzęsała z oburzenia na tę latawicę w oknie. Ale Yo Yonson zdawał się niczego nie słyszeć, albo przynajmniej nie rozumieć. Cały w uśmiechach, zatrzymał się przy stromej, żelaznej drabinie wiodącej w dół przez właz do piwnicy. Kłaniając się lekko, dał jej znak, żeby zeszła pierwsza.

Mieszkał w piwnicy — najprawdziwszej piwnicy. Jedyne źródłem światła było małe okienko mniej więcej na poziomie chodnika. Wewnątrz było wilgotno, ale czysto i panował tam wzorowy porządek, jak na pokładzie statku. Nie miał żadnych mebli z prawdziwego zdarzenia. Drewniane skrzynki po pomarańczach służyły za krzesła, a rozłożony na podłodze stary materac zastępował łóżko. Pod ścianami zaś piętrzyły się równiutko kartony pełne rozmaitych śmieci. W niektórych znajdowały się wyszczerbione filiżanki i talerze, w innych kawałki żelaza; jeszcze inne pełne były starych, wyklepanych gwoździ. Były tam też sterty drewna, szmat i makulatury.

A więc to tak zarabia na życie, pomyślała. Nocą obchodzi okoliczne śmietniki, wyszukując w nich wszystko, co dałoby się później sprzedać w punktach skupu. Co za hańba, pomyślała, i to w Stanach Zjednoczonych, gdzie podobno każdy ma prawo zarobić na przyzwoity posiłek.

Yo Yonson nie przestawał radośnie się uśmiechać. Gestem wskazał jej jedną ze skrzynek, więc usiadła. Następnie zniknął w

najciemniejszym zakątku pomieszczenia i wyglądało na to, że szuka czegoś w kartonach. Po chwili usłyszała ciche chrząknięcie zadowolenia. Wrócił do niej. Jego potężne ramiona były wyprostowane, a na nich spoczywała delikatnie udrapowana długa, czarna suknia, wykończona pod szyją i przy mankietach sztuczną, czarną koronką.

Wyciągnął do niej ręce. Znowu niepewnie się uśmiechał. Kiedy nie zareagowała, chwycił suknię za dekolot i podsunął jej, pokazując umieszczoną wewnątrz metkę. W słabym świetle Connie z trudem odczytała nazwę domu towarowego.

— Dobra! — powiedział. — Dobra. Z dużego sklepu. W śmieciach. — Zapamiętała kiwał głową, wpychając jej sukienkę w ręce, prawie spowijając ją materiałem. — Dobra. Z dużego sklepu. Dla ciebie.

Connie wzięła od niego sukienkę i unosząc ją do góry, przyłożyła do siebie. Była dla niej o wiele za ciasna. Na jednym z rękawów widniała rdzawo-brązowa plama, która wyjaśniała, dlaczego ją wyrzuciono; poza tym Connie osobiście wolała sukienki w żywszych kolorach. Pomyślała jednak, że w ten sposób mężczyzna odplaca jej się za gołębie i nagle zebrało jej się na płacz. Uśmiechnęła się do niego promiennie, głaszcząc materiał i wydając ciche okrzyki.

— Jaka śliczna! Po prostu piękna! Nie powinieneś... Och, bardzo ci dziękuję. Bardzo.

W odpowiedzi uśmiech rozjaśnił całą jego twarz. — Podoba się?

Po czym Szwed nagle zawstydził się i rumieniec zabarwił jego nieogolone policzki. Sztywno, z niemal królewską godnością, wykonał ukłon w stronę drzwi. Chciał jej w ten sposób powiedzieć, że nie musi dłużej zostawać tylko po to, żeby okazać mu uprzejmość albo wdzięczność.

Przyciskając do siebie sukienkę, Connie pospiesznie wydostała się na zewnątrz i wdrapała po drabinie na górę. Latawica wciąż siedziała w oknie na piętrze. Connie z pogardą pokazała jej wyprostowany środkowy palec.

Tak naprawdę nie czuła jednak wcale złości, nawet na tę okrutną, głupią kobietę. Czuła się tak jak wówczas, gdy gołębie wzbijały się w powietrze i szybowały po błękitnym, wiosennym niebie. Nie poszła tego dnia na przedstawienie. Wróciła do domu i przymierzyła suknię. Rzeczywiście była o wiele za ciasna na jej duże, solidnie zbudowane ciało, ale to nie miało żadnego znaczenia. Przez cały wieczór

rozgrzewała jej skromnie umeblowany pokoik niczym kosztowny grzejnik elektryczny.

Ponieważ cała ta historia wydała jej się wyjątkowo piękna, nazajutrz opowiedziała ją wszystkim w restauracji. Nawet nie przyszło jej do głowy, by zachować ją dla siebie. Podobnie jak nie przyszło jej do głowy, że reakcja przyjaciół może być aż tak gwałtowna.

Rosa wykrzyknęła: — Poszłaś tam — do niego? Connie, jak mogłaś? Na samą myśl o tym ciarki chodzą mi po plecach!

A Shirley dodała: — Mógł cię tam zamordować. I tyle by go widzieli!

Ale najbardziej przejęty był pan Mazzoli. Wygłosił nawet do niej srogie kazanie w rozgrzanej, przesiąkniętej zapachami gotowania kuchni, nie przestając mieszać sosu z parmezanu.

— Connie, czyś ty oszalała? To jest wariat. On jest *loco*. Taki facet nie ma rozumu — jest jak zwierzak w zoo. Złapie cię i po krzyku. Złapie cię wielką łapą i udusi. Connie, ty zwariowałaś! Lepiej od razu zabiorę cię do ratusza i skończę z tym szaleństwem.

Usiłował wymóc na Connie obietnicę, że już nigdy nie spotka się z Yo Yonsonem. Ale pan Mazzoli nie był jeszcze jej mężem, więc nie miała zamiaru go słuchać. Nie była nawet zła na niego czy dziewczęta. Wiedziała, że nie chcieli być niemili dla Yo Yonsona. Po prostu mówili to, co — jak sądzili — było dobre dla niej. Nie znali Wielkiego Szweda. Nie widzieli jego uroczego, nieporadnego uśmiechu, gdy podawał gołębiom skórkę chleba...

To stało się dwa dni później.

Około godziny jedenastej wieczorem ostatni klienci poszli sobie i uprzątnięto wszystkie stoły. Connie powiedziała „dobranoc” panu Mazzoliemu, który wciąż miał przed sobą wiele godzin pracy w kuchni, a potem pożegnała się przy drzwiach z Rosą i Shirley, które zawsze szły w przeciwnym kierunku, żeby złapać autobus do miasta. Natychmiast jak tylko wyszła na słabo oświetlony plac, poczuła, że coś jest nie w porządku. Tak jakby coś wisiało w powietrzu. Zaraz też usłyszała szmer głosów i w mroku dostrzegła tłumek ludzi zebranych wokół jednego z domów w północnej pierzei placu. Pospieszyła w tamtą stronę i wkrótce zorientowała się, że budynkiem, którym tak interesowała się rozgadana, podniecona tłuszcza, był dom, w którym mieszkał Yo Yonson.

— *Morderstwo!*

Od razu usłyszała to słowo, przekazywane z ust do ust, od jednej niewyraźnej postaci do drugiej. Stojąca obok kobieta odwróciła się do niej podekscytowana.

— Słyszała pani? Zamordowali kobietę. Tam, piętro od frontu.

Podobno niezłe było z niej ziółko. Uduszona. Uduszona, a kark złamany jak zapalka. I wie pani co? Wyrwali jej też włosy. Całe pukle — wyrwane, leżą na podłodze.

Piętro od frontu. To musiała być tamta kobieta z farbowanymi rudymi włosami... Te jej farbowane włosy! Connie ogarnęło jednocześnie przerażenie i współczucie. Zamordowana! Biedaczka! Jacyś ludzie biegali w tę i z powrotem po schodach prowadzących do budynku. Między nimi wyróżniała się kobieta o kwaśnej minie, ta sama, która siedziała na schodach tego dnia, gdy Yo Yonson podarował Connie sukienkę. Wkrótce zjawili się sierżant Connors i Fred Kitner. Ci, którzy byli na schodach, otoczyli ich ciasno, oni jednak przechnęli się do środka. Po chwili pod budynek zajechał samochód z kolejnymi ważnymi policjantami i detektywami. Oni także weszli do środka.

Tłum rósł i rósł, obiegały go coraz to nowe plotki. Connie odwróciła się, żeby odejść, i w tej samej chwili kobieta obok chwyciła ją za ramię.

— Słyszała pani? Mieszka tu taki głupek, wielki Szwed. Mówią, że tamta ciągle z niego drwiła. A tacy tak właśnie mają — coś ich nachodzi i zabijają. To na pewno zrobił ten wielki Szwed, ten debil...

Connie poczuła, że serce w niej zamiera. Już wszystkie głosy wokół niej szeptały: „To ten debil... Ten wielki Szwed...”

Zawziętość i okrucieństwo przesyciły powietrze, dusiły ją. Jak mogli tak mówić! Jak mogli tak myśleć o Yo Yonsonie — tym samym Yo Yonsonie, który kochał gołębie, który muchy by nie skrzywdził.

Sierżant Connors wyszedł na zewnątrz. Kobieta o kwaśnej minie doskoczyła do niego, wołając: — To ten debil! Ten debil! Wielki Szwed. Szukajcie debila!

Sierżant Connors, na którego czerwonej twarzy, tak zwykle wesołej, malowały się teraz zmęczenie i zdenerwowanie, zdołał jakoś przedostać się na ulicę. Ale już pozostali gapie podjęli refren: — *To wielki Szwed... To ten debil...*

Nagle w tłumie z lewej strony rozległ się pomruk. Zbliżał się, narastał, zmieniając się w okrzyki podniecenia. Wszyscy rzucili się w tamtą stronę. Popychana przez innych, Connie poczuła, że ogarniają ją mdłości i strach, ale przede wszystkim rosnąca wściekłość. Jak ludzie mogą się tak zachowywać? Jak mogą kogoś osądzać i potępiać, nie mając pewności, całkowitej pewności?

Ruch w tłumie sprawił, że nagle znalazła się na samym przedzie i zobaczyła, co wywołało wśród gawiedzi aż takie poruszenie.

Zza rogu budynku na plac wyszedł Yo Yonson. Popychał przed sobą wózek zrobiony z dużej skrzynki, do której przymocowano koła od roweru. Skrzynka była po brzegi wypełniona różnymi śmieciami, on zaś stał za nią, wielki, obdarty, patrząc z oszołomieniem na wrogie twarze przed sobą.

Connie chciała podbiec do niego, obronić go, ale coś w jego wyglądzie powstrzymało nie tylko ją, ale i pozostałych. Był pewien rodzaj godności w tym, jak unosił w górę swoją zarośniętą głowę i jak zaciskał potężne palce na poręczy wózka.

Tłum zamarł. Yo Yonson również się nie poruszył. Zapadła całkowita cisza, lecz trwała zaledwie sekundę. Nagle ktoś krzyknął: — Łapać debila!

Ktoś inny rzucił kamieniem, który z brzękiem wylądował w wózku Yo Yonsona.

Wtedy sierżantowi Connorsowi i Fredowi Kitnerowi udało się przepchnąć do przodu. Wsadzili Yo Yonsona do wozu policyjnego i odjechali, zanim rozpętała się bijatyka.

Connie nawet przez chwilę nie zastanawiała się, co należy zrobić. Było to dla niej równie jasne, jak zamówienie przyjęte od klienta w restauracji. Ci podli ludzie! Przez nich Yo Yonson trafi na krzesło elektryczne. Tylko dlatego, że jest inny — to im wystarczyło. Żaden z nich nie zadał sobie trudu, żeby go bliżej poznać, żeby przekonać się, jak jest dobry, niewinny i jak bardzo chce być miły dla innych. Ale nie — jest inny, więc trzeba go zaszczuć, zniszczyć.

Posuną się nawet do kłamstwa. Connie była tego pewna. Na przykład ta żylasta kobieta z twarzą błyszczącą z podniecenia — skłamię i nawet nie będzie wiedziała, że to zrobiła. Powie, co jej ślina na język przyniesie — nawet to, że widziała, jak Yo Yonson wychodzi z mieszkania tej zamordowanej. Oni wszyscy powiedzą, cokolwiek będzie

trzeba, bo zdążyli już w to uwierzyć — albo przynajmniej tak im się wydawało. Oszukiwali się, bo chcieli, żeby tak właśnie wyglądała prawda.

A biedny Yo Yonson, tak wolno myślący i znający tak niewiele słów, nie będzie mógł się im przeciwstawić.

Ona będzie musiała ich powstrzymać. Będzie musiała pójść na posterunek. Może jeśli porozmawia z sierżantem Connorem i innymi policjantami z dzielnicy, zrozumieją, jak wyglądają sprawy. W końcu zawsze ją lubili i ufali temu, co mówiła.

Może...

Przez ponad godzinę Connie Webber siedziała uparcie w ponurej poczekalni na posterunku policji. Tego wieczoru za biurkiem dyżurował mężczyzna, którego nie znała — pewnie jakiś nowy na służbie — a ona wolała nie ryzykować rozmowy z kimś obcym. Powiedziała, że zaczeka na sierżanta Connorsa i po prostu siedziała na swoim krześle, nieruchoma jak głaz.

Wokół niej dużo się działo. Co kilka minut jakiś detektyw wchodził albo wychodził. Wszyscy mówili o morderstwie. W pewnej chwili do poczekalni wpadł nieduży człowieczek z wąsem i czarną torbą — koroner. Przystanął przy biurku dyżurnego.

— No więc uduszono ją między czwartą a piątą dziś po południu. Nie ma co do tego wątpliwości. Nic nie mogłem zrobić. Kilka osób słyszało krzyk mniej więcej kwadrans przed piątą. Oczywiście nikt nawet nie kiwnął palcem. W takich domach nikt nie reaguje na krzyki. — Koroner uśmiechnął się porozumiewawczo do policjanta, którego Connie nie znała. — Jeżeli byłeś jednym z jej chłopaków, Joe, to mam nadzieję, że masz dobre alibi...

Jednym z jej chłopaków! To znaczyło, że kobieta w tłumie miała rację. Zamordowana była niezłym ziółkiem — prawdziwą ladacznicą. Wokół takich kobiet zawsze kręca się jakieś podejrzone indywidua. W każdej chwili mogło ją spotkać nieszczęście. Na pewno zaraz się zorientują, że Yo Yonson nie mógł być...

W tej samej chwili przysłała jej do głowy pewna myśl i Connie z miejsca wiedziała, że tak właśnie należy postąpić. Ktoś słyszał krzyk mniej więcej za kwadrans piątą. W tym samym czasie Yo Yonson siedział obok niej na ławce i karmił gołębice na placu. Co prawda tego popołudnia przypomniawszy sobie, że nie wyprała swego nylonowego

fartuszka i około wpół do piątej zostawiła gołębie i pobiegła do domu, żeby uprać go, zanim zaczną się schodzić klienci.

Ale mimo to była z Yo Yonsonem *prawie* do za piętnaście piąta! Nikt nie musi wiedzieć o tych kilku brakujących minutach.

Teraz, gdy jej złość nieco opadła, Connie odzyskała zdolność logicznego myślenia. Sierżant Connors był miłym człowiekiem, ale czy on i ci inni ważni policjanci naprawdę jej uwierzą, jeśli spróbuje wyjaśnić im sprawę Yo Yonsona? W końcu pan Mazzoli i dziewczęta niczego nie zrozumieli. Czy pan Mazzoli nie nazwał Yo Yonsona *loco*, wariatem, nie lepszym od zwierzęcia w zoo? Dlaczego sierżant Connors i inni mieliby zachować się inaczej? A jakby powiedzieć, że była z Yo Yonsonem na placu *przez cały czas*, aż do piątej? To będzie kłamstwo, z pewnością, ale dzięki niemu nikt, nawet z tamtych podłych ludzi o okrutnych językach, nie skrzywdzi Yo Yonsona...

Sierżant Connors wszedł do poczekalni z jakimś detektywem, wyglądającym na ważną personę. Posłał Connie zmęczony uśmiech.

— Witaj, Connie. Co cię tu sprowadza?

Rozmowa trwała około trzech godzin, ale ostatecznie Connie wygrała. Raz za razem powtarzała policjantom wszelkich możliwych stopni swoją opowieść o tym, jak to Yo Yonson był z nią na placu. Raz za razem próbowała im wytłumaczyć, jaki był dobry, nieszkodliwy i bezradny pomimo całej swej siły i jak ludzie z tamtego domu zmyślali, żeby go pogrążyć, bo byli głupi i uparci. Początkowo kilku ważniejszych detektywów nie traktowało jej poważnie, ale sierżant Connors przekonał ich, że Connie to wiarygodny świadek. Okazało się też, że nie ma nic, co wskazywałoby na winę Yo Yonsona — żadnych odcisków palców, żadnego wiarygodnego świadka, który by potwierdził, że w stosownym czasie widział go w pobliżu miejsca zbrodni. Przywieziono go na posterunek tylko dlatego, żeby uchronić go przed rozwścieczonym tłumem. Ostatecznie przeważyło to, jakiego rodzaju kobietą była zamordowana i fakt, że kręcili się koło niej różni wariaci. Inspektor oświadczył, że skoro Yo Yonson ma alibi, nie mogą go dłużej przetrzymywać — tak stanowi prawo.

O wpół do piątej nad ranem Yo Yonson został zwolniony z aresztu. Wtedy właśnie Connie dowiedziała się, że jej przyjaciel naprawdę nazywa się Erling Jakiśtam i że jest norweskim marynarzem na przepustce. Tak zapisano w nocnej książce raportów.

Yo Yonson nic się nie zmienił — a w każdym razie Connie nie zauważyła żadnej zmiany w jego zachowaniu. Opuścił posterunek po cichu, spokojnie, jak zwykle garbiąc się lekko, jakby wstydził się swojego potężnego wzrostu. Kiedy ją zobaczył, na jego ustach pojawił się ten sam szybki, nieśmiały uśmiech zadowolenia. Wyglądało na to, że nie zdawał sobie sprawy, iż zatrzymano go jako podejrzanego o morderstwo ani że to ona wydostała go z aresztu.

Pomyślała: „Co się z nim teraz stanie? Nie może wrócić do tego okropnego miejsca. Bóg jeden wie, co mu tam zrobią”. Ale gdy go zapytała, wolno i bardzo wyraźnie wymawiając słowa, dokąd zamierza pójść, powiedział tylko jedno słowo: „dom”.

Był w nim jakiś upór, który uszanowała i zaakceptowała. Może wiedział więcej, niż przypuszczała; może było dla niego kwestią honoru pokazać tym wszystkim ludziom, że się ich nie boi.

Poszła więc z nim przez puste, ciemne ulice z powrotem na plac. Gdy tam dotarli, zobaczyła, co się stało. Oprócz nich nie było tam nikogo; zrobiło się późno i wszyscy dawno rozeszli się do domów. Ale na chodniku, porzucony w nieładzie, walał się cały mizerny dobytek Yo Yonsona, wywleczony z piwnicy. Było tam wszystko: skrzynki po pomarańczach, pełniące rolę krzeseł, połamano na kawałki, z materia wypruto wnętrzości, zmiądzono kartonowe pudła, talerze i filiżanki potłuczono w drobny mak, a stare kawałki metalu rozciągnięto po całym chodniku.

Wózek ze skrzynki był tam także, lecz oba koła były pogięte i wykrzywione.

Pomimo całego wyczerpania Connie ponownie zapłonęła gniewem. Najchętniej od razu popędziłaby do tego domu i pobila tych wszystkich ludzi gołymi pięściami. Ale Yo Yonson zdawał się nie podzielać jej wściekłości. Stał tam, spoglądając na swój pohańbiony dobytek — milczący, pogodzony z losem. Po raz pierwszy do Connie dotarła niejasna prawda na temat świata, w którym żyła. Może ludzie tacy jak Yo Yonson byli do tego stopnia przyzwyczajeni do nieszczęść i nieżyczliwości, że przyjmowali je równie obojętnie, jak inni przyjmują deszcz czy wiatr.

Yo Yonson obejrzał z bliska zniszczone koła swojego wózka. Potem odszukał kartonowe pudło, które nie zostało do reszty zgniecione. Podniósł je i poruszając się ostrożnie wśród walających się na

chodniku rzeczy, zebrał kilka przedmiotów, które najwyraźniej były mu szczególnie drogie, i umieścił je w pudle. Następnie odwrócił się do Connie i nagle na jego twarzy znowu zagościł pełen nadziei uśmiech. — Podoba się? Sukienka z wielkiego sklepu? Podoba się?

— Och, jest prześliczna. — Connie oparła dłoń na jego przedramieniu, potężnym niczym pień drzewa. — To naprawdę piękna sukienka. Kiedyś ją dla ciebie założę.

— Dobrze. — Yo Yonson skinął głową, szczęśliwy i uspokojony.

Odwrócił się do niej plecami, trzymając pod pachą kartonowe pudło.

Dopiero po jego odejściu Connie dokonała strasznego odkrycia. Mijając stojący pod latarnią metalowy kosz na śmieci, zauważyła w środku coś połyskliwego i opalizującego. Przystanąła i spojrzała. Między odpadkami i starymi gazetami, z nóżkami wyprężonymi sztywno ku niebu, leżał jeden z jej gołębi.

Jego gardziołko wciąż mieniło się wszystkimi kolorami tęczy, lecz bezwładnie zwisająca główka świadczyła o tym, że ptak został uduşony — ktoś skręcił mu kark.

Przez chwilę Connie czuła jedynie zwykłe oburzenie i żal. Jeden z jej gołębi! Biedactwo! Później przypomniało jej się, co kobieta w tłumie powiedziała o zamordowanej ladacznicy. *Uduşona, a kark złamany jak zapalka.*

Connie poczuła dreszcze. Jeszcze raz spojrzała na gołębia, którego ktoś tak starannie umieścił w koszu na śmieci — wyglądał zupełnie, jakby był zapakowany w kartonowe pudło. Kilka godzin później nadal drżała, leżąc w swoim łóżku. Jej kołdra była ciepła, a noc wcale nie chłodna, lecz mimo to wciąż miała dreszcze.

Nazajutrz powitano ją w restauracji jak bohaterkę. Sierżant Connors zdążył już rozpuścić wiadomość o tym, co zrobiła, i teraz wszyscy ludzie z placu, nawet ci, którzy poprzedniego wieczora stali w złowrogim tłumie, zdawali się wstydzić tego, co się stało, i byli wdzięczni Connie, że dopilnowała, aby sprawiedliwości stało się zadość. Ponieważ lubili ją i jej ufali, nawet w głowie im nie powstało, że mogłaby skłamać. Powiedziała, że w chwili zbrodni Yo Yonson był z nią i razem karmili gołębie, więc oczywiście tak musiało być. Yo Yonson był niewinny. Ona zaś, zgłaszając się na policję, ocaliła niewinnego człowieka.

— Ojejku, Connie, wspaniale się zachowałeś! — Młoda twarz Shirley wprost promieniała z podziwu. — Ja nigdy bym się nie zdobyła, by pójść na posterunek, sama przeciwko tym wszystkim ludziom.

Rosa, również pełna entuzjazmu, prędko zaczęła opowiadać, jak to zawsze, od samego początku, uważała, że Yo Yonson jest milutki i kochany, całkiem jak bezpański psiak.

Tylko pan Mazzoli pozostał nieczuły na te zachwyty. Z ponurą miłą snuł się po swojej kuchni.

— Connie, ty głupia dziewczucho. Skąd wiesz, że on tego nie zrobił? Skąd wiesz, że nie wymknął się na chwilę przed piątą? Z takim *loco*, wariatem, nigdy nic nie wiadomo. A bo to wiadomo, co robi, jak mu coś strzeli do głowy?

Nikt poza nią nie widział martwego gołębia. Nikt też nie widział Yo Yonsona. Zabrał kartonowe pudło ze swoim dobytkiem i jak bezpański psiak, poszedł gdzieś szukać nowego domu.

Dni, które nastąpiły po morderstwie, były dla Connie koszmarem. Nikt nie zauważył w niej żadnej zmiany. Nadal śmiała się i żartowała z gośćmi tak, jak to miała w zwyczaju. Wydawała się być tą samą postawą, wesołą kobietą co zwykle. Ale w głębi duszy czuła się mała, skulona i przerażona. Nie mogła podejrzewać Yo Yonsona, bo byłoby to zaprzeczeniem wszystkiego, w co kiedykolwiek wierzyła, zaprzeczeniem jej wiary w ludzką dobroć. Dobroć i okrucieństwo — jakim cudem te dwie cechy mogły współistnieć w jednym człowieku, a już szczególnie w takim prostym, biednym stworzeniu jak Yo Yonson, kochającym gołębie? Nie, nie potrafiła w to uwierzyć. A jednak...

Czasami budziła się w środku nocy, drżąc tak samo jak wtedy, w noc morderstwa.

Mimo wszystko zaszła w niej jedna zmiana, która z pewnością nie uszłaby niczyjej uwagi, gdyby ludzie nie byli tak bardzo przejęci sprawą morderstwa. Connie przestała wychodzić, żeby popatrzeć na gołębie. Za każdym razem, gdy musiała przejść przez plac i wiedziała, że unoszą się nad jej głową, furkocząc i nurkując w powietrzu, nie mogła zmusić się, żeby podnieść na nie wzrok.

Widziała w nich teraz oskarżycielski palec, wycelowany w nią z samego nieba...

Trzy tygodnie później zachorowała na gripę. Od kilku dni niedomagala, lecz mimo to przychodziła do pracy. W końcu pan Mazzoli

położył temu kres. Kazał jej natychmiast wracać do domu, wziąć aspirynę, położyć się do łóżka i nie wstawać dopóty, dopóki nie poczuje się lepiej.

— Chcesz, żeby wszyscy goście zaczęli kichać i prychać jak ty? Jazda, zmykaj. Do domu.

To, że miałyby spędzać dni samotnie w swoim pokoju, leżąc w łóżku, wydawało się Connie czymś okropnym. Okazało się jednak, że nie miała racji. Tych kilka dni choroby zmieniło coś na lepsze. Na powrót zbliżyło ją do gołębi. Z jej okna widać było dachy, na których mieszkało całkiem liczne stadko gołębi. Pierwszego ranka swojej choroby Connie przebudziła się i zobaczyła, że na jej parapecie stoi szary ptak i przekrzywiając główkę, przypatruje się leżącej w łóżku kobiecie. Zaraz też zaczęła wykladać na parapet resztki z posiłków, które Rosa i Shirley przynosiły jej z restauracji, i wkrótce gołębie zbierały się tam, tak samo oswojone jak te z placu.

Grypa bardzo ją osłabiła, ale dzięki gołębiom nie czuła się już tak okropnie winna. Wiedziała, że to niemądre, ale miała wrażenie, że ptaki jej wybaczyły.

I coraz rzadziej myślała o Yo Yonsonie...

Trzeciego dnia, o drugiej po południu, rozległo się pukanie do drzwi. Connie, która nadal leżała w łóżku, zdziwiła się niepomierne, ponieważ Rosa i Shirley, które najczęściej ją odwiedzały, zawsze wpadały do niej rano w drodze do pracy, a potem jeszcze raz o czwartej, przynosząc jej obiad z restauracji. Tego dnia już u niej były — przyniosły ciasto, które pan Mazzoli upiekł specjalnie dla niej. To chyba niemożliwe, żeby wróciły właśnie teraz, w porze lunchu, kiedy w restauracji był największy ruch?

Pukanie się powtórzyło. Connie wstała z łóżka, narzuciła na siebie starą, różową podomkę i poszła otworzyć drzwi.

W progu stał Yo Yonson.

Zanim zdążyła zebrać myśli, już poczuła lęk. Czuła go w kolanach, w żołądku. Tym razem zapomniała uśmiechnąć się na powitanie. I może właśnie dlatego on również się nie uśmiechnął. Stał tylko, patrząc na nią, a potem wszedł do środka, powłócząc ciężko nogami i zamknął za sobą drzwi.

Zmienił się. Od razu to zauważyła, pomimo strachu. Jego oczy patrzyły nieruchomo i... zupełnie inaczej niż zwykle. Nie garbił się też

jak kiedyś, gdy sprawiał wrażenie pokornego. Stał wyprostowany jak struna, tak że głową niemal sięgał sufitu, a jego potężne ciało zajmowało prawie całą wolną przestrzeń jej pokoiku.

W uszach Connie zabrzmiały słowa kobiety z tłumu: *Tacy tak właśnie mają — coś ich nachodzi i zabijają.*

Stał teraz niecałe pół metra od niej, patrząc na nią tak, jakby jej nie poznawał. Ale przecież musiał ją pamiętać. W przeciwnym razie chyba nie przyszedł. A jednak przecież nie wiedział, gdzie ona mieszka — musiał pójść do restauracji, a Shirley albo Rosa, które od kiedy Connie dowiodła jego niewinności, miały bzika na jego punkcie, podały mu jej adres. W takim razie, skoro zadał sobie trud, aby ją odnaleźć, znaczyło to, że są przyjaciółmi, że...

Ciaśniej otuliła się podomką i zwilżyła usta.

— Witaj — powiedziała, ale zabrzmiało to całkiem nie tak. Fałszywie i oschle. W jej głosie słychać było strach.

W tej samej chwili usłyszała dochodzące zza okna gruchanie. Obejrzała się za siebie. Na parapecie gołębie wciąż dziobały okruszki ciasta pana Mazzoliego, które im wysypała.

Gdy poruszyła się, Yo Yonson podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Odwrócił się całym ciałem i zapatrzył na gołębie. Z wolna na jego wargach pojawił się uśmiech. Był jednak inny niż zwykle. Wyrażał coś w rodzaju zachwyty, jakby mężczyzna patrzył na coś zbyt pięknego, na coś, co nie pasowało do jego szarego życia, do wilgotnych piwnic i wózków z pokrzywionymi kołami od roweru.

Ostrożnie podszedł do okna. Potrafił się tak lekko poruszać. Gołębie nie przestawały dziobać i gruchać. Nie spłoszyły się nawet, gdy stanął tuż przy nich. Zupełnie, jakby go dobrze znały.

Był to moment, kiedy Connie mogła podbiec do drzwi i uciec, podczas gdy on wpatrywał się w gołębie. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie mogła tego zrobić. Gdyby uciekła, oznaczałoby to, że straciła wiarę we wszystko, co kiedykolwiek się dla niej liczyło. Zrozumiała to i w tej samej chwili strach ją opuścił. Czekala, obserwując Yo Yonsona, nie wzywając pomocy, nie ruszając się z miejsca.

Ostrożnie wyciągnął ręce po jednego z gołębi. Ptak ani drgnął. Yo Yonson podniósł go i trzymając w górze, zapatrzył się na tęczę połyskującą na piersi ptaka.

Po chwili było już po wszystkim. Palce mężczyzny dotknęły szyi gołębia, zacisnęły się na niej i trwały tak, aż szara główka opadła i zaczęła kołysać się bezwładnie w tę i z powrotem, podczas gdy płaskie oko patrzyło martwo przed siebie. Po pewnym czasie Yo Yonson zwolnił uścisk. Uniósłszy drugą rękę, otoczył ptaka swoimi wielkimi dłońmi. To właśnie na nie teraz patrzył, a nie na gołębia. Przyglądał im się z pewną dumą, niemalże z miłością.

Connie poczuła nagły przypływ paniki. Ale nie bała się już tylko o siebie. Ogarnęło ją przerażenie, jak kogoś, kto jest bliski pojęcia wielkiej prawdy. Yo Yonson nie zabił ptaka dlatego, że był złym człowiekiem. Nie zrobił tego nawet dlatego, że na podobieństwo dziecka chciał mieć na własność coś bardzo pięknego. Zabił, ponieważ tamto stworzenie go nie potrzebowało.

Wszędzie wokół jego nieszczęsny, zmacony umysł dostrzegał piękno i dobro, lecz on sam nigdy nie był ich częścią. Zawsze samotny, z niezaspokojoną potrzebą miłości, z nienawiścią, jaką wzbudzał w nim fakt bycia odrzuconym i niechcianym, tym, z którego zawsze wszyscy drwią. Przez większość czasu był w stanie to udźwignąć. Gdy jednak było mu już zbyt ciężko, przypominał sobie o własnej sile. Była to jego jedyna broń. Używając jej do zabijania, ratował swoją dumę.

Kobieta o farbowanych włosach drwiła z niego. Może właśnie dlatego ją zabił. Chociaż pewnie i tak by ją zabił, gdyby poczuł taką potrzebę, ponieważ gdy już raz ją poczuł, wszystkie stworzenia piękne, brzydkie, dobre i okrutne — wszystkie, które były poza jego zasięgiem — musiały zginąć. Tylko w ten sposób mógł poprawić swoje samopoczucie.

Kobieta o farbowanych włosach, gołębie — a teraz Connie...

Yo Yonson upuścił ptaka na podłogę. Znowu na nią patrzył — o ile utkwienie w niej nieruchomego spojrzenia można było nazwać patrzyeniem. Podszedł prosto do niej, a ona, oszołomiona i przerażona nowo odkrytą wiedzą, nawet nie drgnęła.

Podniósł ją tak łatwo, jakby była pustym kartonowym pudłem. Usiadł na łóżku, sadzając ją sobie na kolanach. Jego potężna dłoń zbliżyła się do jej gardła i na chwilę się tam zatrzymała. Następnie powędrowała wyżej, ku włosom. Connie poczuła, że mężczyzna delikatnie głaszcze ją po głowie i pomimo stanu dziwnego uniesienia,

jakie ją ogarnęło, była na tyle przytomna, by zdawać sobie sprawę, że nie ma sensu krzyżeć ani się wyrywać. Gdyby spróbowała jednego albo drugiego, natychmiast by ją zabił. Nie zdążyłaby nawet mrugnąć okiem.

Wielka dłoń nie przestawała gładzić jej włosów. Connie poczuła szarpnięcie i ostry ból. Po chwili jego dłoń spoczęła na jej kolanach, trzymając w zaciśniętych palcach kilka kosmyków jej jasnych włosów. Ale Yo Yonson wcale na nie nie patrzył. Znowu przyglądał się swoim dłoniom, jak wtedy, gdy trzymał w nich martwego gołębia.

Nagle wiedza, jaką posiadała, dała jej siłę — siłę, jakiej nigdy przedtem nie czuła. Wzbierała w niej niczym śmiech. Yo Yonson wcale nie musiał czuć się samotny. Nie musiał daremnie tęsknić za ludzką dobrocią. W środku był jak wyschnięta kałuża na pustyni, spękana i wyprazona słońcem. Dobroć była tym, czego potrzebował, dobroć może spłynąć na niego jak deszcz.

— Wiem, dlaczego przyszedłeś. — Tym razem jej głos zabrzmiał tak, jak trzeba. Nie było już w nim fałszu, który mógłby wyczuć. — Ależ byłam głupia, przecież to oczywiste! Chodzi o sukienkę, prawda? Obiecałam, że pokażę ci, jak w niej wyglądam.

Poklepała go po jego wielkiej ręce, w której wciąż zaciskał kosmyki jej jasnych włosów, i ześliznęła się z jego kolan. Nie próbował jej zatrzymać. Podbiegła do szafy, wyciągnęła z niej czarną, jedwabną suknię i nie czując wstydu — zupełnie jakby było to coś najbardziej naturalnego pod słońcem — zrzuciła podomkę, a następnie próbowała wbić się w ciasny strój.

Yo Yonson wstał z łóżka, nie wypuszczając z dłoni jej włosów. Podszedł do niej, ona jednak uśmiechnęła się do niego, wierząc się i podskakując, żeby wciągnąć na siebie przymalą sukienkę.

Stał tak blisko, że czuła owiewający ją oddech. Wyciągnął dłoń w stronę jej szyi.

— Proszę! — Roześmiała się perliście i zakręciła w miejscu, prezentując mu się w nowym stroju. — No i co powiesz? Sam zobacz, jaka jest śliczna! Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Nie przestawał się w nią wpatrywać, lecz jego spojrzenie z wolna się zmieniało. Martwota stopniowo ustępowała miejsca dawnemu wyrazowi, z jakim spoglądał na gołębie — zachwyтови. Wraz z nim powrócił uśmiech.

— Podoba się? — zapytał.

Po tych słowach opadł przed nią na kolana. Wciąż klęczał, pełen pokory, gdy zjawili się pan Mazzoli, sierżant Connors i Frank O'Mulligan.

Zaraz otoczyły ją ramiona pana Mazzoliego.

— To Rosa — ta zwariowana Rosa. Przyszedł do restauracji, a Rosa dała mu twój adres. Dopiero później powiedziała mi, co zrobiła. A ja zaraz pomyślałem: *Dio*, ten *loco* — ten wariat — poszedł zabić moją Connie. Wybiegłem z kuchni. Sierżant Connors i Frank siedzieli i jedli spaghetti. Zawołałem na nich i poleciliśmy... Och, Connie, *la mia ragazza*, moja głupiutka *ragazza*! Zaraz idziemy do ratusza. Koniec z tym wariactwem...

Jednak chociaż Connie rozkoszowała się bezpieczeństwem i ciepłem, jakie dawały jej ramiona pana Mazzoliego, nie potrafiła myśleć o nikim innym poza Yo Yonsonem. Trzeba go będzie zamknąć. Teraz już to wiedziała. Mimo że nie był tak naprawdę złym człowiekiem, nie mógł dłużej pozostawać na wolności, wśród tylu okrutnych ludzi, którzy go nie rozumieli albo rozumieli opacznie i którzy uczynili z niego potwora. Tak, trzeba będzie go zamknąć. Może zresztą będzie mu tam lepiej — lepiej niż w wilgotnej piwnicy.

Yo Yonson podniósł się z kolan i stał teraz spokojnie, pomiędzy sierżantem Connorem a Frankiem O'Mulliganem.

— No cóż, Connie — odezwał się sierżant. — Chyba trochę poplątały ci się godziny w tym twoim alibi.

Connie wysunęła się z bezpiecznego uścisku pana Mazzoliego.

— Niech pan nie pozwoli go skrzywdzić, sierżancie. — Jakaś jej część myślała z pewnym zaskoczeniem o tym, że to chyba pierwszy raz, jak pan Mazzoli opuścił po południu swoją kuchnię. — Dobrze się z nim obchodźcie. Tego mu właśnie trzeba. Poradzi sobie, naprawdę, jeśli tylko będą się z nim dobrze obchodzić...

AŻ NA KSIEŻYC

Całkiem niespodziewanie, właśnie w chwili gdy John Flint wnosił do sypialni tacę ze śniadaniem dla żony, „to” powróciło. „Powróciło” nie jest może najlepszym słowem, ponieważ tak naprawdę nigdy nie przestał o „tym” myśleć. Lecz wiosenne promienie wpadające przez na wpół zaciągnięte zasłony musiały mieć w sobie żar meksykańskiego słońca, bo nagle znalazł się znowu w Mexico City i wdychał ożywcze górskie powietrze, tak inne, że nappełniało go zachwytem.

— Dobrze spałaś, kochanie? — Wyćwiczonym gestem postawił tacę na kolanach żony i nie zwracając uwagi na cierpliwą odpowiedź chorej, wymamrotał: — Pamiętaj, że jeśli gorzej się poczujesz, masz zatelefonować do doktora Jepsa.

Podszedł do ozdobnej toaletki, otworzył niewielką kasetkę na biżuterię i przyniósł ją żonie do łóżka. Jako że codziennie od pięciu lat powtarzali ten sam rytuał, dokładnie wiedział, co teraz nastąpi, chociaż sam był myślami daleko. Najpierw wsuwała diamentową bransoletkę na szczupły lewy nadgarstek, potem zatrzaśk naszyjnika z pereł zamykał się pod ciężkim kokiem ciemnych, naznaczonych siwymi pasmami włosów. Na koniec przychodziła kolej na parę kolczyków z pojedynczymi diamentami. Amy zaczęła nosić tę odziedziczoną po ciotce biżuterię po pierwszym zawale, od czasu którego była praktycznie przykuta do łóżka. John Flint nigdy właściwie nie zastanawiał się, czemu to robiła — nie był z natury ciekawy; być może buntowała się w ten sposób przeciwko ponurej rzeczywistości choroby. Jeśli akurat źle spała, prosiła, aby pomógł jej zapiąć kolczyki; tego jednak dnia poradziła sobie sama.

— No, to do widzenia, kochanie. — Ucałował jej suche czoło, którego dotyk niejasno kojarzył mu się z papierem. — Powiedz pani O'Royle, że wrócę na kolację.

Zawsze wracał do domu na kolację, ale to była jego pożegnalna formułka. W kuchni, jasnej dzięki wykładanym papierem półkom i kwiecistej ceracie, przygotował sobie śniadanie. Gospościa przychodziła dopiero o wpół do dziesiątej; Sprzątnąwszy naczynia, wyszedł na podmiejską ulicę, wzdłuż której ciągnęły się schludne domki identyczne z tym, w którym sam mieszkał, i przeszedł trzy przecznice, żeby złapać tramwaj do centrum.

„To” nie opuszczało go, gdy jechał trzęsącym się pojazdem; za oknami roztaczała swe uroki wiosna, a wokół niego siedziały dzieci, gospodynie domowe i tacy jak on ludzie interesów. Te dziwne nastroje zawsze go zaskakiwały, chociaż na przestrzeni ostatnich dwóch lat przytrafiały mu się coraz częściej. Dawno temu spędził miesięczne wakacje w Mexico City. Zafascynowała go wtedy egzotyczna uroda tego miejsca, lecz później, przez wszystkie lata swego nudnego, choć nie fatalnego małżeństwa, bardzo rzadko wracał do niego myślami. Co spowodowało, że znowu miał przed oczyma jego obraz — tak inny, tak cudowny, ponętny niczym rajski miraż?

Wiedział, że nie powinien teraz bujać w obłokach. Miał tyle do zrobienia — musiał dopracować ostatnie szczegóły nowej akcji promocyjnej, która została już nieoficjalnie zaakceptowana przez centralę jego firmy. Będąc jedynym przedstawicielem zakładów obuwia Bonifoot Shoes na całe miasto, John musiał być sumiennym pracownikiem. Ale wszelkie próby skoncentrowania się na butach nasuwały mu jedynie wizje wyplatanych sandałów albo wręcz bosych, zakurzonych meksykańskich stóp, deptających odległe chodniki — stóp indiańskich chłopów z gór, dźwigających kosze pełne rzadkich kwiatów, nieznanych owoców i egzotycznej ceramiki na targ...

Kiedy dotarł do jednopokojowego biura, w którym bez pomocy sekretarki prowadził swój skromny interes, ogarnęło go dziwne uczucie wyobcowania. Nie pasował do tego miejsca. W tym konkretnym momencie nie był obowiązkowym czterdziestotrzylatkiem przywiązany do zniedołężniałej żony i monotonnej pracy w nieciekawym przemysłowym mieście. Był — kim? Chłopcem — tak, właśnie chłopcem, wolnym jak górski powiew, w świecie, w którym potężny garb Popocatepetl górował na tle półprzejrzystego nieba...

Dopiero przybycie Harry'ego Shipleya ściągnęło Johna z powrotem na ziemię. Nie widzieli się z Harrym już od dość dawna — od

czasu, gdy Harry krótko pracował w Bonifoot Shoes jako sprzedawca. Nic się nie zmienił — ta sama krzykliwa marynarka, ten sam jaskrawy krawat z ręcznie malowanego jedwabiu, ta sama sztuczna poufałość, a wszystko mające zneutralizować banalne rysy twarzy i całkowity brak osobowości.

— Cześć, John, ty stary koniu. Kopę lat!

— Witaj, Harry. Siadaj. Co mogę dla ciebie zrobić?

Harry Shipley zajął miejsce po przeciwnej stronie biurka, gdzie leżała sterta wciąż nieprzeczytanych listów, które John zebrał przed drzwiami. Gdy tylko Harry otworzył usta, on już przeczuł kłopoty. I nie pomylił się. *To taki trudny okres, Johnny. Ciężko znaleźć dla siebie miejsce na rynku.* Do tego dochodziły problemy małżeńskie; Harry'emu nigdy nie układało się z żoną. W końcu nakłonił ją jakoś do rozwodu. I teraz chciał jak najszybciej dostać się do Reno i ułożyć sobie nowe życie z nową dziewczyną — zacząć wszystko od początku — powiedzmy w okolicach Reno. Miał trochę oszczędności, ale było tego za mało. Gdyby tak John, jako stary kumpel, mógł pożyczyć mu na niedługi czas pięćset dolarów...

Nietrudno było pozbyć się Harry'ego Shipleya, zaślaniając się wymyślonymi na poczekaniu przejściowymi kłopotami. Jednak długo jeszcze prześladował go wyraz rozczarowania, jaki odmalował się na twarzy tamtego. W cichości ducha John zazdrościł Harry'emu, że poważyl się na coś tak śmiałego jak rozwód i rozpoczęcie całkiem nowego życia. Przez chwilę, gdy przed oczyma przemknęła mu wymi zerowana postać Amy, myślał, że „to” wróci...

Z rozmysłem wziął się za przeglądanie poczty.

Były tam dwa listy z centrali. Pierwszy ostatecznie zatwierdzał jego pomysł na akcję promocyjną, w ramach której miał przeprowadzić sondę uliczną i rozdać talony na darmowe pary butów. Drugi był od samego kierownika kadr. W miarę jak John czytał, jego serce było coraz mocniej.

Drogi Johnie,

Stary Pemberton, nasz przedstawiciel w Mexico City, przechodzi ukrótce na emeryturę. Mówi, że na tej wysokości wysiada mu pi-kawka. Wiem od Gummeta, że znasz dobrze Meksyk i zgłaszałeś się kiedyś na stanowisko w rejonie na południe od granicy. Gdybyś

więc mial ochę na zmianę otoczenia, teraz masz taką szansę. Nie ma pośpiechu, ale postaraj się dać mi znać tak szybko, jak możesz.

Z pozdrowieniami i życzeniami jak największych zysków dla Bonifoot Shoes

Sam

John Flint zdał sobie sprawę z tego, że cały dygocze. To nie mogła być prawda. Życie nie robi przecież takich niespodzianek. Rzeczywiście, kilka lat temu powiedział Gummetowi, szefowi regionu, że chciałby dostać przydział do Ameryki Łacińskiej, gdyby nadarzyła się taka okazja. A jednak... Jednak... Nagle „to” znowu nim zawładnęło, jak gdyby od początku o wszystkim wiedziało i przygotowywało go na tę właśnie chwilę. Teraz zaś wróciło jeszcze silniejsze niż przedtem, bo tym razem było już realne. Owe oddalone o tysiące kilometrów, kipiące życiem, kolorowe ulice nie były już tylko złudnym mirażem. Były jego przyszłością — rzeczywistą, konkretną przyszłością, której nikt nie mógł mu odebrać.

Ponownie przeczytał list, a jego spojrzenie zatrzymało się na zdaniu: *Mówi, że na tej wysokości wysiada mu pikawka*. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, a wraz z nim pojawił się obraz Amy, ustrojonej w swoje klejnoty, leżącej w zaciemnionej sypialni; Amy zmagającej się z wysokim ciśnieniem i słabym sercem... To dziwne, ale snując upojne marzenia ani razu o niej nie pomyślał. Przeczuwając nieuniknioną katastrofę, zadzwonił do doktora Jepsona i w milczeniu wysłuchał jego krótkiej, niepozostawiającej cienia nadziei odpowiedzi: — Zabrać Amy do Mexico City?! Mój drogi, na tej wysokości nie przeżyłaby nawet tygodnia. Absolutnie wykluczone. To byłoby morderstwo.

John odłożył słuchawkę. Przez długi czas siedział nieruchomo, wpatrując się w list...

Tej nocy John Flint do późna nie mógł usnąć. Za ledwie na wyciągnięcie ręki od niego leżało wychudzone ciało żony, niewidoczne w ciemnościach. Nie powiedział jej o meksykańskiej propozycji. Po co miałyby to robić? Wzbudziłby w niej tylko wyrzuty sumienia, sprawił, że poczułaby się większym ciężarem dla niego, niż do tej pory. Gdybyż

jeszcze była nadzieja na jej wyzdrowienie! Miał odłożoną niewielką sumkę, poza tym była też jej biżuteria. Czyżby nigdzie nie było specjalisty — w Nowym Jorku? A nawet w Londynie? Wiedział jednak, że to tylko mrzonki, nic więcej. Doktor Jepson wielokrotnie mu to tłumaczył. W tym stanie nic już nie mogło jej uleczyć.

Mimowolnie zaczął myśleć o Harrym Shipleyu. Harry rozwodził się z żoną, zaczynał nowe życie. Rozwód... Ale jak mógłby rozwieść się z Amy? Poza nim nie miała nikogo na świecie. Zresztą to nie jej wina, że zachorowała. Nigdy przecież nie chciała go skrzywdzić, zawsze starała się sprawiać jak najmniej kłopotu.

— John. — Z drugiego łóżka dobiegł go szept żony. — Nie śpisz?

— Nie, kochanie.

— Tak mi głupio... Ale czy mógłbyś być tak dobry i przynieść mi szklankę mleka?

John wygramolił się z łóżka tak, jak robił to już tysiąc razy wcześniej i włączył nocną lampkę. Amy zamrugała powiekami, patrząc na niego. Zapomniała zdjąć na noc kolczyki. Błyszczały teraz niestosownym blaskiem pod jej potarganymi włosami. Ponieważ John kochał kiedyś swoją żonę i wiedział, że jego obowiązkiem jest zawsze ją kochać, całymi latami właściwie o niej nie myślał ani nawet na nią nie patrzył. Teraz jednak jej widok wytrącił go gwałtownie z uspienia wywołanego rutyną i nawykiem. Z bezlitosną ostrością zobaczył szorstką skórę pod jej zapadniętymi oczyma, ostry zarys kości policzkowych, pomarszczoną szyję. Nagle wydała mu się kimś obcym, niemającym nic wspólnego z tą poważną, świeżą, młodą dziewczyną, z którą się ożenił...

A więc to ktoś taki stoi pomiędzy mną i tym wszystkim, co ma jakiegokolwiek znaczenie, pomyślał z zaskoczeniem. To przez tę nikomu niepotrzebną kobietę będę zawsze przykuty do tego wymuszanego domku, do tego przedmieścia, do tego okropnego miasta.

Zszedł na dół do ładnie urządzonej kuchni. Kiedy nalewał mleko do szklanki, przysłała mu do głowy myśl, nagła, szokująca, całkiem inna niż te, które dotychczas go nawiedzały.

„A gdyby tak umarła — pomyślał. — Gdyby tylko umarła...”

W wyobraźni usłyszał delikatne dźwięki gitary, dobiegające zza blad różowych ścian lepianek. Co to za piosenka? Ależ tak, już sobie przypominał:

*Ya yo me voy
Al puerte donde se alia...*

„To” wróciło.

Nazajutrz John Flint przebudził się, myśląc: „A gdyby tak ktoś włamał się do domu któregoś popołudnia, kiedy Amy będzie sama, i zabił ją dla jej klejnotów? To przecież było możliwe. Pani O'Roylan była znaną plotkarką. Na pewno już wszyscy w okolicy wiedzą o diamentach Amy i jej dziwnym zwyczaju noszenia biżuterii w łóżku...” Przez cały dzień, dopracowując ostatnie szczegóły akcji promocyjnej obuwia Bonifoot, miał przed sobą na biurku list od kierownika kadr, na który wciąż nie odpowiedział, a w głowie myśl o włamywaczach. Teraz, gdy już ich wymyślił, był niemal pewny, że się zjawią. Tego wieczora wracał do domu pełen lękliwego wyczekiwania, na wpół przerażony, na wpół szczęśliwy, ciekaw, co takiego zastanie. Jednak Amy powitała go z łóżka uśmiechem: to był jeden z jej lepszych dni.

John nie umiałby właściwie powiedzieć, kiedy zdecydował się wprowadzić ten pomysł z włamaniem w czyn. Lecz nazajutrz po przyjsciu do biura zasiadł do opracowywania Planu z tą samą bezosobową skrupulatnością, z jaką rozwiązywał zazwyczaj problemy firmy.

Włamywacze zjawią się oczywiście w czwartek po południu, ponieważ we czwartki pani O'Roylan miała wolne popołudnie i Amy zawsze zostawała sama w domu. Oczywiście wyobraźni widział krzepkich osobników, których usta i nosy były zakryte chustkami, skradających się po schodach do sypialni. Amy leżała tam w półmroku, przy zaciągniętych zasłonach, a w jej uszach i na jej szyi połyskiwały klejnoty. Oczywiście zobaczy napastników, więc będą musieli działać szybko. Poduszka przyciśnięta do twarzy powinna zagłuszyć jej wołanie o pomoc i zadziałać dość prędko, biorąc pod uwagę jej słabe serce, powodując przy tym minimum cierpienia. Wyobraził sobie tych osobników, już po wszystkim, zrywających klejnoty z bezwładnego ciała i wymykających się ukradkiem z domu.

W tym momencie włamywacze nabrali już tak realnych kształtów, że z trudem uświadamiał sobie, iż w rzeczywistości sam wystąpi w tej roli.

A co z nim? W chwili zbrodni będzie musiał być oczywiście daleko, w jakimś konkretnym miejscu, gdzie znajdą się wiarygodni świadkowie gotowi poświadczyć jego obecność.

Wydawało mu się czymś oczywistym, że nowa kampania promocyjna Bonifoot powinna mu w jakiś sposób zapewnić alibi. Była to dość prosta akcja reklamowa, której firma jeszcze dotąd nie próbowała. Kierownictwo było jednak pod wrażeniem pomysłu Johna i zamierzało, jeśli tylko jego pierwsze próby okażą się satysfakcjonujące, przeprowadzić podobną kampanię w całym kraju. Przez tydzień John miał każdego dnia stać przy ruchliwym śródmiejskim skrzyżowaniu, odnotowując każdego mijającego go przechodnia, noszącego obuwie firmy Bonifoot. Co dziesiąty posiadacz takiego obuwia miał być zatrzymywany, jego nazwisko i adres spisane, po czym każdy taki szczęśliwiec miał otrzymać talon na darmową parę obuwia marki Bonifoot Shoes, do odebrania w dowolnym sklepie w mieście. To jeszcze nie koniec — co setny przechodzący chodnikiem posiadacz obuwia Bonifoot miał dostać talon na pięć darmowych par butów.

Tak, Amy musiała zostać zamordowana przez włamywaczy w przyszły czwartek po południu, dokładnie wtedy, gdy John będzie stał ze swoim notesem na rogu ulic Piętnastej i Market.

Ale jak to wykonać? To był podstawowy problem. Jak znaleźć się jednocześnie na rogu Piętnastej i Market oraz we własnym, oddalonym o trzy kilometry domu?

John przypomniał sobie wizytę Harry'ego Shipleya. To przeważało sprawę. Przemknęła mu przed oczyma pozbawiona wyrazu, nijaka twarz Harry'ego, z przyklejonym doń uśmiechem typowego sprzedawcy i nagle John Flint wiedział już, co powinien zrobić.

Natychmiast zatelefonował do Harry'ego.

— Witaj, Harry. Interesuje cię jeszcze ta pożyczka?

— Johnny, stary koniu! — W głosie Harry'ego wyraźnie słychać było podniecenie. — Wiedziałem. Wiedziałem, że stary, dobry Johnny mnie nie zawiedzie.

— A zatem w porządku. Może od razu wpadniesz do mnie do biura. Mam dla ciebie pewną propozycję.

Czekając na przyście Harry'ego, John Flint przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze wiszącym za biurkiem. Nigdy nie lubił swojej twarzy. Zawsze była tak przygnębiająco zwyczajna: gładka, pospolita

twarz, mogąca należeć do każdego z niezliczonych sprzedawców czy drobnych przedsiębiorców; twarz, która niczym nie potwierdzała wyjątkowości jego osoby. Jednak tamtego dnia, po raz pierwszy w życiu, był zadowolony, widząc bezbarwne oblicze w lustrze. Przywołał na usta jowialny uśmiech handlowca. Tak, ta bezmyślna twarz mogła należeć do każdego — na przykład do Harry'ego Shipleya.

Zatelefonował na stację kolejową i dowiedział się, że Ekspres Zachodni z Nowego Jorku do Reno przyjeżdża codziennie o godzinie osiemnastej czterdzieści siedem.

Harry Shipley wpadł z hukiem do biura, ubrany w szare flanelowe spodnie i nowiutką, krzykliwą marynarkę, beżową w duże, pomarańczowe kwadraty. Na jego krawacie dwa ręcznie malowane cocker spaniele z wdziękiem walczyły o kość na jasnobrązowym tle.

— Witaj, Harry, kiedy wybierasz się do Reno?

— Jak tylko położę łapę na tych pięćuset dolcach.

— A wstrzymałbyś się z wyjazdem do następnego czwartku?

— Rany, Johnny, ty naprawdę...?

— W tym i następnym tygodniu mam pełne ręce roboty. Przez tę naszą akcję reklamową codziennie muszę być na mieście. Potrzebuję kogoś, kto zajmie się w tym czasie biurem. Będiesz odbierać telefony i załatwisz kilka spraw w imieniu firmy. Nic więcej. Jeśli mi pomożesz, od ręki wypiszę ci czek. Odliczysz sobie od długu sto dolarów premii, a resztę zwrócisz mi, kiedy będziesz mógł.

Gdy John wypisywał czek, wdzięczność Harry'ego była niemal przytłaczająca. Jasne, zacznie od jutra, jasne, zrobi wszystko dla staroego Johnny'ego. I niech no tylko doczeka szóstej po południu w przyszły czwartek, a nikt go więcej w tym mieście nie zobaczy.

Gdy wreszcie Harry zaczął zbierać się do wyjścia, z cukiem bezpiecznie ukrytym w kieszeni, John Flint zerknął na swój nobliwy, szary garnitur, a następnie na jaskrawą marynarkę Harry'ego.

— Świetna marynarka, Harry. Nowa?

— Pewnie. Dopiero co kupiłem w Hunt & Hunt. — Harry z dumą dotknął krawata. — To też tam wypatrzyłem. Modny, nie?

— Bardzo modny. Ubieraj się tak do biura, Harry. Lubię eleganckich ludzi. Robią dobre wrażenie na klientach.

Po wyjściu Harry'ego John poszedł do Hunt & Hunt. Sportowa marynarka, identyczna jak ta, którą miał Harry, wisiała na wieszaku.

Kupił ją. Kupił też jasnobrązowy krawat z walczącymi spanielami i parę szarych flanelowych spodni. Zaniósł sprawunki do biura i ukrył w szafie.

Tamtego wieczora, gdy wracał do domu podrygującym tramwajem, wydało mu się nagle, że cały pojazd jest pełen Indian. Kwiaty białych lilii o mdlącym, słodkim zapachu zdawały się dotykać jego twarzy. *Bajando*. Powietrze rozbrzmiewało podekscytowanymi meksykańskimi głosami. *Bajando...*

„To” znowu wróciło.

Nazajutrz o dziewiątej Harry Shipley w swojej krzykliwej, sportowej marynarce zjawił się w biurze, roześmiany i pałający chęcią współpracy. John wyjaśnił mu, na czym polegają jego rutynowe czynności, po czym wysłał go do dużego domu towarowego z próbkami nowych wzorów obuwia Bonifoot. Po wyjściu Harry'ego wydobyl z szafy pudło z zakupionym wcześniej ubraniem i z niezmaconym spokojem, jak gdyby całe jego życie nie miało się wkrótce zmienić, przebrał się w sportową marynarkę oraz flanelowe spodnie i zawiązał pod szyją krawat ze spanielami. Następnie schował swój własny garnitur do pudła, ponownie umieścił je w szafie i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. W rzeczywistości on i Harry mieli całkiem inne rysy, lecz wrodzona bezbarwność upodabniała ich do siebie. Wystarczył szeroki uśmiech, a przypadkowy obserwator gotów byłby przyjąć, że oto Harry Shipley spogląda na niego z lustra.

Z notesem i talonami w ręku John Flint złapał tramwaj na róg Piętnastej i Market. Spędził tam cały dzień, skrupulatnie notując szczegóły dotyczące obuwia, rozdając talony oraz spisując nazwiska i adresy nagrodzonych. Pomysł akcji promocyjnej wyszedł od niego i nie widział powodu, aby nie przeprowadzić jej jak należy. Lecz „tamto” nie dawało mu spokoju; tkwiło gdzieś w zakamarkach jego umysłu, przyprawiając go o dreszcz podniecenia. Z tego właśnie powodu postarał się zwrócić na siebie życzliwą uwagę dzielnicowego i kaleki sprzedającego gazety przed budynkiem banku. Rzucone mimochodem pozdrowienie, uśmiech i beżowo-pomarańczowa marynarka wystarczyły, aby stał się wyrazistym, choć niewiele znaczącym elementem na skrzyżowaniu.

W ciągu dnia kilkakrotnie telefonował do biura, żeby być ze wszystkim na bieżąco. Punktualnie o piątej zadzwonił po raz ostatni i powiedział Harry'emu, że może iść do domu.

Wróciwszy do pustego biura spisał zebrane tego dnia informacje i ponownie przebrał się w szary garnitur i stonowany krawat, niemal z czułością odkładając cudze piórka do pudła w szafie.

Powtarzał to przez kolejne cztery dni pracy, podczas których zachowywał się dokładnie tak, jak zwykle. Przychodziło mu to zdumiewająco łatwo. Coś się wydarzyło, coś, co sprawiło, że Amy stała się dla niego kompletnie nierealną postacią. Każdego ranka zanosił jej tacę ze śniadaniem, każdego ranka celebrował rytuał z kasetką na biżuterię. Każdej nocy spał obok niej w łóżku. Lecz jej tam nie było — szczególnie w nocy, gdy przed oczyma miał list kierownika kadr, wciąż pozostający bez odpowiedzi, który rozplątywał się, z wolna ustępując miejsca rozkosznej panoramie szerokich, egzotycznych ulic, zalanych promiennym światłem, piękniejszych i bardziej upragnionych niż ulice jakiegokolwiek innego miasta na ziemi...

Piątego dnia przypadał czwartek. Przed wyjściem z domu John odsunął zasuwę zamykającą kuchenne drzwi. Później, gdy Harry, w swojej sztywnej marynarce i z przeprosinami na ustach, wpadł zdyszany do biura kilka minut po dziewiątej, John powitał go życzliwym uśmiechem.

— Jak tam, Harry, jesteś już spakowany?

— A pewnie, że jestem. Walizki w przechowalni, bilet kupiony Johnny, ty stary draniu, gdybyś wiedział, ile dla mnie zrobiłeś!

— Nie ma o czym mówić. Słuchaj, Harry, dzwonił z centrali z pilną sprawą. Zajmie mi to cały dzień, a dziś jest ostatni dzień mojej ankiety. Może mógłbyś mnie zastąpić? Znasz już dobrze wszystkie modele Bonifoot.

— Jasne, Johnny, z przyjemnością.

Wprowadzenie Harry'ego w tajniki ankiety nie zajęło Johnowi wiele czasu. Wyjaśnił mu, jak opisywać każdy zauważony na ulicy model obuwia i jak rozdawać promocyjne talony.

— Dzisiaj powinien trafić się setny klient. Ta osoba dostanie talon na pięć par butów. I pamiętaj, zawsze dokładnie zapisuj godzinę. To bardzo ważne. Notuj co do minuty, kiedy wręczyłeś komuś talon. Potrzebuję tego do raportu. I żadnego niepotrzebnego akwizytorskiego

gadania, Harry, żadnych osobistych pogawędek z obdarowanymi. Zależy mi na tym, żebyś zachowywał się dostojnie.

— Zgoda, Johnny. Powiedziałeś do piątej? Nie ma sprawy. Będę miał mnóstwo czasu, żeby odnieść do biura notatki i zdążyć na pociąg. Rany, ten pociąg! Zaśpiewam alleluja, kiedy wreszcie pożegnam się z tym podłym miastem!

Wysławszy Harry'ego na róg Piętnastej i Market John omal nie uległ pokusie napisania do kierownika kadr i przyjęcia stanowiska w Mexico City. Zamiast tego odszukał w szufladzie biurka stary egzemplarz „Rozmówek hiszpańskich” i wziął go ze sobą na lunch. O wpół do trzeciej wszedł do tramwaju i pojechał do domu. Tramwaj był prawie pusty, zresztą jego niczym niewyróżniający się wygląd i szary garnitur stanowiły doskonały kamuflaż, chroniący go przed ciekawskimi spojrzzeniami.

Teraz, gdy zbliżał się z dawna wyczekiwany moment, nie był wcale spokojny. To było coś więcej. Czuł niemal namacalne uniesienie, jak gdyby nic na świecie nie mogło go powstrzymać. Grupka dzieci grała w piłkę na narożnej posesji. Z trudem powstrzymał się, żeby nie wyskoczyć z tramwaju i nie przyłączyć się do zabawy. Gdyby kopnął piłkę, poleciałaby prosto na księżyc. Tak jest, właśnie tam się wybierał — aż na księżyc...

Pamiętał, że musi być ostrożny; nikt nie mógł zobaczyć go wchodzącego do domu o tak nietypowej godzinie. Wsiadł z tramwaju kilka przystanków wcześniej i przemknął się boczną, opustoszałą uliczką do domu. Następnie przekręcił gałkę w tylnych drzwiach i wszedł do środka.

Nie pamiętał już, kiedy ostatnio był tu w tygodniu wczesnym popołudniem, więc cicha kuchnia wydała mu się dziwnie obca. Z piętra dobiegła go muzyka symfoniczna, płynąca z radia Amy. To także było dziwne. Nie przepadał za muzyką klasyczną i nie wiedział, że Amy jej słuchała. Zachowując ciszę — chociaż właściwie nie było takiej potrzeby — poszedł na górę i zanurzył się w ponury półmrok, spowijający sypialnię żony.

Dostrzegł klejnoty, zanim jeszcze zobaczył Amy. Były migotliwymi, jasnymi punkcikami w monotonnej ciemności. Nagle Amy go zauważyła. Jej głos, ciepły i rozradowany, zabrzmiał młodo, tak jak dawniej.

— John, cóż za wspaniała niespodzianka!

Podszedł bliżej i stanął w wąskim przejściu oddzielającym ich łóżka. Uśmiechała się, wyglądając dziewczęco i krucho w niewyraźnym świetle. Jednak on zawędrował już zbyt głęboko w głąb siebie, żeby czuć dla niej jakąkolwiek litość.

— Och, John, ta muzyka! — Wykonała taki gest, jakby chciała wyłączyć radio. — Wiem, że jej nie znosisz. Ale ostatnio, kiedy leżę tu całkiem sama...

— Niech gra, kochanie. Pozwól, że poprawię ci poduszki.

— Dziękuję, John.

Gdy wysuwał jej spod głowy jedną z poduszek, pogłaskała go niesmiało po rękawie.

— To cudownie, że udało ci się wygospodarować w czwartek wolne popołudnie. Czwartki zawsze ciągną się bez końca, bo nie ma pani O'Roylan. Ale nie powinnam narzekać, prawda? Nie chcę zepsuć tej wspaniałej chwili. Ja...

Gwałtownie przycisnął poduszkę do jej twarzy. Siła tego niespodziewanego ataku odrzuciła jej głowę do tyłu, wciskając ją w pozostałe poduszki. Schwytana pomiędzy dwie dławiące ją powierzchnie, przez chwilę stawiała opór. Potem jej ciało zwiotczało.

John upuścił poduszkę na podłogę. Automatycznie, tak jak robił to już tysiąc razy przedtem, zdjął żonie naszyjnik z pereł, diamentowe kolczyki i bransoletkę. Tyle że zamiast schować je do kasetki, tym razem wsunął je do kieszeni. Przez chwilę stał bez ruchu, patrząc na niewyraźnie rysujące się w półmroku ciało, które nie już dla niego nie znaczyło. Później zdjął z bezwładnego nadgarstka zegarek, który podarował jej w dziesiątą rocznicę ich ślubu. Spojrzał na tarczę. Było dokładnie dwadzieścia minut po trzeciej. Kilka razy rzucił nim o podłogę, aż wskazówki zegarka zatrzymały się. Dzięki temu będzie można potem ustalić dokładny czas zabójstwa. Upuścił go następnie przy łóżku, wyszarpnął szuflady i upozorował pospieszne poszukiwanie innych kosztowności, po czym wyszedł, pozostawiając włączone radio.

Przyniesionym z piwnicy łomem wyważył zamek w tylnych drzwiach, żeby nie było wątpliwości, którędy włamywacze dostali się do domu. Odłożywszy łom na miejsce, przemknął przez podwórko i cztery przecznice dalej wsiadł do tramwaju.

Teraz, gdy zabił Amy, miał nadzieję, że „to” powróci. Ale nie. Gdy tak jechał do miasta, wciąż był tylko Johnem Flintem, który właśnie zamordował żonę. Nie odczuwał żadnych emocji. Był jednak nadal czujny i skupiony, odtwarzając wszystko po kolei w myślach, drobniawczo szukając błędów, jakie mógł popełnić. Nie znalazł ani jednego. Pozostało mu tylko pozbyć się klejnotów, poczekać w biurze na Harry'ego i odebrać od niego zapiski z ulicznej ankiety, a na koniec dopilnować, by jego współpracownik złapał ten swój pociąg.

Dawno już postanowił, co zrobi z biżuterią. Wsiadł z tramwaju przed mostem i ruszył przed siebie, a następnie, starannie wybierając odpowiedni moment, wrzucił klejnoty w brudne nurty rzeki. Zatonęły, nie wydając nawet jednego dźwięku. Nie było dla nich miejsca w jego przyszłości. To nie klejnotów pragnął od Amy.

Punktualnie o wpół do szóstej Harry wpadł do biura w stanie ogromnego podniecenia, wielce z siebie zadowolony.

— Trzymaj, staruszkule — wszystkie notatki. Dokładnie tak, jak powiedziałaś. Rozdałem talony. Nie zagwizdałem nawet na jedną blondynkę. Byłem prawdziwym, dostojnym dżentelmenem.

Zaczekał, aż John skończy przeglądać wykonane ołówkiem zapiski. Nie mogłyby być lepsze. Tego popołudnia, pomiędzy drugą a piątą, dwa zwykłe talony zostały wręczone przechodniom, a dokładnie piętnaście po trzeciej jakaś kobieta otrzymała specjalny talon na pięć darmowych par butów. Jej nazwisko i adres, podobnie jak nazwiska i adresy pozostałych szczęśliwców, zostały starannie spisane wraz z podaniem dokładnej godziny.

— Doskonale, Harry. Wielkie dzięki.

— Ty dziękujesz mnie? Bez żartów. Johnny, staruszkule, uratowałeś dzisiaj komuś życie — taka jest prawda.

Wylewne podziękowania Harry'ego tak się przeciągnęły, że John zaczął się niepokoić o pociąg. Ale i tu wszystko poszło gładko. Za dziesięć szósta Harry radośnie pomknął na stację.

Przeglądając notatki z ankiety, John czuł głębokie zadowolenie dobrego rzemieślnika. Udało mu się. Dokonał tego, co zamierzał. Zdołał być jednocześnie w dwóch różnych miejscach, oddalonych od siebie o całe trzy kilometry.

Podczas gdy włamywacze dusili Amy w jej spowitej półmrokiem sypialni, on był na rogu Piętnastej oraz Market i wręczał talon na

pięć par butów... Jakżeż ona się nazywała? Jeszcze raz zerknął do zapisków Harry'ego. Panna Carmen Gonzales, Pine Street 1374.

Carmen Gonzales. To nazwisko, kojarzące się z dalekim słońcem i łagodnym meksykańskim śmiechem, z pewnością było dobrym znakiem. Dźwięczało mu w uszach, gdy przepisywał na maszynie notatki Harry'ego, umieszczał je w teczce wraz z innymi materiałami dotyczącymi ankiety i palił papiery zapisane ręką kolegi.

Wreszcie wszystko było gotowe. Przebrał się w krzykliwy strój, spakował swój szary garnitur do pudła, owinął je sznurkiem i wetknął sobie pod pachę.

Po powrocie do domu jak zwykle otworzył drzwi wejściowe własnym kluczem i od razu poszedł na górę. Nie spojrzawszy nawet na leżące na łóżku ciało, wypakował garnitur z pudła i porządnie odwieścił go do szafy. Zostawił w sypialni grające radio i zaniósł puste pudło do piwnicy. Następnie podszedł do stojącego w holu telefonu. Gdy informował policję, co się stało, jego głos nawet jemu wydawał się zaskoczony i pełen niedowierzania.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z jednej rzeczy, której zaniedbał. Mieszkająca po sąsiedzku pani Roseway często pomagała Amy. Kiedy piekła, zawsze przynosiła jej pączki, a kilka razy siedziała przy niej w nocy, gdy John musiał zabawiać przyjezdnych handlowców. Pobiegł więc zaraz do domu sąsiadki i zabębnił pięściami w drzwi wejściowe. Gdy pani Roseway, pulchna i pogodna, stanęła w progu, wydał stłumiony okrzyk: — Amy! Prędko! Coś strasznego spotkało Amy!

Pani Roseway była przy nim, gdy przyjechała policja. I podczas gdy on, przygarbiony i pogrążony w jakże zrozumiałej apatii, siedział w salonie, pani Roseway zaprowadziła policjantów na górę. W zamieszaniu, jakie potem nastąpiło, podczas gdy cały regiment detektywów w cywilu i umundurowanych funkcjonariuszy przetrząsał dom centymetr po centymetrze, pani Roseway trwała dzielnie u boku Johna, pocieszając go i dodając mu otuchy. To ona potwierdziła fakt, że Amy zawsze nosiła w łóżku biżuterię, która teraz zniknęła. A gdy John łamiącym się głosem kończył składać zeznania, przez nikogo nieproszona dzielnie stanęła w obronie jego nieposzlakowanej opinii. John Flint, oświadczyła, to wzorowy obywatel oraz najbardziej oddany i godny podziwu mąż w całym sąsiedztwie.

Inspektor policji, podobnie jak wszyscy inni, odniósł się do niej z szacunkiem i być może również ze względu na nią obchodził się z Johnem niczym dobry wujaszek. Gdy wreszcie pierwszy etap śledztwa dobiegł końca, John nie był zaskoczony, że poproszono go o udanie się wraz z policjantami na posterunek. Jednak inspektor poklepał go uspokajająco po ramieniu.

— To oczywisty przypadek włamania rabunkowego, a pan może udowodnić, że w krytycznej chwili był daleko od miejsca zbrodni. Wolałbym jednak od razu wpaść do pańskiego biura po materiały z tej akcji ulicznej, o której pan wspominał, i skontaktować się z ludźmi, którzy, jak pan mówi, figurują w pańskiej ankiecie. Dzięki temu raz na zawsze potwierdzimy pańskie alibi. Pan zaś poczuje się o niebo lepiej, kiedy taka informacja znajdzie się w oficjalnym raporcie.

— Oczywiście — odparł John. — Dziękuję. W każdej chwili jestem do pańskiej dyspozycji.

Pojechali więc do biura, gdzie John wręczył inspektorowi wszystkie potrzebne papiery. Następnie inspektor polecił swoim funkcjonariuszom, aby sprowadzili na posterunek trzy osoby, których nazwiska i adresy figurowały na liście z feralnego popołudnia, a także, przychylając się do prośby Johna, policjanta dyżurującego na skrzyżowaniu i kalekiego sprzedawcę gazet.

Policjant i kaleka zjawili się jako pierwsi. Obaj spojrzeli na Johna, siedzącego przy biurku inspektora.

— Tak — odezwał się policjant. — Kręcił się przy skrzyżowaniu przez cały tydzień z jakąś ankietą.

— To prawda — dodał sprzedawca gazet. — Widywałem go tam codziennie.

Pierwszą nagrodzoną talonem osobą okazała się starsza kobieta. Była lekko podenerwowana, sprawiając wrażenie praworządnej obywatelki, nieprzywykłej do bywania na posterunku policji. Zgodnie z poleceniem inspektora przyjrzała się uważnie Johnowi, po czym oznajmiła: — Tak, ten człowiek dał mi talon. Dobrze pamiętam tę marynarkę. Ale czy... czy to znaczy, że kupon jest fałszywy? Nie zrealizowałam go jeszcze, ale zamierzałam...

— Nie, proszę pani, talon jest w porządku. — Inspektor rzucił okiem na listę przepisaną przez Johna na maszynie. — Dostała pani ten talon dziesięć minut po drugiej. Zgadza się?

— Tak, tak pewnie było. Właśnie wyszłam ze sklepu z przeceną i...

— W porządku, to wszystko. Dziękujemy pani.

Drugim zdobywcą talonu był zawadiacki młody człowiek. Jego zeznanie było jeszcze bardziej satysfakcjonujące niż poprzednie.

— Jasne, wszędzie bym rozpoznał ten krawat. Podobał mi się. Pomyślałem, że mógłbym sobie taki sprawić. Szykowna rzecz.

Teraz brakowało już tylko świadectwa Carmen Gonzales. Gdy tylko się zjawi i potwierdzi jego alibi w krytycznym momencie, śledztwo dobiegnie końca. Opierając się wygodnie o oparcie drewnianego krzesła, John Flint stwierdził, że ciasne, ponure wnętrze policyjnego posterunku wzbudza w nim dziwną sympatię. Nigdy przedtem nie był w takim miejscu i nie spodziewał się, że będzie tak wyglądało. Tymczasem było tu niemal przytulnie. Ale tylko pozornie był spokojny. Głęboko ukryte, cierpliwie przyczajone, czekające swej godziny, gdy wreszcie będzie mogło ponownie wybuchnąć, tkwiło „to”.

Siedząc tak, John Flint zaczynał rozumieć, że dzieje się z nim coś niezwykle ważnego. Aż do tej chwili przez całe życie prześladowało go dręczące poczucie porażki. Nawet „to”, jeśli w ogóle kiedykolwiek dopuszczał do siebie taką myśl, było jedynie marzeniem na jawie, zadośćuczynieniem za nudę rzeczywistości, migotliwą fatamorganą czegoś, co mogłoby być, ale czego nigdy nie będzie. Nigdy tak naprawdę nie wierzył, że pojedzie do Meksyku. Nawet gdy już zaczął planować śmierć Amy, nawet wtedy nie wierzył, że rzeczywiście uda mu się „to” osiągnąć.

A jednak udało mu się. To był prawdziwy cud. Bez niczyjej pomocy, samodzielnie doprowadził do tego, aby życie potoczyło się zgodnie z jego wolą. On, John Flint, dokonał tego ze spokojem i dokładnością, nie pozwalając sobie na popełnienie najdrobniejszego błędu. Któż inny z kręgu jego przyjaciół i znajomych mógłby poważnie się na coś równie wspaniałego? Harry? Już sam pomysł był śmiechu wart. Czuł rosnący podziw dla samego siebie i nową, niczym niezmaconą dumę.

Minęło pół godziny, zanim na posterunek przybyła panna Carmen Gonzales, eskortowana przez funkcjonariusza policji. Była młoda, smągła i piękna niczym jakiś egzotyczny, tropikalny kwiat. Na jej widok „to” przebudziło się, a Johna ogarnęło wielkie uniesienie. *Señorita*. Słowo to pojawiło się wraz z nią i jak gdyby pod wpływem

magicznego zaklęcia, John ponownie zobaczył szerokie *paseos*, usłyszał miękkie kroki Indian, ujrzał małych chłopców biegających to tu, to tam, sprzedających losy na loterię — wszystkie te obrazy wirowały mu przed oczyma, nawołując go...

„Chodź... chodź do nas... nareszcie jesteśmy twoje...” Trudno było mu się skupić na tym, co się wokół niego działo, zauważył jednak, że dziewczyna rzuca mu szybkie spojrzenie, po czym zwraca się nerwowo do inspektora. Była wyraźnie zaniepokojona. To go wzruszyło. Trudno się spodziewać, żeby taka cudowna istota zachowywała spokój na posterunku policji.

Inspektor zadał jej pytanie: — Czy to jest panną Carmen Gonzales, zamieszkałą przy Pine Street 1374?

— Tak, proszę pana. Ale co się stało? Tamten policjant nie chciał mi niczego powiedzieć. Dlaczego mnie tu sprowadziliście? Co złego zrobiłam?

„To” wchłonęło teraz także Carmen Gonzales. Ręka w rękę, John i ta piękna dziewczyna spacerowali zielonymi bulwarami — może wybierali się obejrzeć walkę byków...?

— Proszę się niczego nie bać, panienko — odparł inspektor z ojcowską życzliwością. — Chcemy tylko, żeby odpowiedziała pani na kilka pytań. Czy dziś po południu na rogu ulic Piętnastej i Market otrzymała pani talon upoważniający panią do odbioru pięciu darmowych par obuwia Bonifoot Shoes?

Smągła twarz dziewczyny oblała się nagłym rumieńcem. — Jeszcze go nie zrealizowałam. Mogę go oddać.

— To nie będzie konieczne, panienko.

Nieoczekiwanie dziewczyna podbiegła do Johna i chwyciła go za ramię. — Och, panie Flint — bo pan nazywa się Flint, prawda? — Tak mi przykro. Był pan taki dobry dla Harry'ego. Powiedział mi wszystko o pożyczce i tak dalej. Wiedziałam, że nie powinniśmy byli tego robić. — Jej śliczna twarz znalazła się tuż obok jego twarzy, a oczy błagały o wybaczenie. — Powiedziałam Harry'emu, że to podłe, nikczemne, prawie jak kradzież. Ale on uważał, że pan nie będzie miał nic przeciwko temu. Powiedział, że ktoś przecież musi dostać ten talon na pięć par butów, więc dlaczego to nie ja miałabym być tym setnym przechodniem? Sam pan rozumie, musiałam kupić całą wyprawę, żeby móc poślubić Harry'ego w Reno... Pięć par butów za

darmo wydawało się taką wspaniałą okazją. Ale nie powinniśmy byli tego robić. Och, panie Flint, jest pan taki dobry. Wiem, że jest pan dobrym człowiekiem. Niech pan nie wnosi oskarżenia przeciw Harry'emu, niech pan nie każe go aresztować.

To, co przeżywał w tej chwili John Flint, było koszmarem. Zupełnie, jakby bomba atomowa spadła z nieba bez najmniejszego ostrzeżenia, niszcząc jego wysnzione miasto, burząc wieżowce, krusząc bulwary, przesłaniając słońce chmurą pyłu...

— Harry? — warknął inspektor. — Kim jest ten Harry?

Dziewczyna zwróciła się ku niemu. — To mój narzeczony. A pan Flint był dla niego taki dobry, pożyczył mu pieniądze na rozwód i zatrudnił jako swojego asystenta, chociaż tak naprawdę wcale nie potrzebował nikogo do pomocy. Po prostu chciał mu pomóc. Dziś po południu polecił Harry'emu przeprowadzić ankietę uliczną i... No cóż, Harry nie powinien był tego robić, ale zadzwonił do mnie i powiedział, że jeśli przyjdę zaraz do niego na róg Piętnastej i Market, dostanę darmowy talon. On...

Carmen Gonzales ponownie przypadła do Johna Flinta i pochylając się nad nim, z budzącym litość zapalem próbowała się usprawiedliwić, przekonać go, że chociaż wspólnie z Harrym dopuścili się tak prostackiego czynu, oboje szczerze tego żałują.

— Panie Flint, błagam pana. — Drżącymi rękoma nieporadnie wydobyła talon z kieszonkowego notesu i wyciągnęła w jego stronę. — Proszę to wziąć. I tak nie mogłabym go wykorzystać. Pięć par butów! Przecież to tyle pieniędzy! Nie wiem, jak mogliśmy być tak... tak strasznie podli.

Jej młoda, uśmiechnięta twarz była twarzą zniszczenia, kroczącego przez dymiące zgliszcza.

— Panie Flint, mogę mieć tylko nadzieję, że kiedyś *to pan* będzie miał kłopoty. Wtedy Harry i ja będziemy się mogli panu odwdziżyć.

MAMO, CZY MOGĘ PÓJŚĆ POPLYWAĆ

John Tuthill Crane opuścił hotelowy taras, który tonął w łagodnych promieniach zachodzącego słońca, i utykając, ruszył bez celu przed siebie, do wielkiej sali, którą kierownictwo hotelu ochrzciło szumnym mianem „rekreacyjnej”. Po pięciu dniach urlopu wciąż czuł się w Maine nie na miejscu. Doskwierała mu nuda. Powinien był odwołać wyjazd, kiedy w ostatnim momencie okazało się, że dzieci Boba zachorowały na odrę, a Claire pospieszyła do Filadelfii, żeby je pielęgnować. Jednak Claire nalegała, żeby pojechał bez niej.

Miał jeszcze w uszach jej delikatny, ciepły śmiech. *Znajdź tam sobie jakąś ślicznotkę. Zabaw się trochę. Może ty i ja zbyt długo żyliśmy z głową w chmurach. Przecież w końcu wciąż jesteś tylko chłopcem.*

Rzeczywiście, można powiedzieć, że wciąż był chłopcem. Trzydzieści sześć lat to nie starość. A mimo to dlaczego młodość miałaby rządzić się innymi prawami niż wiek dojrzały? Jaką właściwie rozrywkę miałby sobie znaleźć w takim miejscu cywilizowany człowiek? Nudna plaża, głupie, trzęsące się staruszki, hałaśliwi młodzi ludzie, walący raketami w piłki tenisowe. Całkowity triumf bezguścia i nudy.

Oburzcił kpiącym wzrokiem pustą salę z jej masywnym, wiktoriańskim umeblowaniem i fortepianem, prezentującym się smętnie na podium udekorowanym paprotkami w doniczkach. Pomyślał, jak bardzo to pretensjonalne i zagracone wnętrze rozbawiłoby Claire. *Wypisz wymaluj twoja stryjeczna babka Emily, skarbie. Chwała Bogu, że udało się nam wydostać z Nowej Anglii.* Wyobrażając sobie jej reakcję, przywołał w pamięci dźwięk jej głosu — łagodnego, delikatnie zaostrego śmiechem.

Podszedł do fortepianu i odkładając na podłogę swoją laskę, zaczął grać rozkoszny utwór Milhauda, który Claire odkryła u Booseya

i Hawkesa. Kontrast pomiędzy chłodną ironią francuskiej muzyki a otaczającymi go nudnymi paprotkami był nawet zabawny. Lecz dowcip tracił na ostrości, ponieważ nie było przy nim Claire, z którą mógłby się nim podzielić.

Aby poprawić sobie humor, wrócił myślami do ich saloniku muzycznego w Worcester. Claire siedzi obok niego, opierając brodę na drobnej, lecz wciąż pięknej dłoni; widać dystyngowany zarys jej ramion i oczy, intensywnie niebieskie, w których za chwilę odmaluje się uznanie dla jego dowcipu.

Gdy tak grał, wspomnienia o Claire wyzwoliły w nim ukryte podobieństwo do niej. Chodziło raczej o pewien wyraz twarzy, nie zaś o fizyczne rysy. Pani Claire Crane była bowiem drobna i krucha jak porcelanowa figurka, podczas gdy jej syn był wysoki i przystojny. Jedynie ledwie widoczne początki otyłości i lekko przerzedzająca się czupryna szpeciły jego niemal byronowski wygląd, który tak dobrze komponował się z byronowskim utykaniem. Jednak jego podobieństwo do matki było niewątpliwe, choć ulotne, zupełnie jakby tkwiło głęboko w nim ukryte i tylko czasami uwidaczniało się w spojrzeniu jego oczu poety albo uśmiechu zmysłowych warg.

John Tuthill Crane skończył grać Milhauda i rozpoczął ulubioną przez Claire sonatę Prokofiewa. Uwielbiała ten utwór w jego interpretacji. Sam zresztą uważał ją za całkiem udaną.

Nagle za jego plecami odezwał się głos, mówiący: — Och, nie.

Brzmiała w nim pewna niecierpliwość, która zaskoczyła go tak samo jak to, że w ogóle usłyszał za sobą czyjkolwiek głos. Przerwał grę w pół taktu i odwrócił się, zrywając się ze stołka.

Na podeście stała nieznana mu dziewczyna. Miała na sobie obszerną suknię, ściągniętą w pasie i haftowaną w wesołe, austriackie wzory, która eksponowała zaokrąglone ramiona i pełny, opalony dekolt. Jej swobodnie rozpuszczone, ciemne włosy okalały niezwykłą twarz, w której płonęły czarne, niemal wschodnie oczy, obserwujące go z niepokojącą czujnością.

— Dlaczego gra pan Prokofiewa jak stara baba? — zapytała, a w jej głosie dał się słyszeć niemal niewyczuwalny akcent.

Tak bezpośrednio postawione pytanie wytrąciło Johna Tuthilla Crane'a z równowagi. Nie był przyzwyczajony do słów krytyki — nigdy nie słyszał ich ze strony niewielkiego grona najbliższych przyjaciół.

dla których muzyczne czwartki u Claire były kulturalnym ukoronowaniem każdego tygodnia w Worcester.

Dziewczyna odsunęła go i usiadła przy fortepianie.

— Ja jestem kobietą. Nic na to nie poradzę. Ale...

Zaczęła grać. Ta sama sonata Prokofiewa brzmiała teraz zupełnie inaczej. Była w niej rzeźskość, wigor, niemal brutalna szczerłość. Przerzuciwszy tak kilka kartek nut przerwała i odwróciła się do niego na stołku.

— Widzi pan? W Prokofiewie nie ma niczego miłutkiego.

John Tuthill Crane miał równie niewiele doświadczenia z dziewczynami, co z krytyką. Odkąd atak choroby Heinego-Medina uczynił go w wieku osiemnastu lat na wpół inwalidą, matka starannie chroniła go przed wszelkimi kontaktami z prostackim światem, który rozciągał się poza ich prześlicznym salonem. Tych kilka dobrze wychowanych dziewcząt i siostrzenic, które jakimś cudem prześliznęły się przez jej gęstą sieć, niemal natychmiast zakochiwało się w jego pięknej twarzy i muzycznym talencie, lecz Claire i John traktowali ich zachwyty jedynie jako dobry pretekst do niewinnych żarcików, na które pozwalali sobie w samotności.

Tymczasem ta nieznajoma dziewczyna, ze swoją dumnie uniesioną głową i wschodnimi oczyma, rzucająca mu wyzwanie jakby byli sobie równi, była dla niego czymś całkiem nowym. Odezwał się w nim koneser sztuki, powołany do życia przez Claire podczas ich licznych przedwojennych wypadów do Europy i błyskawicznie zareagował na urodę, która z powodzeniem mogłaby błyszczeć na obrazach Tiepolo albo Delacroix. Jednak piękność ta zdawała się być zbyt blisko niego, jak gdyby postać wychylała się z ram obrazu, formułując względem niego jakieś nieokreślone żądania. Wymamrotał więc tylko onieśmielony: — Świetnie pani gra.

— Nieprawda. Niczego nie robię świetnie. — Sięgnęła do kieszeni sukienki, wyjęła z niej paczkę papierosów i zapaliła. Jej oczy o ciężkich powiekach, pałające nieskrywanym zaciekawieniem, nie opuściły jego twarzy. — Zwróciłam na pana uwagę. Jest pan zdecydowanie najciekawiej wyglądającym mężczyzną w tym hotelu. Co pan właściwie robi w takim miejscu?

— Nie mam pojęcia. — John Tuthill Crane zareagował na komplement lekkim ukłonem. — Mógłbym zadać pani to samo pytanie.

— Ja muszę tu być. Pracuję tutaj. W sklepie z pamiątkami w holu.

— Och. — Fakt, że nie znał dotąd dziewczyny, która sama zarabiałaby na życie, pogłębił tylko jego zakłopotanie. Aby więc sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze i bardziej kosmopolityczne tory, zapytał: — Nie jest pani Amerykanką, prawda?

— Jestem Austriaczką. Razem z matką wyjechałyśmy z Wiednia w trzydziestym ósmym roku, kiedy zabili mojego ojca. Oczywiście, byłam wtedy jeszcze dzieckiem. Moja matka nie żyje. Dlatego tu pracuję. — Wciąż wpatrywała się w niego poprzez dym z papierosa. — Nudzi się pan, zgałdam?

Jego własny śmiech zabrzmiał mu w uszach niewyraźnie, jak chichot. — Nie nazwałbym tego miejsca szczególnie ekscytującym.

— To dlatego, że robi pan to samo, co wszyscy. Chodzi na plażę. Na tę nudną plażę. I siedzi pan na tarasie. A powinien pan wybrać się w głąb łądu. Pójść w góry. Tam nikt nie chodzi. Jest tam wodospad, wiedział pan o tym? Po prostu cudowne miejsce. Wielka kurtyna wody, która spada i spada, a wokół rosną gęste paprocie. Całkiem jak w Dolomitach. Albo nie, raczej jak w Norwegii, czy też jak ilustracja do bajki Hansa Christiana Andersena.

Wspomnienie obrazków w książce z baśniami Hansa Christiana Andersena, które w dzieciństwie czytała mu Claire, przemknęło mu prędko przez myśl. Baśniowe pejzaże, a na pierwszym planie niepokojąca, ciemna nimfa wodna lub jakaś tajemnicza i groźna królowa.

Dziewczyna mówiła dalej: — Pokażę go panu. Wspaniale wygląda w nocy. Dzisiaj jest pełnia. Może wybierzemy się tam po kolacji? Około ósmej?

Co wieczór o wpół do dziewiątej Claire dzwoniła do niego z Filadelfii. Była to najbardziej przez niego wyczekiwana pora dnia, ale z jakiegoś dziwnego powodu nie chciał, żeby dziewczyna wiedziała o telefonach Claire.

Zawahał się, ona tymczasem zerknęła ukradkiem na jego łaskę i odezwała się: — Podejście nie jest bardzo strome. Nie sędzę, aby...

John Tuthill Crane oblał się rumieńcem. — Dziękuję pani, ale nie jestem kaleką.

Jego przyjaciele nigdy nie wspominali o jego problemach z chodzeniem. Lecz nieznamoma nie okazała zażenowania, słysząc w jego

głosie delikatny wyrzut. Dodała: — A zatem wszystko w porządku? Dziś o ósmej?

— Przykro mi, ale o wpół do dziewiątej spodziewam się ważnego telefonu i...

— W takim razie spotkajmy się później. O dziesiątej? — Wstała od fortepianu i nagle uśmiechnęła się do niego. Nie wiedzieć czemu uśmiech ten przyprowadził go o dreszcz, jakby ktoś dotknął go zimnym palcem. — Jaki jest numer pańskiego pokoju?

W jego głowie rozległ się cichy głos: „Nie mów jej”. Cóż za absurd. Dlaczego miałby unikać rozkosznego spaceru w piękne miejsce przy świetle księżycy.

— Trzydzieści osiem — odparł.

— Przyjdę po pana. A tak przy okazji, jestem Lotte — Lotte Rank.

Ponownie się uśmiechnęła i wyszła ze świetlicy; dół jej szerokiej sukni wirował wokół opalonych nóg.

Miał wrażenie, że Claire jest tuż przy nim. *Znajdź sobie jakąś ślicznotkę*. Kiedy to mówiła, zwrócił uwagę na ironiczny ton jej głosu. Oczywiście w rzeczywistości wcale tak nie myślała. Był to jeden z ich subtelnych żarcików, zastrzeżonych dla nich dwojga — przypomnienie, że całkowicie sobie wystarczają.

John Tuthill Crane znowu zasiadł do fortepianu. Jego palce stawały opór, gdy próbował zagrać jakiś drobiazg Debussy'ego.

Nie miał już ochoty na muzykę.

Szła przed nim górską ścieżką. Cała była ubrana na białło. W jasnym świetle księżycy jej nagie ramiona i nogi, wyłaniające się z niewyraźnej bieli, miały lekki, niebieskawy połysk. Inne znane mu dziewczęta usiłowałyby go zagadywać, na poły nerwowo, na poły kokieteryjnie. Lotte maszerowała w milczeniu, zaś jej milczenie zdawało się być częścią tej magicznej nocy, która wbrew jego woli wprawiała Johna Crane'a w stan niezwykłego uniesienia. Zapominając niemal o swojej lasce, podążał śladem dziewczyny. Życie nabrało nagle nowej intensywności i nowego smaku, który uderzał do głowy i jednocześnie niepokoił.

Idąc cały czas w górę, zostawili za sobą las ciemnych, wonnych świerków i sosen, spowitych mlecznym światłem. Stopniowo ciszę

wypełniał odległy pomruk, który w miarę, jak się przybliżali, przerozdził się w potężny ryk. Nagły zakręt ścieżki ukazał ich oczom wodospad.

Nieziemski był to widok, jak na krawędzi otchłani. Z tą białą falą muślinowej wody pieniającej się perliście w dole.

Lotte jakby zastygła, a jej sylwetka odcinała się wyraźnie na tle spienionych kaskad wody — piękne i dziwne zjawisko sprzed początku czasu. Poszukał w myślach poetyckich odniesień. Tetyda. Norweska czarodziejka. *La Belle Dame Sans Merci**.

* (franc.) — niemiłosierna piękność, tytuł ballady Johna Keatsa (1819).

Wciąż bez słowa wzięła go za rękę i pociągnęła w dół na płaski kamień leżący na samym skraju urwiska. Wokół nich rozkładały swe pióropusze paprocie. Ich miękkie liście głąskały go po nogach. Sam nie wiedział, kiedy upuścił laskę.

Gdy opuszczali hotel, John pomyślał: „Claire byłaby zachwycona”, ale w miarę jak się wspinali, obraz matki stopniowo rozpląwał się w powietrzu, niczym drżące nici babiego lata. Teraz jednak, gdy jego serce biło w rytmie wodospadu, pomyślał nagle: „To wszystko byłoby dla Claire zbyt ogromne. Czułaby się zagubiona bez swoich szkiców Deraina, swojego srebrnego serwisu do herbaty w stylu królowej Anny i swojej świty”. Była to pierwsza tak występna myśl wymierzona przeciwko matce, jaką kiedykolwiek świadomie do siebie dopuścił, a mimo to ogrom, którego był świadkiem, wydawał mu się czymś całkiem naturalnym.

Lotte nie puszczała jego ręki. W końcu odezwała się, a szum wody stanowił wdzięczne tło dla jej miękkiego głosu, w którym pobrzmiwał obcy akcent. — Kto dzwonił dziś wieczorem? Żona?

— Nie. Nie jestem żonaty.

— W takim razie dziewczyna?

— Nie. To nie była dziewczyna. To była moja matka.

Wyznanie to przyszło mu zupełnie łatwo.

— Twoja matka? Dlaczego dzwoniła? Ktoś zachorował?

— Ależ nie. Dzwoniła bez powodu. Jak codziennie o wpół do dziewiątej. Jesteśmy sobie bardzo bliscy. Zawsze tak było.

Nagle poczuł palącą potrzebę usprawiedliwienia się, wytłumaczenia, na czym polega jego związek z matką — całkiem jakby Lotte

rzuciła mu jakieś wyzwanie. Cała wpajana mu w Nowej Anglii rezerwa i szlachetna nieśmiałość gdzie się ulotniły. Opowiadał jej o wyprawach do Europy, które rozpoczęły się, zanim jeszcze na dobre doszedł do siebie po chorobie, o uwielbieniu, jakie Claire żywiła dla sztuki i które przekazała synowi, o cudownym życiu, jakie stworzyła dla nich dwojga, i ich zamkniętym, małym świecie pełnym obrazów, muzyki oraz książek. Lecz mimo to obraz, jaki wyłaniał się z jego słów, wydawał się nieco odmienny od tego, jaki chciał odmalować. Coś nowego przebudziło się w nim za przyczyną pędzącej wody, księżycy i tej dziewczyny — coś, co miało postać mężczyzny i co sprawiło, że jego dotychczasowe życie nie wydawało mu się już rajem, za jakie je dotąd uważał, ale więzieniem. *Dlaczego gra pan Prokofiewa jak stara baba?* To pamiętne zdanie boleśnie uraziło jego męskość.

Kiedy skończył, Lotte przysunęła się do niego. W świetle księżycy jej oczy były równie ciemne jak zroszone wodą kamienie.

— Twoja matka musi być wyjątkową kobietą.

Obecny w jej głosie sarkazm nie umknął mu, ale też go nie zasko- kował.

— O, tak, to prawda.

— I bogatą?

Zaskoczyła go bezpośredniość tego pytania. — Bogatą? Jak to, skąd...?

— Powiedziałeś, że twój ojciec pozostawił po sobie mnóstwo pie- niędzy. Zapisał je tobie czy twojej matce?

— Oczywiście, że Claire — to jest mojej matce.

— Tak też myślałam. — Jej śmiech zabrzmiał ostro i gorzko.

— Dlaczego się śmiejesz?

— Kobiety takie jak ona potrzebują do tego pieniędzy. Jakże ja ich nienawidzę, tych podłych kanibalek pożerających swoje młode.

Niespodziewanie jej dłonie znalazły się na jego ramionach. Ujrzał jej twarz, delikatną i smagłą niczym nocny kwiat, tuż przy swojej. Obraz ten rozpląnął się, gdy jej usta spoczęły na jego wargach. Przy- warła do niego całym ciałem. Czuł uderzenia serca w jej piersiach, tak niezwykle i cudowne jak huk wodospadu. Całe jego jestestwo skupiło się w jego wargach, by spłynąć z nich na jej usta. Nie pozos- tało w nim nic, co mogłoby zaprotestować przeciwko tej potwornej obeldze wymierzonej w Claire.

Jej policzki były wilgotne od rosy. Całował je jak szalony. Jednocześnie tuż przy jego uchu rozległ się gorący szept:

— Potrzebuję cię. Jestem taka samotna. A ty potrzebujesz mnie. Musisz mieć kobietę, zanim będzie za późno.

Te słowa nic nie znaczyły. W tej chwili mógł myśleć tylko o oddechu wydobywającym się z jej ust i muskającym jego policzek. Nagle odsunęła się, trzymając go nadal za rękę.

— Chodź. Popływamy. Tędy jest zejście na dół, do wody. Jest zimna, ale pieni się jak szampan.

Poderwała się z ziemi, puszczając jego dłoń. Cien dawnego Johna Tuthilla Crane'a powrócił.

— Popływamy? Przecież nie mamy kostiumów kąpielowych!

Jej perlisty śmiech brzmiał ekscytująco i tajemniczo, jak śmiech wodnej nimfy.

— Powieś ubranie na gałęzi orzecha.

Odwróciła się i nachyliła nad nim tak nisko, że jej ciemne włosy otarły się o jego policzek.

— Chodź.

John zerwał się na nogi jakby dźgnięty ostrogą. Potknął się. Po omacku szukał laski.

Lotte zniknęła już w mroku okrywającym ścieżkę, która wijąc się, prowadziła w dół otchłani.

John Tuthill Crane pokuśtykał za nią, lekko zasapany.

Nazajutrz John przebudził się z uczuciem wstydu, wręcz paniki. Widok listu od Claire, który jak co dzień spoczywał przy jego śniadaniowym nakryciu, podziałał na niego jak widok koła ratunkowego na tonącego marynarza. Niecierpliwie pochłonął zwykłą porcję uroczych refleksji, złośliwych ploteczek i ciepłych serdeczności. Lecz poczucie winy i zdrady nie opuszczało go, budując między nimi mur. Bokiem omijał sklep z pamiątkami i cały dzień spędził na plaży, w skrajnym napięciu oczekując telefonu Claire. Tego wieczoru, kiedy wreszcie rozległ się upragniony dzwonek, a on usłyszał wesoły, przekorny głos matki, poczuł się tak, jakby po niebezpiecznej podróży wrócił w końcu do domu. Jego zapewnienia, iż tęskni i czuje się samotny, były tak żalodne, że matka wybuchnęła swoim łagodnym, dźwięcznym śmiechem.

— Moje biedactwo, ty się naprawdę smucisz. Jakie to irytujące, że te nieszczęsne dzieciaki musiały zachorować akurat na coś takiego.

— Mógłbym przyjechać do Filadelfii — zaproponował pod wpływem nagłego impulsu.

— Ależ skarbie, bądźże rozsądny. Dobrze wiesz, że nigdy nie przechodziłeś odry. Cóż byśmy poczęli, gdyby Lord Byron zaraził się odrą?

Rozłączyła się. Gdy John odkładał słuchawkę, rozległo się pukanie do drzwi, które po chwili otworzyły się i w progu stanęła Lotte. Popatrzyła na telefon, a potem na niego. Na jej widok ugięły się pod nim kolana. Zbliżyła się do niego w milczeniu i objęła go. Jej ramiona były chłodne i gładkie.

— Johnny, cały dzień minął mi jak we śnie. Czekałam.

Już po chwili poczuł jej usta na swoich, pewne siebie, zaborcze. Pod ich dotykiem John Tuthill Crane zapomniał o swojej pożałowania godnej tęsknocie za Claire. Stał się wyższy, silniejszy, butny i zdolny do wszystkiego.

— Dzisiaj znowu wodospad, Johnny?

— Tak, Lotte.

Z pełnym pogardy niesmakiem patrzył teraz z góry na tego żalosego starego kawalera, który gawędził z matką przez telefon.

Przesunął w górę usta i całował teraz otwarte oczy Lotte. Jej gęste rzęsy laskotały go w wargi.

*A gdym oczy jej całował, dzikie zamykała...**

* Z ballady Johna Keatsa w tłum. Jerzego S. Sito.

Od tamtego wieczoru już zawsze nazywał ją w myślach *La Belle Dame Sans Merci*. Nie dlatego, że czar, jaki na niego rzuciła, był zły, lecz ponieważ znalazł się całkowicie i bezapelacyjnie pod jej urokiem. Co noc chodzili nad wodospad. Czasami siedzieli razem tuż nad przepaścią w pełnym zachwyty milczeniu. Czasami Lotte niechętnie opowiadała mu o trudnym, pełnym goryczy i samotności życiu, jakie wiodła, zanim go poznała. W ciągu dnia, jeśli udało jej się wyrwać z pracy, jeździli konno albo pływali w oceanie. Claire zawsze żarliwie utwierdzała go w jego kalectwie. U boku Lotte John odkrył, że ruch

bardzo mu służy. Lotte miała w swoim małym pokoiku gramofon. W niektóre popołudnia zasiadali przy nim razem i słuchali, jak Landowska gra *Wariacje Goldbergowskie* albo *Pierrot lunaire* Schoenberga. Z Lotte nawet muzyka wydawała się być nowa i wspaniała.

Czuł się tak, jakby jego żyły zostały oczyszczone z trucizny, która je wypełniała, a której obecności nie był do tej pory świadomy. Każdego dnia z coraz większą jasnością zdawał sobie sprawę z tego, jak jałowe i zepsute życie wiódł dotąd z Claire. I chociaż Lotte ani razu już nie wymieniła imienia jego matki, patrzył teraz na nią całkiem innymi oczyma, pod porcelanowym uśmiechem i pieśzcotliwymi gestami dostrzegając prawdziwą kobietę. Matkę-ludożercę, która usiłowała pożreć swoje potomstwo. Wroga. Tym właśnie zawsze dla niego była — wrogiem.

Coś jednak — może było to tchórzostwo, a może resztki lojalności — zmuszało go do codziennego pisania listów do matki i punktualnie o wpół do dziewiątej wieczorem kazało mu wracać do pokoju i oczekiwać jej telefonu. Czasami gawędząc z nią, słyszał w swoim głosie tę samą dawną czułość i nie mógł się nadziwić, że jest zdolny do takiego oszustwa.

Ale gdy tylko znowu znajdował się u boku Lotte, wszystko inne przestawało się liczyć. Lotte ciągle nie mogła się nim nasycić. Były w niej siła i ogień, które prawie ze szczętem go pochłaniały. Jego dusza i ciało poznały takie rodzaje uniesień, o jakich nie śmiałyby nawet marzyć przed poznaniem jej. Czasami wydawało mu się, że jest zbyt słaby, aby przetrwać taką ekstazę. Lecz jeśli nawet przez ułamek sekundy zatęsknił czasem do spokoju dawnego życia w Worcester, nie bał się tych chwil, gdyż wiedział, że to nie Johnny Crane przez niego przemawia, ale Ofiara — żaloszny stary kawaler...

Pewnego wieczoru, mniej więcej tydzień po tym, jak się poznali, John i Lotte wybrali się na piknik w góry. Jedli kolację, a słońce powoli gasło nad spienionym wodospadem. Lotte była radosna i szalona. Podniecony jej niesfornymi pieśzcotami, John Tuthill Crane zapomniał o bożym świecie. Gdy w końcu zerknął na zegarek, było już dziesięć minut po ósmej. Poczul coś na kształt wyrzutów sumienia.

— Lepiej już wracajmy. Wolę być w hotelu, kiedy zadzwoni matka.

— Nie! — Lotte odwróciła się gwałtownie, a jej oczy rozbłysły gniewem, który go przestraszył. — Nie — krzyknęła. — Do diabła z nią. Nie zgadzam się. — Rzuciła mu się w ramiona, całowała jego policzki, usta, oczy. — Zostań ze mną Johnny. Zostań ze mną. Nie pozwól jej tego zniszczyć. Proszę cię, Johnny.

Nagle Filadelfia wydała mu się równie odległa jak Wielka Niedźwiedzica...

Kiedy około drugiej nad ranem wrócili do hotelu, Lotte poszła z nim do jego pokoju. W chwili gdy wchodzili do środka, rozległ się dzwonek telefonu. Dreszcz przebiegł po plecach Johna Tuthilla Crane'a. — To na pewno matka.

— Nie odbieraj. Nie odbieraj.

Telefon ponownie zadzwonił. Dłoń Johna zawisła na chwilę nad aparatem, po czym podniosła słuchawkę. Usłyszał głos telefonistki, a potem Claire: — John, mój najdroższy, mój skarbie, czy to ty?

Zdziwiło go brzmienie jej głosu. Był lekko zachrypnięty i drżał od tłumionego napięcia. To dziwne, ale kojarzył mu się z głosem Lotte. — Tak, Claire.

— Kochanie, co się stało? Byłam przerażona, po prostu przerażona. Miałeś jakiś wypadek? Och, John, tylko mi nie mów, że coś sobie zrobiłeś!

John Tuthill Crane poczuł, że cały się kurczy. Nieudolnie usiłując nadać głosowi pojednawczy i obojętny ton, powiedział: — Przepraszam cię, Claire, ale wybrałem się na piknik i...

— Na piknik! — Podniesiony głos matki brzmiał teraz ostro i nieprzyjemnie, słysząc w nim było narastającą wściekłość. — Dręczysz mnie godzinami. Do drugiej nad ranem przesiadujesz na jakimś pikniku!

— Ależ Claire...

W jej śmiechu niebezpiecznie pobrzmiwały nutki hysterii. — Dzwoniłam, żeby ci powiedzieć, że za cztery dni będę mogła wrócić do domu. Myślałam, że się ucieszysz. Ale najwyraźniej teraz, kiedy odkryłeś ekscytujące rozkosze nocnych pikników, nie będziesz chciał wrócić.

— Ależ Claire, posłuchaj...

— Mam cię słuchać? Nie wyobrażam sobie, co ciekawego mógłbyś mi powiedzieć. Nie widzę też powodu, dla którego w przyszłości

miałabym do ciebie dzwonić. Znasz mój numer telefonu. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, na przykład pieniędzy...

— Mamo...

Usłyszał szcęk odkładanej słuchawki. Po raz pierwszy w życiu posprzeczał się z Claire, a jej gwałtowna reakcja przeraziła go. Również po raz pierwszy był świadkiem tego, że Claire odrzuciła pozory i ukazała mu się naga w całej swej zachłanności i nienasyceń. Matka pożerająca swoje potomstwo. Przed oczyma stanął mu odrażający obraz polującej modliszki — zielone szczęki zaciskające się wokół suchych, bezwładnych nówek owada.

Lotte oparła mu ręce na ramionach. Pod rozrzuconymi włosami widział utkwione w niego oczy. — Wszystko słyszałam. Ona traktuje cię jak niewolnika. Nie widzisz tego? Narzuciła ci swoje więzy.

Ledwie zauważalnie wzruszył ramionami.

— Johnny. — Potrzęsła nim brutalnie. — Johnny, Kochaj mnie, ożeń się ze mną.

Lecz jego męskość go opuściła. Z potworną jasnością ujrzał siebie samego takim, jakim naprawdę był. Nie da się w ciągu jednej nocy wymazać całej swojej przeszłości. Miał trzydzieści sześć lat. Claire była jedyną osobą, która nazywała go chłopcem. Przez trzydzieści sześć lat trucizna zrobiła swoje. Nie tylko jego ciało było kalekie. Szepnął: — Ona nigdy mi nie pozwoli.

Lotte zarzuciła mu ręce na szyję. — A jakie to ma znaczenie, Johnny? No, jakie?

— Wiesz przecież, że nie mam pieniędzy. Ona nie da mi ani centa. Nie potrafię robić niczego pożytecznego. Gram na pianinie, rysuję. Nigdy nie pracowałem.

— Ale mógłbyś zacząć, Johnny. Naprawdę.

Całowała go, ale jej ciepłe, długie pocałunki zdawały się być przeznaczone dla kogoś innego — dla kogoś, kto nigdy tak naprawdę nie istniał, dla Johnny'ego Crane'a, a nie jakiegoś żalostnego starego kawalera.

— Gdyby tak umarła — wyrwało jej się. Wyszeptała mu to prosto do ucha: — Gdyby tak twoja matka umarła...

Przez dwa kolejne dni Claire nie dzwoniła. John również do niej nie dzwonił. Cały czas spędzał z Lotte, ona zaś nieustannie nalegała,

aby się z nią ożenił. Była w niej determinacja i niezłomne pragnienie zachowania swojej zdobyczy, jakie może mieć tylko europejski uchodźca, wykarmiony potwornościami i bezprawiem. Jej wola była tak silna, że czasami John niemal wierzył w wizję przyszłości, jaką przed nim roztaczała: oni dwoje razem, unoszeni miłością, wspólnie stawiają czoła wrogiemu światu. Raz nawet, ulegając jej namowom, zaczął pisać list do Claire, chcąc jej wszystko wytłumaczyć. Lecz pióro nie chciało go słuchać. Był tchórzem. Wiedział o tym i wiedza ta go porażała. Dzięki Lotte przejrzał na oczy i zobaczył, jak zręcznie Claire, szafując uśmiechami i wykorzystując cały swój urok, odciągała go w przeszłość od wszystkich dziewcząt, jakie pojawiały się na jego drodze. Bał się jej. Był marnym robakiem. Perspektywa życia bez jej pomocy finansowej śmiertelnie go przerażała.

W tamtych dniach miłość Lotte stała się jeszcze bardziej namiętna i gwałtowna. Poddał się jej bezwolnie, a ich uczucie miało słodko-gorzki smak spotęgowany świadomością, że prędzej czy później to wszystko się skończy. Odczuwał uniesienie, któremu towarzyszyło coś na kształt paniki. Nic już nie było pewne, w niczym nie mógł znaleźć oparcia.

Trzeciego dnia wieczorem, akurat w chwili gdy, jak zwykle, miał wybrać się z Lotte nad wodospad, przyszedł telegram do Johna Tuthilla Crane'a. Palce mu drżały, kiedy go odbierał. Nie miał odwagi go otworzyć, stanąć twarzą w twarz z nieuniknionym, więc po prostu schował go do kieszeni.

Jednak gdy tylko znaleźli się nad wodospadem, w miejscu tak ściśle związanym z miłością, jaką żywił do Lotte, ogarnął Johna dziwny spokój. Lotte leżała milcząca, z głową na jego kolanach, kiedy wyjął z kieszeni telegram. Natychmiast poderwała się, wyrwała mu go z ręki i wykonała taki gest, jakby chciała porwać go na kawałki. Po chwili wahania zmieniła zdanie. Przecięła kopertę. W jasnym świetle księżyca zobaczył, jak pochyła się do przodu i dziwnie skulona usiłuje odczytać niewyraźne słowa.

Podawała mu kartkę. Zapalił zapalniczkę i przy jej świetle przeczytał:

**TAK BARDZO SIĘ MARTWIĘ. WYBACZ SWOJEJ NIEMĄDREJ
CLAIRE.**

PRZYJEJDŹAM JUTRO POCIĄGIEM O SIÓDMEJ.

Oderwał wzrok od telegramu i spojrzął na Lotte. Siedziała tuż obok niego, a w jej ciemnych oczach płonęło jakieś dzikie, nieziemskie światło, przyprawiając go o dreszcze.

— Mógłbyś przyprowadzić ją tutaj, żeby zobaczyła wodospad... — Biała dłoń Lotte wskazywała w dół, na otchłań, która rozpościerała się przed nimi. — Gdyby stanęła w tym miejscu, a potem się potknęła...

Na moment Johna Tuthilla Crane'a ogarnęło przerażenie, a potem, ku jego zaskoczeniu, jego miejsce zajęło coś innego. Przyprawiające o zawrót głowy podniecenie, nagle, straszliwe pragnienie wyzwolenia się z więzów. Nachylił się i pocałował ją. Sam sobie wydawał się olbrzymem.

Nic nie powiedział, ale ziarno zostało zasiane i zaczęło kiełkować.

Tamtej nocy, po powrocie do hotelu, Johnny Crane po raz pierwszy poszedł z Lotte do jej pokoju. Leżeli w ciszy, przytuleni do siebie jak dwoje dzieci. Prawie się do siebie nie odzywali, jakby doszło do takiej komunii ich ciał, że żadne słowa nie były już im potrzebne. W końcu jednak zabrzmiały w ciepłym mroku sypialni. Johnny słyszał głos Lotte, a jednocześnie miał wrażenie, że słyszy swoje własne myśli: „Zabierzesz ją nad wodospad. Ja będę tam jako świadek. Albo ty będziesz świadkiem, a ja...”

Pani Claire Crane wchodziła po schodach hotelowych; jej dłoń w rękawiczce wspierała się lekko na ramieniu syna. John nigdy jeszcze nie widział, aby tak pięknie wyglądała. Lawendowa suknia i kapelusz z obszernym rondem, i jedno, i drugie specjalnie dobrane, aby dodawać jej młodzieńczego wyglądu, dopełniały całości, tworząc obraz tak delikatny, jakby wyszedł spod pędzla Gainsborougha. W taksówce, którą jechali ze stacji, rozpływała się w serdecznościach, zabawiając go anegdotami o chorych na odrę bratankach i komentując dowcipnie najnowszą książkę Cyrila Connolly'ego, którą właśnie czytała. Nic w jej zachowaniu nie przypominało tamtej neurotycznej harpii, histeryzującej przez telefon.

Drżąc wewnątrz w oczekiwaniu tego, co miało się wydarzyć, John wpadł w narzucony przez matkę swobodny ton rozmowy z łaźnią, która go zdumiała.

Widząc słynną „salę rekreacyjną”, pani Crane roześmiała się perliście. — Skarbie, toż to wypisz wymaluj twoja stryjeczna babka Emily.

John Tuthill Crane uśmiechnął się do siebie. Spodziewał się takiego komentarza.

Wcześniej ustalili z Lotte, że podczas kolacji usiądzie ona obok nich przy sąsiednim stoliku. Była już tam, gdy wprowadził matkę do jadalni. Dzięki temu, gdy zajęli swoje miejsca, łatwo było dokonać niezobowiązującej prezentacji.

Pani Claire Crane obdarzyła Lotte uroczym uśmiechem, lecz uwadze Johna nie umknęło badawcze spojrzenie jej błękitnych oczu.

— Bardzo mi przyjemnie — wymamrotała. — Jak to miło, że John nawiązał tutaj takie sympatyczne znajomości. Tak się bałam, że będzie się nudził...

Od czasu ich przedwojennej podróży do Hiszpanii Claire przejęła południowy zwyczaj udawania się na wieczorną przechadzkę „dla poprawy trawienia”. Nietrudno było sprowadzić rozmowę na temat wodospadu. Jak było umówione, Lotte zaproponowała: — Twoja mama koniecznie powinna go zobaczyć przy świetle księżyca, Johnny.

— Wodospad w świetle księżyca. Jakie to słodkie. — Pani Crane położyła dłoń na ręce Johna. — Oczywiście, musimy to zobaczyć...

Johnny. — Uśmiechnęła się do Lotte. — A pani musi nam towarzyszyć.

John poczuł nagły przypływ paniki. Zaczął się jękać: — Droga jest raczej stroma, mamó. Cały czas pod górę. Może...

— Skarbie, nie jestem jeszcze aż tak zniedołężniała. — Pani Crane poklepała go po policzku i zwróciła się do Lotte: — To okropne, jak ten chłopiec mnie rozpieszca. Wciąż mu powtarzam, że jest do mnie za bardzo przywiązany i że powinien się ożenić. Ma tyle prześlanych przyjaciółek w Worcester. Ale on jest taki nierozsądny. Upiera się, że ożeni się dopiero, gdy będzie w stanie utrzymać żonę. Tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, czy pieniądze należą do mnie, czy do niego.

Ten bezpośredni atak, wypowiedziany najłagodniejszym z tonów, uświadomił mu, że matka zdążyła już wyczuć w Lotte rywalzkę, ale także przyprowadził go o dziwny dreszcz podniecenia na myśl, że walczą

o niego dwie kobiety. Rozwiązał również jego chwilowe wątpliwości i obawy.

— A zatem zgoda, Claire — powiedział niemal nonszalancko. — Po kawie zrobimy sobie wycieczkę do wodospadu.

Ogłuszający ryk spadającej wody zakłócał nocną ciszę. Lotte nieco ich wyprzedzała. Pani Crane cały czas trzymała Johna pod rękę. Miał wrażenie, jakby to ona go wspierała, zamiast szukać oparcia u niego. Po raz pierwszy od wielu dni przypomniał sobie o swoim kalectwie.

Minęli zakręt i oczom ich ukazała się kaskada spienionej i wzbudzonej wody. Lotte przeszła przez gąszcz paproci, aż na samą krawędź urwiska. Pani Crane puściła ramię Johna i z zachwytem klasnęła w dłonie.

— Jak cudownie. — Roześmiała się perliście. — Jestem pewna, że to właśnie tutaj urządziłeś te swoje pikniki, John.

Podeszła do Lotte i stanęła obok niej na skraju przepaści. John usłyszał głos matki, ostry jak świst nagiego miecza:

— Cóż to za urocze miejsce, aby marzyć, skarbie. Zawsze uważałam, że lato to doskonały czas na marzenia, zgodzisz się ze mną? Czas niezobowiązujących związków, pięknych i ulotnych jak motyle.

Obie stały teraz tuż nad ziejącą u ich stóp otchłanią. Nadszedł właściwy moment. Podpierając się laską, John Tuthill Crane ruszył w kierunku dwóch kobiet. Wyraźnie widział drobne, zgrabne plecy matki. W świetle księżycy wydawała się niemal dziewczynką.

Spieniona woda pulsowała w rytmie jego krwi. Z nagłą, obezwładniającą jasnością zdał sobie sprawę z tego, co za chwilę straci. Czuł się tak, jakby to on miał za moment utonąć; całe jego przeszłe życie przesunęło mu się przed oczyma w korowodzie zwodniczych, malowanych fałszywym złotem obrazów. Następnie ujrzał przed sobą Lotte, piękną i zmyslową — symbol wszystkiego, co miało związek z namiętnością, było fascynujące i realne. *La Belle Dame Sans Merci*.

Stał tak blisko matki, że czuł zapach jej perfum. *Parma Violet*. Znajoma woń wydała mu się nagle kwintesencją ich sztucznego życia w Worcester. Rozpaczliwe pragnienie uwolnienia się z więzów, które mu narzucono, dodało mu odwagi. Upuścił na ziemię laskę i wyciągnął przed siebie obie dłonie, po czym popchnął z całej siły.

Rozległ się przeraźliwy, cienki krzyk. Przez chwilę wydawało mu się, że jest to jedyny dźwięk na świecie, lecz natychmiast zagłuszył go ryk wzburzonej wody.

John Tuthill Crane siedział na łóżku w swoim pokoju hotelowym. Był cudownie spokojny. Teraz, gdy dochodzenie dobiegło końca i wydano wyrok — nieszczęśliwy wypadek — wydawało mu się niemożliwe, aby kiedykolwiek jeszcze miał doświadczać wątpliwości i strachu. Na zawsze pozbył się zatruwającej jego krew trucizny. Wygrał najważniejszą w życiu bitwę dzięki własnej odwadze i jasności widzenia. Wiedział, czego chce, i zdobył to.

Dobiegł go jej głos, który też był częścią tego nowego spokoju ducha. — Moje biedactwo, to musiał być dla ciebie prawdziwy koszmar. Wspaniale poradziłeś sobie podczas śledztwa.

Tak, przyznał nieskromnie w duchu John Tuthill Crane, rzeczywiście wspaniale sobie poradził.

— Byłeś do niej przywiązany, prawda?

— Tak mi się wydawało.

— Wynagrodzę ci to, skarbie. O nic się nie martw.

— Wiem.

— Taki okropny wypadek. Żeby tak nieszczęśliwie się pośliznąć... Najdroższy, może nie jest to najbardziej odpowiednia chwila, ale wydaje mi się, że tak będzie lepiej — dla ciebie.

Tak będzie lepiej.

— Nie była dla ciebie odpowiednia. Od razu to zauważyłam. Nie była... Nie była prawdziwą damą. Poza tym była zaborcza. Pożarłaby cię jak jakaś modliszka, skarbie.

John Tuthill Crane zadrżał na wspomnienie wyczerpujących chwil namiętności i posłał uśmiech jedynej kobiecie, jaką mógł w życiu kochać.

— Tak, mamó — powiedział.

PANIE, TY NA MNIE PATRZYSZ

Biurowy zegar wybił piątą po południu. Pan Loomis spojrzął na cyferblat, marszcząc przy tym brwi. Nienawidził godziny piątej i bał się jej tak, jak większość ludzi boi się śmierci. W jego pojęciu godzina ta zwiastowała śmierć każdego dnia, ponieważ oznaczała konieczność opuszczenia biura. A tylko w biurze pan Loomis czuł się kimś ważnym i posiadającym jaką taką pozycję.

Zamknął księgę rachunkową i wzdychając cicho, odniósł ją do kasy pancерnej. Jak tylko mógł, opóźnił moment wyjścia z pracy, porządkując swoje i tak już nieskazitelnie czyste biurko. Ułożył ołówki w rzędzie równo jeden obok drugiego, najpierw pionowo, potem poziomo, poprzestawiał kałamarze i wreszcie poszedł po płaszcz. Gdy na koniec wychynął z szatni, ubrany w swój stary melonik i czarny płaszcz z kołnierzem ze sztucznego aksamitu, wyglądał jak setki innych zmęczonych, niepozornych ludzi w zniszczonym nalotami Londynie. Wąsy miał równie wystrzępione, co mankiety, jego przednie zęby wymagały leczenia, on sam zaś garbił się zdecydowanie za mocno jak na pięćdziesięciolatka.

Jego dzień pracy dobiegł końca. Teraz pozostawało mu jeszcze tylko jedno — przyjemność pożegnania się z panną Henderson. Pan Loomis zszedł po schodach, przyspieszając nieco kroku na widok światła, palącego się nadal w gabinecie pana Tinkera. Rose Henderson była sekretarką prezesa. Była także kierownikiem sprzedaży i — od przypadku do przypadku — osobą odpowiedzialną za kontakty z matkami, jako że firma Tinker i Smythe handlowała głównie patentowanymi lekami dla dzieci. Tego ostatniego tytułu używała, podpisując się pod listami dotyczącymi eliksiru na krup lub środka przeciw pasożytom, dwóm najlepiej sprzedającym się produktom firmy.

— Ciężki dzień, panno Henderson? — Była to jego stała formułka, którą powtarzał od lat niemal codziennie.

— Taki sobie, panie Loomis. Muszę jeszcze dokończyć kilka listów.

Rose Henderson podniosła głowę znad biurka i uśmiechnęła się do niego, ukazując szereg prawie doskonałych zębów. Były one niestety jej jedyną prawdziwą zaletą. Miała zbyt szeroki nos, a oczy, ukryte za grubymi szklami bez oprawek, były stanowczo za małe. Jej włosy zaś wyglądały zawsze jak gniazdo czystej, lecz nieporządnej czapli. Mimo to panu Loomisowi podobało się, jak wyglądała.

Prawdę mówiąc, był nieuleczalnym romantykiem i od kilku lat chyba troszeczkę się w niej podkochiwał. Oczywiście uczucie to było jak najbardziej niewinne, ponieważ w rzeczy samej pan Loomis był żonatym mężczyzną. Prawdopodobnie nie poznałby nawet imienia panny Henderson, gdyby nie fakt, że jako kasjer firmy co miesiąc wypisywał czek z pensją dla niejkiej Rose K. Henderson. Czasami zastanawiał się tylko, jakie imię kryje się za literą „K”.

Wszystko zaczęło się od wyblakłej fotki, którą panna Henderson dla żartu pokazała panu Loomisowi jakieś dziesięć lat wcześniej, na pikniku z okazji ślubu pana Tinkera. Zdjęcie przedstawiało bosonogą Rosie Henderson w wieku lat ośmiu, radośnie ssącą lizaka na plaży w Burnham-on-Sea. Pan Loomis przywłaszczył sobie tę fotografię i odtąd trzymał ją, odwróconą, w zamkniętej szufladzie domowego biurka. Od czasu do czasu wyjmował ją i myślał wtedy, że panna Henderson, która musiała mieć już około czterdziestu lat, powinna być matką całej gromadki podobnych do niej dziewczynek. A nieraz nawet roił sobie, że on i panna Henderson mogliby...

Ale nie. Nie należy zapominać, że pan Loomis był mężem najwierniejszej i najbardziej godnej szacunku kobiety, której usta nigdy nie tknęły alkoholu, tytoniu, ani warg żadnego mężczyzny poza nim.

— Dobranoc, panie Loomis.

— Dobranoc, panno Henderson.

Pan Loomis ponownie włożył na głowę melonik i wyszedł wprost w gęstą mgłę, która w styczniowe wieczory spowijała dzielnicę Clerkenwell. Z satysfakcją odnotował, że na przystanku autobusu jadącego do Pimlico ustawiła się już całkiem spora kolejka. Przy odrobinie szczęścia uda mu się przepuścić jeden, a może nawet dwa autobusy

i w ten sposób opóźni tę nieuniknioną chwilę, gdy trzeba będzie zastukać do frontowych drzwi i wejść do domu.

Czekając na autobus, mechanicznie przebierał palcami w kieszeniach płaszcza. Ich zawartość wprawiałaby w zakłopotanie każdego ucznia. Były tam dwie kostki cukru i cukierek (dodatkowy wydatek w wysokości dwóch pensów), które zachował z podwieczorku. Była też pastylka na kaszel, pół herbatnika zawinięte w starą fakturę oraz dwie firmowe koperty z brązowego papieru. W jednej z nich pan Loomis z prawdziwą dumą umieścił swój łup, jako że owe resztki miały być darem dla jego najnowszej przyszywanej „córeczki”.

Bowiem pan Loomis — ojciec, który rozminął się ze swoim powołaniem — uwielbiał małe dziewczynki. Miał całe zastępy „córeczek”, które zjednywał na setki różnych sposobów. Była błękitnooka Lucy Green z drobnymi loczkami, której serce zdobył ozdobnymi zabawkami, wykonywanymi potajemnie w jego maleńkim warsztacie. Była krótkowłosa i piegowata Belinda Wren (obecnie matka dzieciom), dla której splądrował zapasy gałganków żony i uszył z nich kilka szmacianych lalek oraz misiów. I było jeszcze wiele, wiele innych dziewczynek, ładnych i całkiem zwyczajnych, których twarzyczki rozpromieniały się na widok ulubionego Wujcia Pantalona.

Jego najnowszą miłością była Dina Milton, która ostatnio sprowadziła się wraz z matką do sąsiedniego domu. Było to chucherko z apetytem, którego nie powstydziliby się cały regiment straży miejskiej. Lecz pan Loomis spoglądał na jej niepozorne ciało przez różowe okulary, ponieważ przypominała mu trochę — och, tylko troszeczkę — tamtą małą dziewczynkę z wyblakłej fotografii, którą trzymał w szufladzie biurka.

Zachłanność Diny była szczególnie wzruszająca, gdyż z powodu braków żywnościowych wiele dziewczynek w Anglii było głodnych. Dodatkowy atut stanowił fakt, że pani Loomis stanowczo potępiała swobodny styl życia matki Diny. To, że przy okazji potępiała i Dinę, rozumiało się samo przez się. Bezdzielną uczyniła panią Loomis niezulą na potomstwo innych.

Przepełniony autobus wypluł w końcu pana Loomisa na zewnątrz. Ruszył przez znajome, tonące w mroku ulice, mijając po drodze niskie, ceglane domki, wszystkie jednakowe, aż doszedł do tego, który nazywał się jego domem.

Wolno wszedł po schodach i prawie niezauważalnie poruszył kołatką. Jak dotąd nie okazał się godzien tego, aby posiadać własny klucz.

Drzwi otworzyła jego żona — duża, niebrzydka kobieta, której cera, dawniej brzoskwiniowa, obecnie bardziej przypominała kolorem dojrzałą śliwkę.

— Spóźniłeś się, Loomis — powiedziała tonem kogoś, kto od lat powtarza tę samą kwestię. — Pewnie znowu zatrzymali cię w biurze?

— Nie, nie, kochanie. — Pan Loomis pospiesznie cmoknął śliwkowy policzek żony. — To te kolejki na przystankach. Naprawdę nie wiem, do czego to wszystko zmierza.

Przesunął się bokiem, jak krab, aby powiesić płaszcz i kapelusz w szafie w holu, zdjęty lękiem, że wszystkowidzące oczy żony dojrzą ukrytą w jego kieszeni kontrabandę.

— No cóż, nie miej do mnie pretensji, jeśli obiad będzie spalony na węgiel. — Pani Loomis odwróciła się do niego szerokimi plecami i pobiegła do kuchni, a tymczasem jej mąż przeszedł do salonu, gdzie wyjął z kieszeni pudełko zapalek i zapalił wiszącą na ścianie lampę gazową. Elektryczność nie dotarła jeszcze do tej części Londynu.

Potem pan Loomis usiadł ostrożnie na twardym krześle przy niedużym gazowym kominku, który wolno mu było zapalić dopiero po wieczornym posiłku. Rozejrzał się ponuro po pokoju, nie zauważając nawet, że jest jak zwykle nieskazitelnie czysty i skrupulatnie wysprzątnany. Stwierdził tylko, że jest niewiarygodnie nudny.

Jego wzrok spoczął na oprawionej w ramki wełnianej makatce, umieszczonej nad kominkiem. Widniał na niej napis: PANIE, TY NA MNIE PATRZYSZ.

— Loomis, obiad na stole.

Pan Loomis podniósł się posłusznie, a przechodząc przez hol, ukradkiem wyjął z kieszeni płaszcz obie brązowe koperty. Następnie wszedł do jadalni. Na starannie zastawionym stole leżał czysty obrus, a na nim spoczywał talerz ze stekiem z mięsa wieloryba duszonym w cebulce. Obok stały półmiski ze smażonymi ziemniakami i brukselką, a także chleb i margaryna. Był to obiad równie dobry — zapewniała go każdego wieczoru pani Loomis — jak ten, do którego zasiadano w Buckingham Palace.

Był to także taki sam obiad jak zawsze. I monolog pani Loomis przy stole był taki sam jak zawsze. Pan Loomis słuchał jednym uchem, podczas gdy Mabel opowiadała o swoim niezłomnym męstwie, dzięki któremu przepchnęła się na początek kolejki przed sklepem rzeźnika; o swoim taktycznym sukcesie, jakim było wyłudzenie od sklepikarza paru dodatkowych gramów mąki; o szokującej swobodzie obyczajów wszystkich sąsiadów, a w szczególności pani Milton z sąsiedniej posesji.

— ...Ciągle tylko piwo i piwo... I mężczyźni o każdej porze dnia i nocy... A ta jej dziewczucha... Moim zdaniem nie jest lepsza od matki... Siedziała na naszym ogrodowym murze z całkiem gołymi nogami... O tej porze roku... Gołe nogi, chude jak patyki...

Podczas gdy pan Loomis żuł swój stek z wieloryba, przed oczyma przesuwaly mu się niewyraźne, sentymentalne wizje małej Diny Milton siedzącej na ogrodowym murze w pełnym nadziei oczekiwaniu na smakowite kąski, które zawsze starał się jej przynosić. W jakiś przedziwny sposób jej gołe, chudziutkie nogi zlały się w jego wyobraźni z inną parą dziewczęcych nóg, widzianych na wyblakłej fotografii zrobionej w Burnham-on-Sea.

— Gołe nogi w styczniu! — Pani Loomis podniosła się ciężko i zaczęła sprzątać ze stołu. Jedną z jej wielu podziwu godnych zalet był fakt, że rzadko pozwalała mężowi zbliżyć się do kuchni. Niestety, zaleta ta znacznie utrudniała panu Loomisowi kradzież smakowitych kąsków dla nienasyconej ulubienicy z sąsiedztwa. Wykorzystał więc natychmiast chwilową nieobecność żony, aby potajemnie zsunąć z talerza kromkę chleba wraz z odrobiną margaryny i ukryć je w brązowej kopercie, którą miał w kieszeni.

Pani Loomis wróciła z kuchni, niosąc półmisek z sześcioma apetycznie wyglądającymi babeczkami z dżemem. Gdy po raz drugi zniknęła w kuchni, aby donieść jeszcze nieśmiertelny budyń, jej mąż dokonał w myślach błyskawicznych kalkulacji. Czy powinien zaryzykować i korzystając z okazji, skraść ciastko? Nie. Dobrze wiedział, że Mabel w niczym nie przypomina przysłowiowej gospodyni domowej, co to nie potrafi zliczyć do trzech. Co prawda mógłby spróbować jej wmówić, że to nieopanowane łakomstwo skłoniło go do pożarcia całej babeczki za jednym zamachem, nie zaczekawszy na nią. Na nic jednak zdałyby się jego wykręty. Pani Loomis doskonale wiedziała, że

łakomstwo nie jest jedną z jego wad, i tylko powzięłaby niepotrzebne podejrzenia.

Lecz tego wieczoru szczęście najwyraźniej mu sprzyjało. Pani Loomis była tak pochłonięta haniebnymi postępkami Diny i jej matki, że wszystko inne uchodziło jej uwadze. Do końca kolacji pan Loomis zdążył ukryć w brązowej kopercie jedną całą babeczkę i trzy czwarte drugiej.

Każda rozsądna żona zgodzi się chyba — a te mniej rozsądne z pewnością jej przytakną — że w ciągu dnia przychodzi taki moment, zazwyczaj po wieczornym posiłku, kiedy mężczyzna powinien mieć możliwość udania się do najbliższego pubu i podyskutowania o grze w rzutki nad kuflem lub dwoma kufkami ciemnego albo jasnego piwa. Jednakże pani Loomis była zdania, że jedynym odpowiednim miejscem dla jej męża, kiedy nie siedzi bezpiecznie za biurkiem w pracy, jest dom. Zaś pan Loomis był zmuszony się z nią zgodzić, bez względu na to, czy też tak uważał, czy nie. Tamtego wieczora zasiadł więc na krześle przy świeżo zapalonym gazowym kominku i udawał, że uważnie słucha codziennych wywodów żony na temat jej własnej doskonałości. Jednak nie słuchał jej wcale; myśli jego błądziły nieoczekiwanymi i nieuleczalnie romantycznymi torami.

Ostatnimi czasy coraz częściej pozwalał sobie na takie rojenia, a wszystko zaczęło się kilka lat wcześniej, gdy żona przypadkowo odkryła domek dla lalek, który pan Loomis zbudował dla małej Lucy Green. Pani Loomis postanowiła wówczas podarować ów domek osobiście, ale nie Lucy Green, lecz jakiemuś sierocińcowi, który w swej wielkiej pobożności wspierała. Gniew pana Loomisa nie znalazł wtedy ujścia w żadnym zewnętrznym wybuchu, lecz narastał w ukryciu, stając się z czasem coraz bardziej zapiekły. Nazajutrz po tym fatalnym wydarzeniu, gdy pan Loomis jak zwykle wyjmował księgi rachunkowe z biurowej szafy pancernej, jego wzrok spoczął na niewielkiej zielonej buteleczce, stojącej na półce z toksycznymi substancjami. Na etykiecie widniało słowo: santonina.

Pan Loomis nie był chemikiem, ale lubił myśleć, że dzięki swojej wieloletniej współpracy z firmą Tinker i Smythe poznał leki lepiej niż zwykły laik. Wiedział więc zatem, że nieduże dawki santoniny były używane do produkcji środka przeciw pasożytom. Wiedział także, że jest to trucizna — silna, lecz rzadko stosowana trucizna, której

objawy mogłyby zbić z tropu przeciętnego lekarza, mającego na co dzień do czynienia z objawami zatruc arszenikiem, cyjankiem albo strychniną.

Od tamtej pory niewielka zielona buteleczka stała się stałym elementem marzeń na jawie pana Loomisa. Były to oczywiście jedynie marzenia, nic więcej — fantazje, w których na skutek jakiegoś dziwnego zbiegu okoliczności buteleczka santoniny dostawała się w ręce Mabel... Takie właśnie myśli krążyły panu Loomisowi po głowie niczym niedokończone symfonie.

Dał im się porwać również tego wieczoru, ignorując nieustępliwy i monotony głos żony. Przed oczyma przepływały mu bajecznie kolorowe obrazy: mała Dina Milton i babeczka z dżemem, mała Rosie Henderson i kolorowy lizak, Mabel i niewielka zielona buteleczka...

W końcu pani Loomis uznała, że pora udać się na spoczynek, dzięki czemu pan Loomis także miał sposobność opuścić jadalnię, kierując jednak kroki nie do małżeńskiego łóża, ale do swojej pakamery — jedynego pokoju w całym domu, który mógł nazwać prawie własnym. W jego zaciszu zamierzał przygotować paczki ze smakołykami dla Diny Milton.

W chwili gdy przekraczał próg pakamery, usłyszał dobiegający z łazienki głos żony:

— Loomis, włącz gaz i zapal kominek w sypialni. I zamknij okna, zrobiło się dosyć rześko.

Pan Loomis zrobił, co mu kazano, po czym zapalił jeszcze lampę gazową w swojej pakamerze i usiadł przy małym, własnoręcznie skleconym biurku. Nie przestając nasłuchiwać odgłosów z łazienki, wyjął z kieszeni dwie brązowe koperty i wyłożył ich smakowitą zawartość na blat, dzieląc ją na dwie zgrabne kupki. Następnie ponownie umieścił wszystko w kopertach i każdą z nich przewiązał sznurkiem. Później odmierzył jeszcze około trzech metrów sznurka i spuścił przygotowane paczki z parapetu okna w taki sposób, że zawisły jakiś metr nad grządką chryzantem jego żony.

Czując przyjemny dreszcz podniecenia, wydał długi, cichy gwizd, dając znać małej współpracownicy z sąsiedztwa, że droga jest wolna.

Niemal natychmiast w otwartym oknie na strychu domu Miltonów pojawiła się mała, ubrana w nocną koszulę postać.

— Wszystko gra, Wujciu Pantalonie? — szepnęła Dina.

W odpowiedzi pan Loomis szarpnął sznurkiem, poruszając paczuszkami w górę i w dół, na co Dina zniknęła wewnątrz domu.

Pan Loomis zdawał sobie sprawę, że ta metoda przekazywania łupów była melodramatyczna i niepotrzebnie ryzykowna, lecz wybrał ją, ponieważ dzięki niej miał wrażenie, że on i Dina są bohaterami jakiejś baśni, księciem i księżniczką sprzymierzonymi przeciw złej czarownicy, która w każdej chwili mogła wyskoczyć ze swojej kryjówki i przyłapać ich na gorącym uczynku. Dodawało to smaku jego domowemu życiu i sprawiało, że mocniej odczuwał wszelkie emocje – nieco podobne do tych, których doświadczał podczas najgorszych dni bombardowań.

Nieduża, jasna postać wyłoniła się w oddali z tylnych drzwi domu Miltonów. Dina wspięła się na mur, który przedzielał dwa ogrody, po czym, przyczajając się w mroku niczym doświadczony komandos, podbiegła szybko do grządki chryzantem, które w swoim zapale podeptała, chcąc jak najprędzej dostać się do smakołyków.

Siedząc na parapecie okna, jak wędkarz zarzucający przynętę, pan Loomis poczuł mocne szarpnięcie i popuścił nieco sznurka. Jednocześnie usłyszał trzask drzwi kuchennych i serce w nim zamarło, zobaczył bowiem potężną, barczystą postać żony, stojącej na wąskiej ogrodowej ścieżce i blokującej Dinie jedyną drogę ucieczki.

Przez chwilę dziecko stało niezdecydowanie. Potem jednak postanowiło zaryzykować: dziewczynka pochyliła się i przebiegła tuż pod wyciągniętą ręką pani Loomis.

Kobieta okazała się równie szybka. Wyczuwając strategię przeciwniczki, dała zadziwiająco zwinnego susa i chwyciła Dinę za poję jej obszernej koszuli nocnej.

— Mam cię, panienko — wy dyszała. — Ładnie to tak deptać moje chryzantemy? — Uniosła wolną rękę i wymierzała dziewczynce kilka mocnych ciosów w twarz i głowę. — Ty złodziejko! Wstrętna, mała złodziejko!

Pan Loomis krzyknął, trzęsąc się z oburzenia, lecz głos go zawiódł. Pomknął więc do sypialni, jednym szarpnięciem otworzył okno znajdujące się tuż nad głową jego żony i zawołał: — Przestań, Mabel. Przestań natychmiast! Dziecko nie kradło, powiedziałem jej, że może tutaj przyjść.

Zaskoczona tym nieoczekiwanym atakiem pani Loomis spojrzała w górę, na chwilę rozluźniając swój żelazny uścisk. Dina błyskawicznie wykorzystała nadarżającą się okazję. Oswobodziła się, pozostawiając w dłoni swojej dręczycielki spory kawałek koszuli nocnej, po czym upuściła paczki i pomknęła w stronę muru granicznego, jakby goniły ją wszystkie złe duchy z bajek braci Grimm i Hansa Christiana Andersena.

— Zaraz się z tobą rozprawię, Loomis — pogroziła żona.

W odpowiedzi pan Loomis z całej siły zatrzaskał okno sypialni. Przy tej okazji stłukł szybę, lecz prawie tego nie zauważył. Wściekły jak nigdy dotąd, poszedł do swojej pakamery, przygotowując się w duchu na nieuniknioną konfrontację.

Wkrótce na schodach rozległy się pospieszne kroki pani Loomis. Oskarżycielskim gestem dzierżyła w ręku dwie brązowe koperty, a sznurek ciągnął się za nią niczym ogon komety. Jej nabiegła krwią twarz była purpurowa z gniewu.

— Jedzenie! — wrzasnęła. — *Moje* jedzenie! Dajesz moje jedzenie chudemu bękartowi pierwszej lepszej...

Przerwał jej gwałtowny atak czkawki. Ostatnio Mabel cierpiała często z powodu tej przypadłości; była to właściwie jedyna siła zdolna postawić tamę jej wzburzeniu.

— To tylko resztki — zawołał pan Loomis. — Zresztą nie byłem głodny!

— Resztki! Moje babeczki z dżemem — resztkami!

Ledwo pani Loomis zdołała wykrztusić te słowa, okazało się, że miały być one jej labędzim śpiewem, opanowała ją bowiem prawdziwie huraganowa czkawka. Mamrocząc coś w rodzaju: — Moja niestrawność — popatrz, co najlepszego narobiłeś — pani Loomis wycofała się z pakamery i wstrząsana czkawką zniknęła w łazience, gdzie — jak domyślił się pan Loomis — zażyła środek uspokajający, zapisany jej w ubiegłym tygodniu przez doktora Heathera. Po chwili usłyszał, jak przechodzi do sypialni, gdzie zatrzaskała drzwi i z hałasem zamknęła je na klucz.

Pan Loomis w żadnym razie nie myślał kłaść się spać. Wzburzenie przydało mu niespotykanej wprost odwagi. Te starannie zbierane kąski były przeznaczone dla Diny. To Dina powinna je otrzymać. Pozbierał pokruszone resztki jedzenia i schował na powrót do brązowych

kopert. Następnie, nie usiłując bynajmniej stąpać na palcach, minął drzwi sypialni i zszedł na dół do spiżarni, gdzie znalazł jeszcze dwie pozostałe z kolacji babeczki. Brawurowo włożył je do jednej z kopert, po czym udał się do domu sąsiadów.

Na dźwięk dzwonka drzwi otworzyła mu niebrzydka, drobna kobieta w pogniecionej różowej sukience i z gęstwiną potarganych, różowawych włosów. Była mocno umalowana, ale jej oczy, roześmiane i życzliwe, nadawały jej twarzy wyraz niemal dziecięcej naiwności.

— Och, dobry wieczór — powiedziała. — To pan jest tym Wujciem Pantalonom z domu obok, prawda? Proszę wejść, bardzo proszę.

Pan Loomis podążył za nią do obszernego holu, gdzie jękając się, przeprosił za zachowanie żony i wręczył gospodyni brązowe koperty ze smakołykami dla Diny, wyrażając przy tym nadzieję, że dzisiejsza przykra przygoda jej nie zaszkodziła.

— A więc to o to poszło! — Pani Milton roześmiała się lekko i zajrzała do jednej z kopert. — Ojej! Babeczki z dżemem. Co znaczy oberwać raz czy dwa po uszach, jeśli dostaje się potem babeczki z dżemem? Zaniosę je Dinie, a pan niech się tymczasem tutaj rozgości.

Mówiąc to, wskazała otwarte drzwi salonu, który — jak się okazało — był ciepły, przytulny i miło pachniał salą restauracyjną. Radio grało wesoło, a na stojącym pośrodku stole stało kilka butelek piwa — niektóre puste, niektóre pełne. Na widok pana Loomisa zza stołu podniósł się zwalisty mężczyzna.

— Potts moje nazwisko — odezwał się, wyciągając ku niemu wielką, pokrytą odciskami dłoń. — Al Potts, miło mi pana poznać.

Pan Loomis wymamrotał swoje nazwisko, dodając, że podziela radość ze spotkania.

— A więc to pan jest ten Wujcio Pantalon, he? Córka Mamie, Dina, o nikim innym nie mówi, jak tylko o swoim Wujciu Pantalonie. — Al Potts puścił do niego oko i nalał mu piwa do szklanki. — Dalej, napij się, wujciu.

Pan Loomis zawahał się. Od czasu, gdy będąc jeszcze kawalerem, spędzał wieczory przy kominku, nie tknął żadnego alkoholowego napoju. Lecz ten wieczór był dla niego szczególny, pełen nowych i szalonych doznań.

— Dziękuję, panie Potts. Chętnie napiję się kropelkę.

Usiadł i pociągnął łyk piwa, a tymczasem Al mówił dalej: — Dina jest łakoma, ale trudno dziwić się dzieciakom w tych czasach, że są ciągle głodne. Nikt z nas nie ma dość pożywienia. Chociaż osobiście jestem raczej zwolennikiem napitków. — Zaśmiał się serdecznie z własnego dowcipu i osuszył szklanę.

Pani Milton wróciła do salonu. — Dina dziękuje Wujciowi Pantaloniowi i przekazuje mu wielkiego całusa. — Mówiąc to, zerknęła filuternie na Ala. — Co byś powiedział, gdybym miała to zrobić, Al?

Al chrząknął dobrodusznie.

— Kazała też przekazać tamtej pani słowa, których dziecko w jej wieku nie powinno znać, więc powiedziałam, żeby lepiej siedziała cicho i wzięła się za babeczki.

Od piwa panu Loomisowi zaczęło się kręcić w głowie. — Mabel nie powinna była jej uderzyć. Osobiście ją zrugalem. Tak, powiedziałem jej, co o niej myślę. — Pan Loomis wyprężył swoją wątłą pierś.

— Naprawdę? — spytała Mamie z podziwem.

— Rzecz jasna. Położyła się zaraz do łóżka i... zamknęła drzwi sypialni na klucz.

Mamie westchnęła: — A niech mnie. — Al zaś ponownie napełnił szklanę pana Loomisa. W miarę jak piwo napełniało jego ciało przyjemnym ciepłem, pan Loomis poczuł, że mógłby dorzucić jeszcze to i owo na temat tego „zrugania”. Miło było mieć przed sobą życzliwych słuchaczy — była to dla niego zupełna nowość. Niezobowiązująca serdeczność tych dwojga też go radowała. Nie minęło wiele czasu, a gawędzili ze sobą jak starzy znajomi. Al, który był drobnym przedsiębiorcą budowlanym, skarżył się na sytuację w Anglii, po czym oznajmił, że postanowił wyemigrować do Australii. Uśmiechając się szeroko, zwierzył się panu Loomisowi, że próbuje przekonać Mamie, aby za niego wyszła i wyjechała razem z nim. Mamie śmiała się, nazywając go „błaznem” i „wariatem”. Później jednak, po jeszcze jednej kolejce piwa, usiadła mu na kolanach. Wszystko to było takie swobodne i relaksujące. Pan Loomis był zachwycony.

Przez cały czas towarzyszyła mu wzruszająca myśl o małej dziewczynce, która nasyciwszy swój głód babeczkami z dżemem, śpi teraz rozkosznie zwinięta na piętrecie, śniąc być może o swoim Wujciu Pantalonie.

W tym bezmiarze szczęścia pan Loomis całkiem stracił rachubę czasu. Na ziemię ściągnął go dopiero głos radiowego spikera, jak co wieczór podającego dobrze znany komunikat: — Mieszkańców dzielnicy Pimlico informuje się, że w związku z obecnym kryzysem energetycznym dopływ gazu zostanie odcięty za trzy minuty, czyli punktualnie o godzinie jedenastej. Dostawy gazu zostaną wznowione jutro o piątej trzydzieści rano. Jeżeli ktoś ma w tej chwili włączony gaz — czy to dla oświetlenia, gotowania czy ogrzewania — prosimy zaraz go wyłączyć.

— A niech to! — wykrzyknął pan Loomis radośnie. — Już jedenaście. Ależ się zasiedziałem.

Odrzucając miłe nalegania gospodyni, aby wypił jeszcze strzeżennego, pan Loomis pożegnał się. Kiedy wszedł do własnego zimnego, ciemnego holu, znajomy chłód i świadomość, że piętro wyżej zamiast uśpionej Diny leży jego żona Mabel, wcale nie wytrąciły go z radosnego nastroju. Pomyślał, że Mabel dopiero nazajutrz rano stanie się dla niego rzeczywistością. A teraz było teraz. Chwyając się poręczy, wdrapał się na górę i nie zapalając światła w swojej pakamerze, odszukał kanapę, po czym zapadł natychmiast w słodki sen.

Przez całą noc kołysały go sny o dzieciach, na koniec zaś przyśniło mu się, że spaceruje po plaży w Burnham-on-Sea. Z jednej strony ścisnęła jego rękę mała Dina, z drugiej — Rosie Henderson. Obie dziewczynki cmoktały wesoło, różowe lizaki. We trójkę baraszkowali w piasku, brodzili w wodzie, budowali zamki, a on nosił je na barana.

A potem jego sen zmienił się w koszmar. Nad morzem uformowała się wielka, purpurowa chmura i zaczęła sunąć w ich stronę. Brodzące w wodzie i płaszące dziewczynki zdawały się nie zauważać nadciągającego niebezpieczeństwa. Pan Loomis wiedział, że to musi być jakiś straszliwy atak chemiczny. Próbował krzyknąć, aby je ostrzec: „Gaz... Gaz...”

Ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Podźwignął się z trudem, żeby zrzucić z siebie obezwładniające go okowy snu. W tym samym momencie poczuł uderzenie i obudził się na podłodze własnej pakamery, zsunąwszy się przez sen z wąskiej kanapy.

Spojrzał z roztargnieniem na zegarek i w słabym świetle poranka zobaczył, że jest za dwadzieścia pięć minut szósta. Usiadł na podłodze

i pociągnął nosem. Jeszcze na dobre się nie rozbudził, lecz mimo to był pewien, że czuje w powietrzu gaz. Oczywiście to jakiś nonsens. Ale czy na pewno? Pan Loomis wstrzymał oddech i nasłuchiwał przez chwilę. Tak, bez wątpienia słyszał delikatny syk dobiegający od strony lampy gazowej nad jego biurkiem. Zapach gazu również się nasilał. W ułamku sekundy przypomniał sobie niecodzienne przyjemności, jakich zaznawał poprzedniego wieczora. Przed wyjściem do Miltonów zapalił lampę gazową w pakamerze, lecz po swoim entuzjastycznym powrocie do domu zapomniał — jako że gazownia zdążyła już odciąć dopływ gazu — że zawór jest nadal odkręcony. Podbiegł teraz do ściany i zakręcił go. Syczenie ustało. Wtedy otworzył szeroko okno, wpuszczając powiew chłodnego, porannego powietrza.

Nieco roztrzęsiony, lecz i dumny z tego, że niemal otarł się o śmierć, pan Loomis nałożył kaptcie i szlafrok, wyszedł na korytarz i zamknął drzwi do pakamery. Potem, jak to miał w zwyczaju, poszedł do kuchni, gdzie napełnił czajnik, aby zrobić poranną herbatę, której filizankę codziennie zanosił żonie do łóżka.

W chwili gdy przykładał zapałkę do gazowego palnika, w jego pamięci znowu coś drgnęło. Minionego wieczoru, zanim miała miejsce cała awantura, na polecenie żony zapalił gazowy kominek w sypialni. Mabel miała twardy sen — zasypiała prawie natychmiast, zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki. Zawsze też pozostawiała kominek zapalony, wiedząc, że on go wyłączy, gdy będzie kładł się spać, co w normalnych okolicznościach następowało na długo przed wyznaczonym przez gazownię czasem odcięcia dopływu gazu. Na dodatek poprzedniego wieczoru zażyła środek uspokajający przepisany jej przez doktora Heathera. Był więcej niż pewien, że chociaż zamknęła przed nim drzwi sypialni, zasnęła, zapominając zakręcić gaz.

Działając pod wpływem automatycznego impulsu, pan Loomis wyskoczył z kuchni jak oparzony i popędził po schodach na górę. Dopadłszy drzwi sypialni, zatrzymał się zadyszany na leżącym na progu grubym, wełnianym chodniku i poruszył klamką.

Drzwi nie ustąpiły.

— Mabel — zawołał. — Mabel!

Żadnej odpowiedzi.

Pan Loomis zaczął węszyć. Jego nozdrza wciąż przepelniała woń gazu ulatniającego się w pakamerze, lecz mimo to nie miał wątpliwości,

że i tutaj go czuć. Wydobywał się ze szpary pod drzwiami. Mabel zawsze sypiała przy zamkniętych oknach. Leżała tam teraz i zagazywała się na śmierć.

— Mabel!

Pan Loomis kilkakrotnie bezskutecznie szarpnął klamką, po czym okręcił się na pięcie, szukając czegoś, czym mógłby wyważyć ciężkie, drewniane drzwi. Wkrótce jednak w miejsce paniki pojawiło się dziwne uczucie zachwytu, jakby pan Loomis stanął właśnie twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem.

Mabel własnoręcznie zamknęła przed nim drzwi. Mamie i Al o tym wiedzieli. Mabel sama była odpowiedzialna za całą serię drobnych wydarzeń, które doprowadziły ją do tej chwili. Jego głęboko skrywane marzenia — nawet te najbardziej śmiałe — w których główną rolę odgrywała buteleczka santoniny, zawsze zakładały jakiś niezwykle brutalny i przez to niewykonalny czyn ze strony pana Loomisa. Teraz jednak jego marzenia stały się rzeczywistością. Na skutek niezrozumiałych wyroków przeznaczenia, Mabel i buteleczka santoniny — zastąpiona przez zabójczy gaz — w końcu się spotkały, i to w taki sposób, który nie wymagał jego bezpośredniego udziału. Nie potrzeba było żadnych czynów, ani odwagi, ani umiejętności. Niczym też nie ryzykował.

Przez dłuższą chwilę pan Loomis stał całkiem bez ruchu. Wreszcie poczuł lekki, przerażający dreszcz podniecenia, który przebiegł mu po plecach na podobieństwo myszy.

Pochylił się i z rozmysłem chwycił różowo-brązowy chodnik w rózę, który Mabel zrobiła jeszcze przed wojną. Docisnął go tak, aby szczelnie zablokował przepływ powietrza między dolną krawędzią drzwi a deskami podłogi.

Potem stał jeszcze przez jakiś czas, wciągając nosem ostrą, lecz z każdą minutą słabnącą woń gazu i rozkoszując się uczuciem nieporównanie silniejszym od tego, jakiego doznał, gdy Dina pociągnęła za sznurek, a on poczuł się jak wędkarz, któremu ryba połknęła przynętę. Następnie wrócił do kuchni i zaparzył cały imbryk herbaty. Zaniósł go do salonu i usiadł z filiżanką na najmniej niewygodnym krześle. Przygnębiające światło poranka oświetliło haftowany napis na makatce wiszącej nad kominkiem: PANIE, TY NA MNIE PATRZYSZ. Pan

Loomis wstał i ostrożnie odwrócił makatkę napisem do ściany, po czym znowu siadł i wziął do ręki filiżankę z herbatą. Chyba nigdy dotąd nie czuł się tak ważny.

Nikt nigdy się nie dowie — ani też nie będzie w stanie sobie wyobrazić — jakie myśli przemykały przez głowę doktora Crippena w chwili po tym, jak zamordował swoją żonę i w piwnicy pozbył się jej doczesnych szczątków. Człowiek drży ze strachu, zastanawiając się, jakie wizje przepływały przez chory mózg George'a Josepha Smitha za każdym razem, gdy topił kolejną świeżo poślubioną żonę w taniej, cynowej balii. Umysł mordercy jest jak zamknięta księga, do której nie mają dostępu bezbożne oczy zwykłych obywateli, takich jak my, którzy prawdopodobnie nigdy nie odczuwali pokusy, aby popełnić tę najbardziej spektakularną i zwykle najohydniejszą ze wszystkich zbrodni. Nikt też nie potrafiłby, ani by się nawet nie ośmielił, odtworzyć z jaką taką dokładnością procesów myślowych zachodzących w głowie pana Loomisa, gdy tak siedział w swoim nieprzyjaznym, lecz jak zwykle skrupulatnie wysprzątanym salonie, popijając drugą, a potem trzecią filiżankę porannej herbaty.

Niewykluczone, że myślał wtedy tylko o absurdalnie wiarygodnej historii, jaką opowie policji, kiedy ta zjawi się na miejscu tragedii; może rozpamiętywał wszystkie doznane od żony upokorzenia i chłód jej uczuć; może śnił o pannie Henderson i o ich niejasnej, lecz szczęśliwej przyszłości oraz dynastii małych dziewczynek, którą mogliby wspólnie zapoczątkować; a może tylko bawił się nową, niezwykle podniecającą myślą, że oto stał się mordercą — że zatykając tym chodnikiem szparę w drzwiach, zamiast je wyważyć, już na zawsze dołączył do mrocznego grona zabójców własnych żon, stając ramię w ramię z Crippenem, Smithem czy Landru.

Siedząc tak i nasłuchując pierwszych odgłosów budzącego się Londynu, co jakiś czas spoglądał na zegarek. Szósta... Szósta dwadzieścia... Szósta czterdzieści pięć... O siódmej Mabel zawsze wstała, żeby przygotować mu śniadanie. Nie powinien dłużej zwlekać. Co sobie pomyśli policja o mężu, który tak późno zdał sobie sprawę z tragedii?

Pan Loomis odstawił pustą filiżankę, przeszedł do holu i zerknął nerwowo w górę schodów. Serce ścisnęło mu niepokój, bardzo bliski

autentycznej troski o żonę. Wypadł z domu, pobiegł do drzwi pani Milton i zaczął się do nich dobijać. Po chwili w progu stanęła Mamie w pogniecionej podomce, z potarganymi, różowawymi włosami.

— Prędko... — wydyszał pan Loomis. — Moja żona... Gaz... Zamknęła drzwi na klucz. Proszę wezwać doktora Heathera... Prędko.

Mamie w lot pojęła grozę sytuacji. — Al, chodź tutaj — krzyknęła.

Gdy ona wykręcała numer telefonu, zaspany Al stoczył się po schodach, zapinając po drodze spodnie. Po kilku sekundach obaj mężczyźni byli już w domu pana Loomisa.

— To te drzwi — sapnął pan Loomis, gdy znaleźli się pod sypialnią jego żony. — Zamknęła je na klucz. Mówiłem wam... A teraz ten gaz...

Wyraźnie czuł ostrą woń; widział, jak Al całą masą swojego potężnego ciała napiera na drzwi; słyszał szcęk wyłamywanych zawiasów. Nagle jednak wydało mu się, że to wszystko dzieje się gdzieś bardzo daleko, w innym zakątku kosmosu. Al jeszcze raz napał na drzwi. Pan Loomis usłyszał trzask pękających desek i zauważył, że woń gazu robi się coraz bardziej intensywna.

Potem brązowe i różowe kwiaty chodnika, na którym stał, uniosły się w górę i oblepiły mu twarz.

Kiedy oprzytomniał, leżał na wąskiej, niewygodnej kanapie w salonie. W głowie miał zamęt, a w sercu niejasny niepokój. Zdał sobie sprawę, że Mamie siedzi przy nim i zwilża mu czymś rozpalone czoło. Dokładnie na wprost niego był kominek, a nad nim wisiała wełniana makatka. Ktoś musiał ją odwrócić, bo napis PANIE, TY NA MNIE PATRZYSZ raził go prosto w oczy.

— Tylko spokojnie. — Pan Loomis poczuł wdzierający mu się w nozdrza przenikliwy zapach alkoholu. — Już dobrze. Proszę to wypić.

Pan Loomis pociągnął haust brandy, po czym zdołał wykrztusić: — Czy... Czy Mabel nic się nie stało?

Mamie patrzyła na niego poważnie. Zauważył, że jej ciepłe, brązowe oczy przepęchnia litość.

— Lepiej, żeby usłyszał pan to ode mnie niż od lekarza. Biedacstwo, już po niej.

Wśród targających panem Loomisem sprzecznych emocji na pierwszy plan wybiło się niedowierzanie. Mabel, jego pozornie niezniszczalna żona, nie żyła. To, co wydawało się być tylko nieziszczalnym marzeniem, stało się naprawdę. Z nagłą jasnością zdał sobie sprawę, że przykładając do tego rękę, odniósł pierwszy i jedyny w życiu sukces. Zawiódł bowiem jako mąż i jako ojciec; zawiódł nawet jako pracownik firmy Tinker i Smythe, nie doszedłszy do żadnego naprawdę ważnego stanowiska. Dopiero teraz, jako morderca, odnalazł swoje właściwe powołanie.

Drobny morderca, to prawda — morderca, którego bronią stał się wełniany chodnik. Ale jednak morderca, któremu się udało.

Ukradkowe uczucie radości, które poczuł po raz pierwszy, stojąc przed drzwiami sypialni żony, ponownie go przeniknęło. Któż teraz ośmieli się powiedzieć, że jest biednym, nic nieznaczącym człowieczkiem?

Mamie wzięła go za rękę, szepcząc niewyraźne słowa pocieszenia. Pan Loomis rozkoszował się okazywaną mu litością.

Po kilku chwilach do salonu wszedł doktor Heather. Pan Loomis, który nie widział dotąd nowego lekarza swojej żony, ujrzał poważnego młodego człowieka o oficjalnym wyrazie twarzy i uroczystym tonie głosu, który powiedział: — Chciałbym, aby pan wiedział, panie Loomis, że bardzo panu współczuję. Chcę pana również uspokoić. Pan Potts powiedział mi o pana... hm... drobnym rodzinnym incydencie minionego wieczoru. Pan Potts obawia się, że może się pan czuć odpowiedzialny za to, że gaz nie został w porę zakręcony i w rezultacie za... hm... zaistniała tragedia.

Pan Loomis z trudem nadązał za tak pompatycznym monologiem. Usiadł na kanapie i oszołomiony wpatrywał się w lekarza.

— Przede wszystkim — ciągnął młody człowiek — w oknie sypialni była pęknięta szyba. Już sam ten fakt wystarczyłby, aby nie doszło do zabójczego stężenia gazu w pomieszczeniu. Ale to jednak nie gaz zawinił. Pańska żona nie umarła na skutek zatrucia.

Pan Loomis w końcu coś zrozumiał. Ostatnie słowa lekarza przywołały mu przed oczy wczorajszy obraz jego samego trzaskającego ramą okna po tym, jak krzyknął na Mabel. Rzeczywiście pękła wtedy szyba. W osłupieniu zdołał jedynie wykrztusić: — To ona nie umarła...?

— Nie z powodu zatrucia gazem. Jak pan zapewne wie, kilka dni temu pańska żona zasięgała mojej porady w sprawie rzekomej niestrawności. Zbadałem ją i stwierdziłem poważną chorobę serca. Przepisałem jej środki uspokajające i surowo zaleciłem, aby unikała wszelkiego wysiłku i podniecenia. Ów wieczorny incydent z dziewczynką od sąsiadów okazał się jak widać ponad jej siły. Musiała doznać ataku serca wkrótce po tym, jak zamknęła się w sypialni. Z pewnością nie żyła już wcześniej, nim gaz zaczął się ulatniać.

Pan Loomis słuchał i rozumiał. Zaczaj drzeć jak osika. Mamie objęła go współczująco.

— Tak więc — kontynuował doktor Heather tonem, który zachowywał specjalnie na takie smutne okazje — nie ma pan powodu zarzucać sobie żadnego zaniedbania. A gdyby na skutek wczorajszej drobnej sprzeczki zwątpił pan w siłę uczuć swojej żony, mogę pana uspokoić także i w tej kwestii. Kiedy poinformowałem ją o chorobie serca, pańska małżonka nalegała, abym nic panu o tym nie wspominał. Powiedziała, że ma pan wystarczająco dużo zmartwień w biurze. Nie chciała pana dodatkowo niepokoić. — Doktor położył zimną dłoń na ramieniu pana Loomisa. — To była dobra kobieta.

Było tego więcej — o wiele więcej. Doktor Heather zdawał się mówić bez końca o świadczeniu zgonu, o tym, że niepotrzebne będzie formalne śledztwo, o organizacji pogrzebu. Przez cały ten czas nieustannie dzwonił telefon, lecz Mamie i Al, serdeczni i współczujący, wszystkim się zajęli. Pan Loomis, uspokajany kolejnymi filiżankami herbaty i kieliszkami brandy, przeżył ów dzień w stanie całkowitego zamroczenia.

Nareszcie wszystko dobiegło końca i został całkiem sam. Stał pośrodku pokoju, z ramionami zwisającymi bezwładnie po bokach. Wpadające przez okno szare, wieczorne światło zdawało się omiatać haftowany napis na wełnianej makatce, wiszącej nad kominkiem. Nagle, niczym kula rozdzierająca żywe ciało, przeniknęło go straszne uczucie.

Nie odniósł żadnego sukcesu jako morderca.

Poniósł groteskową porażkę. Mabel umarła, tak jak żyła, na swoich własnych warunkach. On zaś był głupim, marnym człowieczkiem, któremu pycha uderzyła do głowy i który posłużył się wełnianym chodnikiem równie niewprawnie, jak dziecko nową zabawką.

W uszach rozbrzmiewał mu głos doktora: *Me chciała pana dodatkowo niepokoić. To była dobra kobieta.*

Pan Loomis czuł się suchy i pusty jak jesienna łupina. Z rozpaczą wpatrywał się w wiszący przed nim napis.

To było kłamstwo. Nawet Bóg go nie zauważał. Był zbyt mały, aby ktokolwiek mógł go dostrzec.

Wszyscy byli dla niego bardzo mili. Firma Tinker i Smythe nalegała, aby wziął sobie dwutygodniowy urlop. Panna Henderson napisała liścik kondolencyjny. Teraz, gdy zła czarownica spoczywała na cmentarzu w Pimlico, mała Dina Milton hasała swobodnie pomiędzy dwoma domami. Jako że Mamie — trzeba przyznać, nieco niedbała matka — z każdym dniem była coraz bardziej zajęta Alem, pan Loomis spędzał upojne godziny z dziewczynką, zabierając ją na spacer do Ogrodów Kensington lub kupując jej słodycze w herbaciarni Lyonsa.

Stopniowo zaczynał wierzyć, że przeznaczenie, odmawiając mu życiowych sukcesów, zaoferuje mu jednak coś w zamian.

Ale ostatniego dnia jego urlopu, gdy już uspił Dinę, czytając jej na dobranoc *Czarnego Królewicza*, jego kiełkująca nadzieja została brutalnie zdeptana. Al i Mamie, z twarzami zarumienionymi od szczęścia i piwa, oznajmili mu, że Mamie zgodziła się w końcu wyjść za Ala i wyemigrować razem z nim. Statek do Australii odpływał za kilka dni, a papiery Ala powinny wystarczyć dla jego żony i dla Diny.

Pan Loomis gładko im pogratulował, lecz później, leżąc samotnie w swoim małżeńskim łóżku, cierpiał męki rozczarowania. Dina była jego nagrodą. Pomachano mu nią przed nosem, by teraz okrutnie odebrać. Przyszłość malowała się przed nim w ponurych barwach. Jedyne, co w niej dostrzegął, to pustkę.

Powoli, nieśmiało, zjawilo się jednak pocieszenie w postaci myśli o Rose Henderson. Przewracał się niespokojnie w pościeli, a przed oczyma przelatowały mu romantyczne obrazy. Widząc go powracającego po urlopie do biura, panna Henderson podnosi głowę znad biurka i w radosnym uśmiechu ukazuje swoje zdrowe, białe zęby. Rumieni się, gdy on dziękuje jej za liścik. A potem może nawet siedzi naprzeciwko niego w jakiejś małej restauracji. *Och, panie Loomis, czekałam na to tyle lat, choć nigdy nie wierzyłam...*

Właściwie, dlaczego nie? Dlaczego nie miałyby tak być? Czyż jego marzenie o buteleczce santoniny się nie spełniło? Im dalej zapuszczał się w świat tych nowych fantazji, tym rozkoszniej szła ogarniała go pewność.

Pan Loomis wysunął się z łóżka i odszukał w portfelu wyblakłą fotografię. Nie musiał nawet rozpalać lampy, żeby przypomnieć sobie każdy szczegół tego dziecięcego ciała, smutne oczy i poważną twarzyczkę, pochłoniętą kolorowym lizakiem.

Schował zdjęcie pod poduszkę i pograżył się w kojącym śnie.

Następnego popołudnia, punktualnie za kwadrans druga pan Loomis minął otwarte drzwi gabinetu pana Tinkera i jak się spodziewał, ujrzał pannę Henderson stojącą przy biurku i porządkującą papiery. Śmiało przekroczył próg.

Panna Henderson podniosła na niego wzrok. — Och, pan Loomis. Jakoś nie widziałam pana...

Pan Loomis także jej nie widział. Widział kogoś, kto był postacią utkaną z jego marzeń, nieistniejącą postacią będącą jednocześnie bosonogą dziewczynką i przyszłą matką wielu takich jak ona bosonogich dziewczynek.

— Chciałem pani podziękować za list z kondolencjami, panno Henderson. Jestem pani bardzo wdzięczny.

Panna Henderson silnie się zarumieniła. — Och, po prostu musiałam do pana napisać.

Ich rozmowa tak bardzo przypominała jego wymyślony dialog, że pan Loomis coraz bardziej odpływał w nierzeczywistość. Nie był już oto niedawno owdowiałym kasjerem, a ona nie była panną Rose K. Henderson, osobą odpowiedzialną za kontakty firmy z matkami. Byli bohaterami wytwornego romansu.

— Panno Henderson, zastanawiałem się, czy nie zechciałyby pani uczynić mi tej łaski i zjeść kiedyś ze mną kolacji.

Róż policzków panny Henderson przeszedł w głęboki, nietwarzowy karmin. — Hm, oczywiście byłoby mi bardzo miło. Ale mieszkam z matką. Jest stara i trochę niedołęzna. Dlatego zawsze...

— Może w jakiejś małej, francuskiej knajpce — ciągnął szarmancko pan Loomis, niezrażony. — Na przykład w Soho. Kameralna kolacja. Z winem...

Panna Henderson poprawiła nerwowo gniazdo czapli nad swoimi grubymi szklami. — Z winem? Nigdy nie pijam wina, panie Loomis. Poza tym, doprawdy, czy to aby nie za wcześnie? Pańska żona dopiero co zmarła, a pan tak szybko...

— Zatrzymałem to sobie — wyznał pan Loomis, wyciągając z portfela wyblakłą fotografię. — Śliczna, mała, bosa dziewczynka.

— Ależ doprawdy! — Panna Henderson wyrwała mu fotografię. — Doprawdy, panie Loomis!

Ton jej głosu wdarł się nieprzyjemnym zgrzytem w marzenia pana Loomisa. Miał niejasne wrażenie, że ich rozmowa nie przebiega tak, jak powinna. Zamrugał powiekami i właściwie po raz pierwszy naprawdę na nią spojrział. Zobaczył nieładny rumieniec, oczy patrzące z pruderią i wściekłością spoza grubych szkieł, przyglądające mu się w taki sposób, jakby podawały w wątpliwość jego trzeźwość.

— Panno Henderson, ja niczego nie sugeruję...

— Doprawdy, panie Loomis, to jest w najwyższej mierze krępujące. Myślę, że będzie lepiej, jeśli oboje zapomnimy o całym tym incydencie.

To był koniec. Straszne słowa zostały wypowiedziane i teraz nie można ich już było cofnąć. Pan Loomis przyjął ich nieuchronne znaczenie do wiadomości i pojął z nagłą jasnością, której ostatnio tak często doświadczał, że również jego ostatnie marzenie okazało się niemożliwe. Było za późno, aby szukać dziewczynki z fotografii w tej suchej, podstarzałej starej pannie, jaką była Rose K. Henderson — o całe trzydzieści lat za późno.

— Tak, panno Henderson — odparł potulnie, tak jak dawniej odpowiadał: „Tak, Mabel”.

Wciąż dręczony bezlitosną ostrością widzenia, wrócił do swojego gabinetu i usiadł za biurkiem nad otwartą księgą rachunkową. Dina przepadła; mała Rosie Henderson okazała się być jedynie wyblakłą fotografią. Po raz pierwszy dotarło do niego, że tracąc żonę, utracił jedyną osobę, która naprawdę do niego należała. Pomimo całej swojej złości i wiecznego gderania, Mabel dawała mu pewne oparcie w życiu. Bez niej nie było już niczego. Może gdyby ją zabił, świadomość tego osiągnięcia w jakiś perwersyjny sposób mogłaby go podtrzymać na duchu. Lecz on tylko próbował ją zabić, poniósł porażkę, a i tak ją stracił.

Pochylając się nad księgą rachunkową, usiłował odnaleźć ukojenie w starannych rzędach cyfr, które kiedyś były jego przyjaciółmi. Ale nawet one mu umykały. Szukając ich po omacku, pan Loomis zrozumiał, że jego umiłowanie pracy w firmie Tinker i Smythe było nierozzerwalnie związane z obawą przed powrotem do domu. Teraz ta obawa zniknęła i nic jej nie zastąpiło.

Pan Loomis zebrał się w sobie i spróbował się skoncentrować na rachunkach. Wydawało mu się, że całymi godzinami sprawdza jedną kolumnę cyfr, aż w końcu wszystkie te funty, pensy i szylingi zaczęły mu tańczyć przed oczyma na podobieństwo muszek.

To nie miało sensu. Zamknął księgę rachunkową i jak automat odniósł ją do kasy pancерnej. Otworzył ciężkie drzwi i umieścił księgę na właściwym miejscu. W chwili gdy to robił, jego wzrok padł na półkę z toksycznymi substancjami, a dokładnie — na niewielką zieloną buteleczkę zawierającą kryształki santoniny.

Wiedział już, jak powinien postąpić. Był to jakby kolejny krok, który — choć nigdy nie brał go pod uwagę w swoich marzeniach — przećwiczył już z tysiąc razy. Zdjął z półki buteleczkę, wytrząsnął kryształki na otwartą dłoń i odstawił buteleczkę z powrotem na miejsce. Następnie dokładnie zamknął kasę pancerną i przeszedł wąskim korytarzykiem do łazienki. Kryształki rozpuściły się szybko w papierowym kubku pełnym wody. Pan Loomis podniósł kubek do ust i wypił.

Czując w ustach gorzki smak, doznał czegoś na kształt ulgi. Być może niejasno zdawał sobie sprawę, że przynajmniej to przedsięwzięcie musi mu się udać.

Wyrzucił pusty kubek do kosza na śmieci i wrócił do swojego gabinetu, gdzie usiadł przy biurku i czekał. Nic już nie czuł. Przeczytał gdzieś, że pierwszym objawem zatrucia santonina są halucynacje, w których wszystko ma żółtawy odcień.

Naprzeciwko niego na ścianie wisiał kalendarz. Do tej pory pan Loomis nigdy nie zwrócił na niego uwagi. Czarująca, kryta strzechą chatka przycupnęła nad brzegiem stawu, w pobliżu młyna. Mały chłopczyk — a może to była mała dziewczynka? — siedział nad wodą i łowił ryby. Zachodzące słońce spowijało całą scenę kojącą, złotą poświatą...

W pewnym momencie pan Loomis zdał sobie sprawę z tego, że ktoś wszedł do pokoju. Wiedział nawet, że była to panna Griffin, jedna z młodszych maszynistek, a gdy odezwała się, mówiąc: — Jakiś pan chciałby się z panem widzieć. Czy mam go poprosić? — jej słowa dotarły do niego, a on kiwnął potakująco głową. Panna Griffin była piękna, podobnie jak całe jego biuro — zachód słońca z kalendarza złocił wszystko i wszystkich.

Gdy w miejsce drobnej figurki panny Griffin pojawił się zwalisty, krzepki mężczyzna, pan Loomis od razu rozpoznał w nim Ala Potts. Nie zastanawiał się wcale, dlaczego Al odwiedził go w pracy. Zdziwił się tylko trochę, widząc, że ojczym Diny roztacza wokół siebie taką niebiańską światłość.

— Cóż, wujciu, mam nadzieję, że nie masz mi za złe tego najścia.

Pan Loomis słyszał wyraźnie każde słowo. Po raz kolejny po królewsku skinął głową.

— Chciałem pogadać z tobą, zanim wrócisz do domu. Jest pewna sprawa i przyszedłem prosić cię o przysługę...

Al przestępował z nogi na nogę niczym niedźwiedź tańczący w świetle ze złota.

— Chodzi o to, wujciu, że dziś rano Mamie powiedziała o wszystkim Dinie i mała zniosła to naprawdę źle. Przez całe popołudnie trajkotała, że nie pojedzie do żadnej wstrętnej Australii i za nic nie zostawi swojego Wujcia Pantalona.

Pan Loomis czuł się lekki jak piórko. Unosił się coraz wyżej i wyżej. Słuchał jednak uważnie i pęczniał ze szczęścia.

— Nic do niej nie trafiało — ciągnął Al Potts — i kiedy ona ryczała, Mamie i ja zaczęliśmy główkować. Na początku życie tam nie będzie znowu takie różowe: ani to właściwy czas, ani właściwe miejsce dla dzieciaka. Pomyśleliśmy więc sobie, że skoro Dina jest tak po uszy zakochana w swoim Wujciu Pantalonie, może mogliśmy ją u ciebie zostawić na, powiedzmy, rok — zanim się na dobre urządziemy... Gdybyś się zgodził, miałbyś naszą dozgonną przyjaźń — zakończył uroczyście Al Potts. — A Dina byłaby najszcześniejszym brzdącem na świecie.

Radość, jaką odczuwał pan Loomis, była tak wielka, że aż sprawiała mu ból. Wszystko wokół błyszczało — jak najczystsze złoto. Dina nie zostawi swojego Wujcia Pantalona. Mimo wszystko będzie

należć do niego. Złoty był piasek — szeroki pas złotego piasku biegł wzdłuż brzegu letniego morza. Dina podskakiwała i tańczyła, aż jej drgały kucyki, a mewy szybowały wysoko nad nią po pięknym, złotym niebie. Patrzcie, odwróciła się! Biegła teraz w jego stronę, a obok niej biegło jeszcze jedno złote dziecko — poważna dziewczynka, ścisnąca w dłoni kolorowego lizaka.

Śmiejąc się i brykając, Dina i Rosie coraz bardziej się do niego zbliżały. Ogarnięty autentyczną ekstazą pan Loomis wyciągnął ku nim otwarte ramiona.

— Hej, wujciu — krzyknął Al Potts. — Co jest? Dobrze się czujesz?

— Jestem szczęśliwy. — Wyciągnięte ręce pana Loomis osunęły się bezwładnie na blat biurka. — Taki szczęśliwy...

W chwili gdy głowa opadła mu na ręce, biurowy zegar wybił piątą po południu.

NIEDŹWIADEK PANI APPLEBY

Wyobraź sobie moją radość — mówiła drżącym głosem Amelia Appleby — podbiegłam do drzwi, a tam stał mój papa z niedźwiadkiem. Prawdziwym, maleńkim, żywym niedźwiadkiem. Był śliczny, choć to za mało powiedziane. Byłam chyba jedyną dziewczynką w Poughkeepsie, która miała własnego żywego... Trudy, ty mnie wcale nie słuchasz.

Pani Appleby szarpnęła gors swojej różowej podomki i spojrzała na młodszą ze swych dwóch bratanic, która stała przy oknie zapatrzona na parny, letni ogród.

— Trudy, co ja powiedziałam?

— Że byłaś chyba jedyną dziewczynką w Poughkeepsie, która miała własnego żywego niedźwiadka. Kochałaś go nad życie. Nikt się nigdy nie dowie, jak bardzo rozpaczałaś, kiedy zrobił się za duży i trzeba go było oddać do ogrodu zoologicznego w Albany.

— Jeszcze do tego nie doszłam. To mój ulubiony fragment. — Stara pani Appleby ściągnęła gniewnie usta. — Nie rozumiem, jak możesz być tak nieczuła. I to wobec swojej własnej ciotki.

Trudy odwróciła się od okna. Na jej zuchwałej, rumianej twarzy, na której wiek średni zdążył już odcisnąć swe piętno, malowało się zniecierpliwienie. — Tysiąc razy słyszałam tę historię o niedźwiadku. Czy to się nigdy nie skończy?

Pani Appleby poczuła słabe ukłucie gniewu. Teraz, kiedy miała osiemdziesiąt lat, nie odczuwała gniewu tak jak dawniej, jako gwałtownej reakcji systemu nerwowego. Obecnie przyjmował on formę miłego podniecenia — niemal przyjemności. Doskonale wiedziała, że w przeszłości wiele razy opowiadała tę historię o niedźwiadku. Wiedziała, że to irytowało jej bratanice. Ale nic ją to nie obchodziło. Uwielbiała opowiadać o swoim niedźwiadku i myśleć o nim. Z każdym

kolejnym miesiącem jego wspomnienie stawało się dla niej coraz droższe i coraz ważniejsze. Odkąd obie jej bratanice, których małżeństwa zakończyły się wyjątkowo nieprzyjemnie, znalazły się całkowicie na jej utrzymaniu, mogła chyba wymagać od nich, aby przynajmniej wysłuchiwały jej opowieści o niedźwiadku.

Słaby płomyk gniewu rozgrzał ją nieco. Skrzywiła usta i zaczęła skubać palcami pościel.

— Popatrz tylko, jak to łóżko wygląda. Koldra. Poduszki.

Trudy wzięła się za żmudne poprawianie pościeli. Pani Appleby z niesmakiem obserwowała poruszające się dłonie bratanicy. Jak to możliwe, pomyślała, żeby jej brat spłodził potomstwo o tak grubych nadgarstkach? Ona sama miała najdelikatniejsze ręce w Poughkeepsie, a jej bratowa — no cóż, może nie wszystko było z nią w porządku, ale mimo to nie brakowało jej elegancji. Pozwoliła Trudy męczyć się jeszcze przez chwilę, po czym odepchnęła ją z rozdrażnieniem.

— Ktoś taki jak *ty* nigdy nie mógłby być pokojówką. Idź lepiej na spacer, zamiast snuć się po domu w taką piękną pogodę.

Gniew dodał koloru i tak już rumianym policzkom Trudy. — Chciałam iść już wcześniej, ale mówiłaś, że będę ci potrzebna.

— To było wtedy. A teraz jest teraz. Zmykaj i przyślij do mnie Melanie. Jest czwarta. Chcę dostać swoją herbatę. Melanie potrafi przynajmniej parzyć herbatę.

Gdy wzburzona Trudy wybiegła z pokoju, pani Appleby poczuła uderzające do głowy podniecenie. Choć była przykuta do łóżka, słuch miała równie dobry, jak dawniej. Tego ranka podsłuchiwała wystarczająco dużo z ukradkowej rozmowy telefonicznej Trudy, żeby dośpiewać sobie resztę. Żona tego okropnego pana Jevonsa wychodziła gdzieś, prawdopodobnie na lunch. Mieliby dla siebie czas od pierwszej do czwartej — o ile tylko Trudy udało się wyrwać z domu.

No cóż, pani Appleby wiedziała teraz, że Trudy nie udało się wyrwać.

Powtarzała sobie, że to, co czuje, to moralne oburzenie. Doprawdy, żeby *jej* bratanica, córka jej rodzonego brata, romansowała z żonatym mężczyzną, i to jeszcze takim okropnym! Lecz prawdę mówiąc, pani Appleby była już za stara, żeby zważać na moralność. Największą radość sprawiało jej krzyżowanie planów Trudy.

Tak, dumiała pani Appleby. To właśnie jest to. Złośliwość.

Zawsze, nawet będąc dzieckiem, potrafiła spojrzeć na siebie z dystansem i chłodno ocenić swoje motywy. Nadal posiadała tę zdolność. Kiedy była młoda, panicznie bała się starych kobiet. Wydawały jej się samolubne, zawistne i okrutne. Teraz zaś sama była starą kobietą; piękna, szalona, mała Amelia skurczyła się w to oto truchło, pomarszczone niczym wyschnięta skórka pomarańczy; jej wielka miłość do niedźwiadka i późniejsze, namiętne uczucie, jakie żywiła do męża, ustąpiły miejsca niekończącym się, zawziętym sprzeczkom z bratanicami. Miała rację co do starych kobiet. Rzeczywiście były potworami.

Pomyślała, że może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby żył jej ukochany Decius. Albo gdyby mieli dziecko. Może nawet ominęłoby ją to wszystko, gdyby udało jej się pokochać bratanicę. Bóg jeden wie, jak bardzo się starała. To nie jej wina, że są takie, jakie są.

Trudy zawsze była zachłanna i nierozsądna. Któż inny poślubiłby nieatrakcyjnego maklera giełdowego, który nie potrafił nawet porządnie obracać akcjami i skończył bez grosza, jako bankrut-samobójca? Melanie była jeszcze gorsza — Melanie, ze swoją urodą, która już w wieku dziewiętnastu lat zdawała się przywiędła, ze swoją chytrą i dewocją. To było do niej podobne, wyjść za męża za pastora z wydatną grdyką, który co prawda uważał się za bezpośrednio łącznika Wilkes-Barre z Panem Bogiem, ale nie miał w banku złamanego centa. Po jego śmierci Melanie opłakiwała powrót męża do Stwórcy. Pani Appleby była jednak zdania, że pastor nigdy Go nie opuścił.

— Tak — mruknęła do siebie na głos pani Appleby, jakby próbując się usprawiedliwić. — Gdyby można je było pokochać, na pewno bym je pokochała.

Lecz żyjąc z kimś bez miłości przez pięć lat pod jednym dachem, można odczuwać tylko irytację, niechęć, a wreszcie nienawiść. W pierwszych latach po tym, jak jej owdowiałe bratanice powróciły, aby zająć się nią w jej wdowieństwie, Amelia była do tego stopnia zdesperowana, że chciała wyznaczyć im obu dożywotnie pensje, byle tylko pozbyć się ich z domu. Ostatecznie drogi Decius zostawił jej w spadku sporo pieniędzy. Mogłaby najać młodą, przyjemną, płatną opiekunkę. Lecz gdy przyszło co do czego, nie potrafiła zdobyć się na to,

aby utrzymać swoje bratanice, ponieważ wiedziała, że tego właśnie od niej oczekiwały.

Obie zawsze zachowywały się jak hieny: Trudy była szczerą do bólu, ujadającą hieną, a Melanie obłudną, świętoszkowatą hieną. Wróciły zwąchawszy jej majątek i teraz kręciły się wokół niego jak wokół zdechłej owcy. Skoro więc one nie okazywały jej ciepła, dlaczego miałyby dać im to, czego tak bardzo pożądały? Niech lepiej na to zapracują, przejmując część obowiązków służących i znosząc jej starcze kaprysy. Niech cierpią, czekając, aż ona umrze.

Przez krótką chwilę duch dawnej, ślicznej małej Amelii burzył się w niej przeciw takiej przewrotności. Lecz wkrótce litość dla samej siebie wzięła w niej górę nad skrupułami.

— Nikt mnie nie kocha — powiedziała na głos. Wiedziała, że przemawia przez nią zgorzkniała stara kobieta. Ale przecież była starą kobietą. Cóż mogła na to poradzić? — Nikt mnie nie kocha.

Do pokoju wsunęła się Melanie. Zawsze przekraczała próg sypialni z pokorą, poruszając się nieco bokiem, jakby niosła tacę. Takie piękne imię! — pomyślała pani Appleby. Jak niewiele wiedzą rodzice, wybierając imię dla swojego dziecka.

— Gdzie moja herbata? — odezwała się.

— Woda już prawie wrze, ciociu. Za chwilę ci przyniosę.

W cieniawym głosie Melanie zabrzmiał obcy ton rozdrażnienia. Pani Appleby uniosła się lekko na poduszkach, żeby przyjrzeć się uważniej twarzy starszej bratanicy. Rzeczywiście, jej twarz była nienaturalnie zaróżowiona, a ukryte za okularami bez oprawek jasnoszare oczy błyszczały. W ręku Melanie tkwił list.

Załóżę się, że znowu napisał do niej któryś z tych okropnych ewangelików z Wilkes-Barre, pomyślała pani Appleby.

Pewna, że Melanie aż kipi chęcią podzielenia się z nią swoimi sprawami, odruchowo zaczęła opowiadać jej historię o niedźwiadku. W miarę jak mówiła, zapominała, że robi to tylko na złość bratanicy. Znowu wspominała z uczuciem rozkoszną miękkość brązowego futerka i cudowne łaskotanie małego wilgotnego pyszczka.

Melanie stała tuż przy jej łóżku, obserwując ją i przyciskając do piersi kopertę. W końcu jej ostry głos wdarł się w świadomość starszej pani, sprowadzając ją na ziemię: — Ciociu, dostałam dzisiaj list z Wilkes-Barre...

— I nikt — ciągnęła mimo to pani Appleby — nikt się nigdy nie dowie, jak bardzo rozpaczałam, kiedy zrobił się za duży i trzeba go było oddać do ogrodu zoologicznego w Albany. Co znowu, Melanie?

— Dostałam list z Wilkes-Barre.

— Ach, tak.

— To bardzo szczególny list. Żona pastora, który przejął parafię po śmierci Edwarda, poważnie zachorowała. Nie ma nikogo, kto mógłby ją zastąpić w obowiązkach, a przynajmniej nikt taki się dotychczas nie zgłosił. Napisano więc do mnie z zapytaniem, czy nie mogłabym wrócić.

Pani Appleby wpatrywała się w Melanie. Wiedziała, jak wiele znaczy dla niej ta niespodziewana wiadomość. Największym szczęściem, jakiego Melanie w życiu zaznała, było pławienie się w opinii najbardziej świątobliwej niewiasty w okolicy i możliwość prześladowania innych, mniej świętych pań z ciasnego kręgu znajomych. Teraz zaś pozycja, którą utraciła po śmierci męża, została jej cudownym zrządzeniem losu przywrócona.

— Muszę natychmiast odpowiedzieć — wyrzuciła z siebie Melanie. — Jeżeli ja się nie zgodzę, będą musieli poprosić kogoś innego. Jest jakaś kobieta... Och, ciociu Amelio, masz przecież Trudy, masz służbę, oni się tobą zajmą. Pozwól mi jechać. Błagam, pozwól mi jechać.

— Nie ma potrzeby aż tak się unosić — warknęła pani Appleby. — Jedź. Nie trzymam cię tutaj siłą.

— Ale oni nie będą w stanie... wypłacać mi pensji. Ani zapewnić żadnego lokum. Chodzi więc o to, żebyś... — Melanie kręciła się niespokojnie. — Ciociu Amelio, to byłaby tylko drobna suma...

Pani Appleby poczuła, że znowu ogarnia ją ta nieprzyzwoita przyjemność starej kobiety. Nie potrafiłaby nad nią zapanować nawet, gdyby tego chciała. — Więc mam cię utrzymywać w Wilkes-Barre. Naprawdę, Melanie. Przecież po mojej śmierci i tak odziedziczysz połowę majątku. Nie masz nawet na tyle przyzwoitości, żeby trochę poczekać?

Spojrzenie tak pełne nienawiści, że aż pani Appleby się przestraszyła, uderzyło w nią zza szkieł okularów.

— To wyjątkowa okazja. Teraz albo nigdy.

— A zatem nigdy. — Pani Appleby bawiła się swoją podomką. — A teraz przynieś mi moją herbatę, Melanie. Już późno.

— Ależ ciociu...

— Moja herbata.

Melanie zawahała się na chwilę przy łóżku. Jej twarz pokryły czerwone plamy, a usta drżały od tłumionej furii. Wreszcie, odrzucając w tył siwiejącą głowę, wybiegła z sypialni.

— Zaraz przyniosę cioci herbatę.

Za moment wsunęła się z powrotem z tacą przez uchylone drzwi. W pełnym napięcia milczeniu postawiła wszystko na nocnym stoliku. Pani Appleby nigdy nie jadła podwieczorku, piła tylko jedną filiżankę herbaty.

— Nalej — rozkazała jak zwykle. — I na litość boską, niech za bardzo nie naciągnie.

Z roztargnieniem patrzyła, jak Melanie krząta się przy starym, srebrnym imbryku do parzenia herbaty, przysłanym ostatnio przez siostrę pani Appleby, która wyszła za szkockiego baroneta. Melanie podała jej filiżankę, rozlewając przy okazji trochę herbaty na spodeczek.

Pani Appleby cmoknęła z niezadowoleniem, wzięła filiżankę i warknęła: — A teraz zmykaj stąd, na miłość boską. Napisz do tego swojego pastora. Wyjaśnij mu, że nie jesteś milionerką. No, zmykaj.

Melanie posłusznie wysunęła się z sypialni. Łatwość zwyczajstwa i perspektywa filiżanki dobrej herbaty rozgrzały panią Appleby. Najpierw udało jej się odciągnąć Trudy od pana Jevonsa, a teraz rozwiąła złudzenia Melanie. Załatwiła je obie jednego dnia. Świetnie, doskonale.

Gdy pani Appleby wzięła do ręki łyżeczkę, żeby zamieszać herbatę, jej bystre oczy starej kobiety dostrzegły błysk czegoś twardego i przezroczyściego na spodeczku. Było bardzo małe, lecz zdawało się odbijać srebrny połysk łyżeczki. Czubkiem palca zdjęła to coś ze spodeczka i przyjrzała się temu uważnie z bliska. Kryształek cukru, to wszystko. Ale całkiem spory. I jak na cukier bardzo twardy. Umieściła go na czubku języka. Nie był słodki. I nie rozpuszczał się. Czując nagły niepokój, pani Appleby sięgnęła łyżeczką do filiżanki. Kiedy ponownie ją wyjęła, na łyżeczce spoczywało już sporo drobnych, twardych kryształków, które nie miały nic wspólnego z cukrem.

Zdołała bardzo wolno odstawić filiżankę na stolik przy łóżku. Czowała, że strach ogarnia ją niczym fala mdłości. Wiedziała, oczywiście, że wiedziała. Domyśliłaby się nawet, gdyby nie czytała tych wszystkich powieści kryminalnych.

Tłuczone szkło.

W jej głowie pojawiły się obrazy, niczym ilustracje powieści, którą właśnie przeczytała. A więc aż tak daleko sięgała nienawiść Melanie — aż tak bardzo zależało jej na powrocie do ubierania ołtarza w Wilkes-Barre. Usiłowała zabić ją przy pomocy tłuczonego szkła.

Była pewna ironia w tym portrecie kobiety gotowej popełnić morderstwo po to, by móc asystować pastorowi w wykonywaniu jego chrześcijańskiej posługi. Lecz pani Appleby wcale jej nie dostrzegała. To podobne do Melanie — pomyślała tylko — żeby próbować pozbawić kogoś życia w taki nieporadny, nieudolny sposób. Wcale jej to jednak nie uspokoilo. Nic nie pomagało na strach, który niczym wąż trzymał ją w swym śmiertelnym uścisku.

Strach starej kobiety w obliczu śmierci.

W pierwszym odruchu paniki pomyślała, żeby zawiadomić policję. Wezwie ich telefonicznie. Lecz w takim razie musiałyby zejść na dół do telefonu. Jej stare nogi, osłabione przerażeniem, z pewnością by ją zawiodły. I co wtedy? Miałyby wezwać Melanie? Pokazać jej filiżankę? Poczwała lekki dreszcz podniecenia, jaki daje władza. Tak, niech Melanie wie, że ona wie; niech usłyszy, że ciotka wykreśli ją ze swojego testamentu. W ten sposób uniemożliwi jej ponowną próbę i ukarze jej podły postępek, skazując na wieczne ubóstwo.

To było najlepsze rozwiązanie. Pognębić Melanie. Śmiało stawić jej czoła... Lecz jakaś część Amelii Appleby, ta, która była starą kobietą, odczuwała lęk. Już sama myśl o czekającym ją pojedynku charakterów była dla niej nie do zniesienia. Melanie zjawi się, popatrzy na nią, a jej twarz będzie twarzą Śmierci. Amelia Appleby, która dotąd zawsze pogardzała swoją bratanicą, teraz bała jej się tak, jakby ta szczupła, siwa, niewysoka kobieta przemieniła się nagle w apokaliptyczny szkielet dzierzący w rękę kosę.

Potrzebowała sprzymierzeńca, kogoś młodszego, dysponującego siłą, jaką mają tylko młodzi. Trudy. No jasne. Zawoła Trudy, powie jej, co zaszło, i obieca zostawić jej w spadku cały majątek w zamian za ochronę.

Pani Appleby otworzyła usta, jak gdyby chciała wezwać do siebie swoją młodszą bratanicę, lecz po chwili znowu je zamknęła. Miałaby zaufać Trudy? A czy to wiadomo, co zrobi Trudy, gdy myśl o morderstwie raz zagości w jej głowie, a na dodatek będzie miała pewność, że odziedziczy wszystko, co do grosza? Z przenikliwością, która tak naprawdę nigdy jej nie opuściła, pani Appleby pojęła, że pan Jevons, który nie był zamożnym człowiekiem, nigdy nie zostawi żony dla ubogiej Trudy. Lecz już majątna Trudy z łatwością namówi go na rozwód. Pani Appleby uznała, że miała szczęście, iż to Melanie — słaba, niezdarna Melanie — wpadła na pomysł zgładzenia jej z tego świata. Gdyby chodziło o Trudy, nie byłoby mowy o porażce. Trudy dopięłaby swego. Trudy była zatem o wiele bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem niż Melanie.

Pani Appleby poczuła nieopisane zmęczenie. Siedziała w łóżku, wpatrując się w filiżankę, pełną niewinnie wyglądającego, brązowego napoju. Czas... Gdyby tylko miała trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć i zebrać nieco sił. Tak, czas był tym, czego teraz najbardziej potrzebowała.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł, błogosławiony niczym światło w ciemnościach dla zabląkanego wędrowca. Nie był najlepszy, wiedziała o tym. Ale musiała mierzyć siły na zamiary. Uda, że niczego nie zauważyła. Zawoła Melanie, powie jej, że nie ma jednak ochoty na herbatę, i odda jej filiżankę. W ten sposób uniknie konfrontacji z bratanicą i zyska na czasie. Jutro natomiast, gdy tylko wrócą jej siły, zatelefonuje do pana Thomasa i opowie mu o wszystkim. A on już zajmie się Melanie.

Ulga, jaką przyniosło jej odsunięcie w czasie tej trudnej decyzji, była tak wielka, że pani Appleby zdobyła się na to, aby wezwać Melanie i nawet spojrzeć jej w twarz, gdy ta wbiegła do sypialni. Fakt, że tam wbiegła — ciekawe, co spodziewała się zastać? — stanowił wystarczający dowód jej winy. Wypisanej też na jej chudej, zarumienionej twarzy, w pierwszej chwili rozjaśnionej wyrazem oczekiwania, który ustąpił miejsca niemiłemu zaskoczeniu na widok ciotki opartej wygodnie na poduszkach, siedzącej w zwykłej pozycji.

— Nie mam dziś ochoty na herbatę. — Pani Appleby była zdumiona tym, jak wiarygodnie zabrzmiał jej rozkapryszony ton. — Zabierz tę całą filiżankę, Melanie.

- Ależ ciociu...
- Och, zabieraj to stąd.

Dopiero po wyjściu Melanie dotarło do niej, co się stało. Pani Appleby poczuła, że jej skurczone, starcze ciało, którego tak bardzo nienawidziła, trzęsie się w niekontrolowany sposób. Wszystko przepadło. Przez własne tchórzostwo straciła cenny dowód — filiżankę z tłuczonym szkłem w środku, która mogła stać się jej bronią przeciw Melanie. Co teraz powstrzyma jej bratanicę przed ponowną próbą? Odtąd już zawsze będzie jej towarzyszyć lęk; będzie wyglądać z filiżanki bulionu, ze szklanki mleka, z porcji mięsa pozostałej z wczorajszej pieczeni.

A niech to, naprawdę się nie popisała.

W tym momencie do sypialni weszła Trudy — niezadowolona, opryskliwa, stąpająca ciężko po dywanie. Niewiele brakowało, a pani Appleby zwierzyłyby się jej z koszmaru, który właśnie przeżywała, lecz powstrzymał ją widok obfitych piersi, zmysłowych warg i bezlitosnego spojrzenia bratanicy. O ile to w ogóle było możliwe, Trudy nienawidziła jej jeszcze bardziej niż Melanie.

Chcąc się upewnić, że nadal jest panią własnego domu, pani Appleby zmusiła Trudy, aby ta poczytała jej na głos. Wybrała *Miasteczko Middlemarch*, gdyż wiedziała, że Trudy uważa tę powieść za straszliwe nudziarstwo.

Nie była jednak w stanie skoncentrować się na lekturze, bo czuła, że to już nie ona rządzi tym domem. Teraz rządziła nim Śmierć.

A więc taki to koniec czekał śliczną, małą Amelię — stała się starą kobietą, czekającą, aż ktoś pozbawi ją życia.

Tej nocy śniła o swoim niedźwiadku. Leżał z nią w łóżku, zwinięty w kłębek pod jej ramieniem. Głaskała miękkie, sprężyste futerko. Zwierzątko popatrywało na nią z wyrazem nieskończonej czułości.

Przebudziła się wypoczęta, silna, czując, że ma mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Pokojówka Rose przyniosła jej tacę ze śniadaniem. Biorąc pod uwagę wydarzenia minionego dnia, pani Appleby była zaskoczona własnym spokojem. Wypiła herbatę, nie zadając sobie trudu, aby ją najpierw spróbować. Była pewna, że Melanie nie ośmieli się na nic, kiedy to Rose może odkryć prawdę.

Pani Appleby wiedziała, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i że ocalić ją może jedynie zdrowy rozsądek. Mimo to dała się ponieść nastrojowi wszechogarniającej niefrasobliwości. Zupełnie, jakby jakimś cudem w ciągu nocy problem sam się rozwiązał.

I gdy w pewnym momencie jej wzrok zatrzymał się przez przypadek na żłobkowanym srebrnym imbryku, przysłanym jej niedawno z Anglii przez siostrę, zrozumiała nagle, że problem faktycznie się rozwiązał. Wystarczył jeden rzut oka na imbryk i już wiedziała, co powinna zrobić.

Myśl o wadze czekającego ją zadania na chwilę zapała jej dech w piersiach. Czy to możliwe, żeby ona, Amelia Appleby...?

Dom z wolna zaczął rozbrzmiewać porannymi odgłosami. Usłyszała dzwonek telefonu, a potem szorstki głos Trudy, która podniosła słuchawkę. Po kilku minutach Trudy we własnej osobie zjawiała się w sypialni. Jej twarz była różowa jak plaster surowego łososa. Usiłowała zachowywać się jakby nigdy nic, lecz choć ukrywanie prawdziwych nastrojów wychodziło jej lepiej niż Melanie, nie była na tyle dobrą aktorką, żeby oszukać panią Appleby.

Podchodząc do okna, wymamrotała: — Dziś rano dostałam list od dawnej szkolnej przyjaciółki. Chce, żebym spędziła z nią tydzień nad morzem. Za wszystko zapłaci. Chyba nie będzie ciocia miała nic przeciwko temu, że pojedę?

Opatrzność, pomyślała pani Appleby, działa w tajemniczy sposób. Pora na Decydujący Egzamin. Za chwilę będzie wiedziała, czy może zrealizować swój plan.

Odparła: — Jak nazywa się twoja szkolna przyjaciółka, Trudy? Czy aby przypadkiem nie pan Jevons?

Trudy odwróciła się gwałtownie od okna, a na jej twarzy odmalowały się jednocześnie poczucie winy i wściekłość.

— Ciociu Amelio, jak śmiesz...?

Ciotka Amelia wybuchnęła śmiechem. — Moja droga, nie jestem ślepa ani głucha. Wiem wszystko o twoim wstępnym romansiku. Domyślam się, że pani Jevons wybiera się z wizytą do matki.

— Ty...

— Chyba nie spodziewasz się, że pochwalę twój zamiar spędzenia tygodnia z żonatym mężczyzną!

Trudy zrobiła krok w kierunku łóżka. — Nie pozwolisz mi wyjść?

— Siłą cię nie zatrzymam. Ale mogę zatelefonować do pani Jevons. — To jest metoda, pomyślała pani Appleby, czując miły dreszcz podniecenia. Muszę ją sprowokować. Popchnąć do ostateczności. — Mogę ci także obiecać, że jeśli wyjedziesz, nie dostaniesz ode mnie ani centa — ani teraz, ani po mojej śmierci.

Grubo ciosaną twarz Trudy wykrzywił grymas nienawiści równie silnej, jak nienawiść Melanie.

— Uwielbiasz to robić, prawda? Czerpiesz radość z unieszczęśliwiania nas. Będę zadowolona, kiedy wreszcie umrzesz. Mam nadzieję, że się cieszysz. Będę tańczyć i śpiewać, kiedy w końcu kopniesz w kalendarz!

Po tych słowach wypadła z pokoju. Pani Appleby drżała na całym ciele. Oto zdobyła ostateczny dowód. Trudy nienawidziła jej równie mocno jak Melanie. Jedna warta była drugiej.

Jedynym rozwiązaniem było wprowadzić w życie plan, jaki sobie obmyśliła...

Niedługo po tym Rose przysłała zabrać tacę. Wraz z nią zjawiała się Melanie. Dziś na nią przypadało poranne czytanie. Nadeszła długo oczekiwana chwila. Musi zachować ostrożność i starannie dobierać słowa.

Gdy Rose nachyliła się, żeby zabrać tacę, pani Appleby odezwała się do Melanie: — Spójrz no tylko na ten imbryk. Przecież to skandal. Czym oni się tam zajmują w kuchni? Nie potrafią nawet polerować sreber. A może używają jakiegoś kiepskiego środka?

Melanie, błada i apatyczna, wymamrotała: — Nie wiem, ciociu.

Rose była coraz bliżej drzwi. Musi się pospieszyć, to jej jedyna szansa.

— Gdy Ellen przysłała mi z Anglii ten imbryk — powiedziała głośno pani Appleby — dołączyła do niego specjalny środek do polerowania. Mam go tutaj w szufladzie. Melanie, moja droga, nie zechciałabyś wypolerować go dla mnie dziś po południu? Jesteś taka dokładna.

Rose była już na progu.

— Tylko bądź ostrożna. — Pani Appleby zaśmiała się lekko. — Ellen napisała mi w liście, że te staroświeckie angielskie środki

czyszczące są bardzo niebezpieczne. Zawierają cyjanek czy coś takiego. — I rzeczywiście, dokładnie tak brzmiały słowa Ellen. — Jeżeli nie wypłuczysz starannie całego imbryka, możesz przypadkiem wysłać mnie na tamten świat.

Rose wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Melanie wpatrywała się w swoje dłonie. Dziwnym, niewyraźnym głosem powiedziała: — Dobrze, ciociu. Wypoleruję twój imbryk. Gdzie jest ten angielski środek?

Uczucie, jakie zawładnęło panią Appleby, było bardzo bliskie radości. Była tak szczęśliwa, że pomyślała zaraz o swoim niedźwiadku. Stało się. I na dodatek wszystko było tak dziecinnie proste.

Przez resztę dnia pani Appleby czekała na swoją popołudniową herbatę. Trudy i Melanie przychodziły i wychodziły, obnosząc swą nieskrywaną wrogość. Zatrzymała ona dotąd życie pani Appleby, lecz teraz nie mogła już jej zranić. O trzeciej Melanie poszła polerować imbryk. Punktualnie o czwartej przyniosła pani Appleby tacę z herbatą w srebrnym, wspaniale błyszczącym imbryku.

— Znakomicie, moja droga — skomentowała ten fakt pani Appleby. — A teraz nalewaj. Tylko, na litość boską, niech za bardzo nie naciągnie.

Stojąc tyłem do pani Appleby, Melanie napełniła filiżankę. Kuli się nad tym imbrykiem jak wielki, szary nietoperz — pomyślała pani Appleby.

Przyjęła podaną jej filiżankę. — To wszystko, moja droga. Możesz już zmykać. Aha, Melanie — poproś do mnie Trudy. Chcę z nią porozmawiać.

Melanie umknęła z pokoju. Pani Appleby popatrzyła na zawartość swojej filiżanki. Czy to wzrok ją mylił, czy też rzeczywiście na powierzchni unosił się delikatny osad — jakby mleko nieco się ścięło?

Trudy wpadła z wściekłością do pokoju. — O co chodzi, ciociu?

— Och, Trudy, skarbie. — Pani Appleby posłała jej najśladzszy ze swoich uśmiechów. — Chcę cię przeprosić za dzisiejszy ranek. To było bardzo niegrzeczne z mojej strony, insynuować takie rzeczy o panu Jevonsie. Oczywiście, możesz odwiedzić tę swoją szkolną przyjaciółkę.

Oczy Trudy rozbłysły — jak oczy świni, zauważyła pani Appleby, na widok pełnego koryta.

— Och, dziękuję, ciociu Amelio.
— Wiem, że od czasu do czasu zdarzają nam się nieporozumienia. Ale to chyba naturalne... Trudy, moja droga, czy piłaś już dzisiaj herbatę?

— Nie, ciociu, jeszcze nie.

— W takim razie wypij moją. Nie mam dziś ochoty na herbatę.

Trudy wzięła od niej filiżankę i wypila jej zawartość jednym haustem. Trudy zawsze piła łapczywie.

Pani Appleby była ciekawa, czy trucizna będzie wystarczająco silna. Mogła się jednak domyślać, że Melanie nie pożałowała środka czyszczącego. Zaś cyjanek działa błyskawicznie. Filiżanka wypadła Trudy z ręki. Na czoło wystąpiły jej krople potu. Jej twarz przybrała zaskoczony i całkiem nieludzki wyraz. Bratanica zatoczyła się i upadła na podłogę.

Pani Appleby krzyknęła. Widok był naprawdę okropny. Całkiem straciła panowanie nad sobą. — Melanie! — zawołała przeraźliwie. — Rose!

Już po chwili Rose i Melanie wbiegły do sypialni. Twarz Melanie pokryła się ziemistą bledością. Rose stanęła, wytrzeszczając rozszerzone przerażeniem oczy.

Pani Appleby z trudem zdławiła krzyk.

— Rose — rzuciła ochryple. — Ona wypila moją herbatę. Panna Trudy wypila moją herbatę. A dziś rano... sama słyszałaś. Ostrzegałam pannę Melanie, że środek do polerowania jest trujący. Zrobiła to naumyślnie. Próbowwała mnie zamordować.

Melanie przypadła do leżącego na podłodze ciała siostry. Zawsze była głupia. Nigdy nie potrafiła trzymać języka za zębami.

— Trudy — jęknęła. — Och, Trudy, nie chciałam cię skrzywdzić.

Pani Appleby poczuła podniecenie; krew zaczęła żywiej krążyć w jej starych żyłach.

— Przyznała się, Rose. Przyznała się. Słyszałaś?

— Słyszałam, proszę pani.

Rose rzuciła wściekle spojrzenie na leżącą twarzą do ziemi i bełkoczącą niezrozumiałe słowa Melanie.

— Morderczyni! — krzyknęła...

Trudy przewieziono do szpitala, ale nie przeżyła nocy.

*

Lekarze orzekli, że zmuszanie biednej, starej pani Appleby do uczestniczenia w procesie jej oskarżonej o morderstwo bratanicy byłoby wielce niewskazane. Pan Thomas, prawnik, odczytał w sądzie jej zeznanie. Obok świadectwa Rose stanowiło ono koronny dowód w sprawie.

W dniu, w którym skazano Melanie, ciepłe promienie jesiennego słońca zalały sypialnię pani Appleby. Było tak ładnie, że starsza pani spędziła nawet całą godzinę na werandzie, owinięta w kolorowy pled.

— I nikt — westchnęła radośnie — nikt się nigdy nie dowie, jak bardzo rozpaczalam, kiedy zrobił się za duży i trzeba go było oddać do ogrodu zoologicznego w Albany.

— Och, jaka śliczna historia — wykrzyknęła miła młoda opiekunka. — Maleńki niedźwiadek! Jakie to urocze!

MIŁOŚĆ PRZYCHODZI DO PANNY LUCY

Siedziały przy stole i jadły śniadanie, z czarnymi płaszczami narzuconymi swobodnie na ramiona, jak przystało zwiedzającym Meksyk turystkom. Wyglądały dokładnie na to, kim były: trzema paniami w średnim wieku z najlepszej podmiejskiej dzielnicy Filadelfii.

— *Mas café!* — Panna Ellen Yarnell zwróciła się z żądaniem do krnąbrnej kelnerki. Panna Ellen wielokrotnie podróżowała i wiedziała, jak się zachowywać, aby zostać za granicą dobrze obsłużonym.

— I niech będzie *mas* gorąca, *caliente* — dodała pani Vera Trugood, która była najstarsza z całej trójki i w której odczuciu poranki w Mexico City były raczej chłodne.

Panna Lucy Bram niczego nie powiedziała. Zerknęła tylko na swój zegarek, żeby sprawdzić, czy to aby nie pora na Maria.

Służąca z hałasem postawiła na ich stoliku cynowy dzbanek z letnią kawą.

— Lucy — odezwała się Ellen — czy nie sądzisz, że byłoby dobrym pomysłem poprosić Maria, żeby przychodził po nas jeszcze wcześniej? Mógłby nas wtedy zabierać gdzieś, gdzie podają smaczne, gorące śniadania.

— Mario i tak już wystarczająco dużo dla nas robi. — Panna Lucy zarumieniała się lekko, mówiąc o ich młodym meksykańskim przewodniku. Zarumieniała się, ponieważ wcześniej przyjaciółki dokuczały jej dla żartu z jego powodu i ponieważ właśnie rozmyślała o jego mocnych, raczej grubo ciosanych nogach, które widziała wczoraj, gdy wiosłowali przez pływające ogrody Xochimilco.

W ciągu swoich pięćdziesięciu dwóch lat spokojnego, staropanińskiego życia we wspólnocie Kwaków, panna Lucy Bram chyba ani razu nie rozmyślała o męskich nogach (a już na pewno nie przy

śniadaniu). Był to kolejny, niepokojący dowód na to, jak wielka zmiana zaszła w niej od chwili, gdy miesiąc temu stawiała pierwsze niepewne kroki w Meksyku. Być może jednak zmiana ta dokonała się w niej znacznie wcześniej, gdy śmierć niedomagającego ojca uczyniła ją niespodziewanie osobą niewiarygodnie bogatą, a wraz z majątkiem przyszła niespodziewana wolność. Lecz panna Lucy zdała sobie z tego sprawę dopiero jakiś czas później, tutaj w Meksyku — w dniu, kiedy spotkała Maria w Taxco.

Dla panny Lucy był to pamiętny i obfitujący w wydarzenia dzień — może najbardziej pamiętny ze wszystkich spędzonych dotąd w Meksyku dni. Poczucie swobody, które wcześniej wprowadzało tylko lekki zamęt w jej spokojnej duszy, pewnego słonecznego ranka przebudziło się wraz z nią w jej hotelowym pokoju. Towarzyszyło jej przez cały czas, gdy jadła na patio śniadanie ze swoimi dwiema towarzyszkami (których wydatki pokrywała dyskretnie z własnej kieszeni). Ani narzekania Very na chłodne, górskie powietrze, ani snobistyczna uwaga bywałej w świecie Ellen, twierdzącej, że Taxco jest oczywiście urocze, ale daleko mu do malowniczych miasteczek położonych na wzgórzach Toskanii, nie zdołały go przytłumić.

Pannie Lucy, znającej jedynie Filadelfię i Bar Harbor, Taxco, ze swoimi czerwonymi, spłowiałymi od słońca i deszczu dachami oraz różowymi, strzelistymi iglicami kościołów, wydało się być urzeczywistnieniem jakiegoś niemożliwego do spełnienia marzenia.

„Miasto czerwone jak róża, trochę tylko młodsze niż czas...”*

* Tymi słowami John William Burgon opisał w 1845 roku ruiny miasta Petra w południowo-zachodniej Jordanii.

Nonszalancka radość związana z byciem „zagraniczną turystką” i panią swojego losu osiągnęła apogeum w chwili, gdy panna Lucy ujrzała pierścionek.

Znalazła go w jednym z małych sklepików sprzedających wyroby ze srebra, niedaleko zadrzewionego miejskiego skweru. Zwróciła na niego uwagę, podczas gdy Vera i Ellen targowały się z właścicielem o broszkę z osiołkiem. Nie przedstawiał sobą większej wartości. Jako że społeczność Kwaków surowo traktowała wszelką ostentację, wydał jej się wręcz wulgarny: wielki, ekstrawagancki biały szafir na cienkiej srebrnej obrączce. Jednak w jego aroganckim blasku było

coś pociągającego. Wsunęła pierścionek na palec. W kamieniu załśnił promień słońca i oślepił ją na chwilę. W porównaniu z nim skromny zaręczynowy pierścionek jej matki, z pewnością wart pięćdziesiąt razy więcej, niknął i stawał się niemal niezauważalny. Panna Lucy poczuła, że ogarnia ją niewytłumaczalna wesołość, a po chwili równie niewytłumaczalne skrępowanie. Zerkając ukradkiem na sztywno wyprostowane, ciemne plecy Very i Ellen, spróbowała zdjąć z palca pierścionek.

Nie chciał zejść. Nadal z nim walczyła, gdy przyłączyły się do niej Vera i Ellen. Na widok pierścionka wydały stłumione okrzyki podziwu.

— Ojej, Lucy, jest absolutnie uroczy.

— Całkiem jak pierścionek zaręczynowy.

Panna Lucy zarumieniła się. — Nie żartujcie sobie. Jest dla mnie zdecydowanie zbyt młodzieżowy. Chciałam go tylko przymierzyć, a teraz nie mogę...

Jeszcze raz spróbowała zdjąć pierścionek z palca. Meksykański właściciel sklepu nie odstępował jej na krok, szepcząc komplementy.

— Śmiało, Lucy — powiedziała Ellen tonem wyzwania. — Kup go.

— To takie irytujące, naprawdę. Ale skoro i tak nie mogę go zdjąć, chyba będę musiała...

Panna Lucy zdecydowała się więc kupić pierścionek z białym szafirem za kwotę wyższą niż jego rzeczywista wartość, lecz która i tak była dla niej bez znaczenia, zaś Ellen, która zajmowała się wszystkimi wydatkami podczas ich podróży, ponieważ była „bardzo zorientowana” w sprawach finansowych, załatwiła wszystko z właścicielem. Panna Lucy zwróciła się do Very: — Kiedy wrócimy do hotelu, spróbuję go zdjąć przy pomocy wody i mydła.

Jednak tego nie zrobiła. W jakiś dziwny sposób pierścionek stał się dla niej źródłem nowego, niepokojącego szczęścia.

W Taxco panna Lucy wprost tryskała energią. Tamtego wieczoru, przed kolacją, podczas gdy Vera i Ellen wypoczywały w swoich pokojach, pielęgnując zmęczone po całym dniu stopy, postanowiła ponownie odwiedzić kościół Santa Prisca, którego budowla górowała nad miejskim skwerem. Jej pierwszą wizytę w tym miejscu zakłóciło trajkotanie towarzyszek, zasypujących ją informacjami z turystycznego

przewodnika. Chciała znaleźć się jeszcze raz, sama, w tym chłodnym, mrocznym wnętrzu, zasmakować jego atmosfery, tak innej od prostej pobożności jej własnego, kwakerskiego domu zgromadzeń.

Gdy tylko przekroczyła ozdobne, drewniane drzwi, natychmiast uderzyło ją bogactwo fantastycznego ołtarza w stylu późnego hiszpańskiego baroku, zdobnego w kwiaty o złożonych liściach i cherubiny. Bardzo stara wieśniaczka, cała odziana na czarno, stawiała właśnie migoczącą świeczkę przed obrazem Madonny. Jakiś kundel miął ją, wpadł do kościoła, rozejrzał się i wybiegł z powrotem. Przepych tego miejsca, w połączeniu z prostotą obserwowanej sceny, wywarł dziwne wrażenie na pannie Lucy. Wszystko to stanowiło uosobienie papizmu i jako takie było jej obce, lecz mimo wszystko silnie ją pociągało. Pod wpływem nie całkiem zrozumiałego impulsu padła na kolana, naśladowując starą wieśniaczkę, i przeżegnała się, a jej szafirowy pierścionek rozbłysnął na moment egzotycznym pięknem kościoła.

Panna Lucy nie klęczała długo, lecz zanim się podniosła, wyczuła po swojej prawej stronie czyjaś bliską obecność. Rozejrzała się i zobaczyła, że do kościoła wszedł młody Meksykanin w nieskazitelnie białym garniturze, który klęczał teraz kilka metrów od niej. Ciemne, gęste włosy połyskiwały na jego pokornie pochylonej głowie. Gdy wstała, ich spojrzenia się spotkały. Był to tylko przelotny kontakt, ale wystarczył, aby w jej pamięci utrwalił się wyrazisty obraz jego twarzy. Cera barwy ciemnego miodu i oczy — zwłaszcza oczy — ciemne, cierpliwe, zachwycające swym łagodnym, pasywnym pięknem. Nie wiedzieć czemu miała wrażenie, że krótkie spojrzenie, jakie wymienili, pozwoliło jej zajrzeć na chwilę w umysł tego nieznanego miasta, pełnego nieznanymi ludźmi. Rozmyślając później o młodym nieznanym, coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że ów spontaniczny gest padnięcia na kolana był wtedy jak najbardziej na miejscu. Chociaż oczywiście za żadne skarby nie wspomniałaby o tym Verze ani Ellen.

Opuściła kościół szczęśliwa i gotowa na kolację. Światło dnia już gasło. Zanim przeszła przez zatłoczone Xocalo i skręciła w opustoszałą uliczkę prowadzącą do hotelu, zrobiło się całkiem ciemno. Jej kroki rozbrzmiewały obco, gdy maszerowała po nierównym bruku. Ten dźwięk zdawał się podkreślać jej osamotnienie. Pojedyncza męska

postać, zataczając się lekko, zbliżała się w jej stronę, w górę ulicy. Panna Lucy nie była tchórzem, lecz mimo to poczuła lekkie ukłucie niepokoju, widząc, że nieznajomy jest pijany. Rozejrzała się dokoła. W zasięgu jej wzroku nie było nikogo. Słaby impuls kazał jej wrócić na Xocalo, ale zdusiła go w sobie. Była w końcu Amerykanką, nie mogło jej spotkać nic złego. Ruszyła zdecydowanie przed siebie.

Lecz ziarno strachu zostało zasiane i gdy stanęła twarzą w twarz z pijanym mężczyzną, ten popatrzył na nią i wykonał gwałtowny ruch w jej stronę. Był zarośnięty i obszarpany, a jego oddech cuchnął tequila. Z jego ust buchnął potok hiszpańskich słów, ale żadnego nie rozumiała. Wiedziała, że chce od niej pieniędzy, lecz wychowana w duchu wspierania organizacji charytatywnych, panna Lucy nie miała litości dla ulicznych żebraków. Stanowczo pokręciła więc głową i usiłowała odejść. Lecz brudna dłoń chwyciła ją za rękaw, a potok cichych, błagalnych słów płynął dalej. Wyszarpnęła rękę gwałtowniej, niż zamierzała. W oczach mężczyzny błysnął gniew. Podniósł ramię w geście oburzenia.

Choć mężczyzna najwyraźniej wcale nie zamierzał jej uderzyć, panna Lucy instynktownie się cofnęła i w tym momencie wysoki obcas jej buta utknął w szparze pomiędzy kocimi łbami, a ona sama przewróciła się niezgrabnie na ziemię. Leżała tak z niewygodnie wykręconą kostką, a mężczyzna pochylał się nad nią groźnie — a przy najmniej tak jej się wydawało.

Na ułamek sekundy pannę Lucy ogarnęła panika — ślepe, obezładniające przerażenie, całkowicie nieuzasadnione, biorąc pod uwagę niemal farsowy charakter tej nieprzyjemnej sytuacji.

Wtedy z mroku wychynął drugi mężczyzna. Drobnej postury, w białym garniturze. Panna Lucy nie widziała jego twarzy, ale i tak wiedziała, że to tamten chłopiec z kościoła. Zobaczyła białe ramię, zbliżające się do żebraka i odpychające go.

Widziała, jak żebrak zatacza się w tył i oddala, mamrocząc coś pod nosem i powłócząc nogami. Była świadoma młodej twarzy tuż przy swojej i silnego ramienia, które pomogło jej się podnieść. Nie rozumiała wszystkiego, co mówił jej wybawca, lecz jego głos był łagodny i pobrzmiwała w nim troska.

— *Qué malo* — powiedział, uśmiechając się i spoglądając w kierunku odchodzącego żebraka. — *Malo Mexicano*. — Jego białe zęby

lśniły w świetle księżycy. — Ja być Mario, z kościoła, tak? Ja pomóc *señora*, tak?

Niemalże zaniósł pannę Lucy, która boleśnie skręciła nogę w kostce, z powrotem do hotelu, a potem do jej pokoju, gdzie przekazał ją pod opiekę zdenerwowanym Verze i Ellen.

Widząc, że zatroskany Mario zwleka z odejściem, Ellen chwyciła książeczkę czekową i wyszeptała: — Lucy, ile?

Lecz panna Lucy miała inne zdanie na ten temat. — Nie. Poczuj się urażony, jeśli damy mu pieniądze.

Mario, który zdawał się rozumieć, o czym rozmawiają, odezwał się: — *Gracias, señora* — po czym, po kilku zdaniach, z których panna Lucy zrozumiała tylko słowo *madre*, ujął jej dłoń — tę, na której miała nowy pierścionek z szafirem — ucałował ją, a następnie skłonił się z uśmiechem i wyszedł.

W ten sposób Mario pojawił się w ich życiu. A gdy już się pojawił, było jasne, że zamierza w nim pozostać. Nazajutrz przyszedł do hotelu zapytać o zdrowie panny Lucy i wtedy po raz pierwszy mogła dokładnie mu się przyjrzeć. Nie był wcale przystojny. Jego oczy o długich rzęsach były osadzone odrobinę zbyt blisko siebie. Jego delikatny wąsik nad pełnymi wargami był odrobinę za długi. Miał jednak mocne, choć drobne ciało i było w nim coś, co wzbudzało jednocześnie czułość i zaufanie.

Był, jak sam wyjaśnił, studentem usiłującym dorobić nieco w wakacje. Pragnął służyć *señorom* za przewodnika, a ponieważ panna Lucy nie mogła chodzić z powodu skręconej kostki, zaproponował, że wynajmie dla nich samochód i będzie ich szoferem. Zapłata, jakiej sobie zażyczył, była zaskakująco niska, on zaś z uporem odmawiał przyjęcia większej kwoty.

Następnego dnia wynajął samochód za sumę tak niską, że usatysfakcjonowała ona nawet skąpą pannę Ellen, i od tamtej pory obwoził trzy panie po ciekawych miejscach, okazując im taką troskę i względy, jakby każda z nich była jego *madre*.

Jego widok, codziennie ubranego w nieskazitelną biel, nieustannie radował pannę Lucy — prawdę mówiąc, radował każdą z nich. Mario zawsze miał w zapasie mnóstwo pomysłów, jak by je zabawić. Pewnego dnia zabrał je na przejażdżkę wokół góry Popocatepetl, dzięki czemu przez kilka godzin mogły rozplýwać się nad urodą

niewątpliwie jednej z najpiękniejszych i najbardziej tajemniczych gór świata.

Gdy w pewnym momencie zostali tylko we dwoje i razem wpatrywali się w oślepiającą biel wspaniałego górskiego szczytu, panna Lucy poczuła, że Mario ujmuje jej dłoń w swoje szorstkie, ciemne ręce i ścisną ją lekko.

Oczywiście chciał jej w ten sposób dać do zrozumienia, że — pomimo bariery językowej — dzieli z nią tę niezwykłą meksykańską przygodę i cieszy się, że może być z nią w tej chwili. Uścisk jego dłoni sprawił, że ogromny szafir z pierścionka wbił się boleśnie w jej palec. Lecz jednocześnie obudził w niej całkiem inne uczucie, bardzo dalekie od bólu.

Po wyprawie dookoła Popocatepetl panna Lucy postanowiła, iż nadszedł czas, aby opuściły Taxco i zamieszkały na kwaterze w Mexico City.

Poleciała Ellen odprawić Maria — wręczyć mu dodatkowe sto peso i dać mu uprzejmie, choć stanowczo do zrozumienia, że jego usługi nie będą im już potrzebne. Lecz równie dobrze Ellen mogłaby rozkazać majestatycznemu Popocatepetlowi rozwiać się jak mgła albo zstąpić do morza. Mario roześmiał jej się w twarz, zniecierpliwionym gestem pokazał, że nie chce stu peso, po czym zwrócił się wprost do panny Lucy. Że w Mexico City spotkają wielu złych Meksykanów. A mówiąc to, wyciągnął w ich stronę swoje silne, smagłe dłonie. On się nimi zaopiekuje. Nie, pieniądze *señory* Ellen nie mają dla niego znaczenia (zawsze tytułował jej towarzyszkę *señorami*, tylko pannę Lucy nazywał *señorita*). Najważniejsze, że będzie mógł wszystko im pokazać. Jego silne ramiona obejmowały teraz słońce, niebo, góry, cały Meksyk, a ciemne oczy o zbyt gęstych rzęsach pożerały wzrokiem pannę Lucy.

Zaś panna Lucy, wbrew silnemu, wewnętrznemu instynktowi, uległa.

W ten sposób Mario pojechał z nimi do Mexico City.

Mijał właśnie drugi tydzień ich pobytu w Mexico City i trzy podróżniczki postanowiły udać się na wycieczkę do piramid w Teotihuacan. Jak zwykle panna Lucy zajęła miejsce z przodu, obok Maria. Chłopak był doskonałym kierowcą, ona zaś uwielbiała obserwować

jego profil, gdy skoncentrowany wpatrywał się w drogę, i lubiła słuchać, jak pomrukuje do siebie, gdy coś szło po jego myśli lub coś go irytowało. O wiele mniej podobało jej się natomiast, kiedy zwracał się ku niej, a jego ciemne oczy przesuwały się pieszczotliwie po jej twarzy i zatrzymywały na piersiach.

Jego spojrzenia zawsze ją krępowały, lecz tego konkretnego dnia coś kazało jej odezwać się do niego po angielsku: — Mario, w Ameryce nazwano by cię flirciarzem. Na pewno masz wielkie powodzenie u dziewcząt tu, w Meksyku.

Przez chwilę wydawało się, że nie zrozumiał, co do niego powiedziała, potem jednak wybuchnął: — Dziewczyny — *muchachas, para me, no*. — Sięgnął do kieszonki na piersiach i wyciągnął stamtąd niewielką, podniszczoną fotografię. — *Mi muchacha*. Moja dziewczyna, *mi unica muchacha... Una sola...*

Panna Lucy wzięła podane jej zdjęcie, które przedstawiało starszą od niej kobietę z siwymi włosami i wielkimi, smutnymi oczyma. Jej twarz pokrywała sieć zmarszczek świadczących o zmartwieniu i chorobie.

— To twoja matka? — spytała łagodnie panna Lucy. — Opowiedz mi o niej.

Mario mówił i mówił, porzucając wolny, staranny hiszpański, który miał dotąd zarezerwowany dla pań, na rzecz gwałtownego potoku słów, z których panna Lucy rozumiała tylko niektóre. Dowiedziała się, że matka Maria jest bardzo biedna, że poświęciła swoje życie wychowywaniu pozbawionych ojca dzieci w maleńkiej wiosce Guerreros, że jest chodzącą świętą. Było jasne, że Mario darzy matkę niemal bałwochwalczym uwielbieniem, tak częstym wśród młodych meksykańskich chłopców.

Gdy on, podekscytowany, ciągnął swój monolog, panna Lucy powzięła w myślach decyzję. Nim jej wakacje dobiegną końca, postara się jakoś wydobyć od Maria adres jego matki, napisze do niej i prześle jej pieniądze — tyle, żeby mogła posłać Maria na studia. Matka bez wątplenia przyjmie taką darowiznę, nawet gdyby jej syn okazał się zbyt dumny, aby ulec podobnym namowom.

— Czy to jedna z piramid? — Rozczarowanie brzmiące w głosie Ellen wyrwało pannę Lucy z zamyślenia. — Ależ coś takiego nie może się równać z piramidami w Egipcie!

Niemniej jednak panna Lucy była zachwycona piramidami Słońca i Księżyca. Chłonąc ich posępny, starożytny majestat, poczuła tę samą dziwną radość, która ogarnęła ją tamtego ranka, kiedy ukłękła i przeżegnała się w kościele w Taxco.

— Nie zamierzam wspinać się po tych rozpadających się schodach — powiedziała cierpko Ellen. — Jestem na to za stara i jest mi za gorąco.

Vera zaś, choć jej nigdy nie było za gorąco, była na to zdecydowanie za stara. Stała u podnóża piramidy, jej narzucony na ramiona płaszcz zwisał luźno, a podobne do szponów palce ścisnęły nieodłącznego papierosa. — Ty idź, Lucy. Jesteś młoda i pełna energii.

Więc Lucy poszła.

Z pomocą Maria wdrapała się na sam szczyt Piramidy Słońca i gdy się tam znaleźli, nie miała choćby cienia zadyszki, czuła za to wszechogarniające, niemal mistyczne uniesienie.

Na szczycie usiedli obok siebie, całkiem sami — wykształcona kobieta po pięćdziesiątce i prosty chłopak z lepianki położonej gdzieś w głębi kraju, w Guerreros. Razem spoglądali na rozciągające się pod nimi zarysy placu, gdzie znajdowała się kiedyś starożytna osada ze Świątynią Quetzalcoatl — Pierzastego Węża i na Drogę Zmarłych wiodącą ze Świątyni do Piramidy Księżyca.

Mario zaczął jej opowiadać o ofiarnych obrzędach związanych ze świętem Toxcatl, które w starożytnych czasach odbywało się tu raz do roku.

Gdy on mówił, panna Lucy przymknęła oczy i wyobraziła sobie barwną scenę: tłum, zgromadzony na rozległym placu pod nimi, uciśza się z wolna, kapłani zajmują swoje miejsca na stopniach piramidy, a wtedy pojawia się młodzieniec bez skazy, który oczywiście ma twarz Maria...

Widząc oczyma wyobraźni Maria prowadzonego na śmierć na ofiarnym ołtarzu, bezsensownie poświęcanego w imię życia i piękna, poczuła przyływ zwykłej, ludzkiej litości dla niego i instynktownie wyciągnęła dłoń — dłoń, na której błyszczał tani pierścionek z szafirem, który nie chciał jej zejść z palca — odnalazła jego rękę i poczuła mocny uścisk ciepłych, smagłych palców.

Nie wiedziała nawet, jak doszło do tego, że Mario otoczył ją ramieniem i złożył swoją ciemną głowę na jej piersi. Dopiero gdy

poczuła zapach przypominający woń rozgrzanego, brązowego cukru — zapach jego ciała — i aromat kwiatowego olejku, który wcierał we włosy, powróciło do niej wspomnienie Filadelfii i życia, jakie tam wiodła. Pospiesznie zerwała się na nogi, przeskakując całe stulecia, by znaleźć się na powrót w realnym świecie, w którym jej przyjaciółki czekały na nią u podnóża piramidy, zapewne głodne i wyczekujące lunchu, a tymczasem ona miała jeszcze wiele stopni do pokonania.

W drodze powrotnej do Mexico City panna Lucy zdecydowała, że razem z Verą zajmą tylne siedzenie, zaś Ellen usiądzie z przodu, by sprzeczać się z nadąsanym Mariem.

Kiedy dotarli do pensjonatu, panna Lucy rzekła prędko: — Jutro niedziela, Mario. Zrób sobie wolne.

Chłopak zaczął protestować. A kiedy Lucy powtórzyła: — Nie, jutro się nie spotkamy, Mario — on zrobił minę zawiedzionego dziecka. Po chwili jednak wyraz jego twarzy się zmienił, a ciemne oczy spojrzęły na nią śmiało, wyzywająco.

Idąc w stronę pensjonatu, panna Lucy czuła, jak wali jej serce. Zuchowałość jego spojrzenia uprzytomniła jej pewne sprawy, o których nie śmiała dotąd myśleć. Teraz zaś była już całkiem pewna.

Z niewiadomego powodu — powodu, którego nie mogła pojąć — i w sposób, o jakim jej prosty umysł nigdy nie odważył się marzyć, Mario jej pożądał.

Pożądał jej fizycznie.

Tamtej nocy, przed pójściem do łóżka, panna Lucy zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie robiła. Przez kilka minut stała w swojej skromnej, bawełnianej koszuli nocnej przed wysokim, weneckim lustrem i przyglądała się sobie jako kobiecie.

Nie zobaczyła niczego nowego ani zaskakującego — żadnych zewnętrznych oznak tych zdumiewających zmian, które zaszły wewnątrz niej. Jej twarz trudno byłoby nazwać piękną. Nigdy nie była piękna, nawet w młodości, teraz zaś wiek średni naznaczył ją bezlitośnie. Włosy miała niemal białe, ale nie wystarczająco białe. Były miękkie i gęste i nawet ładnie układały jej się nad czołem. Oczy same w sobie były jasne i przyjemne, ale otoczone naturalnymi w jej wieku zmarszczkami i cieniami. Piersi pod bawełnianą koszulą były jędrne, lecz poza tym jej figura pozostawiała wiele do życzenia. Szczerze mówiąc, żaden zewnętrzny rys jej twarzy czy ciała nie był

szczególnie godzien pożądania. A mimo to ktoś jej pożądał. Była tego pewna. Z jakiegoś powodu przystojny młody Meksykanin uznał ją za godną pożądania.

Panna Lucy nie miała co do tego wątpliwości.

Panna Lucy była osobą rozsądną i wiedziała, że młodzi mężczyźni często adorują starsze, zamożne kobiety w nadziei zdobycia ich majątku. Lecz Mario, poza tym, że stale odrzucał wszelkie próby wynagrodzenia go, nie wiedział chyba nawet, że panna Lucy jest zdecydowanie najbogatsza z trzech pań. Jedyne filadelfijski prawnik lub jakiś członek jej kwakerskiej społeczności mógłby wiedzieć, jak wielki majątek rzeczywiście posiada panna Lucy... Nie, jeżeli Mariowi zależało na pieniądzach, powinien był raczej zainteresować się Ellen, która kontrolowała wszystkie ich wydatki i nawet na moment nie dawała po sobie poznać, że wydaje nie swoje pieniądze.

W bezbarwnej, noszącej się na czarno pannie Lucy nie było absolutnie niczego, co mogłoby świadczyć o jej bogactwie. Co prawda w zaręczynowym pierścionku jej matki tkwił bardzo cenny diament, lecz tylko doświadczony jubiler mógłby się na nim poznać. A jeśli chodzi o krzykliwy pierścionek z białym szafirem, nie był on wart niczyjego czasu ani wysiłku i panna Lucy chętnie podarowałaby go Mariowi w dowód wdzięczności, gdyby tylko zdołała zdjąć go z palca.

Nie, w Mexico City musiały być tysiące kobiet, po których wyraźnie widać było ich majątek. Było mnóstwo młodych, pięknych kobiet, z których każda byłaby szczęśliwa i dumna, mogąc mieć w Mario adoratora i — tak, panna Lucy otwarcie się do tego przyznawała — kogoś jeszcze.

A jednak... nielogiczność tego wszystkiego nagle ją przeraziła.

Jakiś dziewiczy instynkt przebudził się i ostrzegał ją przed nieznanym niebezpieczeństwem.

A ponieważ panna Lucy była osobą rozsądną, postanowiła zrobić coś z tą sprawą. Leżąc nieruchomo pod kołdrą, wymyśliła w końcu wspaniałe rozwiązanie...

Rankiem panna Lucy i Vera stały na przystanku autobusowym. Obie otulały się ciasno płaszczami, jakby chroniąc się przed zimnem. Oczywiście Vera zawsze marzyła. Ale o tej porze panna Lucy również

odczuwała chłód, pomimo cudownego ciepła wiosennego słońca. Jej oczy i nos były zaczerwienione.

Czekały na Ellen, która została, aby zadać Mariowi ostateczny cios. Autobus do Patzcuaro odjeżdżał za dwadzieścia minut.

Nareszcie Ellen do nich dołączyła. Ona też miała czerwony nos.

— Nie powinnaś była tego robić, Lucy — warknęła. — To było okrutne. — Wcisnęła jej do ręki dwa banknoty o wartości stu peso każdy. — Myślałam, że mnie uderzy, kiedy mu je dałam. — Pociągnęła żałośnie nosem. — A kiedy czytał twój list, płakał jak dziecko.

Panna Lucy nic nie odpowiedziała. Prawdę mówiąc, prawie się nie odzywała przez całą męczącą podróż autobusem do Patzcuaro.

Po obiedzie wszystkie trzy zostały przy stole na werandzie, z której roztaczał się widok na spokojne, rozległe wody jeziora Patzcuaro. Ellen, jak zwykle elokwentna, omawiała ich plany na następny dzień. Panna Lucy w ogóle jej nie słuchała. Jej oczy przesuwaly się po szarzielonym, wieczornym jeziorze, po rozrzuconych tu i ówdzie wysypkach i ohydnych, łysogłowych sępach, które skrzeczały, chciwie bijąc się na brzegu jeziora o strzępy padliny.

Po chwili wstała i odezwała się: — Robi się zimno. Chyba już pójdę do pokoju. Dobranoc.

Pokój panny Lucy, z przylegającym do niego niewielkim balkonem, również oferował widok na jezioro, tyle że pod innym kątem. W dole, w gęstniejących ciemnościach, rybacy majsterkowali przy swoich łodziach, rozmawiając ze sobą niskimi, świszczącymi głosami lub podśpiewywali piosenki ze stanu Michoacán.

Panna Lucy usiadła na balkonie i obserwowała ich. Rozmyślała o Mariu i tęskniła za nim z niemal bolesną intensywnością. Myślała o nim bez przerwy, od kiedy wyjechały z Mexico City, ale dopiero teraz zaszokowała ją jej własna nieczułość. Jak mogła wyręczać się Ellen i prosić, żeby ta go odprawiła. Powinna była sama z nim porozmawiać. Tak bardzo nie chciałyby, żeby sobie pomyślał... Nie mogła opędzić się od upartych wyrzutów sumienia. Skrzywdziła go, zraniła...

W pewnym bliżej nieokreślonym momencie tych rozmyślań zdała sobie sprawę z obecności biało ubranej postaci, poruszającej się pośród rybaków. Spojrzenie panny Lucy spoczęło na młodym mężczyźnie, a wówczas serce w niej zamarło. Pochyliła się naprzód i usiłowała

przebić wzrokiem ciemności. Nie myliła się — było coś znajomego w tych delikatnych, pełnych gracji ruchach, w tej szczupłej, niewysokiej sylwetce.

Ale przecież to nie mógł być Mario! Zostawiła go tak daleko stąd, w Mexico City, specjalnie przykazując Ellen, aby nie mówiła mu, dokąd się wybierają.

Postać w bieli zbliżała się od strony jeziora, kierując się ku jej oknu. W pewnym momencie przeszła przez smugę światła z otwartych drzwi. Teraz nie było już żadnych wątpliwości. To był Mario.

Panna Lucy przechyliła się przez balustradę balkonu, a serce trzepotało jej w piersiach niczym nierozumny ptak. Stał niecałe pięć metrów niżej.

— Och, panno Lucy, w końcu cię odnalazłem. — Mówił wolnym, starannym hiszpańskim, zarezerwowanym wyłącznie dla niej. — Wiedziałem, że cię odnajdę.

— Ale Mario, jak...?

— Ludzie z firmy przewozowej powiedzieli mi, że tu przyjechaliście. Wsiadłem w autobus i przybyłem...

Zobaczyła błysk jego zębów, kiedy się do niej uśmiechnął.

— Panno Lucy, dlaczego wyjechałaś bez jednego *adios*?

Nie odpowiedziała.

— Ale znowu tu jestem i zaopiekuję się tobą. Jutro ty i ja wypłyniemy na jezioro. Zanim tamte panie wstaną. Ty i ja — razem. Będzie świecił księżyc, a potem wszędzie słońce.

— Tak...

— O piątej rano przyjdę. Wezmę łódź. Będę tu czekał, zanim jeszcze ptaki się przebudzą.

— Tak, o tak...

— Dobranoc, *carissima*.

Panna Lucy wróciła do pokoju. Ręce jej drżały, gdy rozpiła sukienkę i wślizgiwała się do łóżka.

Wciąż drżała, gdy — zdawało się jej, w samym środku nocy — cichy gwizd pod oknem oznajmił jej, że Mario po nią przyszedł.

Ubrała się prędko, poprawiła miękkie włosy, narzuciła na ramiona płaszcz i zbiegła pośpiesznie na dół. Hotel tonął w ciszy. Nikt nie widział jej, gdy przemykała przez opustoszały hol i schodziła z boczem wzgórza nad jezioro, gdzie czekał Mario z łódką.

Ujął jej dłoń i przycisnął do ust. A potem pociągnął ją lekko w stronę łodzi.

Nie opierała się. Wydawało jej się, że to Przeznaczenie wiedzie ją prosto ku temu, co nieuniknione.

Mario mówił prawdę. Nad ich głowami wisiał księżyc, pełny i bladej żółty, rzucając przedziwne światło na mętne wody jeziora.

Panna Lucy spoczywała na dnie łodzi, wyciągnięta na swoim płaszczu. Było chłodno, lecz nawet tego nie zauważyła. Obserwowała Maria, stojącego na rufie łodzi, zgrabnie wymijającego inne łódki, unoszącego ją coraz dalej, na samą głębię. Podwinięte za kolana nogawki spodni ukazywały w świetle księżyca parę mocnych i nie wiedzieć czemu groźnie wyglądających nóg. Chłopak śpiewał.

Panna Lucy nie zdawała sobie wcześniej sprawy z tego, jak piękny miał głos. Piosenka wydała jej się słodka i nieskończenie smutna. Spojrzenie Maria pieściło ją, przesuwając się z jej twarzy i zatrzymując na dłoniach, nieruchomo spoczywających na podolku. Tani pierścionek z szafirem błyszczał w świetle księżyca.

Panna Lucy była zupełnie nieświadoma czasu i miejsca, gdy ich łódź posuwała się wolno w kierunku ukrytego serca jeziora, gdzie porzrucane były niezliczone wysepki. Nie zauważyła, że gwiazdy gasną, a księżyc blednie przed świtem. Czowała jedynie głęboki, całkowity spokój, jakby delikatny i prawie niezauważalny ruch łodzi miał trwać wiecznie. Drgnęła dopiero na dźwięk głosu Maria.

— Posłuchaj, ptaki.

Rzeczywiście, słyszała ich śpiew dobiegający z otaczających ją wianuszkami wysepek, ale jedynymi ptakami w zasięgu jej wzroku były sępy, krążące cicho nad ich głowami.

Mario przestał wiosłować i wyciągnął skądś niewielką paczkę. W środku były *torty*, masło i kozi ser. Wyjął również butelkę czerwonego meksykańskiego wina.

Przy pomocy dużego szczyryka posmarował *tortę* masłem i podał ją pannie Lucy. Nagle zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest głodna. Jadła więc z wilczym apetytem i piła słodkie, meksykańskie wino prosto z butelki. Wino uderzyło jej do głowy i sprawiło, że poczuła się po dziewięćciu szczęśliwa. Śmiała się wesoło ze wszystkiego, co mówił Mario. On śmiał się także, a jego oczy nie przestawały jej pieścić.

Zjedli zatem wspólne śniadanie, niczym para zakochanych nowożeńców, a tymczasem wschodzące słońce oblewało jezioro złotem i czerwienią. Znajdowali się całe kilometry od najbliższych siedzib ludzkich, a jedynymi ich towarzyszami i zarazem jedynymi ptakami krążącymi w pobliżu były sępy.

Gdy zjedli ostatnią *tortę* i opróżnili butelkę wina, Mario ponownie ujął wiosło i skierował łódź dalej, na sam środek jeziora, po czym zaczął w milczeniu wiosłować.

W chwili gdy panna Lucy dostrzegła wyspę, wiedziała, że to właśnie ta, którą wybrał Mario. Wyglądała na bardziej samotną i odległą niż pozostałe, a wokół jej brzegów ciągnął się pas wysokich trzcין.

Ostrożnie przeprowadził łódź przez trzciny tak wysokie, że całkowicie skryły ich w swoim własnym, małym świetle. Gdy przybili do brzegu, wziął ją za rękę i delikatnie podniósł z miejsca, mówiąc tylko jedno słowo: — Chodź.

Poszła za nim jak dziecko. Mario znalazł suche miejsce i rozłożył dla niej na ziemi jej płaszcz. Później, gdy już się położyła, sam usiadł tak, by trzymała głowę na jego kolanach. Widziała jego twarz tuż nad swoją i ciemne oczy, odrobinę zbyt blisko osadzone, czuła pachnący winem, ciepły oddech, wydobywający się z jego ust.

Zamknęła oczy, czując, że nastał wreszcie ten moment, do którego wszystko ją prowadziło od tamtego pamiętnego dnia w kościele Santa Prisca, gdzie po raz pierwszy ujrzała Maria. Poczula jego dłoń głaszczącą jej włosy, pieszczącą jej twarz, delikatnie, jak najczulej. Poczula, że bierze ją za rękę i dotyka pierścionka z szafirem.

W chwili gdy dotknął kamienia, wiedziała. Czuła to w jego palcach — przemożne, obsesyjne pragnienie. To, co dotąd wydawało jej się tak skomplikowane, okazało się nagle całkiem proste.

Jego ręce przesunęły się wyżej. Palce, wciąż tak delikatne, dotknęły jej gardła. Nie krzyknęła. Nawet się nie przestraszyła. Gdy wzmocnił uścisk, jego pełne wargi dotknęły jej ust i złączyły się z nimi w pierwszym i jedynym pocałunku.

Mario odrzucił jak najdalej zakrwawiony nóż. Nie znosił widoku krwi i nie podobało mu się to, że musiał obciąć palec, żeby zdobyć pierścionek.

Nawet nie spojrział na ten zaręczynowy, należący do matki panny Lucy. Był tak skromny i zwyczajny, a poza tym zaślepiło go piękno szafiru, którego blask kusił go od tyłu tygodni.

Starannie okrył płaszczem ciało panny Lucy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie ukryć go w trzcinach, ale wtedy mogłoby wypłynąć na jezioro i zostać odkryte przez rybaków.

Tutaj, na samotnej wyspie, miną lata, zanim ktokolwiek je odnajdzie, a do tej pory... Popatrzył w górę na sępy, krążące nieubłagane nad jego głową...

Nie oglądając się za siebie, Mario wszedł do łodzi i powiosłował w kierunku opustoszałego brzegu. Przybił, odwrócił łódź dziobem do jeziora i popchnął, żeby wypłynęła daleko na wodę.

Amerykanka wybrała się na przejażdżkę łodzią po jeziorze z nieoświadczonego wiosłarzem. Oboje utonęli. Władze na pewno nie będą przeszukiwać takiego wielkiego obszaru, żeby znaleźć ich ciała.

Mario ruszył w stronę torów kolejowych. Zabierze się pociągiem towarowym i może już jutro będzie w Guerreros.

Był pewien, że matce spodoba się pierścionek.

TO CIĘ ZABIJE

Harry Lund leżał w wannie. Nad jego głową dwie pary wilgotnych, nylonowych pończoch żony zwisały smętnie z drążka podtrzymującego sfatygowaną, poszarzałą zasłonę prysznicową. Słyszał, jak na dole w kuchni Norma przygotowuje niedzielne śniadanie.

Po dwudziestu jeden latach małżeństwa odgłosy porannej krzątaniny Normy były już tak znajome, że nasuwały mu przed oczy wyraźne obrazy. Niemal widział nieodłączny papieros zwisający z kącika jej ust, podczas gdy wyciskała pomarańcze na zagraconym, emaliowanym blacie stołu. Norma nigdy nie ubierała się w niedzielne poranki. Widział jej chude ciało, spowite jedynie w stary, pikowany szlafrok, kręcące się po kuchni.

Codziennie rano niechęć Harry'ego Lunda do żony nabierała nowych rumieńców, a wszystko zaczynało się od tej szarpaniny nerwów w wannie. Harry był człowiekiem leniwym i lubiącym wygodę. Lubił pławić się w ciepłej wodzie, odpoczywając przed czekającą go całodzienną pracą w aptece. A już wprost uwielbiał relaksować się z pełną świadomością tego, że czeka go długa, leniwa niedziela. Lecz nie pamiętał już, kiedy ostatni raz leżał w parnej, ciasnej łazience, nie dygocząc z nienawiści.

Był więc tym bardziej zdziwiony, że w ten oto niedzielny poranek leży sobie w tej samej wannie i słyszy te same co zwykle kuchenne odgłosy, a mimo to jest całkowicie wolny od nienawiści. Jeśli miałby być szczery, dobiegające z dołu dźwięki wprawiały go wręcz w radosny nastrój. Nawet tkwiący mu przed oczyma obraz ostrej, inteligentnej twarzy żony, z jej siwiejącymi włosami i ciemnymi oczyma o krytycznym wejrzeniu nie budził w nim niesmaku.

Owa zmiana nastawienia była spowodowana świadomością, że Norma niedługo już zabawi w jego domu.

Świadomość ta zaś brała się stąd, iż minionej nocy dokładnie obmyślił sobie, jak i kiedy ją zamorduje.

Myśl o morderstwie, którą początkowo jedynie się bawił, a która później stała mu się drogą niczym najczulsza kochanka, towarzyszyła mu od tak dawna, że zdążył się z nią oswoić. W rezultacie nie czuł teraz żadnej obawy przed tym, czego zamierzał dokonać. Nie miał też poczucia winy. Chętnie zapomniał o niskich pobudkach, jakie to każały mu uderzyć w konkury do nieładnej, przedsiębiorczej dziewczyny, która wraz z nim skończyła wydział farmacji i która tak naprawdę nigdy go nie pociągała. Zapomniał, jak wygodne wydawało mu się wtedy posiadanie żony, która byłaby jednocześnie świetnie wykwalifikowaną farmaceutą. Zapomniał nawet o tym, jak kuszący wydawał mu się jej niewielki spadek, który, w połączeniu z jego oszczędnościami, pozwolił mu na zakup apteki i rozpoczęcie zawodowej kariery. Nigdy by nie przyznał, że to właśnie dzięki jej energii i ciężkiej harówce udało mu się osiągnąć skromny, bo skromny, ale jednak sukces.

Wiedział jedynie, że on, przystojny Harry Lund, był tragiczną postacią, nieszczęśliwym przykutym do kobiety, która go nigdy nie doceniała i z którą nigdy nie zdołałby się rozwieść.

Bo taka była prawda — nie mógł się z nią rozwieść. Połowa apteki była jej własnością. Gdyby nawet udało mu się zebrać wystarczająco dużo pieniędzy, żeby ją spłacić, ona odmówiłaby sprzedaży. Był tego pewien. Apteka była dla Normy całym życiem, a ona wytrwale trzymała się wszystkiego, na czym jej zależało.

Wycierpiawszy tak wiele uznał więc morderstwo, ów gest ostatecznego buntu, za akt niemal heroiczny, a już z pewnością za dowód odwagi i męskości.

Nigdy jednak nie zdobyłby się na odwagę, gdyby nie Frances. Harry dobrze o tym wiedział. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że poznał Frances w autobusie i uwolnił prawdziwego, prężnego Harry'ego Lunda z okowów konwencji. Frances była młoda, delikatna i uległa — jednym słowem miała to wszystko, czego brakowało Normie. Frances była dziewczyną, na jaką Harry Lund zasługiwał. Był niemal pewny, że jeśli tylko właściwie rozegra tę sprawę, zdobędzie ją.

Na myśl o Frances jego lekko zaokrąglone ciało przeszedł przyjemny dreszcz.

Miał niezawodny plan. Tak długo obracał go w głowie, jak artysta, upraszczając i udoskonalając kolejne posunięcia. Już na samym początku odrzucił pomysł posłużenia się lekami, jako zbyt ryzykowny dla aptekarza. Były przecież inne sposoby...

— Harry! — Głos Normy, niski i zachrypnięty od nieustannego palenia, zaskrzeczał u podnóża schodów.

— Już schodzę, kochanie. — Harry był szczerze zdumiony serdecznym, słodkim jak ulepek brzmieniem swego głosu. Powinien bardziej się pilnować. Ciężko podniósł się z wanny, ociekając wodą i dodał już bardziej przekonywającym, zagniewanym tonem: — Wstrzymaj się trochę, co?

Wycierając się ręcznikiem, uważnie przyglądał się odbiciu swojego ciała w zaparowanym lustrze. Nie najgorzej, jak na faceta w wieku czterdziestu pięciu lat. Może tylko ten niewielki brzuszeczek... Ale kilka wizyt na siłowni powinno rozwiązać sprawę. Następnie skoncentrował się na twarzy. Harry Lund zawsze lubił swoją twarz. Zdrowe zęby. Szykowny wąsik. Gęste włosy. Mocne brwi nad patrzącymi śmiało oczyma.

Nie dalek jak tydzień temu Frances mówiła właśnie o jego oczach, gdy udało mu się wykraść kilka godzin i spotkać z nią w restauracji w pół drogi między centrum a dalekim przedmieściem, gdzie pracowała jako bibliotekarka:

— To te twoje oczy spodobały mi się w pierwszej kolejności. Od razu zwróciłam na nie uwagę, kiedy podniosłeś moje książki w autobusie. Masz oczy uczciwego człowieka.

Harry poczuł lekki niepokój. Co pomyślałaby o nim Frances, gdyby wyszło na jaw, że jest żonaty? Jakie to szczęście, że pod wpływem niezrozumiałego kaprysu przedstawił jej się fałszywym nazwiskiem. Frances była tak ufna i niewinna. Z miejsca kupiła jego bajeczkę o tym, że jest owdowiałym sprzedawcą z północy stanu. Na pewno uwierzy we wszystko, co on jej powie. Gdy już będzie po wszystkim, sprzeda dom i aptekę. Wyjadą daleko stąd, zaczną nowe życie.

Frances nie musi o niczym wiedzieć..

— Na litość boską — wrzasnęła Norma. — Co ty tam wyprawiasz? Podziwiasz się w lustrze?

— Już schodzę — odkrzyknął Harry.

Uśmiechnął się do swojego odbicia, żeby zobaczyć mocne, białe zęby.

Starannie ubrany, zszedł po schodach, myśląc: „Za kilka godzin będzie po wszystkim”. Myśl ta była tak podniecająca, że miał ochotę zrobić coś młodzieńczego i radosnego, na przykład zagwizdać albo zjechać w dół po poręczy. Przeszedł przez zabałaganioną, niedużą jadalnię i znalazł się w kuchni. Norma, w swoim starym, różowym szlafroku, stała zgarbiona nad smażonymi jajkami, które skwierczały na kuchence. Odwróciła się — z kącika jej ust zwisał papieros — i oszacowała go bystrym spojrzeniem, które zawsze sprawiało, iż czuł się niewidzialny.

— A niech mnie, jak to się dziś z samego rana wystroił! Może byś się tak do czegoś przydał i pozmywał naczynia?

Poprzedniego wieczoru nie pozmywali po kolacji. Harry zwykle nie cierpiał stać przy zlewie, uważając to za zajęcie niegodne mężczyzny, lecz tego słonecznego, zimowego poranka niemal z radością zabrał się za zmywanie, ponieważ przecierając naczynia, mógł jednocześnie wyglądać przez okno i patrzeć na miejsce, gdzie To Się Miało Wydarzyć.

Ich dom stał na szczycie stromego, nagiego zbocza, w podmiejskiej dzielnicy, której rozbudowę przerwała wojna i która wciąż wyglądała dość surowo. Dom w całości należał do niego. Harry kupił go za pieniądze niespodziewanie odziedziczone po nieznanym mu ciotce. Był mały, niewygodny i Harry go nienawidził. Lecz ostatnimi czasy ceny nieruchomości znacznie poszły w górę. Na pewno bez trudu go sprzeda i jeszcze na tym zyska.

Harry postukiwał naczyniami w zlewie, wpatrując się niemal pożądlivym wzrokiem w krajobraz za oknem. Śnieg, który spadł w ubiegłym tygodniu, wciąż pokrywał wszystko grubą, zmarzniętą skorupą. Tej nocy znowu był mróz. Z kuchennego okna Harry widział fragment krzywizny podwójnego zakrętu, tam, gdzie droga gwałtownie opadała w dół wzgórza ku miastu. Jej powierzchnia była gładka jak lód. Z prawej strony szosa kończyła się barierką, za którą było niemal pionowe urwisko. Miejsce to nazywano Zakrętem Samobójców. W każde niedzielne popołudnie Norma zabierała samochód i

jechała do miasta odwiedzić swoją zameżną siostrę. Poślizg na takim zakręcie oznaczał pewną śmierć. Zwłaszcza gdyby hamulce w ich starym sedanie odmówiły posłuszeństwa.

Harry Lund był zaś pewien, że właśnie w to niedzielne popołudnie hamulce odmówią posłuszeństwa.

Oczyrna wyobraźni ujrzał samego siebie, pobladłego, w twarzowym żalobnym stroju, przyjmującego wyrazy współczucia od najbliższych sąsiadów. „To straszne... Zupełnie jakbym stracił swoją prawą rękę... Sprzedam wszystko... Przeprowadzę się gdzieś i zacznę wszystko od nowa”.

Nucił pod nosem, układając wilgotne naczynia na suszarce.

— Posłuchajcie tylko — skomentowała jego zachowanie Norma. — Nuci sobie. Taki wystrojony i zadowolony od samego rana. Co się stało? Przygruchałeś sobie jakąś ślicznotkę?

Zaśmiała się tym swoim ochrypłym śmiechem, bardziej przypominającym kaszel. Zabrzmiał w nim sarkazm, jakby chciała dać mu do zrozumienia, iż uważa za całkiem nieprawdopodobne, aby jakaś dziewczyna zainteresowała się mężczyzną w jego wieku. Stara nienawiść, jaką do niej czuł, znowu podniosła głowę. Norma cisnęła na stół talerz ze smażonymi jajkami.

— Chodź no tutaj, Don Juanie. Ktoś w końcu musi nakarmić to piękne ciało.

Harry odszedł od zlewu i posłusznie usiadł. Zajął miejsce naprzeciwko niego i nie przestając palić, dziobała swoją porcję jajek widelcem. Po chwili wstała, przyniosła sobie informator wydawany przez jakąś firmę farmaceutyczną i zaczęła czytać przy jedzeniu. Norma uważnie studiowała wszystkie nowości z literatury fachowej, a od kiedy opublikowała także kilka artykułów w „Tłuczku i mózdzierzu”, przy każdej okazji nie omieszkała mu wypomnieć, że nie jest na bieżąco z osiągnięciami współczesnej medycyny.

To był kolejny powód...

Dłoń Harry'ego Lunda drżała lekko, gdy podnosił do ust filiżankę z kawą. Nie ze strachu — z podniecenia.

Gdy już posprząтали po śniadaniu, Norma usadowiła się w salonie ze swoim informatorem, podczas gdy Harry, pod pozorem rąbania drewna, wymknął się do garażu. Miał smykałkę do majsterkowania

przy samochodzie i lubił to zajęcie. W garażu trzymał stary dżinsowy kombinezon. Nałożył go i wśliznął się pod sfatygowane podwozie samochodu. Nie minęła nawet chwila, a przewody hamulcowe były niemal całkowicie przecięte. Jedno mocniejsze wciśnięcie pedału wystarczy, żeby się przerwały. Był tego prawie pewny. Poza tym znał styl jazdy Normy niemal tak samo jak własny — podobnie jak drogę, którą miała jechać. Hamulce nie będą jej potrzebne, dopóki Norma nie znajdzie się na rogu tuż przed Zakrętem Samobójców, a wtedy jak zwykle wciśnie je do oporu.

Zdjął kombinezon, umył ręce lodowatą wodą z kranu, ze stosu drewna na opał wziął naręcze polan i zaniósł do domu.

Norma spojrzała na niego znad czasopisma, mierząc go bacznie tymi czujnymi, ciemnymi oczyma. — I jaki dziś pomocny w domu. Chodząca cnota.

Harry podszedł do kominka i nachylił się, żeby położyć przy nim polana. Za jego plecami rozległ się głos Normy: — Drogi są dziś okropne, prawda? Myślisz, że powinnam odwołać wizytę u Elli?

Jedno z polan uderzyło o podłogę. Odpowiedział z obojętnością, która jego samego zdumiała: — Elle będzie na ciebie czekać. A nie możesz jej przecież zawiadomić telefonicznie. Jeśli się nie zjawisz, pomyśli, że miałas wypadek.

— Pewnie masz rację. — Norma znowu się roześmiała, tym razem żartobliwie. — Zresztą rzeczywiście lepiej będzie, jak pojedę. Będziesz miał okazję wymknąć się na sekretną randkę z tą jakąś ślicznotką...

Harry Lund stał przy kuchennym oknie. Wcześniej ostrożnie wprowadził samochód z garażu i ustawił go przy wyjeździe na główną drogę. Widział ją, w jej starym niebieskim tweedowym płaszczu, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Wtedy pobiegł do kuchni. Teraz lada moment powinien zobaczyć z okna wóz zbliżający się do Zakrętu Samobójców. Poczul ucisk w żołądku. Ciekawa rzecz. Zupełnie jakby był pijany.

Popołudniowe słońce jasno oświetlało pusty zakręt. Nagle na drodze załśnił samochód — samochód Normy. Zobaczył, jak wpada w zakręt, przez sekundę chwije się groteskowo na krawędzi nad urwiskiem, po czym spada w dół. Przerażliwy odgłos gniecionego metalu

rozdarł zimową ciszę. Rozległ się głośny huk, a potem coraz cichsze dudnienie, kiedy samochód staczał się coraz niżej i niżej w dół zbocza.

Harry odwrócił się od okna. Miał ochotę krzyczeć, klaskać w dłonie, jak głupiec zadzwonić do pensjonatu, w którym mieszkała Frances, i powiedzieć: „Wyjdź za mnie, najdroższa. Wyjdź za mnie”.

Zadowolił się jednak uśmiechem — opanowanym, pełnym skrywanej satysfakcji uśmiechem artysty, który wie, że dobrze wykonał swoją pracę.

Przeszedł do salonu i włączył radio, nastawiając je na tyle głośno, aby każdy uwierzył, że nie słyszał huku wypadku. Następnie wziął do ręki informator, który czytała Norma. Wkrótce zbiegną się sąsiedzi. Będzie na nich czekał.

Rozległ się ostry dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych. Harry Lund poprawił swój wytworny, czerwono-niebieski krawat i poszedł otworzyć. Na progu stała pani Grant, sąsiadka mieszkająca przy tej samej ulicy. Była zdyszana.

— Panie Lund, pańska żona... Coś się stało z samochodem. Przeleciał przez barierkę na Zakręcie Samobójców.

Harry Lund zasłonił dłonią swoje piękne oczy. — Boże, nie. To niemożliwe. Wydawało mi się, że coś słyszę, ale to radio...

— Spadł aż na sam dół — wysapała pani Grant. — Sama widziałam. Przez okno w salonie. Niech pan idzie za mną.

Harry pobiegł za nią przez zaśnieżone ulice. Na poboczu przy Zakręcie Samobójców zebrała się niewielka grupka sąsiadów. Z jękiem wzywając imienia żony, Harry Lund przepchnął się pomiędzy nimi i spojrzał w dół. Daleko pod sobą, na samym dnie doliny, ujrzał samochód w płomieniach — poskręcany, metalowy wrak. Zobaczył także dwóch mężczyzn, którzy pochylali się nad czymś niebieskim i na w pół widocznym, spoczywającym znacznie bliżej na ostrym stoku urwiska. Trzeci mężczyzna odłączył się od nich i wdrapywał się pod górę po stromiznie. Zbliżył się do Harry'ego i zaczął ścisnąć mu rękę.

— Musiała otworzyć drzwiczki i wyskoczyć na zewnątrz. Jest nieprzytomna, może trochę poturbowana. Ale doktor Peterson, który jest przy niej na dole, mówi, że nic jej nie będzie, panie Lund. To cud. Prawdziwy cud...

*

Rzeczywiście, był to cud. Norma wyszła z wypadku niemal bez szwanku, jedynie ze skrzyconą kostką i wstrząsem nerwowym. Uraz nie był na tyle poważny, aby musiała pozostać w szpitalu, doktor Peterson zalecił jej jednak kilka tygodni leżenia w łóżku.

Nikt nie podejrzewał, że nie był to zwykły wypadek. Harry był tego absolutnie pewien. Z początku uczucie ogromnej ulgi nie pozwalało mu myśleć o niczym więcej. Stopniowo jednak zdał sobie sprawę, że całe jego życie zmieniło się po tym wypadku na gorsze. Norma była trudną pacjentką, wymagającą nieustannej uwagi. Jej siostra Ella, matka czwórki dzieci, nie mogła służyć jej żadną pomocą. Harry musiał zatrudnić drogą pielęgniarkę, która doglądała Normy w ciągu dnia. A ponieważ żona nie odciążała go już w pracy, zmuszony był całe dni spędzać w aptece i jadać na lunch kanapki. Jako że wieczory siłą rzeczy musiał poświęcić Normie, nie miał teraz żadnych szans na spotkanie z Frances.

Zadzwoił do niej w końcu, nieprzekonująco tłumacząc swoje milczenie częstymi wyjazdami w interesach. Wtedy to z głosu Frances po raz pierwszy powiało chłodem.

Jakby tego było mało, Harry stracił samochód, a suma otrzymana z ubezpieczenia nie wystarczała na zakup nowego, nawet gdyby takowy był do kupienia. Codziennie rano musiał wstawać dwie godziny wcześniej, żeby przygotować Normie śniadanie przed przyjściem pielęgniarki, a następnie brnąć w dół pokrytego topniejącym śniegiem wzgórze, żeby złapać tramwaj do apteki.

Lecz ze wszystkich tych nieszczęść zdecydowanie najgorsza była ta nowa, nieunikniona bliskość Normy. W ich niewielkim domu była tylko jedna sypialnia. Z nieodłącznym papierosem w ustach, rozparta w łóżku w tym różowym, pikowanym szlafroku, żona rozstawiała go po kątach, zasypując pytaniami, wydając polecenia dotyczące zarządzania apteką, niczym zgryźliwa stara cesarzowa. Coś — może nie do końca uświadomione poczucie winy, a może nieme przyznanie, że żona góruje nad nim siłą swojego charakteru — kazało mu być jej posłusznym. Norma nabrała paskudnego zwyczaju budzenia się tuż przed świtem i posyłania go, nieprzytomnego z niewyspania, drżącego z zimna i nienawiści, po sok pomarańczowy lub szklankę mleka z kuchni.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia i w przyływie świątecznego sentymentalizmu Norma uparła się mieć w sypialni choinkę. Harry musiał przytaszczyć ją sam po tym oblodzonym wzgórzu, a potem przybrać kolorowymi bombkami i ślicznymi, staroświeckimi świeczkami pod ciągłym ostrzałem sarkastycznych uwag żony. Pielęgniarka zażądała wolnego w święta. Harry Lund zamknął więc aptekę, upiekł indyka z niechętną sąsiadką pomocą pani Grant i zaniósł Normie posiłek do sypialni, razem ze starannie zapakowanymi prezentami. Norma była ożywiona, a po kilku lampkach krajowego szampana nawet skłonna do flirtu.

Tamtej nocy Harry Lund zrozumiał, że — jakkolwiek może to być niebezpieczne — musi znowu spróbować ją zabić.

Błahe wydarzenie podsunęło mu kolejny pomysł. Od Bożego Narodzenia minęło kilka dni i Norma nadal leżała w łóżku, ale była już w stanie kuśtykać przy pomocy laski. Pewnego razu, gdy zażywała kąpieli, Harry, skończywszy sprzątać w kuchni, wszedł na górę do sypialni i zobaczył, że jeden z nieodłącznych papierosów jego żony stoczył się — wciąż zapalony — z popielniczki i tli się niebezpiecznie blisko zwieszających się nisko, wyschniętych gałęzi choinki.

Zgasił go instynktownie, lecz w tym samym momencie przyszedł mu do głowy całkiem nowy i świeży pomysł.

Za dwa dni miał się odbyć zjazd aptekarzy, połączony z bankietem. Norma wiedziała o tym i jak zawsze sumienna we wszystkim, co dotyczyło ich pracy, nalegała, aby wziął w nim udział. Załóżmy, że Norma, będąc pod wpływem środka nasennego, zaśnie i upuści przez sen niedopalonego papierosa. Załóżmy, że w czasie gdy on będzie bawił się na bankiecie, w sypialni wybuchnie pożar — nagły, gwałtowny pożar... A dom był ubezpieczony. Zresztą Harry i tak zamierzał go sprzedać.

Potrzebował jedynie zapalnika z opóźnionym zapłonem. Jego umysł majsterkowicza z łatwością uporał się z tym problemem. Przyniósł z apteki kilka puszek butanu. Potem wystarczyło już tylko postawić jedną z bożonarodzeniowych świeczek na sztucznym mchu nasączonym butanem, a następnie umieścić całość pod choinką. Kiedy świeczka się wypali, mech zajmie się od jej płomienia. Z mchu zaś ogień przeniesie się na choinkę.

Harry Lund poczuł ponowny przyływ męskich sił. Wieczorem długo uśmiechał się do swojego odbicia w lustrze.

Twarz w lustrze, o krzepiąco atrakcyjnych i zdecydowanych rysach, odwzajemniła jego uśmiech.

Pół godziny przed zaplanowanym wyjazdem na bankiet, Harry Lund — elegancki w swoim świeżo odprasowanym niebieskim garniturze — podgrzał w kuchni mleko, napełnił szklanekę i rozpuścił w niej trzy silnie działające tabletki nasenne. Następnie zaniósł szklanekę na górę, do sypialni. — Pomyślałem, że może zechcesz napić się mleka, zanim wyjadę.

— Patrzcie, jaki troskliwy. — Bystre, ciemne oczy Normy mierzyły go wzrokiem pełnym udawanego podziwu. — A jaki szykowny dziś wieczorem!

Cisnęła papieros do popielniczki i wypila mleko wielkimi haustami. Harry zmusił się, żeby na nią nie patrzeć.

Zaczął się kręcić po pokoju, udając, że sprząta. — Chcesz, żebym otworzył okno, skarbie?

— W taki mróz? Ale mógłbyś mi pomóc przejść do łazienki.

Kiedy kilka minut później Norma wróciła do sypialni, ślaniała się na nogach. Mamrotała coś niewyraźnie, gdy prawie ją niosąc, pomógł jej dojść do łóżka i otulił kołdrą. Po chwili przekreśliła się na bok i zaczęła głęboko oddychać.

Harry Lund ostrożnie umieścił pod choinką swoją śmiertelną pułapkę: świeczkę i odpowiednią ilość sztucznego mchu nasączonego butanem, a wszystko to odpowiednio ustawione pod suchą gałęzią.

Zapalił świeczkę. Pozostało co najmniej pół godziny. Albo trochę dłużej. Może godzina. Potem całe drzewko stanie w płomieniach. Zajmą się zasłony. W kilka sekund cały pokój zmieni się w piekło.

Płomyk świeczki migotał, gdy na palcach wychodził z sypialni.

Brnąc przez śnieg w dół wzgórza do przystanku tramwajowego, Harry Lund myślał o Frances, z rumieńcem miłości i wdzięczności na swojej młodej twarzy w momencie, gdy będzie rozpakowywała elegancko zawiniętą paczuszkę.

„A więc nie zapomniałeś jednak o moim prezencie gwiazdkowym! Och, «Wiosenny Bez». Moje ulubione perfumy. Nie powinienesz robić sobie kłopotu. Są *takie drogie...*”

Telefon zadzwonił chwilę po rozpoczęciu bankietu. Z rana Harry mimochodem wspomniął pani Grant o swoim wyjeździe, żeby sąsiedzi wiedzieli, gdzie go szukać. Dzwonił pan Grant we własnej osobie.

— Wracaj natychmiast, Lund! Twój dom się pali! — oznajmił podnieconym tonem.

Czując się niezwykle ważny wskutek nagłego zamieszania, jakie wywołał na bankiecie, Harry Lund pożegnał się pospiesznie i pognął do taksówki. A kiedy auto wpełzło wreszcie na wzgórze po oblodzonej drodze, zobaczył wozy strażackie i tłum kłębiący się przed jego domem. Zauważył także, że piętro było niemal całkowicie spalone, chociaż nigdzie nie było już widać płomieni.

Rozgrzany tym widokiem i skrajnie podekscytowany wysiadł z taksówki. Ktoś chwycił go za ramię i zaczął ciągnąć przez trawnik do domu sąsiadów. Nagle znalazł się w jasno oświetlonym salonie. Na kanapie leżała Norma.

Jakiś głos tłumaczył mu: — Obudził ją dym. Udało jej się w samą porę wyczołgać na zewnątrz.

Ciemne oczy Normy wpijały się w jego twarz z wyrazem powagi i skruchy.

— Harry, tak strasznie mi wstyd. Wszystko przez ten mój okropny zwyczaj palenia w łóżku. Zasnęłam, a choinka musiała zająć się od niedopałka...

Chociaż całe piętro ich domu zostało zburzone, na parterze nie było prawie żadnych zniszczeń. Agent ubezpieczeniowy nie kwestionował zasadności roszczeń Harry'ego, lecz poinformował go, że stan budynku uzasadniał wypłatę mniej niż jednej trzeciej kwoty, na jaką opiewała polisa. Wyglądało na to, że przy zawyżonych kosztach materiałów i robocizny doprowadzenie domu do stanu używalności pochłonie niemal wszystkie oszczędności Harry'ego.

W związku z brakami lokalowymi na rynku, znalezienie zastępczego lokum graniczyło z niemożliwością. Przez krótki, ponury okres Harry i Norma koczowali w brudzie i nędzy na parterze swego spalonego domu. Później szczęśliwym zbiegiem okoliczności lokatorzy

wynajmujący od nich mieszkanie nad apteką postanowili przenieść się do innego miasta i pogorzelnicy mogli zająć zwolnione przez nich maleńkie dwa pokoje.

Norma wciąż miała duże trudności z chodzeniem, a doktor Peterson ostrzegł Harry'ego, że tylko długotrwały odpoczynek może zneutralizować u niej skutki szoku związanego z pożarem. Jednak Norma, która wzięła na siebie całą winę za utratę domu, odmówiła pójścia do szpitala czy leżenia w łóżku. Jak gdyby sama chciała wymierzyć sobie karę, spędzała w aptece absurdalnie długie godziny, obsługując klientów o kulach. Po kilku tygodniach zasłabła. Doktor Peterson stwierdził u niej chorobę serca, przepisał epinefrynę i kazał nie opuszczać łóżka.

Życie Harry'ego Lunda stało się szare i gorzkie, niczym popiół z jego spalonej sypialni. Dwukrotnie, gdy wpadła do nich z wizytą siostra Normy, Ella, udało mu się wymknąć z mieszkania i zatelefonować do Frances, ale jego wymówki brzmiały jeszcze mniej przekonująco niż kiedyś, a jej reakcja była jeszcze chłodniejsza. Wszystko to dalece odbiegało od sceny, jaką wyobrażał sobie w swoich najśłodszych snach — tej z „Wiosennym Bzem” i dziewczęcym rumieńcem wdzięczności.

Chociaż Harry Lund był próżny i pewien swojego powodzenia u kobiet, nawet on musiał przyznać, że jeśli wkrótce nic się nie zmieni, straci Frances na zawsze.

Czując zaciskające się wokół niego macki, Harry Lund coraz częściej i coraz chętniej widział się w roli męczennika. Życie zadawało mu ciosy niewspółmiernie silne do kary, na jaką sobie zasłużył. W rezultacie jego determinacja, aby dokończyć to, czego się podjął, również przybrała nieproporcjonalne rozmiary. Żaden plan nie był już dla niego zbyt ryzykowny. Pewnego razu, przeglądając zawartość aptecznego sejfu z trującymi substancjami, sporządził kapsułkę wypełnioną cyjankiem potasu. Jedynie resztki instynktu samozachowawczego powstrzymały go przed rozpuszczeniem jej w bulionie Normy jeszcze tego samego wieczora.

Od tamtej pory zawsze nosił kapsułkę w kieszeni i w ciągu dnia wielokrotnie jej dotykał. Stała się bowiem jego jedynym sprzymierzeńcem.

Aż w końcu nadarzyła się sprzyjająca okazja. Harry Lund wiedział, że tylko człowiek zdolny do podejmowania śmiałych i szybkich

decyzji mógłby ją za taką uznać. Lecz wtedy był już takim właśnie człowiekiem... Tamtego wieczoru Norma poprosiła go, żeby pojechał do jej siostry po książkę, którą chciała od niej pożyczyć. Właśnie wychodził, gdy dostała ataku serca.

Epinefryna! Gdy tak patrzył na żonę, leżącą w łóżku i konwulsyjnie chwytającą ustami powietrze, nazwa leku przepisanego przez doktora Petersona zdawała się unosić pomiędzy nim a Normą, wypisana wielkimi, czerwonymi literami. Norma zawsze trzymała ampułki epinefryny razem ze strzykawką tuż przy łóżku. Dumna ze swojej wiedzy, oznajmiła doktorowi Petersonowi, że sama zrobi sobie zastrzyk, gdy tylko poczuje nadchodzący atak. Podwójna dawka epinefryny z pewnością zabije nawet Normę.

Czy ktoś mógłby go o cokolwiek podejrzewać, gdyby jego żona, pozostawiona sama w domu, usiłowała zapobiec nadchodzącemu atakowi serca i przez przypadek wstrzyknęła sobie zbyt dużą dawkę leku? A więc mimo wszystko posłuży się lekami, lecz zrobi to w inny, pomysłowy sposób.

Z błyszczącymi oczyma i sercem przepelnionym dumą dla własnej przemyślności, napełnił strzykawkę epinefryną z dwóch ampulek. Norma była półprzytomna. Gdy robił jej zastrzyk, wyglądało na to, że jest zupełnie nieświadoma tego, co się z nią dzieje.

Harry Lund skrupulatnie wytarł swoje odciski palców z dwóch pustych ampulek i ze strzykawki. Trzymając ampułki przez chustkę do nosa, zamknął je na chwilę w bezwładnej, lewej dłoni Normy, po czym upuścił na podłogę. Również przy pomocy chustki wcisnął Normie pustą strzykawkę do prawej ręki i zostawił dokładnie w tym miejscu, w którym upadła.

Teraz musiał jak najszybciej wyjść. Nie mógł zwlekać, na wypadek gdyby pojawiły się wątpliwości co do czasu zgonu. Pojedzie teraz prędko do domu Elli i pogawędzi z nią o książce, którą chciała pożyczyć Norma.

Zamykając drzwi sypialni, miał wrażenie, że zostawia za nimi całą swoją niefortunną przeszłość.

Harry uciał sobie z Ellą przyjemną pogawędkę, która przedłużyła się dzięki ofercie wypicia filiżanki kawy i skosztowania kawałka domowego ciasta. Zdawał sobie sprawę, że siostra Normy go nie lubi,

lecz tego dnia był tak czarujący, że nawet ona stopniała pod jego urokiem.

Z książką pod pachą ruszył w drogę powrotną do apteki. Epinefryna z pewnością zdążyła już zadziałać. W ciągu kolejnych kilku dni będzie musiał trochę poudawać, lecz to go specjalnie nie martwiło. Przedstawienie, jakie odegrał na użytek Elli, było bardzo wiarygodne. Harry Lund zawsze wiedział, że gdyby tylko chciał, mógłby odnosić wielkie sukcesy na scenie.

Wchodząc po zniszczonych schodach prowadzących do mieszkania, odruchowo nadał swojej twarzy stosowny wyraz — wyraz zaskoczenia męża, który znajduje w mieszkaniu martwe ciało żony. Był tak zaabsorbowany układaniem w myślach zdań, jakich zamierzał użyć w rozmowie telefonicznej z doktorem Petersonem, że otworzył drzwi i dopiero po wejściu do sypialni zorientował się, że coś jest nie w porządku.

Wystarczyło jedno spojrzenie na łóżko, żeby świat stracił wszelkie pozory realności. Oto bowiem w sypialni była Frances. Zobaczył ją — taką młodą, stojącą sztywno i w milczeniu u wezłowania łóżka. Przyglądała się Normie, która leżała na wznak pod stłamszoną pościelą.

Gdy wszedł, Frances odwróciła się i spojrzała na niego. Jej wzrok wyrażał niewypowiedziane przerażenie i odrazę. Harry wzdygnął się, wlepiając w nią nic nierozumiejące spojrzenie. To musiał być jakiś wybryk jego umysłu, jakaś potworna, okrutna sztuczka jego zdradzieckiej wyobraźni.

— Witaj w domu. — Od strony łóżka dobiegł go głos Normy, zalamujący się i słaby, lecz wciąż jednak nasycony sarkazmem. — Twoja przyjaciółka dopiero co przyjechała. Harry Lundzie, ty biedny głupcze. Myślałeś, że o niej nie wiem, co? Wiedziałam o wszystkim od wielu tygodni. Przyjaciółka Elli widziała was razem w restauracji. Łatwo było dociec, jak się nazywa i gdzie mieszka.

Jej słowa spadły na niego jak uderzenia młota, a przerażenie, jakie wzbudził w nim widok żywej Normy, dopełnił dzieła zniszczenia. Przecież dawka epinefryny, którą jej wstrzyknął, powaliliby każdego. Czyż nic nie mogło jej zabić? Kolana ugięły się pod nim, jakby były z waty. Na próżno usiłował znaleźć jakieś wytłumaczenie — cokolwiek, byle tylko nie czuć się tak bezradnym.

Ciemne oczy Normy przyglądały mu się złośliwie.

— Zatelefonowałam do tej biedaczki, bo uważałam, że jestem jej winna wyjaśnienie. Oczywiście ona nie ponosi tu żadnej winy. Przedstawiłeś się jej fałszywym nazwiskiem, prawda? Powiedziałaś, że jesteś wdowcem. — Wybuchła straszliwą imitacją schrypniętego śmiechu. — Podejrzewam, że bardzo chciałaś, żeby tak było — i prawie ci się udało.

Przeniosła wzrok na bladą, zeszywniałą Frances.

— Trzy razy próbował. Najpierw uszkodził hamulce w samochodzie. Potem podpalił nasz dom. A teraz — epinefryna. Bardzo się natrudził, żeby cię zdobyć. Powinno ci to pochlebiać.

Harry Lund rzucił się ku Frances. Słowa same popłynęły z jego ust bezładnym strumieniem: — Frances, wysłuchaj mnie. Błagam, wysłuchaj mnie. To nieprawda. Ja wcale...

Lodowata pogarda w jej wzroku osadziła go na miejscu. Na chwilę zapadła cisza, dla Harry'ego Lunda równie okropna jak wybuch bomby. Potem Frances odwróciła się i podeszła do telefonu.

Jej głos zdawał się narastać w panującej w mieszkaniu ciszy. — Halo, proszę z policją. — A po chwili: — Przyjedźcie jak najszybciej. Dokonano próby zabójstwa przy...

Rozpacz sprawiła, że Harry'emu opadły wreszcie łuski z oczu. Z przejmującą jasnością ujrzał, jak żałośnie chybiony był jego wspaniały plan. Stracił samochód, dom, a teraz jeszcze ukochaną dziewczynę. Policja niewątpliwie odkryje związek pomiędzy wszystkimi trzema „wypadkami”. Norma żyła i mogła świadczyć przeciwko niemu, zaś Frances — o straszliwa ironio — będzie świadkiem oskarżenia.

Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Co ciekawe, potworność jego położenia sprawiła, że przestał odczuwać jakikolwiek strach. Jego plan okazał się spektakularną porażką. Może całe jego życie tym właśnie było — spektakularną porażką. Czyż w ostatniej scenie dramatu wszystko nie sprzysięgło się przeciwko niemu?

Ukryty w nim aktor poczuł, że zbliża się jego wielki moment. Przynajmniej raz Frances zobaczy go takim, jakim był naprawdę. Miał wrażenie, że unosi się wyżej i wyżej, pozostawiając daleko w dole tę nędzną kreaturę, Harry'ego Lunda, aptekarza. Jego dłoń powędrowała do kieszeni i zacisnęła się na kapsułce z cyjankiem potasu.

Nonszalanckim krokiem ruszył w stronę łazienki, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Norma Lund krzątała się radośnie po aptece, która teraz należała wyłącznie do niej. Od lat znudzona mężem, zachowała jednak dla niego jakiś okruczeństwo. Lecząc jako kobieta rozsądna nie miała współczucia dla głupców. A to właśnie zgubiło Harry'ego. Przez całe życie był głupcem.

Co prawda i jej zdarzały się chwile szaleństwa. Dopiero na kilka sekund przed tym, jak samochód runął w dół urwiska, zdała sobie sprawę, że jej mąż uszkodził hamulce. Jej głupota niemal kosztowała ją wtedy życie. Później jednak, gdy już wiedziała, że Harry próbował ją zabić i że prawie na pewno jeszcze raz spróbuje, nie popełniła już ani jednego błędu.

Można powiedzieć, że czerpała nawet pewną przyjemność z leżenia w łóżku, rozkazywania mu i utrudniania spotkań z tamtą dziewczyną. Zasłużył sobie na to. Potem, kiedy wyczuła w podanym jej gorącym mleku środek nasenny, wystarczyło zażyć w łazience amfetaminę jako antidotum. Udając głęboki sen, niemal z podziwem obserwowała, jak Harry umieszcza pod choinką swoją konstrukcję ze świeczki i nasączonego łatwopalną substancją mchu. Również obserwując pożar ich domu, całkiem nieźle się bawiła.

Może już wtedy powinna była pójść na policję. Ciągnięcie tej farsy było jej zdaniem dosyć ryzykowne. Lecz ponieważ Harry był głupcem, niebezpieczeństwo nie było zbyt realne. Pierwszy udawany atak serca, sztucznie wywołany zażyciem naporstnicy, wywiódł w pole nawet doktora Petersona. Drugi atak, który był już czystą grą, w połączeniu z zawczasu przygotowanymi rekwizytami — strzykawką i ampułkami epinefryny, zawierającymi w rzeczywistości wodę sterylą — wydawał jej się zbyt nieprawdopodobny, nawet jak dla Harry'ego. On jednak wlaź prosto w pułapkę, pozostawiając przy okazji tyle dowodów, że wystarczyłoby ich, żeby skazać go tuzin razy za tę samą zbrodnię.

Pani Grant wpadła do apteki po szczoteczki do zębów i butelkę płynu do płukania ust. Przywitała się z Normą bardzo serdecznie. Od samobójstwa Harry'ego wszyscy byli dla niej szczególnie mili.

Szukając płynu do płukania ust, Norma zastanawiała się, czy Harry zabiłby się, gdyby Frances nie była świadkiem jego ostatecznego upokorzenia. Niewykluczone, że sprowadzając do mieszkania Frances, Norma z ofiary stała się morderczynią.

Lecz podobne spekulacje nie miały sensu. Wszystko dobrze się dla niej skończyło.

Pani Grant zauważyła: — To naprawdę wspaniałe, jak świetnie sobie pani radzi, prowadząc aptekę bez niczyjej pomocy.

— Robię, co mogę. — Norma Lund sprawnie zapakowała płyn do płukania ust. — Ale czasami kobiecie trudno jest być samą...

SPIS TREŚCI

Udręka pani Snow (The Ordeal of Mrs. Snow).....	5
Marzenie chłopca (A Boy's Will)	68
Portret mordercy (Portrait of a Murderer)	85
Zagubiony chłopiec (Little Boy Lost)	106
Świadek oskarżenia (Witness of the Prosecution)	134
Gołębie serce (The Pigeon-Woman).....	150
Aż na księżyc (All the Way to the Moon).....	169
Mamo, czy mogę pójść popływać? (Mother, May I Go Out to Swim?)	187
Panie, Ty na mnie patrzysz (Thou Lord Seest Me)	204
Niedźwiadek pani Appleby (Mrs. Appleby's Bear)	228
Miłość przychodzi do panny Lucy (Love Comes to Miss Lucy)	242
To cię zabije (This Will Kill You)	258